

A promotional poster for the film 'Dziesięć tysięcy lat'. The background is a vibrant, multi-colored cosmic scene with a galaxy in shades of purple, pink, and blue. In the foreground, a man with a beard and closed eyes is shown from the chest up, looking upwards. The overall mood is contemplative and ethereal.

MICHAEL POORE

Dziesięć tysięcy lat

NAJPIERW ŻYJEMY. POTEM UMIERAMY.
A POTEM... DOSTAJEMY NASTĘPNĄ SZANSĘ?

Prószyński i S-ka

Michael Poore

Dziesięć tysięcy i więcej

Przełożył
Janusz Ochab

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
REINCARNATION BLUES

Copyright © 2017 by Michael Poore
All rights reserved.

Published in the United States by Del Rey, an imprint of Random House, a division of Penguin Random House LLC, New York.

Projekt okładki
Wojtek Wawoczny

Vavooq (Wojciech Wawoczny)

Redaktor prowadzący
Monika Kalinowska

Redakcja
Małgorzata Grudnik-Zwolińska

Korekta
Małgorzata Denys

ISBN 978-83-8123-556-3

Warszawa 2017

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

dla Taty i Barbary

Rozdział 1

Mędrzec z Orange Blossom Key

archipelag Florida Keys, rok 2017

Oto opowieść o mędrцу imieniem Milo.

Zaczyna się w dniu, gdy pożarł go rekin.

Dzień nie zapowiadał się źle. Milo obudził się przed wschodem słońca, wbił swoje pięćdziesięcioletnie ciało w szorty i wyszedł na plażę, by pomedytować. Jak zwykle towarzyszył mu jego pies Burt, duży czarny kundel.

Milo usiadł na białym jak cukier piasku, zamknął oczy i wystawił twarz na podmuchy ciepłej słonej bryzy, która poruszała lekko jego brodą. Był świadom dotyku spiętych w kucyk włosów, które opadały mu na plecy, i krzyku mew. Właśnie na tym powinna polegać medytacja: zauważasz rzeczy, ale o nich nie myślisz.

Milo nie był mistrzem medytacji. Otworzył piwo i obserwował słońce. Jak zawsze, im bardziej starał się o niczym nie myśleć, tym wyraźniej jego myśli zwracały się ku takim głównianym sprawom jak duży palec u nogi albo Francja. Może zrobi sobie nowy tatuaż.

Wypił śniadanie, dostrzegając ocean i jego wspaniałą odwieczną obojętność. Próbował dopasować się do jego oddechu – oddechu samego czasu – i jak zwykle zasnął na plaży ze swoim piwem i psem, by obudzić się dopiero wtedy, gdy przyplływ sięgnął mu kostek.

Być może nikt na całym świecie nie medytował gorzej od niego. Zauważył to jednak, zaakceptował i przyjął z pokorą. Pokora była jednym z filarów jego mądrości.

Poszedł do domu, by otworzyć nową torbę psiej karmy.

Rekin, który za kilka godzin miał pożreć Mila, był w tym momencie jeszcze wiele kilometrów od brzegu. Patrolował wody w pobliżu St. Jeffrey's Key, szukając manatów.

Rekin wiedział, że jest głodny. To nie wymagało żadnego myślenia. Żył chwilą, każdą chwilą, w poczuciu pełnego sensu i spokoju. Nieustannie medytował, choć nie miał o tym pojęcia.

Milo pracował przez jakiś czas w ogrodzie.

Bawił się z psem i czytał książkę o skamielinach.

Włączył internet i przez dwadzieścia minut oglądał głupie filmiki.

Potem pojechał starym pikapem do szpitala św. Wincentego, bo odwiedzanie chorych to ważna część pracy mądrego człowieka. Zabrał ze sobą Burta.

Głaskanie psów miało korzystny wpływ na ludzi. To fakt dowiedziony naukowo. Burt na swój sposób również był mędrцем. Jak wszystkie zwierzęta.

Tego dnia Milo i Burt odwiedzili stuletnią Arlene Epstein, która umierała ze starości.

Kiedy przyjechali, Arlene spała, Milo stał więc w bezruchu i przyglądał jej się przez minutę. Pomyślał, że szpitale w jakiś dziwny sposób degradują ludzi. Patrząc na Arlene Epstein i na jej delikatną jak pergamin skórę, nikt by nie przypuszczał, że była niegdyś legendarną barmanką, która upiłowanym kijem hokejowym przywoływała do porządku rozhukanych turystów.

Burt podskoczył i oparł przednie łapy na materacu.

– Milo. – Arlene ziewnęła. – To już czwartek?

– Sobota – odparł, klękając obok niej.

– Zawsze lubiłam soboty – westchnęła staruszka. – Chyba umrę właśnie w sobotę, jeśli będę miała na to jakiś wpływ.

– Ale nie dzisiaj – odrzekł Milo. – Dobrze dziś wyglądasz.

– Fantastycznie. – Usiadła prosto na łóżku i pociągnęła go za brodę. – Możesz zabrać mnie na spacer.

Arlene nie powinna była wychodzić na spacer. Na drzwiach jej sali znajdowała się naklejka z napisem „ryzyko upadku”. Milo zignorował ostrzeżenie i wykradł chodzik ze schowka na korytarzu.

Arlene robiła mniej więcej jeden krok na trzy sekundy. Milo trwał cierpliwie u jej boku, gotów w każdej chwili ją pochwycić. Burt szedł wzdłuż ściany, ani na moment nie odrywając od niej nosa. (Psy uwielbiają szpitale. Pomyślcie tylko o wszystkich tych zapachach, których przecież nigdy nie da się do końca usunąć).

Kiedy przeszli jakieś trzy metry, Arlene spytała:

– Milo, wiesz, co się dzieje, kiedy umieramy?

Był wobec niej szczerzy.

– Tak – odparł.

Jeden krok. Dwa kroki.

– Więc? – spytała.

– Wracasz w innej postaci.

Arlene zastanawiała się nad tym przez moment.

– Jako inna osoba? – spytała w końcu.

– Albo pies. Albo mrówka. A może nawet jako drzewo. Burt w swoim ostatnim życiu był kierowcą autobusu.

Staruszka znieruchomiała.

– Nie rób ze mnie idiotki – powiedziała. – Umrę już niedługo, w sobotę, i chcę wiedzieć.

Milo obdarzył ją głębokim, szczerym spojrzeniem.

– Mam za sobą prawie dziesięć tysięcy żywotów – wyznał. – Jestem najstarszą duszą na tej planecie.

Arlene spojrzała w głąb jednego oka Mila, potem drugiego. Chyba spodobało jej się to, co zobaczyła. Odsunęła chodzik na bok, ujęła w obie ręce dłoń Mila i oparła się na nim lekko.

Ponownie ruszyli do przodu.

– Nadal będę sobą? – spytała.

– Jasne. Mniej więcej. Oczywiście powinnaś robić jakieś postępy.

– Chyba nie chcę wrócić jako drzewo.

– Więc nie rób tego.

Arlene poklepała go po dłoni i powiedziała mu, że dobry z niego chłopak.

Burt wywahał na podłodze coś paskudnego i polizał to z lubością.

Gdyby Milo poszedł wtedy popływać i został zjedzony przez rekina, jego życie zakończyłoby

się wspaniałym, szlachetnym akcentem. Ale nie poszedł. Rekin, wiecznie głodny, pożarł kilka karmazynów oraz trochę śmieci unoszących się na powierzchni i płynął teraz w głębinach między wyspami, zmierzając powoli ku rafom Orange Blossom Key.

W poprzednim życiu rekin był karmazynem. Bywał różnego rodzaju jedzeniem. Był też Truskawkową Królową na Festiwalu Truskawek w Troy, w stanie Ohio, w 1985 roku. Czasami, w snach, przypominał sobie tamte inne życia.

Ale na razie pływał i był głodny, był głodny i pływał.

Milo wciąż miał przed sobą cały dzień pracy. Jako mędrzec rozumiał znaczenie pracy w życiu człowieka.

Utrzymywał się z dwóch zajęć.

Po pierwsze był rybakiem i służył jako przewodnik wędkarzom, którzy przyjeżdżali tu na urlop.

Miał łódź „Jenny Ann Loudermilk” i za ogromną opłatą zabierał ludzi na połów. W Key można było żądać od turystów niemal każdej ceny.

Tego dnia Milo zamierzał sprzątać pokład „Loudermilk”. Oczywiście mógł się pojawić jakiś klient, ale Milo miał nadzieję, że do tego nie dojdzie. Liczył, że pójdzie posurfować, jeśli tylko fale trochę urosną.

Stał na pokładzie swojej łodzi z węzem ogrodowym w ręce i zmywał wodą łajno mew i stare rybie wnętrzności. Burt zwinął się w kłębek na podłodze sterówki i leżał tam, obserwując muchy na szybie.

Milo wrócił myślami do Arlene Epstein. Zastanawiał się, czy staruszka boi się śmierci.

Miał nadzieję, że nie. Śmierć to przecież tylko drzwi. Przechodziło się przez nie wiele razy, ale nadal przerażała większość ludzi. Właśnie o tym myślał, gdy kątem oka dostrzegł w głębi portu coś jasnego i kolorowego.

Turysta w koszulce z napisem „ORANGE BLOSSOM KEY”. Przysadzisty, wąsaty mężczyzna w średnim wieku, w ciemnych okularach, nowiutkich butach i słomianym kapeluszu.

Nagle Milowi odechciało się pracować. Nagle zapragnął wybrać się do pubu BoBo, usiąść przy barze i napić się piwa.

– Będzie pan dziś jeszcze wypływał? – spytał mężczyzna.

A niech to jasny szlag.

– Klient nasz pan – odparł Milo. – Jeśli chce pan wypłynąć, to wypłyniemy.

– Ile?

Milo wymienił cenę, która najwyraźniej przeraziła mężczyznę. (O jutrzeńko nadziei...)

– Proszę posłuchać – dodał Milo. – Weźmie pan jeszcze ze trzech czy czterech kumpli, wyniesie was to znacznie taniej, popłyniemy spokojnie jutro rano...

Wydawało się jednak, że turyście bardzo zależy na czasie.

– Nie – odparł. – Płyniemy od razu.

– Zapraszam na pokład – powiedział Milo, podając mu silną, opaloną i wytatuowaną rękę.

Mężczyzna przedstawił się jako Floyd Gamertsfelder.

– Sprzedaję dywany – wyjaśnił.

– Fantastycznie – odrzekł Milo, oddając cumy.

Burt zeskoczył z łodzi i potruczał wzdłuż brzegu, zmierzając do domu. Woda nie była jego żywiołem i dobrze o tym wiedział.

Floyd Gamertsfelder miał w dupie łowienie ryb. Milo domyślił się tego, gdy tylko go zobaczył, gdy tylko dosłyszał w jego głosie tę dziwną nutę zniecierpliwienia i pośpiechu. Mniej więcej

połowa klientów zachowywała się podobnie: płacili ciężkie pieniądze za jego czas, paliwo i łódź, ale chodziło i o coś ważniejszego niż seriole czy marliny.

Na tym właśnie polegało drugie zajęcie Mila: był zawodowym mędrce i doradcą.

Ludzie przychodzili do niego, bo mieli problemy, z którymi nie umieli sobie sami poradzić, a słyszeli o nim. Podobnie jak postacie z kreskówek, które wspinają się na wysoką górę, by znaleźć mędrca, prawdziwi ludzie przyjeżdżali z odległych miejsc, by spytać Mila o radę na jego łodzi, na morzu, za cenę kilkugodzinnej wyprawy.

I było to całkiem rozsądne z ich strony. W końcu przez dziesięć tysięcy żywotów możesz się sporo nauczyć. Milo wcisnął tyle nauk i doświadczeń w swoją jedną jedyną duszę, że ta wiedza zamieniła się pod ogromnym ciśnieniem w mądrość, podobnie jak węgiel zamienia się w diament. Jego mądrość była niczym moc superbohatera.

Widać to było w jego oczach – niczym zielony ogień płonący w kosmosie – i po jego wytatuowanej skórze, pomarszczonej i pobrużdżonej, jakby opalenizna zapuściła w niej korzenie.

– Tak naprawdę chciałbym z panem porozmawiać o pewnej sprawie – wyznał Floyd, gdy opuszczali przystań.

– Wiem. – Milo skinął głową.

Kiedy wypłynęli za falochron, „Loudermilk” podniosła się na całkiem sporej fali. Takiej, która niosła obietnicę dobrego surfowania. Milo miał nadzieję, że Floyd szybko przejdzie do konkretów.

Cierpliwość – przypominało mu jego *boa*. Cierpliwość i współczucie.

Milo ponownie skinął głową, ułożył kciuki i palce wskazujące w mudrą, dodał gazu i wypłynął na pełne morze.

Floyd Gamertsfelder wystawił jego cierpliwość na ciężką próbę.

Milo liczył po cichu, że mężczyzna otworzy się przed nim i opowie o tym, co mu dokucza, jak tylko odpłyną od brzegu, lecz były to próżne nadzieje. Floyd wspomniał, że chciałby porozmawiać, a potem zamilkł i wpatrywał się z ponurą miną w horyzont.

Milo nie był tym zaskoczony. Wiedział, że zwykle zajmuje to sporo czasu. Ludzie przychodzili do niego z poważnymi problemami osobistymi. Musieli zebrać się w sobie, by szczerze mu o tym opowiedzieć. Musieli spojrzeć w jego nieziemskie oczy i wsłuchać się w spokojny, relaksujący głos oceanu.

Milo niemal zawsze zabierał klientów w to samo miejsce, do tego samego punktu na mapie. Tylko on wiedział o tym miejscu, gdzie łódź chował się już za horyzontem, a pod trzydziestoma metrami wody krył się wrak łodzi podwodnej, sztucznej rafy, która była siedliskiem niemal wszystkich gatunków zwierząt żyjących w zatoce. Tu właśnie zarzucał zwykle kotwicę.

„Nawet umarłak mógłby tu coś złowić” – mówił Milo swoim klientom.

Z Floydem na pokładzie krążył przez dwie godziny nad łodzią podwodną, łowiąc bonita i samogłowy.

Floyd otworzył małą lodówkę, którą ze sobą przyniósł, i obaj napili się piwa.

– Byłeś kiedyś żonaty, Milo? – spytał Floyd.

Ach, problemy małżeńskie. Około osiemdziesięciu procent klientów przychodziło do niego z takimi właśnie sprawami.

– Tak – potwierdził krótko. (Dziewięć tysięcy sześćset czterdzieści dziewięć razy).

– No więc zasadniczo chodzi o to, że moja żona nie jest dla mnie miła – wyznał Floyd.

Milo westchnął ze współczuciem.

– Nie zdradza mnie, to nie to. Chodzi o drobne gesty. Ona nigdy tego nie robi, nigdy mi nie pomoże, nie przyniesie szklanki lemoniady, kiedy koszę trawnik. Czy ja jestem staroświecki? Mówią, że wszystko polega właśnie na tych małych rzeczach. A ona nigdy ich nie robi.

Milo sięgnął za siebie i wyłączył silnik.

– A czy ja robię takie rzeczy dla niej? – kontynuował Floyd. – Tak, do cholery, robię. W zeszłym tygodniu przygotowałem spaghetti i... Hej, coś się dzieje!

Na wędkę Floyda złapała się piękna seriola, przez następne piętnaście minut wyciągali ją z wody.

Wiatr przybrał nieco na sile. Daleko w dole, między wręgami łodzi podwodnej, tysiące ryb obserwowały cień „Jenny Ann Loudermilk” przesuwany się po dnie. Półtora kilometra dalej rekin, który miał zjeść Mila, ścigał właśnie ławicę makreli i przesuwał się na północ.

– A czy twoja żona jest miła dla innych ludzi? – spytał Milo.

– Niespecjalnie – odparł Floyd.

– Więc na czym, twoim zdaniem, polega problem?

Mężczyzna wziął głęboki oddech i powiedział:

– Myślę, że moja żona jest po prostu niemiłym człowiekiem. Myślę, że mnie nie lubi, a właściwie nie lubi nikogo.

– Dlaczego od niej nie odejdziesz? – spytał Milo.

Floyd zastanawiał się nad tym przez pełne pięć minut.

– Staram się podchodzić do pewnych spraw w dojrzały sposób – oznajmił wreszcie. – Pomyślałem, że może potrzebujemy czasu. Małżeństwo to ciężka praca. Więc... – Tu przemógł się w końcu i spojrzał prosto na Mila. – Więc myślę, że powinienem dorosnąć i *chcieć*, by sprawy zmieniły się na lepsze. Moi rodzice nauczyli mnie, że nie można się łatwo poddawać.

Milo nie patrzył na swojego rozmówcę. Stał zwrócony ku morzu, jakby wypatrywał czegoś konkretnego.

– Poczekaj momencik – poprosił, po czym zarzucił przynętę bardzo, bardzo daleko. Gdy wpadła do wody, odliczył w myślach: cztery, trzy, dwa, jeden... a potem mocno szarpnął wędką, zaczął zwijać żyłkę w szalonym tempie i w końcu wyrzucił na pokład, tuż przed Floydem, olbrzymią barrakudę.

– Chryste! – wrzasnął mężczyzna. – Odbiło ci?

Barrakuda rzucała się wściekle, kłapiąc wielkimi, ostrymi jak brzytwa zębiskami, i natychmiast posiekała na kawałki wąż z wodą.

Floyd wpadł w panikę, kręcił się i podskakiwał w histerycznym tańcu.

– Podejź do tego w dojrzały sposób – zaproponował Milo.

Barrakuda podskoczyła w miejscu, próbowała złapać Floyda ręką.

– Daj jej trochę czasu – dodał Milo. – Łowienie to ciężka praca.

Ryba przegryzła puszkę po piwie i zaatakowała kostki Floyda.

Sprzedawca dywanów, jak większość ludzi, w razie potrzeby potrafił wykazać się odwagą. Stłumiwszy panikę, pochylił się, złapał barrakudę w pół i wyrzucił ją za burtę, wydając przy tym ni to westchnienie, ni tłumiony szloch.

Przez chwilę stał na skraju pokładu, drżąc na całym ciele i zastanawiając się, czy ma jeszcze dość odwagi, by ponownie nawrzeszczeć na Mila.

– Problem z barrakudą nie polega na tym, że nie zachowujesz się dojrzałe – przemówił

spokojnie mędrzec. – Problemem jest sama barrakuda. Jeśli nie chcesz być z nią w jednej łodzi, jedno z was musi ją opuścić.

Floyd opadł ciężko na fotel wędkarski. Po minucie powiedział tylko:

– Tak.

Wyrzekł to słowo z wielkim smutkiem, ale wyglądał na szczęśliwego.

Milo uruchomił silnik i ruszył w stronę domu. Miał nadzieję, że uda mu się jeszcze uratować resztę popołudnia.

Gdyby umarł właśnie wtedy, byłby to poetyczny i piękny koniec. Ale nie umarł.

Postanowił upić się w pubie BoBo.

Pub zasłynął na wyspie za sprawą samego BoBo: wypchanego pawiana z obnażonymi kłami, okrytego kamizelką ratunkową, który na zawsze już zastygł w tej samej pozycji – siedział w kucki i trzymał jedną łapą swój penis w stanie imponującej erekcji. Każdego wieczora barman musiał zabierać BoBo do domu: inaczej dzieciaki włamałyby się do baru i ukradły go.

Od mniej więcej roku Milo spotykał się z barmanką pracującą tu w ciągu tygodnia: czterdziestopięcioletnią byłą piłkarką Tanya. Po zamknięciu lokalu pomógł jej poskładać krzesła, a potem pojechali razem do jej bungalowu (BoBo siedział z tyłu pikapa), gdzie wypili pół butelki wina i się kochali.

Za otwartym oknem bungalowu szumiały fale oceanu. Nagle jedna z nich wydała inny dźwięk, głośnie *bum* przypominające uderzenie w bęben.

To był dźwięk surfingu.

– Chodź ze mną posurfować – poprosił Milo.

– Nie dziś – odparła. – Upiję się jeszcze trochę i pójdę spać.

– Obudzę cię, kiedy wrócę – powiedział, pochylając się nad nią i całując ją.

– Nie – zaprotestowała. – Chyba żartujesz. Daj mi pospać. Jutro muszę wstać wcześniej do pracy.

– Dobra.

Czyż to nie idiotyczne? Tak wyglądała ostatnia rozmowa, jaką Milo odbył w tym życiu.

Wypłynął za płyciznę, pokonał spienione grzbiety i dotarł do miejsca, gdzie fale gwałtownie wzbierały, by tuż potem się załamać.

To była jego ulubiona rozrywka. Siedzieć na desce w tym właśnie miejscu i czekać. Zerkać na płomyk świecy w oknie bungalowu. Zastanawiać się, o czym myśli Tanya i co robi Burt w jego domu, położonym kilka kilometrów dalej przy plaży. Śpi? Poluje gdzieś przy brzegu?

Tak właśnie wyglądały ostatnie minuty życia Mila. Właściwie nie tak źle w porównaniu z ostatnimi chwilami wielu innych ludzi.

Udało mu się nawet pomedytować przez chwilę, zagłębić się w samym sobie. Zauważył księżyc jak kość skokową, jak opowieść, wysoko na niebie. Noc, wiatr i...

Rekin uderzył.

Wystrzelił w górę niczym rakietą, zaciskając szczęki na desce surfingowej. Milo odczuł to tak, jak mógłby odczuć zderzenie z autobusem, doświadczenie gwałtowne, o potężnej sile. Wiedział, że dzieje się coś złego, choć nie miał jeszcze pojęcia co.

A potem zrozumiał, że się boi.

Śmierć w szczękach rekina nie przerażała mędrca mniej, niż mogłaby przerażać sprzedawcę butów czy mrównika afrykańskiego. Czuł, co się z nim dzieje, ze straszliwą jasnością – okropny

ból rozrywanego ciała – i wrzeszczał równie głośno, jak robiłby to na jego miejscu każdy inny człowiek.

Szkoda. Zawsze miał nadzieję, że wejdzie w śmierć jak odkrywca, w złotym blasku spokoju i spełnienia, a tymczasem coś zżerało go jak kawał szynki.

Jego ostatnie słowa brzmiały:

– Nie! Kurwa! Nie!

Głos w jego głowie zaczął przycichać, światło w jego wnętrzu zaczęło przygasać.

Nim pogrążył się w ciemnościach, pomyślał, że Burt będzie na tyle mądry, żeby znaleźć sobie nowego przyjaciela, kogoś, kto go doceni. To była dobra, mądra myśl. W następnej sekundzie ogarnęło go coś na kształt międzygwiazdnej nocy, zgasiło go niczym...

Rekin machnął ogonem i popłynął w głąb morza, zostawiając za sobą obłok krwi i kawałki deski surfingowej.

Nie poczekał, by sycić się łatwym zwycięstwem. Wciąż był głodny, więc szukał następnej ofiary.

Jedna połowa mózgu rekina zauważała ocean, jego dźwięki i jednostajne bicie serca.

Druga połowa zauważała ciepło pokarmu, który trafił do jego żołądka, i przypominała sobie, jak był karmazynem, makrelą, małżem, wielorybem, kotem, psem i Królową Truskawek.

Rozdział 2

Niezwykły i zadziwiająco piękny lot nad Wiedniem

Umieranie oczywiście nie było dla niego niczym nowym.

Milo umierał już niemal dziesięć tysięcy razy, niemal na wszystkie możliwe sposoby.

Niektóre śmierci były przerażające, inne nie takie złe.

Najlepsza była śmierć natychmiastowa, ale takie zdarzały się rzadko. Milo zginął w ten sposób tylko raz, gdy z żurawia budowlanego spadł mu prosto na głowę dźwigar. Tylko wtedy po przejściu do Zaświatów musiał spytać: „Co się stało?”.

Jednak nawet jeśli wiedziało się wcześniej, że Śmierć nadchodzi, zawsze budziło to emocje.

Milo czterokrotnie został stracony, wtedy znał nawet dokładną godzinę swojej śmierci. Spalono go na stosie w Hiszpanii, ścięto mu głowę w Chinach, powieszono w Sudanie i zagazowano w Kalifornii. Świadomość nadchodzącej śmierci pozwalała zwykle zachowywać się z odwagą i godnością. Ale to były tylko pozory. W środku i tak czuł się, jakby ktoś mu trzewia przenicował.

Milo nie cierpiał bolesnych śmierci. Czternaście razy zginął w walce: przebity włócznią, stracony z murów, ranny i pozostawiony na śmierć z wykrwawienia, znów przebity włócznią, przejechany przez rydwan, ogłuszony maczugą i stratowany przez konia, kopnięty w twarz przez konia, przebity włócznią, zadźgany bagnetem, zastrzelony, postrzelony i wleczony przez konia, przygnieciony przez konia (Milo nienawidził koni) i uduszony przez olbrzymiego niemieckiego piechura. Kiedyś został schwytany przez Turków, którzy wsadzili go na katapultę i wystrzelili ponad murami Wiednia z powrotem do miasta. Taką śmierć lubił. Ogromna prędkość, a potem lot przez noc pośród bitewnego dymu, nad ogniskami głodującego miasta. Przerażająca, ale cudowna, cudowna!

Pamiętał też śmierci przedziwnej, niepokojącej urody. Kiedy jako polarnik zamarzał, czuł jedynie iluzję ciepła, a jego umysł uwalniał substancje, które dawały mu poczucie spokoju i zadowolenia. Zmarł o wschodzie słońca, lśniąc na lodzie niczym nóż, w którym odbija się słońce.

Nie zawsze udawało mu się osiągnąć przed śmiercią dorosłość. Wiedział, co znaczy spędzić całe lato w szpitalu dziecięcym, oglądać w lustrze swoją łysą głowę i umrzeć, ściskając w ramionach Charliego, ukochanego pluszowego aligatora.

Milo umierał podczas orgazmu, po wystawnych kolacjach w doborowym towarzystwie, umierał otoczony doskonałą miłością. W przyszłym życiu zginął w katastrofie statku kosmicznego lecącego z prędkością światła, w chwili, która rezonowała bez końca w pudle czasu niczym struna gitary, nigdy nieprzestającej grać. Spadał z drzew i dławił się goframi. Pożerały go rekiny i nowotwory. Umierał za sprawą złych przyzwyczajęń, rozgniewanych mężów, zabójczych pszczoł i głupich wypadków, jak wtedy, gdy pracując w warsztacie, wsadził sobie do nosa wąż ze sprężonym powietrzem, bo chciał być zabawny.

Między kolejnymi żywotami, kiedy pamiętał wszystko, co go dotąd spotkało, chciał raz jeszcze

przeżyć lot nad głodującym, oblężonym Wiedniem. Absurdalne pragnienie – przeżyć ponownie swoją śmierć. Czterdzieści razy prosił o to samą Śmierć.

– Dlaczego? – spytała.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Leciałem! – odparł w końcu. – Byłem jak ptak. Wolny i pozbawiony wszelkich obciążeń.

– Wszystko jest w jakiś sposób obciążone – powiedziała. – Dlatego właśnie umieramy.

Znów przywołał to wspomnienie: przypominał sobie pęd, poczucie wolności, dym z paleniska, przez który przeleciał, zapach cebuli i pieczonego psa.

Rozdział 3

Suzie

Nie powstajesz z prochu, choć tak mówią. Powstajesz z wody i po śmierci do niej wracasz, jak rzeka spływająca ze zbocza góry.

Milo obudził się nad wodą, jak już prawie dziesięć tysięcy razy. Ocknął się na moście kolejowym nad ciemnym, sennym strumieniem, pełnym pniaków i sumów.

Śmierć była przy nim, siedziała ze skrzyżowanymi nogami, oparta o starą kratownicę ze stali. Zawsze była przy nim, kiedy się budził, obserwowała go zażawionymi, wrażliwymi oczami, okryta długimi czarnymi włosami niczym płaszczem.

Nie musiała tam być. Mogła pozbawić go życia i zostawić, by się sam obudził. Ale nigdy tak nie postąpiła. Ani razu. I dobrze: świat mógł się bez niej obejść przez godzinę. Pracowały przecież inne Śmierci, mroczne, blade i wrażliwe jak ona.

– Suzie – wyszeptał. (Nie lubiła, gdy nazywano ją Śmiercią. Kto by lubił?)

– Zamknij się – mruknęła. – Wiesz dobrze, że nie powinieneś od razu gadać. Poczekaj kilka minut. Nie ruszaj się.

Przygryzła kosmyk włosów, skrywając uśmiech.

Dusza potrzebuje kilku minut, żeby zebrać się do kupy, przechodząc z jednego świata w drugi. Musisz dać sobie czas, żeby zebrać myśli i wspomnienia wszystkich żywotów. Nawet jeśli robiłeś to już tysiące razy.

Nie zaskoczył go widok mostu kolejowego i strumienia z sumami. Wszędzie świat wyglądał tak samo: to, co mieli na Ziemi, mieli i tutaj. Tam na dole potrzebowałeś jedzenia, znajomości języka, schronienia, powietrza i kawy – i tych samych rzeczy potrzebowałeś też tutaj, na górze.

Jego ciało przypominało to, które miał na Ziemi, tyle że znów było młode. Miał na sobie tylko parę dzinsów. Wszystko tak, jak powinno być, jak zawsze było.

Po chwili odchrząknął i powiedział:

– Dzięki za rekina.

– Wiesz, że nie decyduję o tym, jak to się stanie – odpowiedziała. – Wszechświat ma własne *boa*.

– Mogłaś mnie stamtąd zabrać trochę wcześniej, rozumiesz, to naprawdę kurewsko bolało.

Przez sekundę wyglądała na rozzłoszczoną. Jej oczy zapłonęły (dosłownie) gniewem. Potem się uspokoiła.

– Drażnisz się ze mną – stwierdziła.

– Drażnię się.

Gdzieś w oddali rozległ się gwizd pociągu.

Milo zauważył, że most jest zardzewiały i zaniedbany, między podkładami rosły chwasty i kwiaty polne. Najwyraźniej był od dawna porzucony, ale to nie oznaczało, że pomimo rdzy i chwastów nagle nie pojawi się na nim pociąg. Rzeczywistość w Zaświatach czasem zaskakująco się zmieniała, gdy nie zwracałeś na to uwagi. Albo gdy zwracałeś.

Milo zszedł w wysoką trawę nad rzeką, wypatrując węży. Sięgnął w górę, by pomóc zejść Suzie, a ona mu na to pozwoliła, co było miłe.

Żałował, że nie mogą spędzić więcej czasu tylko we dwoje, co pomogłoby mu się skupić i okrzepnąć. Wiedział jednak, że to nierealne. Inni za chwilę tu będą.

Spojrzał na las i na wodę. Ocknął się jakieś pięć do dziesięciu minut temu, co oznaczało...

– Pięć – wyszeptał. – Cztery, trzy, dwa...

– Milo! – zawołał ktoś z tyłu.

Odwrócił się i zobaczył dwie kobiety, które szły brzegiem strumienia, omijając przegniłe gałęzie, strasząc – *kum, kum!* – wielką żabę i – *plusk!* – żółwia jaszczurowatego.

Suzie westchnęła teatralnie.

– Pójdę już sobie – oznajmiła.

– Suzie...

– To był długi i męczący dzień. Dziś rano w Zatoce Kalifornijskiej zatonął prom. Sto pięćdziesiąt dusz naraz. Tak, wiem, to moja praca, ale...

Milo zaczął coś mówić, ale Śmierć zniknęła w podmuchu wiatru i wirze suchych liści.

– No dobra – mruknął i odwrócił się do...

– Milo! – Pierwsza z kobiet, wielka stara matka Ziemia z szerokim uśmiechem na twarzy, zamknęła go w potężnym uścisku. – Milo – kwiliła, ściskając go mocno. – Milo, Milo.

– Mama – odpowiedział, przemawiając do jej pachy (nie była jego matką).

Druga kobieta, z papierosem w ustach, wyglądała jak gderliwa kierowniczką biura, która po przejściu na emeryturę zamieszkała na Florydzie. Towarzyszył jej kot.

– Nan – przywitał się Milo, ściskając jej dłoń.

– Spóźniłeś się – powiedziała jak zawsze.

Nie były aniołami ani bogami. Milo mógłby wymienić sto rzeczy i postaci, którymi nie były, ale prawdę mówiąc, nie wiedział do końca, kim właściwie są.

– Świetnie wyglądasz – stwierdziła Nan. – Robiłeś tym razem coś pożytecznego?

Spod jej sukni wychynał drugi kot, który popędził nagle w trawę, ścigając jakieś małe stworzenie.

– Tss... – syknęła Mama, machając wielkimi dłońmi. – Później pogadamy. Teraz zaprowadźmy go do domu.

Wzięła go pod rękę, po czym wszyscy troje ruszyli w dalszą drogę brzegiem strumienia.

Przeszli przez las, a gdy rzeka doprowadziła ich do drogi, pomaszerowali jej śladem do pobliskiego miasteczka. Przez jakiś czas jechali autobusem, nadal wzdłuż rzeki. Przejechali przez most nad lśniącym jeziorem i domami unoszącymi się na wodzie.

W pierwszych godzinach po śmierci należało zachować milczenie i oddać się rozmyślaniom. Każdy powinien był wtedy myśleć o tym, jak dobrze – lub źle – spisał się za życia. Nowy dom przybysza z Ziemi był odzwierciedleniem jego dokonań. Jeśli byłeś wcześniej Gandhim lub kimś w tym rodzaju, czekał na ciebie duży dom z ogrodem i stawem. Jeśli jednak gotowałeś i jadłeś cheerleaderki, dostawałeś mieszkanie w nędznym baraku za wysypiskiem śmieci.

Wysiedli z autobusu i przeszli przez dzielnicę pełną mostów i kanałów. Im dalej szli, tym więcej śmieci i brudu zalegało na chodnikach. Milo, który nienawidził śmieci, podniósł opakowanie po frytkach. W pobliżu nie było żadnego kosza, więc niósł je ze sobą.

W końcu zatrzymali się w labiryncie bloków mieszkalnych. Wyschnięte trawniki pod oknami

usiane były różnego rodzaju nieczystościami.

– O kurde... – jęknął Milo. – Naprawdę?

Mama unikała jego wzroku.

– Rozczarowany? – spytała Nan, spoglądając nań z ukosa. Do tej pory zebrano się wokół niej już pięć lub sześć kotów.

– Byłem mędrcem! – zaprotestował Milo. – Duchowym mistrzem! Pomagałem ludziom. Trwałem w jedności z planetą...

– Łowiłeś ryby – przerwała mu Nan. – I dawałeś dobre rady. Wszyscy to robią.

Pieprzyć to. Milo rzucił pudełko po frytkach na trawę obok starej skarpety.

– Prawdę mówiąc, niewiele osiągnąłeś – powiedziała Mama, kładąc wielkie dłonie na jego ramionach. – Miałeś za sobą doświadczenie dziewięciu tysięcy dziewięciuset dziewięćdziesięciu czterech żywotów. Nie mów, że nie było cię stać na więcej. Przecież jesteś moim niesamowitym, niewiarygodnym Milem!

– Nie rozpieszczaj go – warknęła Nan. – Zawsze go hołubisz. Broń Boże, żeby rzeczywiście coś zrobił.

Milo miał ochotę pokazać im obu środkowy palec. Pozwolił jednak, by zaprowadziły go do jego bloku (Propane Estates 2271) i do jego mieszkania na drugim piętrze (numer 12). Malarze zamalowali drzwi równo z futryną, ale Mama uderzyła w nie swym potężnym ciałem i otworzyła.

Lokal wyglądał jak każde inne mieszkanie we wszechświecie. Niedopasowane meble. Lampy z lat siedemdziesiątych.

– Rozgość się – powiedziała Mama. – Zdrzemnij się. Zobacz, co jest w lodówce. Wkrótce po ciebie wrócimy.

Spojrzała porozumiewawczo na Nan, jakby dzieląc się z nią jakąś tajemniczą, tylko im znaną wiedzą.

– Czy ja o czymś nie wiem? – spytał Milo.

Żadna z nich nie chciała spojrzeć mu w oczy.

– Porozmawiamy później – obiecała Mama. – Odpoczywaj.

– Dobrze. – Milo skinął głową.

Mama, Nan i setka kotów wyszły z mieszkania.

– Jasna cholera – mruknął. Tym razem naprawdę nieźle go udupili. Podczas pobytu na Ziemi nikt nie potrafił do końca powiedzieć, czy prowadzi prawdziwie głębokie i pożyteczne życie. Tutaj na górze wszystko wydawało się jasne. Za dużo plaży, za dużo piwa, za mało zmieniania świata, ple, ple, ple.

No i dobra. Pieprzyć to. Zawsze jest następny raz.

Nacisnął włącznik światła przy drzwiach. Nic. Spróbował w kuchni. Też nic. Jeszcze nawet nie włączyli prądu. Ludzie...

Wszedł do przedpokoju, oczekując moment, by wzrok przywykł do półmroku. Przedpokój prowadził do niewielkiej sypialni. Łóżko, nocny stolik, radiobudzik...

Powietrze poruszyło się gwałtownie.

Kurz i suche liście wirowały w miejscu niczym miniaturowa burza. Potem liście uformowały wysmukły kształt, zwolniły i opadły, pozostawiając po sobie ciemną postać.

Obok nocnego stolika stała Suzie. Spod kokonu ciemnych włosów wyzierały płonące (dosłownie) oczy.

Objęła go długimi ramionami i obdarzyła delikatnym, ledwie wyczuwalnym pocałunkiem,

przypominającym dotyk węża.

Przyciągnął ją do siebie. Lekki pocałunek nabrał intensywności i siły.

– Powinnaś przynajmniej poczekać, aż wyjdą z tego osiedla – zauważył Milo. – Nie są przecież ślepe.

– Myślę, że mogą coś podejrzewać – potwierdziła Suzie.

– Jeśli się dowiedzą, a pewnie w końcu się dowiedzą, nie będą zachwycone. Wiesz o tym.

– Tss... – uciszyła go Suzie.

Potem objęła go mocno i zmusiła, by położył się na podłodze.

Tani dywan – przemknęło mu przez głowę. Zostaną w nim wypalone ślady.

Przycmiony blask wpadający przez okna mieszkania zamienił się w ciemnofioletowy zmierzch. W Zaświatach ranek, południe, zmierzch i noc nie zawsze następowały po sobie w takim właśnie porządku, jak w świecie żywych. Porządek często był iluzją. Tutaj tych iluzji było mniej. Wdrapali się w końcu na łóżko. Oboje byli prawie całkiem wyczerpani, a tu i ówdzie poranieni.

Milo zanurzył twarz w jej włosach, wziął głęboki wdech. Pachniała jak północ.

– Tęskniłem za tobą – powiedział.

Suzie oparła się na łokciu i spojrzała nań z góry.

– Daj spokój – mruknęła. – Nawet o mnie nie pamiętasz, kiedy jesteś tam na dole i rzniesz się z tymi swoimi Tanyami, Mariami, Batangami, Li Wu...

– Nic na to nie poradzę. Tak to już jest, kiedy żyje się na Ziemi. Ale tak czy inaczej tęsknię za tobą, czuję, że czegoś mi brakuje...

– Kłamca. Ale słodki. – Ugryzła go pieszczotliwie, wywołując lekkie krwawienie. – Przyniosłam ci coś – dodała.

– Tak?

– Pamiętasz to? – Sięgnęła w głębinę swych czarnych włosów i wyjęła miedzianą opaskę. Poobijana, zielona od patyny ozdoba miała kształt węża pożerającego własny ogon.

– Opaska na ramię – stwierdził, biorąc od niej prezent. Gdy zamknął na niej dłoń i poczuł jej ciężar, uświadomił sobie, że zna ten przedmiot.

– Z mojego pierwszego życia – powiedział.

– I twojej pierwszej śmierci – dodała. – Pamiętasz?

Pamiętał.

Obracał opaskę w dłoni, pozwalając, by wspomnienia nabrały wyrazistości i wypełniły go jak sen.

Rozdział 4

Problem z barbarzyńcami

Dolina rzeki Indus, 2600 r. p.n.e.

Milowasu Pradesz otworzył oczy, kiedy mógł już to zrobić, a świat wpłynął w niego potężną falą kolorów i dźwięków.

Rodzice, którzy sprowadzili go na ten świat, mieszkali wśród zielonych drzew i gór. Między górami i zielonymi polami. W pobliżu płynęła rzeka, która spadała w głęboki, zasnuty mgłą wąwóz.

Świat był pełen dźwięków: ryku monsunowych deszczy, głosów nocnych owadów, opowieści ojca i pieśni śpiewanych przez matkę.

Nikt w jego wiosce nie wiedział, że jest zupełnie nową duszą. Skąd mogliby to wiedzieć? Nie przychodzisz na świat z wypisaną na czole liczbą żywotów, które masz już za sobą. Jedyne sposobem, by się o tym przekonać, to obserwować uważnie oczy młodego człowieka. Nowe dusze mają wygłodniałe oczy, zachłystują się światem.

– On jest jak kamień. Gdy czegoś słucha, na coś patrzy, nieruchomieje. Ledwie oddycha – mówił ojciec.

– Jest jak słońce – odparła matka. – Sam zobaczysz. Któregoś dnia to patrzenie i słuchanie rozpali w nim ogień, będzie wtedy jak bóg. Zobaczysz.

– Będzie wodzem – stwierdził wódz wioski, a wszyscy się z nim zgodzili.

Przywódca wioski był kiedyś znakomitym wojownikiem. Miał żołnierską opaskę z miedzi w kształcie węża pożerającego własny ogon. Pewnego popołudnia zdjął ją z ramienia i pozwolił Milowasu nosić ją jak koronę.

Milo szybko się uczył. Zaczął chodzić, gdy miał trzy miesiące. Właściwie doszedł niemal do urwiska nad wąwozem, skąd ściągnięto go w ostatniej chwili. Błyskawicznie nauczył się załatwiać na nocniku. Kiedy wypowiedział pierwsze słowa, od razu ułożył je w poprawne, złożone zdanie:

– Tato, słyszysz, jak wiatr szumi w drzewach?

Na co ojciec odpowiedział:

– Co? Tak, słyszę. Jasna cholera!

Zawsze przewodził zabawom i grom chłopców. Aż skończył sześć lat i przestał rosnąć. Nagle okazało się, że wszyscy chłopcy przerośli go o głowę, a on wciąż był taki sam. Nikt nie wiedział dlaczego.

– Może po prostu zbiera siły – zastanawiał się jego ojciec. – I za miesiąc, dwa wystrzeli nagle w górę i przerośnie wszystkich.

Ale nie przerosł. Ciągłe był mały. Czasami miał też problemy z oddychaniem. Czuł okropny ucisk w piersiach, musiał wtedy usiąść, rząził i charczał, aż po chwili znów mógł swobodnie zaczerpnąć oddechu.

Inni chłopcy nie dopuszczali go już do zabawy. Kiedy mimo wszystko biegał za nimi, podnieśli go z ziemi i zaczęli przrzucać między sobą jak piłkę.

– Nie pozwolę na to! – ryknął Milowasu. Kiedy leciał nad ziemią, zacisnął dłoń w pięść i z taką siłą uderzył w nos chłopca, który chciał go złapać, że biedak zataczał się jak pijany, wzbudzając wesołość swoich kolegów. Milowasu oddalił się od grupy triumfalnym krokiem, próbując ukryć fakt, że nie może złapać oddechu. Miał nadzieję, że zdąży schować się za drzewem, nim zemdleje.

Nie uszedł daleko, kiedy dopadło go czterech chłopców. Powalili go na ziemię, a dzieciak, którego uderzył, napchał mu piachu do ust.

Nazajutrz jednak wrócił. Znow biegał między chłopcami. Tym razem gdy go pochwycili, złapał za nadgarstek największego z nich, Sanjeewa, i wprawnie wykręcił mu rękę. Nauczył się tego, obserwując walki zapaśnicze ojca i innych mężczyzn. Sanjeew krzyknął najpierw z bólu, ale potem się opanował. Starsi uczyli ich zawsze, że ból szybko przemija. Jak większość rzeczy poza *boa* człowieka, przychodził i odchodził.

– Puść mnie – zawołał do Milowasu – a nikt cię nie tknie!

Milo go puścił.

Sanjeew wstał, rozmasował rękę i powiedział:

– Zachowaliśmy się dziecinnie, traktując cię w ten sposób.

Milowasu wzruszył ramionami.

– Przecież jesteśmy dziećmi – odparł.

– Mimo wszystko. Ale powiem ci jedno: nie da się zaprzeczyć, że jesteś dużo mniejszy od całej reszty i że świetnie nadajesz się na piłkę. Zwykła piłka nie kręci się i nie wierzga w powietrzu, o wiele łatwiej poradzić sobie z nią niż z tobą. Możemy cię używać jako piłki, Milowasu?

Milowasu doceniał szacunek, jaki okazał mu Sanjeew. A ojciec zawsze go uczył, że nie należy być przesadnie dumnym, więc się zgodził.

Kiedy ojciec zobaczył po raz pierwszy tę nową grę, był zdumiony i zły. Jednak po chwili zrozumiał, o co chodzi, i był jeszcze bardziej dumny z syna.

– Milowasu będzie najmniejszym wodzem, jakiego znała ta osada, a może i cały świat – mówił.

Ale nie tak miało wyglądać jego życie. Oto, co się wydarzyło:

Pewnego dnia, gdy dzieci się bawiły, a ich rodzice pracowali w polu, w samym środku wioski powstało jakieś zamieszanie. Słysząc było okrzyki zdumienia i przestraszenia. Mieszkańcy ruszyli śpiesznie w tamtą stronę, wymieniając pochmurne spojrzenia.

Milowasu przerwał zabawę z dziećmi i wrócił do domu. Przed wejściem czekali już na niego rodzice.

– Chodźmy tam – zaproponował ojciec, po czym wszyscy troje przeszli wraz z sąsiadami do studni, gdzie zebrała się starszyzna wioski.

Przyczyną zamieszania był mężczyzna, który wyglądał tak, jakby dawno już powinien był umrzeć: cały jego lewy bok pokryty był krwią. Rozmawiał jeszcze przez chwilę ze starszymi, po czym upadł i rzeczywiście umarł.

Wódz wioski podniósł ręce, uciszył pobratymców, po czym przekazał im straszliwe wieści.

Zmarły przed momentem mężczyzna był rolnikiem, mieszkał w dolinie, w dolnym biegu rzeki. Trzy dni wcześniej w pobliżu ich wioski pojawili się barbarzyńscy najeźdźcy, więc wszyscy mężczyźni zaopatrzyli się w taką broń, jaką tylko mogli znaleźć. Walczyli dzielnie, ale zostali

wycięci w pień. Najeźdźcy spalili wioskę, a pozostałych przy życiu mieszkańców wzięli do niewoli. Tylko temu człowiekowi udało się uciec i ostrzec ich.

Barbarzyńcy zmierzali teraz do ich wioski.

Po przemówieniu wodza zapadła głucha cisza.

Wszyscy wiedzieli, kim są barbarzyńscy najeźdźcy. Dochodziły o nich słuchy, najczęściej w opowieściach kupców. Pojawiali się w koszmarach i budzili strach, ale nie pojawili się w wiosce za życia żadnego z jej mieszkańców.

Z jednym wyjątkiem.

Stara Waszti mogła mieć ze sto lat, o trzydzieści więcej niż inni członkowie starszyny. Nawet ona sama nie wiedziała, ile już przeżyła wiosen. Wyglądała jak stary kijek, który zaczął wrastać w ziemię.

Jednak teraz, gdy miała zabrać głos, wydawała się zadziwiająco silna i przytomna. I wystraszona.

– Ci najeźdźcy przyjechali tutaj, kiedy byłam dzieckiem – opowiadała skrzeczącym głosem. – To źli ludzie. Obierają dzieci ze skóry jak winogrona i rzucają je mrówkom na pożarcie. Gwałcą kobiety przez wiele dni, kiedy są jeszcze żywe i kiedy już umrą. Ja przeżyłam tylko dlatego, że przypomiinałam ich wodzowi jego matkę, choć ona miała wąsy. Nie można ich pokonać, a nie mamy gdzie uciec. Jedyne, co wam mogę doradzić, to wziąć nóż i zabić się.

Co powiedziawszy, stara Waszti wyjęła nóż i zabiła się na oczach wszystkich zgromadzonych.

W wiosce podniósł się wielki krzyk. Z każdą chwilą przybierał na sile i pewnie zamieniłby się we wszechogarniającą panikę, gdyby nagle ponad wrzaski nie wybił się przejmujący dźwięk podobny do głosu dzwonu. Ludzie umilkli i zaczęli rozglądać się dokoła, wystraszeni i rozszoszczeni. Wkrótce odkryli, że źródłem tego dźwięku nie był dzwon, lecz mały Milowasu, który przeszedł do pobliskiej kuźni i walił młotem w wielkie kowadło.

Kilku starszych, w tym jego rodzice i przywódca wioski, natychmiast ruszyli w jego stronę, by położyć kres tej idiotycznej dziecinnej zabawie. Doprawdy, w takim momencie!

– Proszę – powiedział Milo. – Mam propozycję. Coś innego niż zbiorowe samobójstwo.

Cisza. Wszyscy chcieli poznać inne rozwiązanie.

– Kiedy byłem jeszcze mniejszy niż teraz – zaczął Milo – pasterze kóz mówili, że trzeba by zbudować most linowy nad wąwozem, żeby kozy mogły się paść po drugiej stronie. Nigdy tego nie zrobiliśmy, nie wiem dlaczego...

– Bo jesteśmy leniwi – podsunął wyjaśnienie Drupada, jeden z pasterzy.

– ...ale nie rozumiem, dlaczego nie moglibyśmy zrobić tego teraz, uciec na drugą stronę wąwozu i zwinąć za sobą most...

– Powiem ci, co skłania nas do lenistwa – przemówił ponownie Drupada. – Żeby zbudować most, ktoś – na pewno nie ja – musi zejść na dno wąwozu, czyli pokonać wielki kawał śliskich skał, ryzykując przy tym życie i niosąc ciężką, bardzo długą linę, a potem musi wspiąć się na równie wysokie i równie śliskie skały po drugiej stronie.

– Nie ma na to czasu – stwierdził jeden ze starszych. – To zajęłoby kilka dni. Wspinaczka po urwisku jest bardzo trudna.

– A gdyby nie trzeba się było wspinać? – spytał Milowasu z błyskiem w oku.

Wszyscy spojrzeli na niego ze zdumieniem.

– Mów dalej – zachęcili go jednogłośnie.

– A jeśli ktoś jest na tyle mały, że dałoby się go przerzucić razem z liną na drugą stronę wąwozu? – ciągnął Milo. – Gdyby był już na drugim brzegu, można by mu szybko rzucić

następne liny i zbudować most.

Znów wszyscy wpatrywali się w niego w niemym zdumieniu.

– Potrzebujemy dużo, bardzo, bardzo dużo liny – odezwał się w końcu Drupada.

Cała wioska zabrała się do pracy.

Wczesnym rankiem mieli już dość liny, by utworzyć z niej prymitywny most, złożony z podparcia na nogi i dwóch poręczy. Teraz ktoś musiał przenieść choć jedną z tych części na drugą stronę wąwozu.

Najeźdźcy potrzebowaliby co najmniej kilku dni, by przedostać się do wioski. Gdyby się na to zdecydowali, mieszkańcy zdążyliby ukryć się do tego czasu w górach.

Zabrali ze sobą wszystko, co mogli unieść, czyli niewiele, i ruszyli przez poranną mgłę w stronę wąwozu. Na przodzie maszerował Milowasu, przybrany kwiatami pomarańczy. Obok szedł jego przyjaciel Sanjeew, a za nimi kowale i ich pomocnicy z kuźni, którzy nieśli na ramionach wielkie zwoje liny.

Kiedy zbliżyli się do urwiska, przywódca wioski zdjął z ramienia opaskę i umieścił ją na bicepsie chłopca.

– Dziś ty jesteś naszym wodzem – oświadczył.

Milowasu starał się nie poddawać nadmiernej dumie, tak jak od dłuższego czasu starał się nie poddawać przerażeniu.

– Jedna uwaga – powiedział. – Opaska jest znacznie szersza od mojej ręki. Zsunie się i przepadnie.

Sanjeew zdjął opaskę, owinął ją kawałkiem liny i ponownie umocował na ramieniu Milowasu.

Chwilę później stanęli na krawędzi urwiska.

Nie odprawiali żadnej uroczystości. Nie było na to czasu. Już teraz ponad szum wody wybijały się od czasu do czasu odległe wrzaski.

Umang, najsilniejszy z kowali, który wyglądał jak dziecko byka i pnia dębu, wystąpił naprzód i sprawdził, czy Milowasu jest obwiązany drugim końcem liny.

– Gotowy? – spytał chłopca.

– Gotowy – odparł Milowasu, ledwie żywy ze strachu. Musiał wyęźać całą siłę woli, by się nie zsikać. Od drugiego brzegu wąwozu dzieliło go jakieś pięćdziesiąt metrów. Kiedy na niego patrzył, miał wrażenie, że brzeg oddala się jeszcze bardziej, więc w ogóle nie spoglądał w tamtą stronę.

Umang ujął go za nadgarstki, zakręcił nim w powietrzu i z potężnym stęknieniem wyrzucił nad przepaść.

Nie udało się.

Milo wyleciał w powietrze, obracając się lekko i rozkładając szeroko ręce i nogi niczym latająca wiewiórka. Ale chłopiec nie jest latającą wiewiórką, więc nie przeleciał nad głębią, ciemnością i ryczącą wodą, tylko runął w dół, ciągnąc za sobą linę jak wyjątkowo długi ogon.

Zsikał się, lecz nie krzyknął.

Czuł wtedy zbyt wiele złych rzeczy, by mógł określić je jednym słowem, jak strach czy smutek. Natychmiast dotarła do niego przerażająca świadomość rychłej śmierci. Równie przerażająca była świadomość tego, co najprawdopodobniej spotka jego dom i rodzinę. Wszystko to uderzyło weń z ogromną siłą, jakby rozszoszczony słoń tupnął mu w głowie nogą, a potem zamknęło się w kokonie ciszy, gdy opuścił poranny blask i długo opadał w ciemność.

Upadek go nie zabił.

Uderzył w gałęzie i strome, porośnięte mchem zbocze urwiska, po czym wpadł tyłem do wzburzonej wody. Woda wyrzuciła go na skałę, sparaliżowanego i na wpół uduszonego. Za chwilę głos w jego głowie miał ucichnąć, a światło zgasnąć. Na razie jednak jego szeroko otwarte oczy widziały, a uszy słyszały. Jeszcze przez jakiś czas. Zasnął.

Kiedy się obudził, na pobliskim głazie siedziała dziewczyna, która wpatrywała się w niego wielkimi oczami, niemal takimi wielkimi jak jego własne. Patrzyła tak, jakby nigdy dotąd nie widziała chłopca, a tym bardziej połamanego i umierającego chłopca na dnie wąwozu. Otulało ją coś długiego i czarnego, może jakaś szata, a może skrzydła. Na jej ramionach kładły się długie czarne i przemoczone włosy.

Wiedział, kim jest nieznaną. Kim innym mogła być?

– Nie wiedziałem, że Śmierć jest dziewczyną – powiedział głosem słabym jak tchnienie ćmy. – I nie wiedziałem, że jest taka młoda.

– Nie jestem młoda – odpowiedziała. – Jestem tak stara, że męczy mnie samo myślenie o moim wieku. A wyglądam jak dziewczyna, bo chcę, żeby ci było miło.

Milo czuł, jak przygasa i cichnie w środku.

– Nie chcę cię zabierać – wyszeptwała dziewczyna. – Cudownie przeżywałeś swoje życie. Nigdy nie widziałam czegoś takiego. Chyba przypadkiem wsadzili w ciebie dodatkową duszę.

Milo chciał coś powiedzieć, ale nie mógł zaczerpnąć powietrza. Jego ciałem wstrząsnęły konwulsje. Zaczął się dławić.

Dziewczyna pochyliła się nad nim i pocałowała go w czoło, a on poczuł, jak się wysuwa... Leżał na drewnianym moście nad błękitną rzeką, która sunęła leniwie przez zieloną łąkę usianą polnymi kwiatami.

Znów był cały i sprawny. I nawet trochę wyższy.

Zauważył, że zniknęła jego opaska. Szkoda. Uważał, że na nią zasłużył.

Dziewczyna też zniknęła. Jej miejsce zajęła kobieta.

Miała bladą skórę i czarne, głębokie oczy. Nosila coś w rodzaju peleryny, a może były to skrzydła.

Wyciągnęła rękę i ujęła go za brodę długą, smukłą dłonią.

– Następnym razem spróbuj wytrwać do czasu, aż będziesz dorosły – wyszeptwała.

– Dobra – odparł.

Kobieta i dziewczyna były jedną i tą samą osobą. Milowasu to wiedział, choć niezupełnie rozumiał. Nim jednak zdążył o to zapytać, wyprostowała się i cofnęła o krok, stając między dwiema innymi kobietami. Jedna z nich była wielka i okrągła, druga wyglądała jak zwykła starsza pani z kotem na rękach.

– Chodź – powiedziała ta ogromna. Przeprowadziły go przez most, do miasta po drugiej stronie rzeki, do dzielnicy eleganckich domów. W końcu weszły wraz z nim na teren pięknej rezydencji z fontanną na podwórzu i pawiami w ogrodzie.

– Cholera jasna – powiedział Milo, naśladując swego ojca. – Dlaczego? Jak mogłem sobie na to zasłużyć?

– Szczęśliwy traf – odparła starsza dama z kotem. – Ciesz się tym, póki możesz.

– Coś więcej niż zwykły traf – przemówiła potężna kobieta, gromiąc swą towarzyszkę spojrzeniem. – Miałeś wyjątkowe pierwsze życie. Kto wie, może bardzo szybko osiągniesz

Doskonałość.

Odwróciły się do wyjścia.

– Chwileczkę! – zawołał Milo. Kim były te kobiety? I co się z nim właściwie działo? – Jesteście boginiami? – spytał. – A może duszami moich przodków?

Duża kobieta położyła na jego głowie ciepłą, ciężką dłoń.

– Jesteśmy wszystkim po trosze – odrzekła. – Możesz o nas myśleć jako o kawałkach wszechświata.

Co nic nie mówiło młodemu człowiekowi.

– Macie jakieś imiona? – pytał dalej.

– Każdy ma jakieś imię – odpowiedziała starsza kobieta z lekkim rozdrażnieniem. – Ja nazywam się...

Powietrze eksplodowało dźwiękiem, który sięgał daleko poza słowa i muzykę, jakby to same gwiazdy wydawały jakiś pomruk lub cała Ziemia przygotowywała się do kichnięcia. Milo był pewien, że zaraz pękną mu uszy, a jego umysł rozerwie się...

Dźwięk ustał.

– Ale możesz mówić mi Nan – dodała starsza kobieta.

– A ja jestem Matka – dodała jej towarzyszka. – Albo Mama, albo Mamcia, albo...

– A kim ty jesteś? – zwrócił się Milo do Śmierci.

– Ona nazywa się Śmierć i... – zaczęła Nan.

– Jestem Suzie – przerwała jej Śmierć.

Podobało mu się to imię. Brzmiało futurystycznie.

– Odkąd to? – parsknęła Mama, przewracając oczami.

– Od teraz. Śmierć to żadne imię, równie dobrze moglibyście jego nazywać „Duszą chłopca” albo psa „Psem”. Zresztą czy ktoś z was chciałby mieć na imię Śmierć?

– Suzie brzmi ładnie – zapewnił ją Milo.

– Powinnyśmy już iść – oznajmiła Mama łagodnym tonem. – On musi teraz odpocząć.

– Odpocząć? Po czym? – zdziwił się chłopiec. – Z całym szacunkiem, ale dziś zdążyłem tylko spaść z urwiska i zabić się. Wstałem jakąś godzinę temu.

Ale Matka i Nan odwróciły się i wyszły z podwórza, krocząc ramię w ramię. Suzie zniknęła w nagłym podmuchu wiatru i niebieskiej koniczyny. Milowasu, kompletnie skołowany, wysikał się do fontanny i poszedł do domu, gdzie znalazł talerz owoców. Przekąsił coś i zapadł w kilkugodzinny, niespokojny sen.

Kobiety wszechświata odwiedziły go ponownie i tym razem przysiadły na dłużej.

Cel tego spotkania był oczywisty: chciały mu wyjaśnić, jak funkcjonuje wszechświat.

Kiedy znaleźli się w nowej kuchni Mila, Mama machnęła rękami, a w palenisku natychmiast zapłonął ogień.

– Ogień – tłumaczyła – to Wielka Rzeczywistość. Pokazuje wszechświat takim, jaki jest naprawdę: surowy i milczący. Żywy i czysty. Nie można go zrozumieć, a jeśli podejdziesz do niego za blisko, spłoniesz. Ma wiele imion. Czasami nazywamy go Metaduszą, bo jest jak olbrzymia i doskonała dusza ponad wszystkimi innymi duszami. Rozumiesz?

Mama rozpałała naprawdę potężny ogień, który teraz ledwie mieścił się w palenisku. Milo przysłonił oczy ręką i cofnął się o krok.

– Rozumiem.

Mama odwróciła się od płomieni i objęła gestem resztę kuchni.

– Zauważyłeś, że im bardziej oddalasz się od ognia, tym robi się chłodniej i ciemniej? To dlatego, że Metadusza rozsiewa wszędzie dokoła swoje ciepło i światło – swoją *rzeczywistość*. Ale im dalej rozchodzi się ciepło i światło, tym jest słabsze. Rozprasza się. Spójrz na ten ogień.

Milo spojrział.

– Widzisz jasne, doskonałe światło. Jeśli spojrzysz trochę dalej, zobaczysz, że miejscami jest jaśniejsze, a gdzie indziej ciemniejsze, ciągle się porusza i zmienia. To mniej więcej obraz miejsca, w którym teraz jesteście.

– Zaświaty – podsunął Milo, który zawsze był gorliwym uczniem.

– Nie nazywamy tego Zaświatami, bo to też są i Przedświaty, prawda? – wychrypiła Nan. – To miejsce nazywa się Ortamidivalavalarationaptulsphere. Co znaczy środek.

– Zaświaty też mogą być – orzekła Mama. – Nie utrudniaj sprawy. Tak czy inaczej tutaj wszystko jest cieplejsze, jaśniejsze i realniejsze niż w pozostałych częściach wszechświata.

– Rozumiem – potwierdził Milo. – Więc jeśli zobaczą most tutaj, w Zaświatach, to będzie on bardziej rzeczywisty niż most na Ziemi.

– Nieźle – stwierdziła Nan.

– Właśnie tak – przytaknęła Mama. – Tutaj widzisz samą ideę mostu. Albo łyżki. Albo płotu. To czysta forma.

Milo dopiero teraz zauważył, że Mama i Nan lśnią i mienią się przedziwnym blaskiem, jakiego nigdy dotąd nie widział. Jakby były pokryte cudowną drugą skórą. Kiedy to zauważył i zastanowił się nad tym, doszedł do wniosku, że rzeczywiście wydają się, jakby należały bardziej do tego miejsca. Jakby były realniejsze. Suzie – Śmierć – również tak lśniła. Niesamowite.

– A te formy – przemówiła Nan, wskazując na tylną część kuchni, stosunkowo ciemną – rozpraszają się jeszcze bardziej, aż zamieniają się w ciemność, gdzie tylko tu i ówdzie, od czasu do czasu, pojawiają się jakieś rozbłyski i migotanie. Znacznie trudniej tu dojrzeć prawdziwą istotę rzeczy. Trudniej powiedzieć, co jest rzeczywiste.

– I to jest właśnie Ziemia – domyślił się Milo. – Gdzie wędrujemy, żeby przeżyć nasze życie.

– Gdzie wy wędrujecie – sprostowała Nan. – Żeby przeżyć *wasze* życie. My nigdzie nie musimy iść.

Milo wciąż nie rozumiał, kim właściwie były Mama i Nan.

– Jesteśmy jak małeńkie okruchy ognia – tłumaczyła Mama. – Jak płomyki, które wchodzą w ciemność, żeby wam pomóc.

– Pomóc w czym? – dopytywał się Milo.

W tym momencie Mama znów machnęła ręką i nagle wszyscy znaleźli się na zewnątrz. Szli w dół z bocznej ulicą prowadzącą do małego, cichego parku.

– Jesteśmy tu po to, by pomóc wam stać się częścią ognia – powiedziała Mama, zakładając ciemne okulary. Milo nigdy dotąd nie widział ciemnych okularów. Interesujące! I bajeranckie. – Jesteśmy tu po to, by pomóc wam przedrzeć się przez iluzję i dotrzeć do rzeczywistego wszechświata.

– Metaduszy – dodał Milo.

– Tak – potwierdziła Nan. – Każde życie może cię czegoś nauczyć. Daje ci szansę na rozwój, naukę i w końcu osiągnięcie Doskonałości. Potrzeba na to nawet kilku tysięcy żywotów.

– Naszym zadaniem jest też pomóc ci zdecydować, jakiego życia chciałbyś spróbować następnym razem – dorzuciła Mama.

– Muszę się nad tym zastanowić – odparł Milo. – To oczywiste.

Dotarli do parku. Kiedy chłopiec się odwrócił, zobaczył, że ulica prowadzi teraz w dół, prosto do jego domu.

– Kiedy tu szliśmy, też było w dół – zauważył. – Jak to...

– Błyski i zmiany – odparła Mama. – Zmienne formy. Rzeczywistość jest nieuchwytna. Na Ziemi jeszcze bardziej niż tutaj.

– Co by znaczyło, że tam jeszcze trudniej zrozumieć, jakie życie prowadzi do prawdy i wzrostu.

– Bystry dzieciak – pochwaliła go Nan. – Powiem ci, że nie zawsze jest to oczywisty wybór.

– Ile czasu mam na dokonanie wyboru? Kiedy będę musiał wrócić?

Mama i Milo usiedli na trawie, podczas gdy Nan zapaliła papierosa (Interesujące – pomyślał chłopiec, obserwując ją z boku) i stała w bezruchu, obserwując, jak po drugiej stronie ulicy materializuje się nowy dom.

– Wrócisz, kiedy będziesz miał na to ochotę – wyjaśniła Mama.

– A co, jeśli...

Mama uciszyła go wymownym gestem.

– Połóż się na plecach i obserwuj chmury – powiedziała. – Niech twój umysł całkiem się wyciszy. Po prostu bądź. Nic więcej.

Milo próbował po prostu być, ale jego umysł wciąż wypełniały myśli o Suzie. Czy robił coś złe? W końcu zasnął, dręczony niepokojem.

Po tygodniu postanowiono, że Milo odrodzi się jako prezenter radiowy Milo „Schabowy” Zilinski w Cincinnati, w stanie Ohio.

Wrócił więc na Ziemię, przeżył to życie i zmarł w wieku czterdziestu dziewięciu lat. Kiedy ocknął się w Zaświatach na starym zardzewiałym moście kolejowym, Suzie trzymała jego głowę na kolanach. Głaskała go po włosach, ale nie całowała ani nie pieściła. Wtedy jeszcze nie łączyły ich takie relacje i jeszcze długo nie miały łączyć. Mieli minutę albo dwie, by nacieszyć się sobą, tym razem już oboje jako dorośli ludzie. Potem pojawiły się Mama i starsza pani z kotem.

– Co podobało ci się najbardziej? – spytała Suzie. – Za czym będziesz najbardziej tęsknić?

– Pytasz o ziemskie życie? – Milo musiał się nad tym dobrze zastanowić. Życie w postaci Zilinskiego raczej nie dało mu powodów do dumy. Był pewien, że teraz nie dostanie ładnego domu.

– Boże Narodzenie – odpowiedział w końcu. – To podobało mi się najbardziej.

Kłamca. Najmilej wspominał chwile, które spędził z dziewczyną o przezwisku Orzeszek na zapleczu sceny podczas festiwalu Ozzfest.

Puściła mu to płazem. Tak właśnie rodzi się przyjaźń.

Rozdział 5

Twoją duszę można usunąć jak głupi program telewizyjny

Milko przepłynął przez ocean wspomnień i otworzył oczy.
Zaświaty, po śmierci w szczękach rekina. W łóżku z Suzie.
Wsunął opaskę na nadgarstek. Pasowała idealnie.
Suzie leżała wtulona w jego ciało jak kawałek układanki. Pasowali do siebie jak ludzie, którzy trzymali się już w ramionach tysiące razy.
Ścisnęła jego ramię i powiedziała:
– Zbieraj się. Masz towarzystwo.
Pukanie do drzwi. Głośne i energiczne. Pukanie Mamy.
Cholera. Zgadza się. Chciały z nim o czymś porozmawiać.
– Wiesz, czego chcą? – spytał Suzie.
Przygryzła wargę.
– Nie – skłamała.
Puścił jej to płazem.
– Po prostu idź do nich – powiedziała.
Wstał z łóżka z nieprzyjemnym uciskiem w żołądku.
– Milo! – zawołała za nim.
– Tak?
– Spodnie, kochanie.

Wraz z Mamą, Nan i czterdziestoma kilkoma kotami wyszedł ze swojego obskurnego osiedla. Obie kobiety milczały. Milo przypuszczał, że medytują. On sam rozmyślał o pogodzie, o nauczycielu z trzeciej klasy i wadliwej lodówce, z którą musiał się kiedyś zmagać.

Myślał też o swoich dwóch towarzyszkach. Znał je już od tysięcy lat, ale czy choć trochę je poznał? Czy powinien je kochać? Właściwie chyba trochę je kochał. Ale i bał się ich.

Przeszli do miłej, przytulnej dzielnicy. Stały tu karmniki dla kolibrów i płoty. Gdzieś w oddali rozbrzmiewała muzyka.

Nagle wszystko zniknęło.

Chodnik po prostu sięgał w pustą przestrzeń niczym deska wystawiona za burtę pirackiego statku.

Wyglądało to kompletnie nierealnie. Chodnik, na skraju chodnika trochę grudek ziemi i jakieś kępki trawy, a potem... nic. Milo dostał lekkich zawrotów głowy.

Poczuł na twarzy delikatny powiew wiatru, który powinien był pachnieć wiosną albo kwiatami, ale nie miał żadnego zapachu.

– Co to za miejsce? – spytał.

– To Nigdzie – odparła Nan.

Milo czekał. Na pewno miały mu coś więcej do powiedzenia.

– Kiedy znów wrócisz na Ziemię, to będzie twoje dziewięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąte szóste życie.

Jeden z kotów przesunął się między nogami Mila, jakby próbował go przewrócić. Milo czuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła.

– Tyle cierpień – odezwała się Mama. – Narodziny, życie, umieranie, następne narodziny. Myślałam, że chcesz się wyrwać z tego cyklu, Milo.

Prowadzili już kiedyś tę rozmowę.

– Ale ja lubię cykl – odpowiedział. – Lubię żyć.

– W porządku. – Mama skinęła głową. – Ale nie możesz wracać bez końca. Powinieneś...

– Wiem, co powinienem.

– Jesteś jak dzieciak, który ósmy rok powtarza tę samą klasę – warknęła Nan. – Dawno już powinieneś osiągnąć Doskonałość!

– Coś mi się wydaje, że cała ta Doskonałość może być przereklamowana – mruknął Milo.

Mama stanęła obok niego. Pochyliwszy głowę, powiedziała:

– Pomyśl o sobie jak o rakiemie kosmicznej.

– Tylko bez porównania z rakieta – westchnął Milo.

– Każde życie powinno cię wynosić wyżej, powinieneś poznawać coraz więcej rzeczy, być coraz mądrzejszy, rozwijać się pod każdym względem. W końcu wylatujesz na orbitę, prowadząc coraz lepsze życia, okrążasz planetę, aż pewnego dnia wreszcie dokonujesz ostatniego wysiłku, osiągasz prędkość ucieczki i lecisz do gwiazd. Pamiętasz ogień? Ten lot jest twoim przeznaczeniem. To przeznaczenie każdej duszy. Pozbawionej wszelkich obciążeń i wolnej.

– Jasne, jasne – burknął Milo. – Prędkość ucieczki. Doskonałość. Wiecie, jakie to jest trudne?

– Tak – odparła Nan. – Dlatego masz tysiące żywotów, żeby to osiągnąć.

– Słyszałem to już milion razy – parsknął Milo ze złością.

– Więc może musisz usłyszeć po raz milion pierwszy! – ryknęła Mama, tracąc cierpliwość i nadymając się jak wielka psychotyczna krowa. – Gdybyś spróbował to zrozumieć, może nie stalibyśmy tutaj i nie prowadzilibyśmy po raz enty tej samej głupiej rozmowy, i może ty nie znalazłbyś się na skraju...

Urwała nagle.

– Na skraju czego? – spytał Milo.

– Powiedz mu – rzuciła Nan. – Pośpiesz się. Nie zdążę na mój serial.

– Chodzi o to – przemówiła Mama, stając z nim twarzą w twarz – że nie możesz próbować w nieskończoność.

Oho, zaraz dadzą mi popalić – pomyślał.

– Każda dusza dostaje dziesięć tysięcy żywotów – wyjaśniła Nan. – Dziesięć tysięcy prób. Potem staje się Nicością.

Milo zamarł.

Co?

– Co oznacza, że masz jeszcze pięć żywotów, żeby się poprawić. Jeśli ci się uda, przejdiesz przez Drzwi Słońca w rozbłysku złotego światła i staniesz się częścią Wielkiej Rzeczywistości.

– Metaduszy – dodała Nan. – Wszystkiego.

– Uniwersalnego *boa* – burknął Milo. – Rozumiem.

– Mam nadzieję – odrzekła Nan. – Bo jeśli ci się nie uda, przyprowadzimy cię tutaj i zepchniemy z chodnika, a ty na zawsze znikniesz z czasu i przestrzeni. Twoja dusza zostanie

usunięta jak głupi program telewizyjny.

Milo omal nie zwymiotował. Opadł na kolana, by się nie zachwiać i nie runąć w otchłań.

– Ale ja się rozwinąłem! – krzyknął. – Za każdym razem gdy wracam na dół, jestem najmądrzejszym człowiekiem na Ziemi. Mógłbym być prezydentem, ale wiem, że władza to forma ucieczki. Mógłbym być bogaty, ale wiem, że pieniądze to syreni śpiew. Żyję, wykorzystując wszystkie mechanizmy ukryte za iluzją i...

– Mądrość nie jest tym samym co Doskonałość – przerwała mu Nan.

Frustracja.

– Dają jakieś dodatkowe szanse? – spytał Milo. – Może mógłbym ich przekonać...

– Ich? – powtórzyła Mama. – Nie ma żadnych ich. Wszechświat nie ma sędziego ani gospodarza. Jest jak rzeka. Płynie, zmienia się i robi co trzeba, by zachować równowagę.

– To proste jak dwa razy dwa – dorzuciła Nan. – I nie ma w tym nic osobistego. Bez względu na to, co ty o tym sądzisz.

W ciągu tysięcy lat Milo przywykł do tego blasku, którym emanowały Mama i Nan – a także Suzie i wszyscy inni przedstawiciele wszechświata. Teraz zauważył go ponownie i po raz pierwszy wydał mu się przerażający, a nie opiekuńczy i ciepły.

– Dosyć – powiedziała Mama charakterystycznym, zmęczonym tonem, jakim potrafią przemawiać tylko ludzie otyli. – Posłuchaj, mamy pewien plan, jeśli cię to interesuje. Co powinieneś robić w następnym życiu, żeby uratować skórę.

– Dobra – zgodził się Milo.

– Twoje następne życie powinno się opierać na samych wyrzeczeniach – tłumaczyła Nan. – Jak życie pustelników w dawnych czasach.

– Zamieszkas w jaskini i będziesz przymierał głodem – dodała Mama. – Nie będziesz z nikim rozmawiał, skupisz się jedynie na mądrości ukrytej w twojej duszy. Nie pozwolisz, by cokolwiek cię rozpraszało. Żadnych rozrywek, żadnych krewnych, żadnych podróży, dziewczyn, smacznego jedzenia i wielkich osiągnięć. Tylko siedzisz i starasz się zrozumieć.

Milo zastanowił się nad tym.

Wiedział, że dusza może osiągnąć Doskonałość na różne sposoby. W ciągu ośmiu tysięcy lat wypróbował wszystkie. Można kochać, można zostać wybawcą takiego czy innego rodzaju, można dokonać jakiejś ogromnej zmiany w samym sobie, można osiągnąć wielki spokój albo nauczać czegoś nowego i doniosłego. Jednak chyba najskuteczniejszym rozwiązaniem dla dusz wystarczająco starych i mądrych było życie pustelnicze. Torturowałeś swoje wewnętrzne ja samotnością, aż – *bach!* – pewnego dnia zamieniało się w małe słońce czy diament i – *puff!* – przenosiło się do Doskonałości. Problem w tym, że było to bardzo nieprzyjemne i mało kto miał dość silną wolę, by wytrwać w takiej roli do szczęśliwego końca. Wcześniej czy później większość dusz wlokła się do najbliższej miejscowości, by objadać się tam mięsem i podszczypywać studentki, co oczywiście przekreślało wszystkie ich dotychczasowe wysiłki.

– Nie – powiedział jeden z kotów Nan. Czarny kot z puszystym ogonem, który patrzył na nich wielkimi, znajomymi oczami.

– Podśluchiwaczka! – syknęła Nan.

Kot się przeciągnął, a potem zamienił się w Suzie, która stanęła na skraju chodnika z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

– Skazujecie go na przegraną – oznajmiła. – Wszystkie jego talenty i umiejętności dotyczą ludzi. Tak ukształtowano jego duszę. Proste jak dwa razy dwa.

Mama ujęła Suzie za ramię i odciągnęła ją od krawędzi chodnika.

– Skóra mi cierpnie, kiedy tam stoisz, kochana – wyszeptała. – Tak już lepiej.
Milo podniósł się z kłęczek. Przez minutę wszyscy wpatrywali się w chodnik.
Temperatura znów spadła. Niebo pociemniało, jakby nadchodził zmierzch.

– Na pewno byłoby nam wszystkim łatwiej, gdybyście nie gzili się za naszymi plecami jak niewyżyte króliki – przemówiła w końcu Nan.

Suzie odwróciła się gwałtownie w jej stronę.

– To nie było taktowne – zauważyła Mama.

– Przepraszam. – Nan wzruszyła ramionami. – Chyba nie przypuszczaliście, że po ośmiu tysiącach lat to jest nadal tylko wasza tajemnica? Doprawdy? Oj, jak słodko.

– Niewyżyte króliki? – powtórzyła Suzie.

– Wybacz tę dosadność, kochanie, ale to jeszcze jeden z obszarów, w których nasz drogi Milo nie może znaleźć równowagi. Ludzkie dusze nie figlują z duszami wszechświata. On jest człowiekiem. Ona jest Śmiercią, na litość boską. Naprawdę myślisz, że przez cały ten czas to nie miało na niego żadnego wpływu?

– Hmm... – mruknął Milo, wtrącając się do rozmowy. – Myślałem, że to raczej działa na moją korzyść. Że dzięki temu bardzo, ale to bardzo się rozwinąłem.

– Bo to powinno tak działać! – wybuchła Suzie. – I rzeczywiście bardzo się rozwinąłeś!

– Spokój! – warknęła Mama, zamykając oczy i starając się zachować panowanie nad sobą. – Posłuchajcie. To nie pierwsza historia, kiedy ktoś taki jak ona zakochał się w kimś takim jak on. Dawno, bardzo dawno temu Wiosna – trzeba wam wiedzieć, że wbrew pozorom Wiosna był mężczyzną – zakochał się w pewnej kobiecie. Początkowo wszystko wyglądało cudownie. Kobieta upajała się miłością tego olbrzymiego ducha, tego wcielenia ciepła, odrodzenia i wzrostu, a w dodatku Wiosna prawdopodobnie był wtedy niesamowicie przystojny, wprost tryskał zdrowiem, dobrocią i świeżością. I poznał codzienne życie w takiej postaci, w jakiej jeszcze nigdy go nie znał. Nauczył się wybierać nowe dywany, spać, jeść śniadanie i kochać się. Nazywała go George'em. Kiedy tulili się do siebie, obsypywał ją młodymi liśćmi, mleczami i płatkami derenia. Czasami był wtedy mężczyzną, kiedy indziej deszczem albo pięknym drzewem. No i oczywiście ona zaszła w ciążę. Najpierw wszyscy bardzo się cieszyli. Brzuch kobiety zrobił się duży i twardy, jak sama Ziemia. Potem stał się zbyt duży i twardy, aż wydawało się, że musi pęknąć. I w końcu rzeczywiście pękła. Ekspłodowała łakami, pierwiosnkami i ciepłymi powiewami wiatru. Cudownie, tyle że sama oczywiście umarła.

Wokół chodnika robiło się coraz ciemniej, nadchodziła noc.

– Do tej pory wszystko układało się całkiem dobrze – zauważyła Suzie. – Między nami dwojgiem.

– I bardzo mnie to cieszy – odparła Mama. – Ze względu na was oboje. – Poklepała Suzie po policzku, jakby uklepywała ciasto. – Ale myślę, że między innymi z tego powodu Milo nie może pójść naprzód. Być może z tego powodu trafi też prosto do Nicości. A tak w ogóle to nie mam ochoty dłużej o tym rozmawiać.

– Ani ja – dorzuciła Nan.

– No i dobrze – burknęła Suzie.

– No i dobrze – odburknęła Mama, po czym zniknęła wraz z Nan w złotym rozbłysku.

– No i dobrze – powtórzyła Suzie, rozplywając się w chmurze wirujących liści.

Milo zamrugał oczami. Stuknął obcasami. Próbował przenieść się myślą do swojego gównianego mieszkania.

Nic z tego.

Wbił ręce w kieszenie i ruszył w drogę powrotną, naburmuszony. Burmuszył się i szedł, szedł i burmuszył się.

Rozdział 6

Eleanor Roosevelt oceanu

Śmierć się nie burmuszy.

Nie obgryza paznokci, nie poddaje się frustracji i nie wpada we wściekłość.

Suzie przypominała sobie o tym, pędząc w szalonym tempie przez przestrzeń i czas, marszcząc gniewnie brwi i zgrzytając wściekle zębami.

– Dupki – warknęła do siebie.

Nie po raz pierwszy brała udział w kłótni na temat Ustalonego Porządku Rzeczy.

Kiedy starli się po raz pierwszy, była Śmiercią stosunkowo niedługo.

Może to działo się wczoraj, a może tysiąc lat temu. To nie miało większego znaczenia. Czas był jedynie bagnem umieszczonym we wnętrzu gigantycznej pralki. Trafiła wtedy na samicę płetwała błękitnego, która leżała na plaży i pojękiwała cicho.

Wielorybica była siostrą, matką i babką. A nawet prababką. Przepłynęły przez nią całe pokolenia i światy, a teraz leżała na plaży, ofiara kapryśnego odpływu, sparaliżowana ciężarem własnego ciała.

Suzie pozwoliła, by wieloryb ją zobaczył. Starła się wyglądać przyjaźnie (wiedziała, że przyjazny wygląd jest ważny dla ludzi i innych ssaków). Upodobniła się do wieloryba i zajrzała w jedno z wielkich gasnących oczu.

– Cześć – przywitała ją wielorybica (wieloryby porozumiewają się telepatycznie).

– Cześć – odparła Suzie. I zamilkła. Praca śmierci przypominała praktykę terapeuty: lepiej, by to *oni* mówili, jeśli w ogóle mogli lub chcieli coś powiedzieć.

Wielorybica wyjawiała Suzie swoje imię, które brzmiało AiiOOOOOnuuUU. Duch dzielnej babki odpowiadał jej życiu i wyglądowi: był wielki, nieco senny, pełen planów i wspomnień. Nie chciała jeszcze umierać, a już na pewno nie w ten sposób.

Wieloryb uwięziony na lądzie czuł się mniej więcej tak, jak czułby się marynarz, który nie może wejść pod pokład, a jest zupełnie nagi.

AiiOOOOOnuuUU leżała w bezruchu i tęskniła za morzem. Obraz wypełniający jej głowę (i głowę Suzie) przypominał niekończące się błękitne serce. Życie w oceanie przypominało po trosze sen, akt uwielbienia pozbawiony konkretnych bogów.

Suzie pozwoliła, by umysł AiiOOOOOnuuUU objął jej zmysły. Pochyliła się do przodu i oparła na wielorybie, wydobywając z pamięci długie lata wspomnień, podróży i imion, które poznała w ciągu życia.

Pozwoliła też, by wielorybica poznała jej wspomnienia. By poczuła, co znaczy latać, być poza czasem.

Śmierć przybierała miliony postaci. Suzie dzieliła się niektórymi ze swoich ulubionych.

Ogień. Czekolada. Cisza. Sen.

Rowery. Melancholia.

Pewnego razu przyniosła umierającej dziewczynce prezent – miniaturową wieżę Eiffla zamkniętą w szklanej kuli ze sztucznym śniegiem. Dziewczynka ścisnęła kulę i wpatrywała się w nią, urzeczona i szczęśliwa, a Suzie dotknęła jej głowy i zabrała ją ze sobą. Był to jeden z tych nielicznych przypadków, gdy poczuła się jak śmiertelnik i gorzko zapłakała. Przekazała to wspomnienie wielorybicy, która wydawała się zaskoczona, ale wdzięczna.

Całe to zjednoczenie dusz miało spowodować, że AiiOOOOOnuuUU się rozluźni, znajdzie w sobie spokój i akceptację, nim Suzie doprowadzi sprawę do końca.

Ale ten skuteczny zazwyczaj zabieg przyniósł teraz odwrotny skutek.

Wielorybica wydała z siebie przeciągły, żalony dźwięk i próbowała się podnieść, wrócić za wszelką cenę do morza.

Lecz Suzie trzymała już swoje wielorybie dłonie na głowie AiiOOOOOnuuUU. Wielkie oko zmętniało, zasnuło się mrokiem i zgasło. W tym właśnie momencie Suzie zmieniła zdanie.

– Nie! – zawołała w wielorybim języku, niewyraźnie, ale groźnie.

Nim sama zrozumiała, co właściwie robi, wyciągnęła AiiOOOOOnuuUU z Pomiędzy i wepchnęła ją na powrót w olbrzymie martwe ciało.

Wielkie płuca wypełniły się powietrzem! Wielkie oko poruszyło się w oczodole!

Suzie zastanawiała się gorączkowo, jak wepchnąć AiiOOOOOnuuUU z powrotem do morza. Cholera – trwał właśnie odpływ, woda cofnęła się o dobre sto metrów, pozostawiając tylko piasek, kamienie i małże.

Pomyślała, że porozmawia z samym oceanem (znała go osobiście: wysoki, zamyślony facet z perłami zamiast oczu i słabością do greckiej muzyki weselnej). Wypowiedziała jego imię, co zajęło jej dziesięć minut i sprowadziło nad plażę deszcz, ale poza tym niczego nie zmieniło. Jednocześnie dosłyszała w wietrze jakieś głosy, które wołały ją przez deszcz. Odwróciła się i zobaczyła kilka ciemnych postaci stojących pośród traw na wydmach.

Śmierć przybiera różne formy i imiona.

– Nie możesz tego zrobić – powiedziały (Śmierć również może się porozumiewać telepatycznie, ale lubi własny głos).

– A właśnie zrobiłam! – odparła Suzie wyzywająco. – Nie zabieram jej jeszcze. – Wieloryb był wspaniałym duchem. Czyżby tego nie widziały? – Jest jak Eleanor Roosevelt oceanu – dodała.

– Już nie – odpowiedziały. – Spójrz na nią.

Wskazały palcem. Suzie spojrzała, a to, co zobaczyła, było okropne.

Wielorybica, na wpół żywa i na wpół martwa, dygotała i wymiotowała. Jej wielkie oko lśniło teraz nieprzyjemnym, upiornym blaskiem.

Cholera – pomyślała Suzie. Miały rację, dobrze o tym wiedziała. I wcale jej się to nie podobało. Jeszcze bardziej nie podobało jej się to, co zrobiła wielorybicy.

– Choćbyś miała najlepsze intencje, nie włożysz błyskawicy z powrotem do butelki – mruknęła pod nosem.

– Co? – spytały inne Śmierci.

– Nieważne – odpowiedziała Suzie, machając ręką, i pozwoliła wielorybicy umrzeć ponownie.

Odwróciła się z powrotem do pozostałych Śmierci, gotowa wygłosić im krótkie kazanie o tym, że śmierć nie byłaby pewnie tak straszna, gdyby zechciały poświęcić trochę czasu i dowiedzieć się czegoś o życiu. Pewnie będą przewracać oczami, ale mogą sobie wydziwiać, ile chcą, a ona...

Ale inne Śmierci zniknęły.

Wdrapała się na wieloryba i siedziała tam chwilę w deszczu i wietrze, oddając się z lubością melancholii i żałując, że nie ma przy sobie choć kawałka czekolady.

To było bardzo dawno temu. A przynajmniej tak jej się wydawało.

Suzie wyhamowała w nowym mieszkaniu Mila. Liście i cienie zwolniły i zniknęły, a ona, zmęczona i zniechęcona, odszukała po omacku włącznik światła. Zastanawiała się, czy Milo będzie wściekły, gdy wróci, bo właściwie porzuciła go na chodniku (na tym cholernym, absurdalnym chodniku!).

Cóż, spacer do domu dobrze mu zrobi. Potrzebował czasu, by pozbierać myśl.

Postanowiła ufarbować włosy.

Głupia myśl w przypadku uniwersalnej idei, takiej jak Śmierć, Wiosna, Muzyka czy Pokój. Suzie dowiedziała się jednak pewnej interesującej rzeczy o ludziach: wiedzieli, że czasami najrozsądniej jest po prostu czymś się zająć.

Porąbać drewno, nanieść wody. Pozmywać naczynia. Zamieść garaż. Wydoić krowy.

Pofarbować włosy.

Była mniej więcej w połowie farbowania, gdy przyszedł Milo. Ręce trzymał głęboko w kieszeniach i marszczył gniewnie brwi.

– Dziękuję za podwózkę – burknął.

– Przepraszam – odparła Suzie, pochylając głowę nad umywalką i masując włosy dłońmi w gumowych rękawiczkach. – Nie byłbyś zadowolony z mojego towarzystwa.

Milo wciąż stał w drzwiach, nadąsany. Suzie wiedziała, że rozpogodzi się, gdy tylko zmieni bieliznę i napije się piwa (znała go lepiej, niż sam by chciał).

– Masz jakieś pytania? – rzuciła w jego stronę.

– Nie – warknął. – Żadnych pytań.

– To dobrze, bo kiedy mówię, to paskudztwo wchodzi mi do ust.

Oglądali w milczeniu telewizję. Milo, wciąż przygnębiony, zasnął podczas reklamy kociej karmy.

– Nie możesz na to pozwolić, kochanie – powiedziała Suzie, przerywając mu drzemkę.

Próbował obrócić się na bok, twarzą do ściany, ujęła go jednak pod brodę i zmusiła, by popatrzył na nią.

– Jeśli zrobię to, co powinienem zrobić – zaczął niechętnie – jeśli opuszczę cykl, opuszczę także ciebie. Jeśli tego nie zrobię, po prostu mnie skasują. – Usiadł prosto. – I kto właściwie powiedział, że trzeba dążyć do Doskonałości?

– Co masz na myśli?

– A jeśli ja lubię moje niedoskonałości? – pytał retorycznie Milo. – Widzisz, kiedy używają słowa „niedoskonały”, mówią o ludzkich pragnieniach, tak? O tym, że ktoś chce być kochany, że chce dobrej pracy i fajnego samochodu i chce, żeby jego dzieci poszły na studia, a inni ludzie go podziwiali. Mówią też o bolesnych rzeczach, o śmierci matki, o życiu w biedzie i zagrożeniu, o cukrzycy albo o tym, że szopy pracze wlażyły ci do śmieci. To wszystko nazywa się życie.

– Bo to jest bolesne – odparła Suzie. – To właśnie widzę, kiedy zabieram dusze ludzi ze świata. Wielu z nich jest szczęśliwych, cieszą się, że w końcu uwolnią się od bólu.

– No i co z tego? Sami mnie uczyliście, że ból jest tylko iluzją.
– A Doskonałość uwalnia nas od...?
– Iluzji. Wiem. Ale to błędne koło!
– Mówisz tak, bo nie znasz Doskonałości. Kiedy jesteś doskonały, stajesz się częścią Wszystkiego, jesteś jak napój w proszku, który rozpuszcza się w wodzie.
Milo przebierał nerwowo palcami, szukając ujścia dla nadmiaru energii, ułożył z części prześcieradła rzeźbę małego królika.
– Nie chcę łączyć się ze Wszystkim – powiedział. – Ani rozpuszczać. Jestem szczęśliwy, będąc sobą.
Suzie przygryzła wargi i podciągnęła kolana pod brodę.
– A to nie jest błędne koło?
Milo odchrząknął, sfrustrowany, i bez powodzenia próbował oderwać królikowi uszy.
– Spokojnie – szepnęła Suzie. Ujęła jego dłoń i rzeczywiście wlała w niego nieco spokoju, który objął całe jego ciało.
– Może są jakieś inne opcje – powiedziała.
– Na przykład?
– A gdybyś tak naprawdę bardzo się postarał i zrobił co trzeba, żeby osiągnąć Doskonałość. Wysłuchaj mnie do końca! Więc zrobiłbyś to, a potem powiedziałbyś im, że nie chcesz iść.
– Iść?
– Do tego kosmicznego czegoś.
– Powtórzą proste równanie i stwierdzą, że wynik jest taki sam bez względu na to, czego ja chcę.
– Ale wtedy będziesz miał dodatkowy argument. Wiarygodność. Jeśli zrobisz co trzeba, żeby osiągnąć Doskonałość.
– Dwa i dwa to nadal cztery.
– Tak jak pięć minus jeden.
Milo przyciągnął ją do siebie i pocałował.
Odsunęła się. Wyglądała na zasmuconą.
– Myślisz, że nie dam rady tego zrobić – powiedział.
– Wcale nie! – krzyknęła. – Problem w tym, że zwykle robisz za dużo. Za bardzo się starasz. Kilka razy już wszystko spieprzyłeś, posuwając się do skrajności.
– Wiem. Teraz muszę być wyjątkowo ostrożny.
– Pamiętasz, jak spierdoliłeś wszystko tak bardzo, że musiałeś wrócić na Ziemię jako robak?
– Powiedziałem, że wiem!
Pokazała mu to w swoich oczach, odtworzyła jego stare życie niczym film.
– Nie cierpię, kiedy to robisz – poskarżył się.
– Cicho... – syknęła, obnażając zęby w dobrze mu znany sposób. Uciszył się więc i przypomniał sobie.

Rozdział 7

Kiedy Milo musiał wrócić na Ziemię jako robak

Water Cartel Skyhook, orbita Ziemi, rok 2115

Przyszedł na świat w bajecznie bogatej rodzinie, co stanowiło dobrą okazję do zarobienia wielu punktów dla duszy. Jeśli umiałeś od dziecka radzić sobie z odziedziczonym bogactwem i przywilejami, nie zostając przy tym skończonym dupkiem, wszechświat był pod wrażeniem. Sto żywotów temu Milo uważał, że potrzebuje takiego właśnie wyzwania.

Urodził się na pokładzie lśniącego jachtu kosmicznego (dla wszechświata przeszłość i przyszłość były właściwie tym samym) jako dziedzic Interplanetary Water Resource Cartel, firmy kontrolującej wszystkie zasoby wody w Układzie Słonecznym. Od Merkurego aż po kopalnie amoniaku na Neptunie trzeba było płacić kartelowi za każdą kroplę wody. I to dokładnie tyle, ile kartel kazał.

Dorastał na prywatnej stacji kosmicznej – matka nazywała ją willą – na orbicie wokół zniszczonej przez kometę Ziemi. Willa dawała pracę całej armii kamerdynerów, służących, lokajów i techników. Od czasu do czasu dodawano do niej nowe elementy. Jako mały dzieciak Milo poprosił o EnviroPod tak duży, by mógł pomieścić jego prywatny las. Jako nastolatek zażądał haremkomnaty.

Zwykli ludzie, którzy mieszkali w biedniejszych stacjach rozsianych po Układzie Słonecznym, byli zafascynowani i życiem Mila, i nim samym, tak jak ludzie fascynowali się życiem gwiazd filmowych. Wieszali na nim psy, gdy zachowywał się źle (na czternaste urodziny zastrzelił lokaja z zabytkowego pistoletu, a potem kazał go wskrzesić robotom medycznym), i nie wiadomo czemu czuli się dumni, gdy postępował szlachetnie (jak wtedy, gdy podarował Morze Czarne spragnionej dziewczynce, córce uchodźców).

Jak wiele dzieci z dobrze sytuowanych rodzin Milo zmagał się przede wszystkim z nudą.

Podróżował i karmił swoje libido. Nim skończył dwadzieścia lat, odwiedził wszystkie burdele i kluby nocne od orbity Wenus po jaskinie Tytana. Próbował wszystkiego, czego dało się spróbować, doświadczał wszelkich możliwych doznań i spełniał wszystkie pragnienia, jakie może mieć człowiek.

Karmił swój umysł, pobierając nauki w modnych szkołach, zdobywając stopnie naukowe w takich specjalnościach jak teoria gier, teoria odpoczynku i teoria teorii.

Jak wielu bogaczy Milo kolekcjonował różne rzeczy. Miał kolekcję starych samochodów, kolekcję jadowitych węży, kolekcję obrazów wykonanych przez koty oraz kulę włóczki większą od piramidy Cheopsa, którą umieścił na orbicie Marsa.

Był nimi znudzony. Tak jak podróżami.

Pewnego dnia siedział zblazowany i zastanawiał się, czy nie odstrzelić sobie nogi blasterem cząstek elementarnych, by sprawdzić, czy roboty będą ją w stanie odtworzyć, gdy nagle jego uwagę przykuła dziwna wiadomość.

Był to właściwie krótki film o Kennedy Pritzker Helleconi i Gates, córce Helleconii Oxygen Cartel, właścicielki firmy kontrolującej zasoby tlenu. Była bogata i atrakcyjna jak Milo. W odróżnieniu od niego nie była bogata. W wieku dwustu dziesięciu lat, dzięki kosmetycznym nanobotom, Kennedy wyglądała na atrakcyjną trzydziestolatkę.

– Wielka mi rzecz – mruknął Milo.

Teraz, jak donosił dziennik, realizując kolejną ze swych ekscentrycznych zachcianek, pani Gates zażyczyła sobie, by przywrócono jej dziewictwo.

Milo usiadł prosto, po czym kilkakrotnie obejrzał ten fragment.

– Tak naprawdę nie można tego zrobić, prawda? – spytał naukowców ze swojego kartelu.

Wyjaśnili, że fizjologicznie rzecz ujmując, można tego dokonać. Oczy Mila, dotąd znudzone i smętne, wypełniły się nagle radosnym ogniem.

Ogniem zapału, jaki dawał konkretny cel.

Milo postanowił, że uwiedzie Kennedy Pritzker Helleconię Gates i pozbawi ją tego słynnego już dziewictwa.

Poprosił, by wraz z nim dokonała uroczystego przecięcia wstęgi podczas otwarcia nowego superkoloseum na Marsie.

– Podobało mi się to, co zrobiłeś z Morzem Czarnym – powiedziała Kennedy, przed uroczystością ściskając mu dłoń w zielonym pokoju. – Wiadomości na twój temat nigdy nie są nudne.

– I nawzajem – odparł Milo, po czym przeszedł od razu do rzeczy: – Czy zechciałabyś po uroczystości wpaść na mój statek? Ugotuję ci coś. Tak się składa, że robię fantastyczne etouffee.

Odmówiła uprzejmie, pozwalając sobie przy tym na lekki uśmiech.

Później, kiedy siedział sam w apartamencie na swoim statku, pogryzając chipsy ziemniaczane, zrozumiał swój błąd. Dopiero teraz przejrzał prawdziwą naturę Kennedy: jej życie starzało się jak whisky, nabierając głębi i smaku. W jej oczach był tylko zarozumiałym dzieciakiem, pozbawionym charakteru.

Nie mógł jej zdobyć.

A przynajmniej nie zwykłymi środkami.

Rozwiązanie ujrzał kiedyś we śnie.

Po północy, rozespany i okryty jedwabnym szlafrokiem z wizerunkiem smoka, Milo wezwał inżynierów kartelu i wyjawiał im, jak zamierza oszołomić Kennedy Gates, tak by mu się oddała.

– Wyprawię największy bal charytatywny w historii ludzkości – oznajmił. – Zaproszę sławnych muzyków i kucharzy, będą tańce, narkotyki i erotyka, a wszystko to w pałacu, który sam zaprojektuję.

– Dobrze – odpowiedzieli inżynierowie jednym głosem. – Gdzie?

– Na Słońcu – wyjaśnił Milo. – Zbudujecie mi pałac na Słońcu.

Kiedy prezes kartelu – lub jej syn – każe wam coś zbudować, budujecie to.

Inżynierowie zbudowali więc pałac dla Mila. Umieścili go na orbicie Ziemi, tłumacząc, że gdy nadejdzie odpowiednia pora, będzie mógł polecieć na Słońce i opuścić się na jego powierzchnię. Umożliwiła to technika zwana Wczorajszym Polem, która polegała na tym, że Pałac ochraniała niewidzialna sieć cząsteczek o niezwykłych właściwościach, które miały za zadanie odbijać żar Słońca i przesyłać go w czasie – w przeszłość.

– Jedyne problem... – mówili naukowcy.

Milo był zbyt podekscytowany, by ich słuchać. Skakał i tańczył z radości, nie zwracając na nich uwagi.

– To ważne – nalegali, ale on założył słuchawki na uszy.

Budowa słonecznego pałacu trwała trzy lata. Stała się najpopularniejszym tematem na kanale SolWide, miliony ludzi co godzina zaglądały na swoje fora, by obserwować, jak nad zniszczoną Ziemią wyrastają fantastyczne wieże i iglice.

Przez te trzy lata Milo dążył tak naprawdę tylko do jednego – i wreszcie to osiągnął. Kennedy Gates odpowiedziała na zaproszenie, przesyłając mu grającą kartkę zaledwie dobę przed planowanym startem. Napisała: „Będę tam. W taki czy inny sposób”.

Nazajutrz goście przylecieli swoimi statkami do pałacu i weszli do głównej sali, pomieszczenia tak ogromnych rozmiarów, że można było w nim programować pogodę. Milo pojawił się na balkonie z polerowanego obsydianu, ubrany w marynarkę Nehru. Specjalnie na tę okazję założył również ciemne okulary. Na jego sygnał ryknęły silniki, Wczorajsze Pole rozbłysło i zadrżało, a cały pałac pomknął w stronę Słońca.

Milo spoglądał z balkonu na zgromadzony w dole tłum.

Kennedy? Nie widział jej. Kurwa.

Musiał opuścić główną salę, by jej szukać, ale w końcu ją znalazł. Piła samotnie w alabastrowych stajniach, pośród lipicańskich koniobotów, karmiąc je jabłkami ze skórzanej torby na ramię. Była ubrana w żółtą letnią sukienkę.

– Zastępują mi dzieci – powiedział Milo, wskazując głową na konioboty. – Mogę?

Podawała mu jabłko. Poczęstował nim swoją ulubienicę, klacz Elsie, wyposażoną w program umożliwiający stepowanie.

– Wydaje mi się, że bez najmniejszego kłopotu mógłbyś mieć tyle dzieci, ile tylko byś chciał – zauważyła Kennedy.

– Chyba lubię kłopoty – odparł. – Poza tym jestem wybredny. Ich matką musi być ktoś wyjątkowy. Ktoś, kto zrekompensuje moje niedostatki i kiepskie geny.

Kennedy spojrzała nań z rozbawieniem.

– Fałszywa skromność do ciebie nie pasuje – powiedziała. – Ale podoba mi się, że chociaż próbujesz. – Obróciła głowę, wskazując na otoczenie i cały pałac. – Podoba mi się, *jak* próbujesz.

Potem podeszła bliżej i dotknęła jabłkiem jego ust. Wziął je w zęby i stał nieruchomo, jak wypchany dzik podczas wystawnej uczy.

– Czasami kobieta docenia starania mężczyzny – dodała Kennedy.

To powiedziawszy, ściągnęła w dół ramiączka sukni, która zaczęła się z niej zsuwać. Wydawało się, że niemal rozkwita na jej ramionach. Potem zbliżyła się jeszcze o krok, stanęła na palcach i wbiła zęby w drugą stronę jabłka.

To była idealna chwila. Pałac odpalił silniki hamujące i osiadł na powierzchni Słońca.

I natychmiast zaczął się topić.

Najpierw rozległ się odległy ryk i wszystko ogarnęło drżenie.

Oj. Milo dopiero teraz zaczął się domyślać, dlaczego żaden z jego inżynierów nie chciał uczestniczyć w balu.

Słoneczny żar wrócił z krótkiej podróży w czasie, przelał się przez Wczorajsze Pole. Całe

ciepło, plazma i promieniowanie objęły pałac niczym ognista ośmiornica.

Milo zbyt ciężko pracował i zbyt długo czekał, by znaleźć się tutaj z Kennedy Gates, jej opadającą sukienką, jabłkiem i słynnym dziewictwem. Patrzył jej wciąż w oczy.

Zrobiłaby to – pomyślał. Zamierzała. Czy można to uznać za zwycięstwo?

– Przepraszam – powiedział.

Pogłaskała go po policzku gładką, piękną dłonią.

– Nie szkodzi – odparła. – Tak naprawdę nie jestem nią. Zawsze wysyła na takie imprezy androidy. Przyjęcia za bardzo ją męczą. Nie starzeje się aż tak dobrze, jak na to liczyła.

Podłoga pod ich stopami robiła się coraz cieplejsza.

Cholera – pomyślał Milo.

Kennedybot wyjęła z torby małą mahoniową tabliczkę i podała mu ją.

Na tabliczce widniał napis: „JA, MILO GALAPAGOS ROCKEFELLER BUFFETT GALIFIANAKIS CLXIII, ODEBRAŁEM ZA POŚREDNICTWEM ANDROIDA CHIRURGICZNIE PRZYWRÓCONE DZIEWICTWO KENNEDY PRITZKER HELLECONII GATES”.

28 czerwca 2140 roku.

– Musi wystarczyć – stwierdził Milo.

– To dobrze.

Ledwie zdążył przyczepić tabliczkę do drzwi stajni i przyjrzeć jej się z satysfakcją, gładząc Elsie po szyi, nim wszystko się rozpadło i pochłonęło ich Słońce.

Słoneczny pałac był kosmicznym odpowiednikiem repetowania pierwszej klasy podstawówki.

Milo postawił przed sobą wyzwanie i nie sprostał mu. Bogactwa i przywileje zamieniły go w zadufanego, zidiociałego satyra.

Wszechświat odesłał go na Ziemię w postaci owada. Zwykle każdy sam może decydować o tym, jakie chciałby prowadzić życie, chyba że naprawdę schrzani sprawę. Milo został świerszczem. W Chinach. W 1903 roku.

Tym razem odniósł oszałamiający sukces.

Schwytała go mała dziewczynka, która trzymała go w drewnianej klatce zawieszanej pod sufitem. Nauczył się cykać, gdy przyciskała nos do klatki i chichotała radośnie. Nic wielkiego, ale dzięki temu go pokochała. Niewiele świerszczy cieszy się ludzką miłością. Jeszcze mniej dostępuje zaszczytu, jakim jest elegancki pogrzeb. Kiedy umarł, dziewczynka zrobiła mu małą trumnę, ułożyła pośród płatków lilii i wypuściła na staw w miejskim parku.

Trafił prosto w Zaświaty, zrehabilitowawszy się nieco. Można by pomyśleć, że czegoś go to wszystko nauczyło.

Rozdział 8

Święta krowa

Wspomnienie zniknęło, a Milo znów znalazł się w swoim zapuszczonym mieszkaniu w Zaświatach, wpatrzony w oczy Suzie.

Zamrugnął gwałtownie.

– Dobrze zrozumiałem tę historię ze świerszczem – zauważył. – Byłem fantastycznym świerszczem.

Chciało mu się pić. Czy w lodówce było piwo? Wstał z łóżka, by to sprawdzić.

Przeszedł przez ciemny przedpokój, odszukał po omacku wejście do kuchni, otworzył lodówkę – co za niespodzianka! Światło! Włączyli prąd! – i znalazł zgrzewkę dwunastu puszek zimnego taniego piwa.

Otworzył jedno dla siebie i – słysząc ciche stapanie za plecami – jedno dla Suzie.

– Faj – prychnęła.

– Tanie piwo ma specyficzny smak, który po prostu trzeba polubić – wyjaśnił. – Podobnie jak smak drogiego sera.

– Przyszedł mi do głowy pewien pomysł – powiedziała, siadając na blacie.

Czekał, popijając piwo.

– Myślisz, że naprawdę jesteś gotów zrobić coś doskonałego?

– Przecież to ty powiedziałaś...

– Masz chociaż pojęcie, jak to wygląda? Doskonałość?

Milo zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Nie – stwierdził w końcu.

– A chciałbyś zobaczyć?

Znów łyknął piwa. Podrapał się po głowie.

– Tak – odparł.

– To dobrze. Popracuj ze mną.

– Popracować z tobą, czyli...?

– Być Śmiercią. Zabierać dusze. Kończyć życie. Tak. Jedną z dusz, którą jutro zabieram, osiąga Doskonałość. Chcesz zobaczyć, jak to wygląda? Chodź ze mną.

– Możesz to robić? Zabierać ludzi ze sobą?

Pocałowała go.

Oddał pocałunek, ale ona odsunęła się od niego i ruszyła w głąb przedpokoju.

– Szósta rano to dość wcześnie – powiedziała. – Nastaw budzik.

– Szósta?

– Zwykły dzień pracy wszędzie wygląda podobnie. Jako w niebie, tak i na ziemi.

Zasnął, oglądając film dokumentalny o swetrach.

Rano otuliła ich oboje swoimi długimi włosami, które zamieniły się w skrzydła, a potem w wiatr i suche liście, podrywając ich w końcu do lotu. To było szalone, przyjemne

i przerażające doznanie. Lot ze Śmiercią można było jego zdaniem porównać do nocy spędzonej w śpiworze ze zmysłową kobietą i tarantulą jednocześnie.

Wiatr zwolnił i ustał. Stopy Mila dotknęły twardego podłoża.

Stał w czyimś salonie, wypełnionym migotliwym blaskiem telewizora.

W pokoju panował okropny bałagan. Na podłodze i meblach zalegały pudełka po pizzy, brudne talerze, czasopisma, niechlujne ubrania. Na kanapie, niczym jeszcze jeden wielki śmieć, zalegał młody mężczyzna z brudnymi włosami, ubrany w koszulkę z wizerunkiem Hanka Williamsa III.

Miał zmętniałe, nieprzytomne oczy i skórę o niezdrowej, ziemistej barwie, upstrzoną większymi i mniejszymi ranami. Jego półotwarte usta wyglądały jak jeszcze jedna, wielka rana, która nie chce się zaleczyć. W pierwszej chwili Milo pomyślał, że chłopak trzyma w nich niedojedzony popcorn, białe i czarne ziarna. Potem uświadomił sobie, że to jego zęby.

Usłyszał Suzie, która przystanęła obok niego i ujęła go pod łokieć.

– Hmm... – mruknął Milo. – To jest to super-oświecone-doskonałe życie? *Ten* facet ma przejść przez Słoneczne Drzwi i połączyć się z Metaduszą?

– Nie bądź głupi – parsknęła. – Najpierw muszę załatwić kilka innych spraw.

Na stoliku przed mężczyzną leżał kawałek ceramicznej płytki, pokryty do połowy czymś, co przypominało puder lub drobno zgniecione szkło.

Suzie uklękła przed mężczyzną. Poruszył się lekko.

– Chris – wyszeptęła.

Mężczyzna zakasłał. Jego oczy zaczęły się powoli zamykać.

– Christopher – przemówiła ponownie, tym razem nieco głośniej.

– Pokazujesz im się? – spytał Milo.

– Czasami. Jeśli trudno im odejść. A teraz bądź cicho.

Podniosła rękę i położyła dłoń na policzku Christophera. Otworzył szeroko oczy. Rozejrzał się dokoła, a na widok Suzie drgnął gwałtownie. Zachowywał się tak, jakby chciał poderwać się z kanapy i rzucić się do ucieczki, ale nie mógł poruszyć nogami.

– Szlag... – wybełkotał, tocząc z ust pianę, i umarł.

– To wszystko? – spytał Milo.

– Tak. Lada moment obudzi się nad rzeką. Idziemy stąd. Trzymaj się.

Znów ciemność i wiatr.

Stanęli obok młodej kobiety w łachmanach, która siedziała na drewnianym stołku i trzymała na rękach niemowlę. Dokoła roilo się od bosych dzieciaków, które bez ustanku biegały, bawiły się i zanosily radosnym śmiechem.

Suzie sięgnęła przez ramię kobiety i dotknęła czoła niemowlęcia.

– O cholera... – jęknął Milo. – Naprawdę?

Suzie pocałowała kobietę w czubek głowy, oparła tam na moment własną głowę i zamknęła oczy.

Wiatr i ciemność.

Zatrzymali się, by zabrać grubego mężczyznę pracującego przy komputerze.

Potem zabrali dużego czarnego psa.

Zabrali też samotną starą kobietę, która leżała na łóżku w mrocznym pokoju. Gdy tylko staruszka umarła, kukułka ze ściennego zegara w korytarzu oszalała.

Pęd wiatru, wirujące liście. Wylądowali w Mumbaju, w Indiach, na skraju tętniącej życiem dzielnicy, przy ulicy, którą sunęła rzeka wozów ciągniętych przez osły.

Obok przeszła krowa. Jedna z wielu świętych krów żyjących w mieście. Weszła na ulicę,

a wszystkie pojazdy przystanąły. Ta krowa mogła być czyjąś babką.

– Chodź – rzuciła Suzie, ciągnąc Mila za rękę.

– Idziemy za krową?

– Chcesz zobaczyć Doskonałość czy nie?

Kiwnął głową.

Krowa przeszła przez targowisko, gdzie bramin zawiesił jej na szyi girlandę z magnolii. Milo mógłby przysiąc, że krowa podziękowała kapłanowi lekkim skinieniem głowy.

Obserwowali oboje, jak krowa zrobiła coś zadziwiającego i bardzo inteligentnego. Przeszła za stoły obłożone towarem, a gdy jeden z kupców zajęty był dobijaniem targu, wyciągnęła szyję, otworzyła pysk i odbiegła truchtem, trzymając w mięsistych wargach rzeźnicki nóż.

Wytrwale śledząc krowę, opuścili wraz z nią dzielnicę targową, przeszli przez tę część miasta, gdzie domy ustępowały miejsca barakom, a chodniki ścieżkom, i dotarli do miejsca, gdzie ludzie mieszkali wśród śmieci. Było to jedno z wielu wysypisk Mumbaju. Tu ziemia składała się głównie ze zgniecionych odpadków. Indusi koczowali w lepiankach wykonanych z resztek różnych materiałów, między wielkimi wzgórzami śmieci, które wydzierały kwaśny zapach zgnilizny. W powietrzu unosiły się olbrzymie, brzęczące chmary much. Dzieci biegły za krową i tańczyły dookoła niej.

Krowa przystanęła i wsunęła głowę do kartonowej budy wykonanej z pudeł po serze. Milo i Suzie zajrzeli ponad jej grzbietem do wnętrza. Gdy jego wzrok przywykł do ciemności, Milo zakrył usta i wycofał się.

– Co im jest? – spytał.

– Głodują – odparła Suzie.

– Wielu ludzi głoduje, ale nie wyglądają tak jak oni.

– Są zbyt słabi i chorzy, żeby szukać pracy, a nawet żebrać. Jeśli wkrótce czegoś nie zjedzą, umrą.

Suzie weszła za krową do środka. Milo poszedł za nią.

Wszyscy mieszkańcy budy – mężczyzna, kobieta, staruszka i czworo małych dzieci – zdumieni się na widok krowy, która sama weszła do ich domu. Nie mieli jednak siły, by ją witać lub przegonić. Wyglądali jak szkielety obleczone naciągniętą skórą, ich głowy przypominały czaszki. Starsza kobieta zasugerowała, że krowa jest wcieleniem śmierci, która przyszła wyzwolić ich z tego nędznego życia.

– Wątpię – odparł mężczyzna. – Chyba nie mamy aż tyle szczęścia.

Krowa opuściła łeb, położyła nóż na podłodze i powiedziała:

– Proszę, zjedzcie mnie.

– A niech to! – wyszeptał Milo.

Odpowiedziały mu okrzyki mieszkańców budy. Wyrazy zdumienia. I wdzięczności.

Krowa przyjęła podziękowania od ojca i wymieniła z nim ukłony.

Suzie wyciągnęła rękę i pogładziła krowę po czole. Zwierzę uklękło i cicho umarło.

Rodzina odmówiła modlitwę i przystąpiła do oprawiania krowy.

– Suzie... – jęknął Milo drżącym głosem.

– Mmm?

– Co tu się stało?

– Widziałeś właśnie, jak dusza osiągnęła Doskonałość.

– Bo poświęciła się dla innych?

– Nie tylko dlatego.

Tymczasem głodująca rodzina zaczęła oprawiać krowę. Początkowo powoli. Z szacunkiem.

– To nie była zwykła krowa. Wcześniej przyjmowała wiele innych postaci, między innymi słynnej bodhisattwy Aishwaryi. Oddała się tej rodzinie, bo doskonale rozumiała, że dzięki jej mięsu przeżyją i poczują się lepiej. I nie czuła ani dumy, ani strachu. To ważne.

Nagle pojawiła się między nimi młoda kobieta o cudownych oczach, która z radością przyglądała się rodzinie oprawiającej krowę. Wymieniła z Suzie uprzejme ukłony, po czym zniknęła.

Milo pogłaskał się w zamyśleniu po brodzie.

– Mógłbym zrobić coś takiego – orzekł. – Tak mi się wydaje.

– Ty i ta dusza macie ze sobą wiele wspólnego – odparła z powagą Suzie. – Dla obojga was są ważni ludzie, w taki czy inny sposób. Dlatego cię tutaj przyprowadziłam.

Tymczasem na podłodze rosła kałuża krwi. Szczególną gwałtownością wykazywała się stara kobieta, gołymi rękami wyszarpywała chrząstki z martwej krowy.

– Musimy iść – powiedziała Suzie.

Wiatr i ciemność.

Stali nad rzeką, w Zaświatach, pośród olbrzymiego tłumu. Wszyscy nosili kolorowe, jaskrawe ubrania i machali chorągwiami z żółtego jedwabiu.

Nad tłumem unosiło się mrowie balonów i sterowców.

Bodhisattwa i była krowa, Aishwarya, podeszła do rzeki, uśmiechając się błogo. Tłum rozstąpił się przed nią, pozwalając, by weszła do wody.

Powietrze wokół kobiety przybrało barwę złota, mieniło się i drżało, po czym rozbłysło nagle kręgiem kosmicznego światła, które na moment okryło wszystko Doskonałością – tysiące dusz i kamieni, statki powietrzne i wiatr.

Potem zbladło i zgasło.

Wszyscy się odwrócili i ruszyli do swoich zajęć, jakby ktoś oznajmił przez głośnik: „Magiczna doskonała kobieta-krowa opuściła budynek. Nie ma tu już czego oglądać”.

Po powrocie do mieszkania Suzie opadła ciężko na sofę w salonie, a Milo zajął miejsce na wielkim workowatym pufie. Z rozdarcia na boku pufa wysypywały się drobiny styropianu.

– Skoro krowa może to zrobić, to ja też – powiedział. – Jeśli dokonam jakiegoś wielkiego poświęcenia i osiągnę coś doskonałego, zyskam silniejszą pozycję przetargową i może nie będę musiał połączyć się ze Wszystkim?

– Nie chodzi tylko o poświęcenie, Milo. Jeśli wilk odgryzie sobie nogę, żeby wyrwać się z potrzasku, to też będzie akt poświęcenia, ale i desperacji. To nie jest Doskonałość. Musi być jeszcze miłość.

– Ale mnie wcale nie brakuje miłości! – zaprotestował Milo. – Jestem zakochany w tobie.

– Miłość i zakochanie to nie zawsze to samo – odparła Suzie. – Zakochanie to ziemskie, ludzka rzecz. Substancje chemiczne. Miłość jest kosmiczna. Ja też cię kocham.

Ujęła jego dłoń, a część jej miłości przepłynęła w jego rękę i eksplodowała w nim jak galaktyka. Przez moment mieścił w sobie cuda, gwiazdy i czas, znał hiszpański, istniał w dwudziestu wymiarach. Czuł, że za moment eksploduje.

– Kochanie... – wydyszał.

– Och, przepraszam, przepraszam...

Pocałunek w policzek. Przygasł i wrócił do swej normalnej postaci.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Światło za oknem zaczęło się zmieniać.

– Głodna – oznajmiła Suzie.

Nad rzeką znaleźli ukrytą wśród drzew knajpę o dość oryginalnej nazwie Kubeł. Pianista był pijany i hałaśliwy, powietrze gęste, mięso gorące, a piwo Skeeter, ulubiony gatunek tubylców, czarne jak noc. Z pewnością nie zaglądały tu osoby pokroju Mamy czy Nan ani też inni przedstawiciele wszechświata.

– Możemy choć na chwilę zapomnieć o Mamie i Nan – powiedziała Suzie przy pierwszym piwie i pierwszym kubełku pieczonych skrzydełek. – Nic nie robią, tylko siedzą i obserwują. Obserwują, jak ludzie żyją, jak robią wszystko, co ma znaczenie, a same tylko ich sądzą.

Wcześniej uparła się, że jeśli ma iść do jakiegoś publicznego miejsca, to tylko w przebraniu. Doklei sobie wąsy i założy czapkę z daszkiem. Inaczej ludzie pokazywali ją sobie palcami i szeptali między sobą. Śmierć rzadko bywała w tego rodzaju przybytkach.

– Przecież jesteś jedną z nich – zauważył Milo.

– Wiem – odparła. – Zamknij się.

Jako że byli ze sobą od ośmiu tysięcy lat, wielokrotnie już omawiali ten temat, podobnie zresztą jak większość innych.

– Cholera! – Suzie zdarła z twarzy sztuczne wąsy, wysmarowane sosem czosnkowym.

Milo starał się zapanować nad niesforną nogą z kurczaka, nim ta całkiem rozpadnie mu się w rękach.

W tym lokalu nie dało się jeść i rozmawiać jednocześnie.

Później przechadzali się wzdłuż rzeki.

– Może i jestem jedną z nich – mówiła Suzie. – Ale nie jestem taka jak one. Trzeba mieć naprawdę tupet, żeby nas tak krytykować, no wiesz, za nasz związek.

– W pewnym sensie mają rację – odrzekł Milo. – Ty jesteś jak bóg, a ja jestem tylko...

– Nie jestem bogiem. Tłumaczyłam ci to milion razy.

Milo uznał, że lepiej na razie nie kontynuować tej rozmowy. Szli w milczeniu. Obok zabrzęczała ważka, która poleciała nad rzekę.

– Zamierzam odejść – oznajmiła nieoczekiwanie Suzie.

Co? – zdumiał się w myślach Milo. Czyżby mówiła poważnie? I naprawdę płakała? Bardzo rzadko jej się to zdarzało.

– Jak to odejść? Co przez to rozumiesz?

– Po prostu chcę z tym skończyć. – Wzruszyła ramionami. – Zrezygnować z mojej pracy. Mam już dość tego gówna, nie chcę się ciągle zamartwiać, czy przypadkiem nie rozkołyszę kosmicznego canoe.

– Możesz to zrobić? – zdziwił się Milo. – Zrezygnować z uśmiercania ludzi, tak jak rezygnujesz z pracy w barze albo z uczenia biologii?

– Nie wiem.

Ważka kreśliła nad rzeką skomplikowane figury.

Z wody wychynęła nagle ryba i połknęła owada.

Milo objął Suzie ramieniem.

– Mam pytanie – zaczął. – Czy kiedy ryba w Zaświatach zje ważkę, to czy ważka trafia do Zaświatów?

- Już tu była, Milo.
- No właśnie. Więc?
- To skomplikowane.

– Mówisz tak o wszystkim.

– Bo wszystko jest cholernie skomplikowane.

Między ich głowami przemknęła inna ważka. Przypominała do złudzenia tę, którą przed chwilą pożarła ryba.

– Chcę otworzyć sklep ze świecami – powiedziała.

Zerknął na nią jednym okiem. Sklep?

Na czym polegało prowadzenie biznesu w Zaświatach? Oczywiście wiedział, że ludzie to robili, Milo jednak nigdy nie mógł zrozumieć, jak funkcjonują tu pieniądze. Każdy mógł pracować, jeśli chciał, ale gdy potrzebował kupić coś w sklepie, po prostu zabierał z niego odpowiedni towar i nie musiał płacić. Podobnie funkcjonowały banki – wystarczyło wybrać się do jednego z nich i poprosić o pieniądze, by otrzymać dowolną kwotę. Jak wszystko w Zaświatach, i ten obszar rzeczywistości był zmienny i niejasny. („Nie rozumiem tego” – przyznał kiedyś w rozmowie z Mamą. „W Zaświatach pieniądze są warte tyle, co powietrze!” „To idealna forma, pamiętasz? – odparła Mama. – To idea pieniędzy”).

Obracanie pieniędzmi wydawało się tutaj kompletnie bezsensowne. Milo uniósł lekko brwi i spojrzał na Suzie.

– Sklep? Chcesz być sklepikarką?

– Raczej artystką – sprostowała. – Robiłabym świece. W różnych kształtach.

– Właśnie przyszło ci to do głowy czy...

– Nie. Chciałam robić świece, odkąd je wynaleziono. To najwspanialszy rodzaj rzeźby. Zrobisz na przykład świecę w kształcie Michaela Jacksona, która będzie wyglądała dokładnie jak on sam, pokażesz ją ludziom, a oni będą ją zachwalać i mówić: „To najładniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem!”. Potem możesz ją zapalić i patrzeć, jak topi mu się głowa. Świece są niesamowite.

Zmierzch zamienił się w noc. Coś w rzece podskoczyło i chlupnęło.

– Więc wolałabyś coś takiego od swojej pracy?

– A ty nie?

O tak, jasne! – pomyślał.

– O tak, jasne! – powiedział głośno.

Milo obudził się w środku nocy i postanowił, że znów się narodzi.

Suzie także się obudziła. I wiedziała.

– Dopiero co tu trafiłeś! – oburzyła się.

– Wiem – odpowiedział, odgarniając jej włosy z oczu. – Ale ciągle myślę o tym, że powinienem to jak najszybciej załatwić. Dokonam wielkiego aktu Miłości i Poświęcenia, a kiedy wrócę, będziemy mogli być razem.

– Nie spieprz tego.

– Miłość i Poświęcenie są dość proste.

– Mogą się jednak pojawić różne subtelności.

– Wiem – skinął głową. (Jakie subtelności?)

Pocałowała go. Potem się odwróciła i nakryła głowę kocem.

Nigdy nie szła z nim nad rzekę. Jakoś nie wypadało prowadzić się ze Śmiercią w chwili kolejnych narodzin.

Nie rozbierał się. Nie musiał. Wystarczyło przejść przez błotnistą płyciznę między pałkami wodnymi i stanąć w chłodniejszej, bystrzejszej wodzie, która sięgała mu do kolan.

W wodzie pojawiały się różne obrazy. Sceny i twarze, fragmenty żywotów, które mógł przeżyć.

Ten? Nie. Ten? Interesujący. Szanse na Miłość i Poświęcenie. Duże szanse.

Gdy w końcu wybrał, sam przestraszył się własnej decyzji. W końcu jednak zebrał się na odwagę i zanurkował.

Jak zwykle najpierw doznał lekkiego szoku, potem była chwila zawieszenia, Nicość, aż w końcu znów wyszedł na świat niczym pasta wyciśnięta z tubki.

Rozdział 9

Sekretny kochanek Sophii Marii Mozart

Jeśli ktokolwiek mógł dokonać aktu kosmicznej miłości, to właśnie Milo.

Był zakochany sześćdziesiąt osiem tysięcy pięćset cztery razy.

Kiedy zakochał się po raz pierwszy – naprawdę głęboko się zakochał – był rolnikiem w środkowej Europie, w epoce żelaza. Ożenił się z kobietą o imieniu Hyldregar, a ślubu udzielił im druidzki kapłan. Już jako dwudziestolatki garbili się od nadmiaru ciężkiej pracy. Mieli dziesięcioro dzieci, z których dwoje dożyło dorosłości.

Dziesiąty poród zabił Hyldregar. Potem Milo postarzał się jeszcze szybciej i zmarł w wieku trzydziestu dwóch lat. Przez ostatnie siedem lat życia nazywany był przez sąsiadów *gragn luc moesse*, co oznaczało „ten smutny starzec wpatrzony w gwiazdy”.

„Miłość oznacza rozdarcie na dwoje” – mówił młodym ludziom w dniu ich ślubu. Nie należy mówić młodym takich rzeczy. Za karę następne życie spędził w postaci suma.

W przyszłości Milo i jego kochanka Brie urodzili się na pokładzie olbrzymiego statku wielkości planety, który leciał do Aurelae Epsilon w pierwszych wiekach kolonizacji kosmosu. Większość pasażerów zapomniała, że jest na okręcie. „Taki jest kształt wszechświata” – mówili. Te korytarze, tunele i olbrzymie maszyny”.

Milo i Brie próbowali dostać się na zewnętrzną powłokę statku, przechodząc przez maszynownię wielkości kontynentów. Widzieli cementarze, sztuczne lasy i wielkie żyroskopy grawitacyjne. Przedzierał się przez strefy objęte wojną. Widzieli pustkowia, na którym ostatni ludzie wymarli dwa tysiące lat wcześniej. Po drugiej stronie tej apokalipsy trafili wreszcie na kadłub statku i zobaczyli, jak okręt mknie przez kosmos z prędkością równą jednej dziesiątej prędkości światła. Wrócili na dół, do domu, bogaci w wiedzę zdobytą po drodze. Milo dostał pracę w radiu, a Brie wydawała czasopismo. Rozpowszechniali opowieści o swojej wyprawie na kraniec okrętu i zostali sławni.

Okręt leciał jeszcze przez tysiąc lat, nim w końcu dotarł do Aureale Epsilon. Milo i Brie zostali bohaterami najsłynniejszej historii miłosnej na statku i pierwszej takiej historii w nowym świecie.

W niektórych żywotach miłość jest jak film.

W okresie renesansu w Wiedniu Milo był młodym muszkietierem, który zakochał się w Sophii Marii Mozart, kobiecie olśniewającej urody (i praprapraprapraprapraprababce stryjecznej wielkiego kompozytora).

Sophia Maria była żoną Maximiliana van Furzelhaasa, ministra króla Ferdynanda, człowieka niezwykle popędliwego, który ciągle wyjeżdżał w podróże służbowe. Gdy tylko Maximilian opuszczał miasto, Milo zakradał się do ogrodu pod okno Sophii i śpiewał jej zabawne piosenki. W końcu nakłonił ją, by zeszła do niego i pobawiła się z nim w Adama i Ewę. Przyniósł maski weneckie.

Van Furzelhaas wyjeżdżał tak często, że służba w jego domu dobrze poznała Mila i dbała o niego tak, jakby to on, a nie Furzelhaas był tam gospodarzem. Wkrótce o romansie z Sophią Marią wiedziało całe miasto. Kumple ułożyli biesiadną piosenkę opatrzoną niezbyt wyszukany tytułem *Milo Heidelberg pieprzył żonę Maximiliana van Furzelhaasa, tra la la*, która stała się na tyle popularna, że dotarła w końcu do uszu samego van Furzelhaasa. Arystokrata wpadł w szal i popędził z rykiem do domu, by zatopić ostrze miecza w gardle Mila. Milo, wysmienity szermierz, ranił swego rywala i uciekł do Salzburga. Od tej pory Sophia Maria musiała towarzyszyć mężowi podczas jego podróży, co właściwie pozwoliło jej powiększyć grono kochanków. Znalazło się wśród nich kilka wybitnych postaci epoki, między innymi rzeźbiarz Leonard Duesel, architekt Zeinsfisthoffen, oraz całkiem przypadkiem papież, na którego natknęła się kiedyś w ciemnościach.

Milo miał znacznie mniej szczęścia, głównie dlatego, że za wcześnie wrócił do Wiednia. Dołączył do obrońców miasta podczas oblężenia wojsk osmańskich i dowiedział się, że jednym z dowodzących obroną jest van Furzelhaas. Arystokrata wykorzystał swe wpływy, by wysłać Mila na wyjątkowo niebezpieczny odcinek umocnień, gdzie romantyczny muszkieter został w końcu wzięty do niewoli, a potem z katapulty wrzucony z powrotem do oblężonego grodu.

W przerwach między pierwszymi kilkudziesięcioma żywotami Milo starał się spędzać jak najwięcej czasu z Suzie, choć nie byli jeszcze wówczas kochankami. Oboje lubili pływać i jeść. Z upodobaniem zadawali sobie pytania w rodzaju: „Wolałbyś stracić rękę czy oko?”. Milo miał wrażenie, że czasami Suzie spogląda na niego w pewien intrygujący sposób.

Zastanawiał się, co by się stało, gdyby Śmierć poszła do łóżka ze zwykłym, śmiertelnym człowiekiem.

– Nie wiem – powiedziała Suzie. – To mogłoby zniszczyć naszą przyjaźń. Mógłbyś nawet spłonąć. Dosłownie zostać pochłoniętym przez płomienie. Naprawdę nie wiem.

Milo zdębiał.

– Czy ty możesz czytać mi w myślach? – spytał, zdenerwowany.

– Byłam pewna, że wiesz.

– Jezu, nie. I nie rób tego więcej!

Po setnym życiu pomógł jej otworzyć sklep z egzotyczną żywnością – Czekoladowy Kalmar. Sklep był obficie zaopatrzony w kalmary, motyle w czekoladzie, kwiaty przeznaczone do zanurzania w serze i wiele innych interesujących artykułów.

W ciągu roku działalności sklep odwiedziło zaledwie piętnaścioro klientów.

Gdy Suzie zamknęła drzwi po raz ostatni, Milo próbował ją pocałować, odwróciła się jednak.

– Naprawdę mogę cię spalić – powiedziała.

W każdym kolejnym życiu na Ziemi Milo bezustannie się zakochiwał i odkochiwał.

Doświadczył tysięcy zwykłych miłości, które nie boją się upływu czasu.

Poznał miłość do rodziny i do przyjaciół. Kochał plaże, deszcz czy dobrze zrobione zegary. Wiedział, co znaczy patrzeć bezsilnie, jak miłość umiera, usycha i opada jak martwy liść, a człowiek czuje się wtedy tak, jakby pożarły go dziki.

Pewnego razu w osiemnastowiecznej Zambii miłość uratowała mu życie. Miłość całej wioski. Miłość setek ludzi.

Milo miał wtedy wyjątkowego pecha. Uprawy się nie udały, nadeszła susza, ukąsił go wąż, umarła mu matka, bolał go ząb, spłonął jego dom wraz ze wszystkimi narzędziami i całym ziemskim majątkiem. Pozbawiony narzędzi i środków do życia, a zbyt dumny, by prosić o pomoc, wpadał w coraz większy gniew, aż pewnego dnia poszedł do lasu za bogatym mężczyzną, pobił go i ograbił z pieniędzy.

Mieszkał w małej osadzie, więc oczywiście szybko go namierzono. Miejscowi policjanci przyszli po niego i zaprowadzili go do budynku szkoły, gdzie miał się odbyć proces.

W innych osadach Milo mógłby zostać ścięty albo pozbawiony dłoni. Jednak wsie i miasta różnią się od siebie w taki czy inny sposób, a w jego rodzinnej miejscowości stosowano ciekawą i postępową formę procesu.

Dziwną formę procesu (bo to była dziwna wioska).

Wszyscy mieszkańcy okazali mu miłość.

Przez kilka godzin kilkaset osób przypominało mu, jakim był dobrym człowiekiem. Przypominali mu, jak w wieku kilkunastu lat uratował małe dziecko przed hieną, biorąc na siebie atak zwierzęcia. Tamto dziecko było teraz dorosłą, dwudziestokilkuletnią kobietą. Dotykała głębokich blizn na ramieniu Mila i mówiła do niego łagodnym tonem.

Przypomnieli mu, jak kiedyś wybrał się na piechotę do Konga i z powrotem, by odwiedzić swego dziadka. Przez cztery lata pracował przy utrzymaniu dróg, by jego młodszy brat mógł pójść na studia i zostać inżynierem. Nie chciał zabijać zwierząt, nawet szczurów, węży i pajaków. Ożenił się z najbrzydszą kobietą w wiosce, bo nie zwracał uwagi na wygląd, lecz pokochał jej wnętrze (o tym jednak nikt nie wspomniał głośno). Wśród zgromadzonych była również jego żona, która przypomniła mu, że nieraz wstawał wcześniej i wykonywał za nią różne prace domowe, by miała więcej czasu dla siebie.

Kiedy mieszkańcy osady skończyli tę wyliczankę, ich miłość rozpuściła lodową bryłę gniewu, która rozrosła się w głowie i duszy Mila. Dzięki nim przypomniał sobie, że jest dobry. Wrócił więc do swych dawnych zwyczajów, prowadził normalne życie i dzięki ciężkiej pracy odmienił swój los.

Był mężczyzną o imieniu Owen, który kochał innego mężczyznę, Brada. Mieszkali w gejowskiej dzielnicy Houston, w skromnym małym mieszkaniu, i mieli psa Maggie. Byli ze sobą przez piętnaście lat, aż Maggie umarła, a Brad dostał fantastyczną ofertę pracy i musiał wyjechać do Szwajcarii. Ten wybór był dla nich obu bardzo bolesny. Postarzył ich.

Był kobietą o imieniu Oko, której mąż utonął podczas bitwy morskiej. Został sławną wdową, która co wieczór nakrywała do stołu dla swego męża. Czekala na niego przy nadmorskich skałach. Najpierw wypatrywała jego okrętu na horyzoncie. Potem w miarę upływu czasu zaczęła wypatrywać go w wodzie, jakby przeszedł z jednego świata, w którym miał ciało z rękami, nogami, włosami i zębami, do innego, gdzie jego ciałem była sama Ziemia. Strumienie i prądy były jego ramionami. Sztormy były jego głosem, a Księżyc i konstelacje jego myślami i nastrojami.

Nie był przystojnym mężczyzną. Czasami widziała ryby z jego twarzą.

Rozdział 10

Ludzie „Zwierciadła”

Iowa, rok 2025

Środek lata.

Błękitne niebo w górze, zielona kukurydza na dole.

Pośrodku zielonego, trawiastego pola leżały cztery srebrne okręty, projekt ARKAI, każdy wielkości potężnego tankowca. Ich dzioby celowały w niebo, smagane gorącym wiatrem. W zależności od tego, z jakiego miejsca patrzyło się na ich kadłuby, można było w nich zobaczyć odbicie słońca albo trawy i kukurydzy.

Milo, który stał kilka kilometrów dalej, przy ogrodzeniu otaczającym teren, pomyślał, że wygląda to tak, jakby każdy ze statków był oddzielnym światem uwiecznionym w lustrze.

Zerknął na drucianą siatkę za plecami, wysoką na trzy metry i zwieńczoną drutem kolczastym. Przesunął wzrokiem po szarej wstędze ogrodzenia, które pięło się na zbocza wzgórz, tworząc krąg o obwodzie około stu kilometrów. Czy to rzeczywiście ich powstrzyma, jeśli tu przyjdą? Będą ich tysiące, może dziesiątki lub setki tysięcy rozwścieczonych ludzi.

Jak inaczej mogliby się czuć, wiedząc, że wszyscy wkrótce umrą?

Zaczęło się pięć lat wcześniej od zniknięć.

Znikali naukowcy i inżynierowie.

Początkowo niewielu. Nie byli to sławni ludzie, rzadko więc wspomniano o nich w wiadomościach. W trzeciej dekadzie dwudziestego pierwszego wieku dziennikarze mieli aż nadto innych ważnych tematów. Wszystko, przed czym ostrzegali naukowcy, działo się jednocześnie.

Podnosił się poziom mórz. Oceany wymarły, najpierw plankton, a potem zwierzęta z kolejnych ogniw łańcucha pokarmowego. Wody gruntowe były zatrute. Wirusy komputerowe tworzyły sieci, które wyłączały internet przynajmniej raz w tygodniu.

Nikt nie przejmował się losem kilku zaginionych jajogłowych.

Milo zwrócił uwagę na ten problem, gdy do zniknięć zaczęło dochodzić w Stanfordzie, gdzie pracował. Melinda Warnstein-Keppler, guru elektroniki, zniknęła ze swojego mieszkania, zostawiając kolację w mikrofalówce. Następny był Zhou Chen-Barnhart, twórca orbitalnego kolektora cząstek neutrino, a później Claudine Fraas, noblistka i autorka dzieła *Problemy holograficznej względności*.

Milo nie sądził jednak, by i jego mógł spotkać podobny los. Owszem, był asystentem i mógł śmiało nazywać siebie naukowcem, wiedział jednak dobrze, że nigdy nie zostanie gigantem. Pracował dla gigantów i poczytywał to sobie za zaszczyt. Wszyscy próbowali na swój sposób ratować świat, kiedy jeszcze wierzyli, że można go uratować.

Milo wszedł w świat akademicki w sposób typowy i nietypowy zarazem. Jak większość czcicieli nauki, był ciekawy. Chciał wiedzieć wszystko i pochłaniał książki i strony internetowe równie ochoczo, jak dzieciaki chłonęły głośną muzykę. Tak wyglądała ta typowa część jego historii. Niezwykła była odpowiedź na pytanie, *dlaczego* tak bardzo chciał zrozumieć mechanizmy rządzące światem (funkcjonowanie czasu i przestrzeni, życie i śmierć).

Słyszał głosy w swojej głowie.

Nie były to głosy, które dręczą schizofrenika, lecz głosy pochodzące z przeszłości. Z innych żywotów, które kiedyś przeżył. Wspomnienia obejmujące tysiące lat. Informacje, które spływały na niego nie wiadomo skąd, z czasów gdy kiedyś mieszkał w Japonii albo był egipskim matematykiem.

Do diabła, może jednak rzeczywiście cierpiał na schizofrenię. Albo miał raka mózgu.

Nie masz raka mózgu – powiedział mu głos. Były lekarz.

Ostatecznie znalazł pracę u boku Wayne'a Aldrina, gwiazdy Sztuki Integracji Systemów. W wieku dwudziestu pięciu lat Aldrin wydał książkę zatytułowaną *To tylko wyspa, jeśli patrzysz na nią z wody*, traktat, który zrewolucjonizował podejście do rozwiązywania problemów. Jako trzydziestolatek stworzył roślinę, która mogła żyć w zatrutej ziemi, rozkładać toksyny, oczyszczać glebę i wydawać owoce będące w istocie wielkimi żółtymi multiwitaminami. Milo słyszał, że mogłaby wykarmić połowę ludzkości, tyle że kosztowałoby to niewłaściwych ludzi mnóstwo pieniędzy.

– Największy kłopot z rozwiązywaniem problemów polega na tym – narzekał Aldrin – że zbyt wielu ludzi na nich zarabia.

Teraz Adrin miał czterdzieści lat. Nosił długie siwe włosy, które niczym fale oceanu opadały mu na ramiona i spływały po szyi. Jego dłonie były maszynami w takim sensie, w jakim maszyną jest flet. Był ideałem człowieka, jakiego mógłby sobie wyobrazić da Vinci.

Milo uważał Aldrina za najwybitniejszego ze współczesnych ludzi.

W tamtym czasie pracowali nad niewidzialnym komputerem. Było to urządzenie, które istniało tylko w cyberprzestrzeni i działało jak próżnia: korzystało z funkcji i danych, które „już tam były”. Zdaniem Aldrina komputer był niewyobrażalnie potężny, zwłaszcza że nie istniał w rzeczywistości. Kiedy zaczęły się zniknięcia, komputer jeszcze nie działał.

Milo nie przejmował się tym szczególnie. Prawdę mówiąc, jego uwagę zaprzętało zupełnie co innego. Nie głosy w głowie, lecz Kim, koleżanka z pracy. Choć starał się z tym ukrywać, wszyscy w laboratorium wiedzieli, że do niej wzdycha. Obiecywał sobie, że kiedyś zaprosi ją na randkę. Kiedy nie będzie tak bardzo zajęty.

Pewnego dnia w spokojne piątkowe przedpołudnie Kim pochyliła się nad jego biurkiem i spytała:

– Czy mógłbyś mi wyświadczyć przysługę?

– Jasne – odparł.

– Mam randkę – powiedziała. – Ale nie mam opiekunki do dziecka. Nie wydaje mi się zresztą, żeby ktokolwiek jeszcze był nianią. Zastanawiałam się, czy mógłbyś do mnie wpaść i popilnować Libby.

Powinna go była od razu zastrzelić. Wszyscy podsłuchiwalcy w biurze skrzywili się boleśnie. Au, au, au...

(Nie ma mowy! – zawołały niektóre z jego głosów).

Cholera. Naprawdę? Kurwa!

– Tak – odpowiedział. – Oczywiście.

Kurwa.

– O siódmej? – zaproponowała.

– Dobrze.

Zadzwoił do drzwi mieszkania Kim na parterze. Otworzyła mu ubrana w długą delikatną sukienkę, która odsłaniała jedno ramię. Jedno opalone, gładkie ramię.

– Cześć – powiedział, wchodząc do środka. – Wyglądasz wspaniale.

– Dzięki.

– Cześć – powiedział do Libby, sześciolatniej córki Kim, która siedziała przed telewizorem. To był dobry wieczór telewizyjny, co oznaczało po prostu, że stacje telewizyjne nadają normalny program.

Libby nie odpowiedziała.

– O której ma przyjść ten szczęściarz? – spytał Milo. Może uda mu się ukryć w łazience, kiedy facet zadzwoni do drzwi.

– Już tu jest – odpowiedziała Kim, otwierając butelkę wina.

Tutaj? Już? Cholera. Gdzie?

– Nie mówiłam ci, Milo? To ty. Mam dziś randkę z tobą. Jeśli ci to odpowiada. Tyle że będziemy musieli zostać w domu, bo jak już mówiłam, nie mam opiekunki dla Libby.

Spojrzała na niego dużymi, słonecznymi oczami.

Och... co za niespodzianka!

– Ja... tak, oczywiście – odpowiedział.

– Zaczęłam się starzeć, czekając, aż sam mnie zaprosisz – dodała Kim.

Zrobiło mu się głupio, że rzeczywiście tak długo zwlekał, postanowił to więc zrównoważyć aktem spontanicznej odwagi. Objął ją w pasie, przyciągnął do siebie i pocałował w usta. Oddała pocałunek, po czym oboje odsunęli się o krok.

Libby obserwowała ich zza oparcia sofy.

– Pobierzecie się? – spytała.

(Pobierzecie się? – spytało kilka głosów w głowie Mila).

Zjedli kolację we trójkę, przy świecach. Milo miał wrażenie, że uczestniczy w podwójnej randce.

– Mam w domu jeden z komputerów laboratoryjnych – mówiła Kim, pogryzając pieczeń wołową. – Próbuje jakoś rozwiązać ten problem z satelitami.

– Nienawidzę pajaków – wyznała Libby.

Tak to właśnie wyglądało. Dwie rozmowy, dwie randki naraz.

– Minęły już trzy lata, odkąd wystrzelono ostatniego satelitę – odpowiedział Milo. – Jeśli nie znajdziemy jakiegoś nowego sposobu transmisji, wkrótce wrócimy do średniowiecza. Ja też nie przepadam za pajakami. Nie cieszysz się, że nie umiejemy latać?

– A gdybyśmy tak zrezygnowali z obecnego systemu? Może spróbować innego rozwiązania, na przykład odbijać informacje od magnetosfery?

– Wiedziałaś, że niektóre karaluchy potrafią latać?

Milo zaniemówił na moment z wrażenia. To był naprawdę genialny pomysł. Na pewno spodobały się Aldrinowi.

– Powinniśmy zadzwonić do doktora – odparł w końcu. – Słyszałem o latających karaluchach – dodał. – Ohyda!

– Nazywają je karaczanami amerykańskimi. Muszę iść na siku.

Na deser zjedli bezę cytrynową, siedząc przed telewizorem. Oglądali stary film z Batmanem i zasnęli na sofie, wszyscy troje.

Rano, na godzinę przed otwarciem przedszkola, pojechali wraz z Libby na uniwersytet. Mieli nadzieję, że złapią Aldrina przy jego ulubionym stoliku w bufecie, z tabletem, pomarańczą i sokiem pomarańczowym pod ręką.

Ale nie było go tam.

Nie zastali go też w biurze, choć drzwi były otwarte. W laboratorium nie było ani Aldrina, ani nikogo z jego zespołu badawczego.

Milo i Kim spojrzeli po sobie z niedowierzaniem.

– Zniknął – wyszeptali jednocześnie.

– Co to znaczy? – spytała Libby.

Nie zdążyli jej odpowiedzieć, bo do laboratorium weszli dwaj potężnie zbudowani mężczyźni w czarnych garniturach.

– Milo Osgood? – spytali. – Kimberly Dodd i... – Jeden z nich zerknął na tablet, który trzymał w dłoni. – Libby?

O cholera – pomyślał Milo.

– Tak – odpowiedzieli wszyscy troje, po czym oni również dołączyli do grona zaginionych.

Najpierw zawieziono ich na lotnisko. Tam wepchnięto do wnętrza małego odrzutowca, który poleciał na wschód. Po wylądowaniu wsiedli ponownie do auta, które powiozło ich wiejskimi drogami, przez złoty poranny blask i pola kukurydzy, do białego budynku bez okien, otoczonego przez żołnierzy i wojskowe namioty. Następnie zaprowadzono ich do środka, w głąb długiego, nieskazitelnie białego korytarza, i pozostawiono przed równie białymi drzwiami.

Nim Milo zdążył zapukać, drzwi się otworzyły, a w progu stanął Wayne Aldrin. Wyglądało na to, że nie stała mu się żadna krzywda, w jego oczach pojawił się jednak wyraz strachu i udręczenia, jakiego Milo nie widział tam nigdy dotąd.

– Po pierwsze przepraszam – odezwał się. – A po drugie wejdźcie i usiądźcie.

Libby miała już coś powiedzieć, ale w tym właśnie momencie podeszła do nich rozpromieniona długowłosa nastolatka w dresie.

– Ty jesteś Libby? – spytała.

Piętnaście sekund później ruszyły w głąb korytarza, trzymając się za ręce.

– Dam jej śniadanie – obiecała nastolatka. – I przyprowadzę za godzinę!

Milo objął Kim w pasie i uściskał ją lekko, gdy Aldrin wprowadził ich do swojego nowego biura. Tanie biurko, stół, ekspres do kawy, szafki na dokumenty, komputery i kilka składanych krzeseł. Wyglądało na to, że Aldrin nie został po prostu porwany, lecz przesiedlony.

– Najlepiej będzie, jeśli od razu wszystko wyjaśnię – zaczął Aldrin. – Potem możecie zadawać pytania, krzyczeć czy co wam tam jeszcze przyjdzie do głowy. Przed rokiem kilku astronomów amatorów dostrzegło coś niepokojącego na nocnym niebie. Zawodowcy przyjrzeni się temu zjawisku uważniej i doszli do wniosku, że sprawa jest poważna. Otóż w październiku 2025 roku kometa wielkości Irlandii uderzy w Ziemię jak ogromna, ciężka kula i prawdopodobnie zabije wszystkie żywe istoty. Zorganizowali więc... daj mi dokończyć, Milo, zorganizowali wielką konferencję i postanowili, że zgromadzą odpowiednich naukowców oraz profesjonalistów i każą im zbudować okręty kosmiczne, które wywiozą ludzkość z Ziemi. Jeden statek poleci na Wenus,

jeden na orbitę Ziemi, jeden na Marsa, a ostatni na księżycy Jupitera. Statki będą pełniły funkcję osiedli, przewożą też materiały do budowy następnych osad.

Milo zaplótł palce, by powstrzymać drżenie rąk. Kim jęknęła cicho.

– Żeby to wszystko było możliwe, nauka i inżynieria muszą dokonać w ciągu pięciu lat postępu, na który normalnie potrzebowaliby stu lat – kontynuował Aldrin. – Zanim zadacie mi miliard pytań, spróbuję uprzedzić niektóre z nich. Po pierwsze: ilu ludzi mogą pomieścić te wielkie statki? Odpowiedź brzmi: Niewielu. Może po sześć tysięcy na każdym statku. Po drugie: Czy poinformują wszystkich mieszkańców planety? Odpowiedź brzmi: Nie, dopóki to możliwe, w przeciwnym razie przyszliby tutaj i rozerwali nas na strzępy. Po trzecie: Dlaczego wy tu jesteście? Bo ja jestem tu i mogę zatrudnić dwie osoby. Dlaczego ja tu jestem? Bo żeby wszystkie zespoły i urzędnicy działały sprawnie i nie psuły się co chwila, muszą być jak najprostsze. Jestem tu, żeby to wszystko zgrać...

– Poukładać – dokończył Milo. Potem wymiotował na podłogę.

– Otóż to – potwierdził Aldrin. – O cholera. Wezwę dozorcę. Nie martw się. Ja też wymiotowałem.

Czekając na dozorcę, wyszli na korytarz i dalej rozmawiali. Kim i Milo stali obok siebie, trzymali się za ręce i zadawali pytania, których Aldrin zapewne oczekiwał, ale nie zdążył jeszcze omówić.

Słuchał ich cierpliwie, z powagą.

– Nie – odparł. – Nie macie zagwarantowanego miejsca na żadnym statku. Na razie taką gwarancję mają tylko kierownicy zespołów. Tak, ja jestem jednym z nich. Nie, Kim, przykro mi, ale nie ma żadnych wyjątków, nawet dla dzieci. Za jakiś czas, bliżej daty startu, kiedy już lepiej poznamy nasze potrzeby, zostaną również wybrani specjaliści i odpowiednio wykwalifikowani pracownicy. Jeszcze później odbędzie się seria losowań.

Kim wbiła wzrok w podłogę, z trudem hamując gniew i rozżalenie.

– Jeśli nie zapewnisz miejsca Libby – powiedziała cicho – nawet nie kiwnę palcem, żeby ci pomóc.

– Ani ja – dodał Milo, zaskakując samego siebie.

Aldrin pokręcił głową.

– To nie ja wymyśliłem te zasady – powiedział. – Musicie to zrozumieć. To, że jestem jednym z głównych projektantów, nie oznacza wcale, że mam jakiś wpływ na kryteria doboru pasażerów.

– A kto ma? – spytał Milo.

– Pieniądze – prychnęła Kim. – Któż by inny? Tak naprawdę o wszystkim decyduje pięć czy sześć banków, które trzymają łapę na światowych finansach.

– To mit – zaprotekował Milo.

– Nie, ona ma rację – poparł Kim Aldrin. – Pieniądze podlegają takim samym mechanizmom jak wszystko inne. Tworzą systemy wokół linii najmniejszego oporu i zbierają w kilku węzłach. Te węzły, czyli banki, to jedyne instytucje, które są w stanie zrealizować projekt taki jak ten.

– No dobrze, a co zrobimy, jeśli nie zechcemy współpracować? Przyjdą tu i zastrzelą nas? – dopytywał się Milo.

– Nie wiem – westchnął posępnie Aldrin. – Ale nie napytajcie sobie biedy. Dostosujcie się do ich reguł i spróbujcie poprawić swoją pozycję. Na razie po prostu będziemy robić, co do nas

należy.

W końcu pojawił się dozorca, by umyć podłogę. Pozdrowił ich skinieniem głowy i wszedł do biura.

– Znaleźliśmy się w całkiem nowej rzeczywistości – przemówił Aldrin, kładąc im ręce na ramionach. – Odpocznijcie teraz i spróbujcie się do niej przyzwyczaić. Załatwiłem wam wspólną kwaterę. Odsapnijcie. Zjedzcie coś. Za chwilę przyniosą wam ubrania.

– Wspólną kwaterę? – zdziwiła się Kim. – Skąd wiedziałeś? My dopiero co... wczoraj wieczorem...

– Jezu, dzieciaki – roześmiał się Adrian. – Wszyscy wiedzieli prócz was. A teraz zmykajcie.

Wycofał się do swojego biura i zatrzasnął drzwi. Z drugiej strony nadbiegła Libby i jej opiekunka, obie roześmiane i radosne.

– Ja wiedziałam – powiedziała Kim, chowając twarz w ramionach Mila.

Tymczasem świat na zewnątrz rozpadał się w coraz szybszym tempie.

Brudna bomba zamieniła Seattle w miasto duchów. Przemysł farmaceutyczny dotarł do punktu krytycznego i sam się unicestwił. Na całym świecie ludzie, którzy musieli stale przyjmować leki podtrzymujące życie, zaczęli masowo chorować i umierać.

Milo nie dostawał już leków na astmę. Kiedy dopadał go atak, po prostu musiał go przeczekać.

Plac budowy okrętów zamienił się w małe miasto. Miasto, o którym nikt nie wiedział i nad którym nikomu nie wolno było latać.

W największym budynku projektowano gigantyczne statki, pracami kierował Aldrin. Postanowiono stworzyć okręty na wzór żywych istot. Ich systemy miały oddychać jak płuca, przetaczać płyny jak serce, słyszeć, widzieć i myśleć, działać jak mózgi.

W innych budynkach zastanawiano się, jak ludzie – całe społeczeństwa! – mogą żyć i mieszkać na statku. Już na samym początku uznano, że będą szczęśliwsi, jeśli uwolni się ich od części ograniczeń społecznych. Konieczność odtworzenia rasy ludzkiej sprawi, że instytucja małżeństwa stanie się niepraktyczna. Wyglądało na to, że normy kulturowe na pokładach statków będą bardzo „swobodne”.

Te eksperymenty i wnioski miały duży wpływ na zachowanie społeczności zgromadzonej wokół projektu ARKA. Po jakimś czasie ich kultura i zachowanie zaczęły przypominać szkolną imprezę, na którą bardzo, bardzo trudno się dostać.

Milo i Kim żyli podobnie jak wiele innych rodzin. Zawierali przyjaźnie. Obchodzili święta. W ciągu dnia Libby szła do przedszkola, a Milo i Kim zajmowali się konstrukcją statków.

Zapraszano ich na przyjęcia. Zwykle brali w nich udział.

Zapraszano ich również do grup wolnej miłości, ale wtedy uprzejmie odmawiali. Milo i Kim postanowili zostać monogamistami.

Nie było to złe życie, jeśli tylko udało się choć na chwilę zapomnieć, że świat na zewnątrz skazany był na zagładę, a wraz z nim prawdopodobnie i oni.

Milo zmagał się od jakiegoś czasu z depresją. Nie z wszechogarniającą, przytłaczającą rozpaczą, która może człowieka kompletnie sparaliżować, lecz ze stałym, wysublimowanym smutkiem, który zdawał się wypływać z głębi stuleci.

Znów dokuczały mu głosy. Wszystkie kiedyś żyły na Ziemi, we wszystkich erach ludzkiego rozwoju. Teraz ta część historii miała dobiec końca. Gwałtownie i okrutnie.

Malarz z początku dwudziestego wieku, przedstawiciel fowizmu, bał się śmierci Ziemi znacznie bardziej, niż kiedyś obawiał się własnego zgonu w wyniku zapalenia płuc. Pobożna chłopka sprzed tysiąca lat nie buntowała się przeciwko swej śmierci, bo miała świadomość, że świat i Boże dzieła przetrwają. Teraz jednak i to było zagrożone.

Większość głosów milczała. Właśnie to przygnębiało Mila najbardziej – milczenie. Osiem tysięcy lat milczących głosów w jego głowie, patrzących na świat jego oczami.

- Co się dzieje? – spytała Kim pewnej nocy, gdy stał zamyślony przy oknie ich kwatery.
- Słyszę głosy – wyznał jej w końcu bez ogródek.
- Serio? – parsknęła dobrotliwie. – Ciągłe gadasz o nich przez sen.

Minął rok.

Statki otoczone stalowym ogrodzeniem nabrały kształtów. Najpierw wyglądały jak olbrzymie szkielety, każdy wielkości bloku mieszkalnego, oblepione rojem robotników i otoczone żurawiami budowlanymi. Było ich cztery. „Zwierciadło”, okręt eksperymentalny, miał zostać ukończony jako pierwszy, gdy mógł krążyć po Układzie Słonecznym, poddany największej próbie technicznej w historii ludzkości, a pozostałe – „Avalon”, „Atlantyda” i „Summerland” – miały wystartować tuż przed uderzeniem komety.

W świecie na zewnątrz gospodarka praktycznie już nie istniała.

– Wszystko wymiera w zastraszającym tempie – mówił Aldrin. – Nie rozumiem tego. Wszystkiemu, co się teraz dzieje, można było zapobiec. Przez ostatnie sześćdziesiąt lat patrzyliśmy beczynnie, jak nasi przywódcy wiozą nas prosto na betonowy mur i nawet nie próbują zahamować albo skrócić.

Siedzieli w laboratorium komputerowym. Ostatnio prawie go nie opuszczali. Olbrzymie chemiczne płuca statku nie działały prawidłowo. Milo i Kim całymi dniami doskonalili komputerowy model mechanizmu, który zdaniem Aldrina miał znaleźć przyczynę problemów.

Jeśli im się uda, będą świętować sukces.

W ośrodku ciągle coś świętowano, bo każdego dnia naukowcy odnosili kolejne sukcesy. Gdyby na plac budowy spadł nawet deszcz Nagród Nobla, nie byłby to wystarczający dowód uznania.

Model komputerowy w końcu zadziałał. Okazało się, że rośliny hodowane w sztucznych oskrzelach rozrastają się zbyt szybko. Część z nich trzeba było przesadzić na większą powierzchnię, niektóre być może do komór chłodzących, gdzie powstawał nadmiar pary wodnej.

Oczywiście uczcili to odkrycie. Świętowali wraz z zespołem, który wpadł na pomysł, jak budować osłony antyradiacyjne z kartonu i oleju arachidowego.

Pewnego razu, zmęczeni tłumem wypełniającym bary, Milo, Kim i Aldrin wyszli na otwartą przestrzeń z dala od placu budowy. Przystanęli na środku trawiastego pola, pod rozgwieżdżonym niebem, które przywodziło na myśl ocean lodu i ognia.

Rozpalili małe ognisko, jedli pianki żelowe, rozsiedli się wygodnie i pili wino.

- Tęsknię za moją żoną – oznajmił niespodziewanie Aldrin.
- Co?
- Nie wiedzieliście, że miałem żonę? – spytał. – To było dawno temu. Zmarła nieoczekiwanie.
- Ja wiedziałam – odparła Kim i ucisnęła delikatnie jego rękę.
- Nie chciałbym wcale, żeby wróciła teraz, w takiej sytuacji. Chcę tylko powiedzieć, że ten projekt wymaga samotności i zmusza do niej. A przecież jesteśmy gatunkiem społecznym,

prawda? Lgniemy do siebie. Nie jak chomiki. Chomiki żyją samotnie. Wiedzieliście o tym? Nawet nie lubią innych chomików. My przypominamy bardziej wilki. Kiedy wilki żyją jakiś czas oddzielnie, a potem się spotykają, skaczą wokół siebie, liżą się po pyskach i szaleją z radości. Nazywają to „wilczą radością”.

W oddali coś huknęło, w czarne niebo wystrzeliła fontanna iskier.

– To nie jest łatwy czas dla samotnych wilków – dodał Aldrin.

Położył dłoń na kolanie Kim i ścisnął je lekko.

O kurde... – pomyślał Milo. Co tu się dzieje?

Kim aż otworzyła usta ze zdumienia. Oprzytomniała jednak szybko.

– Chyba za dużo dziś wypiałam – powiedziała, wstając.

Aldrin, który wcześniej zabrał rękę z jej kolana, wbił wzrok w ogień.

– Wszyscy chyba trochę przesadziliśmy z winem – dodał Milo. Wziął swoją marynarkę i okrył ramiona Kim jej chustą.

– Ja jeszcze chwilę zostanę – powiedział Aldrin, pożegnali się więc i zostawili go przy ognisku.

Kiedy oddalili się już o jakieś trzysta metrów, usłyszeli długie, przeciągłe wycie.

– Pijany, napalony sukinsyn – mruknął Milo.

– Bądź miły – powiedziała Kim, biorąc go pod rękę. „Miły?” Milo zastanawiał się przez chwilę nad tym słowem.

Jego depresja zamieniła się w frustrację. Sądził, że praca, którą wkładali w integrację, w budowę statku, który miał działać jak żywy organizm, przyniesie wiele pożytku. Teraz jednak ich guru ukazał swą ludzką, aż nazbyt ułomną naturę. Co gorsza, utracił poczucie tego, co właściwe.

Mogłem się domyślić, że sprawy się skomplikują – pomyślał Milo.

Problemy są skomplikowane – powiedział egipski matematyk w jego głowie. Dlatego właśnie są problemami.

W wieczór kiedy odbyło się pierwsze losowanie, przygotowali ulubioną potrawę Libby – hamburger z dodatkową porcją sera i siekanymi parówkami – i oglądali jej ulubiony film, *Beverly Hills Chihuahua 47*. Kiedy dziewczynka zasnęła, praktycznie pożarli się nawzajem w swojej maleńkiej sypialni.

Przekaz, który chcieli zawrzeć w tym, był prosty i jednoznaczny: byli rodziną i kochali się nawzajem.

Nie zostali wybrani.

– Libby, Libby, Libby – szeptała Kim po północy, pochylona nad laptopem, gdy wyświetlano ostatnie numery. – Przynajmniej Libby, Libby, Libby, Libby, Libby – powtarzała niczym magiczne zaklęcie, które jednak nie miało żadnej mocy.

„Zwierciadło” nabrało ostatecznych kształtów. Mogło się wydawać, że na trawiastej równinie w Iowa zbudowali olbrzymią katedrę. Olbrzymi statek zdominował okoliczne wzgórza, nieproporcjonalnie duży i lśniący, jak obraz ze snu lub przywidzenie.

Kiedy wzbijał się ku niebu, przywodził na myśl wieloryba utkanego z ognia.

Ziemia i powietrze drżały, gdy wieloryb zaczął się unosić – najpierw powoli, odbijając w lśniącym kadłubie zielone wzgórza i kukurydzę. Wydawało się, że to jedna Ziemia odrywa się

od drugiej. Potem uruchomiono olbrzymie silniki główne, a okręt przesunął się przez niebo jak drugie Słońce.

Pogoda się zmieniła, wiatr podnosił ich włosy, fartuchy laboratoryjne i źdźbła świeżo skoszonej trawy. Wszyscy zmrużyli oczy, trzysta tysięcy dziewięćdziesiąt dwie osoby, które zostały na placu budowy, podczas gdy okręt znikał w oddali, coraz wyżej i wyżej.

Potem wrócili do pracy i odliczania dni dzielących świat od kataklizmu.

W końcu astronomowie amatorzy z Meksyku zauważyli kometę. Nazwali ją Marie. Ludzie w różnych częściach świata zaczęli kojarzyć fakty i domyślać się prawdy.

„Może dlatego właśnie zniknęli wszyscy naukowcy” – mówili.

Z tego też powodu kilku informatyków zatrudnionych przy projekcie ARKA zajęło się rozpowszechnianiem fałszywych informacji w internecie. Pisali, że w Andach na terenie Peru jest miejsce, do którego nie wolno się zbliżać i nad którym nie mogą latać samoloty. Udało się jednak zdobyć kilka niewyraźnych zdjęć satelitarnych, na których było widać namioty zamieszkałe przez kilka tysięcy ludzi oraz coś, co wyglądało na olbrzymie rakiety.

Ludzie ruszyli tłumnie do Ameryki Południowej, by szukać w Andach ratunku. Okazało się jednak, że wcale nie tak łatwo tam dotrzeć. Gdy załamała się światowa gospodarka, odwołano wszystkie loty pasażerskie. Podróż przez ocean była kosztowna i niebezpieczna, a większość dróg morskich pozostawała pod kontrolą piratów. Wszędzie królowało bezprawie.

Dzięki rozpowszechnianiu fałszywych pogłosek jeszcze przez jakiś czas naukowcy w Iowa mogli spokojnie pracować przy budowie pozostałych statków.

Mijały miesiące.

Okręty nabrały ostatecznych kształtów. Sprawdzano ich układy anatomiczne – statki oddychały, ich serca pompowały płyny, mózgi rozwiązywały skomplikowane problemy, a silniki przeżyły mechaniczne mięśnie.

Na całym placu budowy przyspieszono prace. Ludzie ciężiej pracowali, dłużej bawili się w barach, mocniej się kochali. Obserwowali wskazówki zegara i niebo, wyczekując powrotu „Zwierciadła” i exodusu, który miał nastąpić.

Niektórzy pracownicy zatrudnieni przy projekcie dopiero teraz uświadomili sobie, że nie pożyją już długo. Przesiadali w barach, ale zachowywali spokój. Ten i ów zaczęli przedzierać się nocami za ogrodzenie. Nim świat się skończy, chcieli zobaczyć swoje rodziny lub przyjaciół. Jeszcze inni mieli nadzieję, że uda im się przeżyć, i chcieli przygotować się do przeżycia katastrofy.

Milo i Kim w ogóle nie poruszali tego tematu. Kim zachowywała się tak, jakby była pewna, że przypadek lub sprawiedliwość uratują chociaż jej dziecko. Milo wiedział jednak, że w rzeczywistości przeżywa męczarnie. Zamiast o tym rozmawiać, pili. Nie chodzili do barów, po prostu pili. Przez jakiś czas zastępowali rozmowę seksem. Potem do ich relacji wkradły się smutek i zniechęcenie, przestali się kochać, ot tak, z dnia na dzień. Wtedy Libby zaczęła spać w ich łóżku, między nimi.

Świat już się skończył – pomyślał Milo. Widać to było na twarzach ludzi: wydawali się zdezorientowani i roztrzęsieni, jakby coś ich ugryzło, lecz nie wiedzieli co. Milo coraz częściej spotykał osoby płaczące w ukryciu, które na jego widok ocierały łzy i odchodziły szybko, zawstyżone.

Milo nie płakał. Zaczęły go jednak dręczyć ataki astmy tak gwałtowne, że niemal pozbawiały go przytomności. Nikomu o tym nie mówił.

W jego głowie – a może w duszy, sam już nie wiedział – wciąż pobrzmiwały głosy, które próbowały mu pomóc. Rybak z Krakatau, który widział już koniec świata podczas erupcji wulkanu słyszanej na całym świecie. Ośmiolatka, która była świadkiem, jak zaraza atakuje jej wioskę, zabiera jej rodzinę, a potem wpełza jej do gardła. Bankier, który podjął zbyt duże ryzyko i skoczył z dachu giełdy zboża.

Świat już się kiedyś skończył – mówili. Dlaczego nie miały się skończyć raz jeszcze?

Choć może trudno w to uwierzyć, te historie i argumenty nieco podnosiły Mila na duchu.

Większość narodów tonęła w chaosie i bratobójczych walkach. Internet zachłysnęła się apokaliptycznymi wiadomościami, rozblęsnęła i zgasła.

Pewnego ranka, gdy Milo wszedł do laboratorium, Kim i Aldrin przekrzykiwali się ze złością, prowadząc najwyraźniej jakąś zajadłą kłótnię. Na jego widok oboje umilkli i odwrócili się od siebie, zaczerwienieni.

– Co tu się stało? – spytał Milo.

– Nic ważnego, po... – zaczął Aldrin.

– Co tu się stało?! – ryknął Milo, przewracając kopniakiem najbliższe krzesło. – Byłbym wdzięczny, gdyby choć jedno z was okazało mi trochę uprzejmości i przestało mnie traktować jak idiotę.

– On – przemówiła drżącym głosem Kim, wskazując na Aldrina. – Mówi, że załatwi nam miejsce na „Summerlandzie”, jeśli zostanie...

Nie była w stanie wykrztusić ani słowa więcej.

– Jeśli zostanie kim? – spytał Milo.

– Częścią waszej rodziny – dokończył Aldrin, składając ręce za plecami i starając się przemawiać z godnością.

– Częścią waszej rodziny? – powtórzył Milo, przesuwając się w jego stronę. – Coś mi się wydaje, że tak naprawdę to znaczy: „Chcę pieprzyć twoją żonę”.

(Oto kolejny zwiastun końca świata – wtrącił egipski matematyk).

– To nie takie proste – odparł Aldrin. – Ani nie takie ordynarne.

Stali teraz naprzeciwko siebie, niemal dotykając się nosami.

Kim przystanęła obok, zaniepokojona. Nigdy nie widziała, by Milo kogoś uderzył, wydawało się jednak, że teraz gotów jest zrobić komuś krzywdę, a to tylko pogorszyłoby ich sytuację. W ośrodku nie tolerowano przemocy.

Tymczasem w dżungli, jaką stał się umysł Mila, działo się coś bardzo dziwnego i skomplikowanego. Tajemniczy wewnętrzny głos krzyczał na niego, jakby tysiące poprzednich żywotów próbowało dać mu dobrą radę. Dusza ukryta za jego gniewem próbowała postąpić naprawdę mądrze.

Tysiące głosów przekonały Mila, by zachował spokój i zastanowił się przez minutę.

W końcu przemówił:

– Wayne, kochamy cię. A biorąc pod uwagę straszną przyszłość, jaka czeka Ziemię, twoja propozycja wydaje się sensowna. Mam jednak pewien problem: dlaczego nie przedstawiłeś tej... propozycji nam obojgu? Co więcej, jak możemy zignorować fakt, że brzmi to tak, jakbyś próbował wykorzystać Libby i swoje wpływy, żeby zaciągnąć Kim do łóżka? To do ciebie

niepodobne. Tak nie postępuje Wayne Aldrin, którego znam. Odpowiedz najpierw na te pytania, a potem się zastanowię, czy nie wybić ci zębów kluczem francuskim.

Aldrin skinął głową.

– Dziękuję, że o to spytałeś – powiedział. – Na swój sposób byłeś cierpliwy. Odpowiedz na to naprawdę ważne pytanie brzmi: nie zmieniłem się. Nie chcę, byście się prostytuowali, ani nie chcę brać Libby na zakładnika.

– Więc o co ci właściwie chodzi? – spytała Kim.

– Wprowadzili zmianę – tłumaczył Aldrin. – Dotyczy tylko wybranych wcześniej kierowników zespołów. Z jakiegoś powodu postanowili dać szansę naszym najbliższym rodzinom. Przypuszczam, że sytuacja zaczyna im się wymykać spod kontroli. Chcą mieć pewność, że zespoły zachowają sprawność i będą pracować nadal, więc rzucają kierownikom ochłap.

Milo dostał nagle ataku astmy.

– Mów dalej – wyrzęził.

– Cóż, właściwie to wszystko. Nie próbuję zaciągnąć twojej żony do łóżka. Chciałbym wprowadzić twoją rodzinę na pokład.

Milo mógłby przysiąc, że odczytał w tym momencie myśli Kim. A właściwie jedną myśl, jeden priorytet: Libby, Libby, Libby, Libby, Libby...

Boże, nie chciał tego.

W końcu były *jego* rodziną, do cholery.

– Zrobimy to? – spytał, patrząc na Kim.

Kim nie mogła powstrzymać płaczu, ogarnięta ogromną ulgą. Łzy ciekły jej strumieniem po policzkach.

– Tak – odparła.

Potem wszyscy się rozeszli, zawstydzeni, zajęli się pracą i omijali się wzrokiem aż do lunchu, kiedy to udali się we troje do biura notarialnego w części administracyjnej i otrzymali ślub na mocy decyzji czegoś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak automat z napojami.

Kometa pojawiła się na nocnym niebie.

– Jest piękna – mówili niektórzy. Nocą wychodzili na wzgórza wokół statków. Każdej nocy rozsiadali się na kocach, jakby przyszli oglądać fajerwerki. Pary, większe grupy, całe zespoły małżonków.

Milo, Kim i Libby wprowadzili się do kwatery Aldrina. Była większa, lepiej wyposażona.

– On ma zmywarkę! – wykrzyknęła Libby, uznawszy najwidoczniej, że to nieomylna oznaka swego rodzaju ewolucji ich rodziny.

Milo i Kim spędzali nocę w sypialni Aldrina. On sam był na tyle taktowny, że spał na sofie. Przeszli dziwny, krępujący proces: najpierw nie kochali się w łóżku Aldrina, tak jak nie kochali się we własnym. Potem ogarnęła ich jakaś niewytłumaczalna desperacja i uprawiali seks przez trzy noce z rzędu. Potem znów przestali. Na dobre. Co więcej, Kim wzdrygała się pod dotykiem Mila.

– Co się dzieje? – szeptał Milo. – Boisz się, że twój mąż usłyszy?

– Co się dzieje? – odpowiedziała jak echo Kim, gdy Milo nie chciał dać za wygraną. – Boisz się, że twój mąż usłyszy?

Libby całymi dniami bawiła się zmywarką, wysuwając i wsuwając wózek na naczynia. Patrzyła na Aldrina jak na wielkiego, przyjaznego psa, z którym przyszło im zamieszkać.

Ze zwykłego tchórzostwa nie próbowali jej niczego tłumaczyć.

O dziewiątej rano rozpoczęło się drugie losowanie. Tego samego dnia administracja ogłosiła, że nawiązała kontakt ze „Zwierciadłem”.

Wszystko działało, jak należy. Okręt mknął przez kosmos jak srebrna jaskółka.

Specjalna loteria dla kierowników zespołów dawała im osiemdziesiąt procent szans. O zmierzchu wiedzieli już, że Libby ma zapewnione miejsce na statku. Kim poszła do łazienki i płakała. Nie cicho i dyskretnie, lecz rycząc jak osioł.

– Po co w ogóle wychodziła z tym do łazienki? – spytał Aldrin. Dwaj mężowie po raz pierwszy śmiali się razem.

O dziewiątej wieczorem mieli już pewność, że Kim również polecą.

Wszyscy wypili po kieliszku wina w kuchni. Nawet Libby.

O północy listy pasażerów były zamknięte. Milo nie znalazł się na żadnej z nich.

Nikt nie wiedział, co powiedzieć, więc milczeli.

Milo odszedł pewnej nocy.

Już kilka tygodni wcześniej postanowił, że tak postąpi, jeśli wyniki losowania okażą się właśnie takie.

Kupił w automacie śpiwór, namiot oraz menażkę i niezbędnik, wyszedł z budynku i urządził sobie małe obozowisko między wzgórzami.

Nie był sam. Na trawiastych zboczach widniały ciemniejsze plamy śpiworów. Tu i ówdzie płonęły ogniska jak czerwone gwiazdy. Tak wyglądała armia tych, którzy musieli zostać. Wszyscy woleli trzymać się z dala od srebrnych statków przyszłości.

Milo nie czuł się dobrze pośród tych ludzi, uczestników wielkiego przedumierania. Miał wrażenie, że znalazł się w jakiejś straszliwej, otchłannej pustce, a lęk i smutek przenikały jego brzuch dotkliwym fizycznym bólem, jakby ktoś operował mu żołądek bez znieczulenia. Wywołało to tak silny atak astmy, że zasnął z wyczerpania i śnił, że się dusi.

Nazywali siebie ludźmi Ziemi.

Rano niektórzy wstawali i szli do pracy. Inni wymykali się ukradkiem na pole kukurydzy. Milo nie wrócił do laboratorium. Wykonał tam już swoje zadanie. Ludzie Ziemi, którzy uciekali za ogrodzenie, porzucali też swoje stanowiska pracy, a ktoś musiał ich zastąpić.

Zajęli się tym ci, którzy zostali. To jedyne, co pozostało im z życia, które niegdyś było kompletne i ponadprzeciętne. Teraz nie liczyło się już nic, co wymagało czasu, lat i inwestycji na przyszłość. Marzenia i plany. Lęk przed starością. Pragnienia. Została jedynie praca, wspomnienia i seks bez zobowiązań. Głosy Mila przycichły, niemal całkiem zamilkły.

Dołączył do zespołów odpowiedzialnych za paliwo, pilnował, by różne substancje chemiczne były odpowiednio podgrzane lub schłodzone. Ubrany w skafander kosmiczny, pracował pośród kłębow lodowatej pary.

Starął się nie myśleć o niczym.

Pomagał właśnie tankować „Avalon”, kiedy przyszła Kim. Wyjechała na górę maleńką roboczą windą, w porze lunchu. Miała ze sobą prawdziwy, staroświecki lunch, kanapkę i napój.

Siedział obok zbiornika paliwa, z nogami zwieszonymi nad przepaścią. Dostrzegł buty Kim kątem oka, wyczuł jej obecność, gdy stanęła obok i spojrzała na niego z góry.

– Co ty wyprawiasz? – spytała. – Dlaczego odszedłeś w ten sposób?

Wstał.

– Wiesz dlaczego – odpowiedział.

– Mamy jeszcze trzy dni! – krzyknęła, uderzając go w pierś. – To nic dla ciebie nie znaczy?

Milo pokręcił głową.

– Musicie próbować być rodziną, we troje. Prawdziwą rodziną, zanim was zwiążą i gdzieś zabiorą. Potrzebujecie na to czasu, a ja wam go daję.

Objęła się ramionami i zacisnęła mocno powieki, ale nie płakała.

Przyciągnął ją do siebie i przytulił.

Usiłowała wsunąć dłonie pod jego skafander.

– Nie – wyszeptał Milo. – Idź. Bądź jego żoną. Spraw, żeby był twoim mężem.

Znów uderzyła go w pierś. Delikatnie, bez siły. Przez chwilę kołysali się w miejscu, oparci o siebie czołami.

– Libby? – spytał Milo.

– Próbowaliśmy jej wyjaśnić. Musieliśmy spróbować i powiedzieć jej wszystko, naprawdę, rozumiesz, za dwa dni odlatujemy. Musieliśmy też wytłumaczyć, co się stało z tobą i... No cóż, czego się można było spodziewać... Musieliśmy jej dać środki uspokajające. To wszystko, co mogę ci powiedzieć. Ona cię kocha. I ja cię Kocham.

Milo skinął głową. Pocałował ją w czoło.

Po minucie zrobiła to, co musiała zrobić. Wsiadła do windy i zniknęła mu z oczu.

Tego dnia po pracy Milo przystanął na zboczu wzgórza i spojrzał na plac budowy. Statki czekały gotowe do lotu, z nosami wzniesionymi ku niebu, które wraz z zielenią traw odbijało się w ich kadłubach.

Odwrócił się ku ogrodzeniu, powiódł po nim wzrokiem. Czy ochronić ich, kiedy nadejdą? Bo na pewno nadejdą, gdy zobaczą startujące statki. Tego nie można było ukryć. Zobaczą i przyjdą.

Ludzie Ziemi cierpliwie wykonywali swoje zadania.

Trzeciego ranka pomagali w załadunku.

Zamknęli potężne włazy i przygotowali silniki.

A potem uciekli między wzgórze.

Wtedy stało się to, co musiało się stać.

Rozległ się potężny huk, ziemia zadrżała, powietrze zrobiło się mętne jak brudna woda, a potem nadeszły fale uderzeniowe.

„Avalon” wypluł z siebie potężne smugi ognia, uniósł się nad ziemię i wzbił w niebo.

Potem wystartowała „Atlantyda”.

Na koniec ten, który zabierał im wszystko, co najdroższe, „Summerland”. Ten widok poruszył ich i zabolał w sposób, którego się nie spodziewali, bo gdy okręt zniknął im z oczu – a zniknął zaskakująco szybko – wszystko naprawdę się skończyło. Oto dokonali tego, co mieli dokonać, a teraz stali tu nieruchomo i spoglądali na siebie, martwi, choć jeszcze żywi, pozbawieni celu i nadziei.

Rozpalali ogniska. Ogniska halloweenowe. Małe ogniska samotników. Wielkie ogniska dla całych grup. Niektórzy zaanektowali żurawie i budowali piramidy lub olbrzymie wieże Jenga. Nie brakowało wśród nich architektów i inżynierów, więc pod koniec tygodnia na opustoszałym placu budowy, liczącym kilka kilometrów, powstała cała kolekcja wspaniałych, zadziwiających konstrukcji.

Nocami spali, wyczerpani.

Kto wie, co robili inni ludzie w różnych zakątkach Ziemi?

Milo zbudował z drewna gigantycznego człowieka. Miał olbrzymie usta, ptaszka i wszystko co trzeba.

Ostatniego ranka pod ogrodzenie podeszli ludzie z zewnątrz.

Najpierw stali za siatką, wczepiając w nią palce, niczym ptaki uwięzione w klatce. Potem przeszli górą lub przecięli druty. Niektórzy byli rozgniewani, ale gdy zobaczyli ogniska, piramidy, wieże i wielkiego drewnianego człowieka, uspokoili się i nie chcieli robić nikomu krzywdy. Zrozumieli, że cokolwiek się tutaj działo, dawno już dobiegło końca, a na miejscu została tylko grupa skazańców, takich samych jak oni.

Gdy zapadła noc, rozpalili ogniska.

Całą okolicę rozświetlał upiorny blask fałszywego dnia, a powietrze wypełniał ciągły huk, jakby natura w szyderczy sposób naśladowała start okrętów kosmicznych. Gdzie one teraz były? Wisiały na orbicie? Czy wybrańcy obserwowali ich z góry?

Między wzgórzami słyhać było pogańskie wrzaski i wycie, ludzie podskakiwali dziko lub zbijali się w grupy. Niektórzy śpiewali. Inni milczeli.

Głosy w głowie Mila umilkły, ostatecznie i całkowicie. Wszystkie już kiedyś doświadczyły śmierci. Nie zamierzały brać udziału w tej.

Kiedy zapadły całkowite ciemności, na niebie pojawiła się kometa. Przerazająca.

Jakaś kobieta przeszła koło Mila chwiejnym krokiem, wołając:

– Terry! Terry!

Tak właśnie kończy się świat? – pomyślał Milo. Ludzie chodzą w kółko, wrzeszcząc „Terry”?

Kometa rozbłysła jaśniej, pędząc w ich stronę z ogromną prędkością.

Niebo rozdarł olbrzymi, niewyobrażalny huk.

Nadciągnęła roztańczona grupa mężczyzn i kobiet, nagich i pijanych, z obłędem w oczach.

– Tańcz z nami! – wyli, szarpiąc Mila za rękę. Wyrwał się z ich uścisku i odskoczył na bok, obnażając zęby niczym pies.

Grzmot jak tysiąc startujących rakiet.

Ziemia pod ich stopami pękła na pół, powietrze wypełniło się ogniem.

– Terry! – krzyknął ktoś przeraźliwie.

Potem zapadła ciemność. Nic.

Rozdział 11

Powódź

Milo wpadł w Zaświaty jak wystrzelony z procy.

Dokoła woda falowała i uderzała o brzegi. Rzeka wiała się w konwulsjach, jakby ktoś wpuścił do niej wodę z przepelnionej kanalizacji burzowej. Tak się właśnie dzieje, gdy mnóstwo ludzi umiera naraz. Zaświaty mogą pęknąć jak tama.

Milo znalazł się we wzburzonej rzece, pełnej miotających się ciał i zrozpaczonych głosów. Pełnej dusz rozczarowanych faktem, że doświadczyły końca świata i trafiły w Zaświaty, które również zdawały się rozpadać.

Pomyślał, że Suzie musi mieć masę pracy.

Minął dzień. Od czasu do czasu w pobliżu przepływał dom, ludzie wspinali się na niego. Nieco rzadziej pojawiały się całe wyspy, na których natychmiast zbierał się tłum zmarłych.

Milo płynął z prądem i relaksował się.

Rzeka płynąca między światami nie była taka jak ziemskie rzeki. Nie dało się w niej utopić. Mogła nieść duszę jak liść albo owada. Mogła zachować ją jak odbicie.

Milo poddał się jej całkowicie.

Po jakimś czasie opadł na dno i wbił się nogami w błoto, by zapaść w sen i kołysać się łagodnie jak wodorost.

Zanurkowała i wyrwała go z dna, wzbijając obłok mułu.

Półprzytomny, protestował niczym zaspane dziecko.

Przemoczeni, siedzieli na brzegu i trzymali się za ręce. Kiedy jego umysł oczyścił się już z resztek snu, Milo zauważył, że rzeka wróciła do swego normalnego stanu. Wrzeszczący tłum zniknął. Na drzewach i w przybrzeżnym parku leżały jeszcze jakieś śmieci naniesione przez wodę, ale poza tym wszystko wyglądało tak samo jak podczas ostatniej wizyty Mila.

Zastanawiał się, ile czasu zajęło opanowanie kryzysu.

– Tydzień – wyszeptała Suzie.

– Byłem w rzece przez tydzień?

Przycisnęła palec do jego ust.

– Nie chcę tego słuchać – powiedziała. – Nie myślisz chyba, że przez cały ten czas siedziałam z palcem w tyłku. Posłuchaj: umarli niemal wszyscy ludzie na świecie.

– Spokojnie – odparł Milo. – Rozumiem. Byłem tam.

Była bardzo, bardzo zmęczona. Widać to było nawet po jej skórze, która straciła barwę i zrobiła się półprzezroczysta.

Ułożyła się na jego kolanach niczym kot i zasnęła.

Obudzili się wciśnięci w błoto na brzegu rzeki. Ktoś, kto rzucał wyjątkowo duży cień, stał nad nimi i laskotał Mila w usta długim, suchym zielskiem.

Milo odrzącił zwiędłą roślinę i usiadł prosto, mrugając gwałtownie oczami.

– Mama – powiedział. – Cześć.
– Jesteście słodcy – stwierdziła Mama.
– Daj mi spokój – wymamrotała Suzie, nie otwierając oczu.
Mama klasnęła w swe pulchne dłonie.
– Ruchy, ruchy! Wszystko wróciło wreszcie do normy, więc Nan chce, żebyście do niej przyszli.
– Do jej domu? – zdziwił się Milo.
– Dlaczego? – chciała wiedzieć Suzie, niezadowolona.
Mama przewróciła oczami.
– Nie mam sił na bzdury – oznajmiła. – Chodźmy i zróbmy, co do nas należy, zgoda?
Poszli. Ubłoceni, niewyspani i zirytowani, ale poszli.

Wiele żywotów temu, kiedy był dzieckiem uczęszczającym do szkoły w Ohio, Milo (tak jak wszystkie dzieciaki z okolicy) bał się okropnie pewnej przerażającej wdowy, niejkiej pani Armentrout. Wszyscy bardzo uważali, by nie postawić stopy na trawniku pani Armentrout, bo podchodziła wtedy do drzwi i wymyślała im albo waliła wściekle w okno, co brzmiało jak strzały ze strzelby (jeden z dzieciaków, Leonard, narobił kiedyś w spodnie ze strachu). Gdy pewnego dnia Milo przechodził obok jej domu, ugryzł go bezpański pies. Wdowa wyszła i odgoniła psa skórzanym pasem. Potem zabrała płaczącego, roztrzęsionego chłopca do swojej kuchni i dała mu coli z odrobiną wódki. Kiedy pił, ona zapaliła pall malla i zadzwoniła do jego matki.

Nan przypominała mu panią Armentrout, a jej dom wydawał mu się podobny do domu samotnej wdowy.

Z zewnątrz wydawał się niepozorny i nieciekawym, otoczony wyschniętym trawnikiem i zapuszczonym ogrodem. Jednak gdy weszło się do środka, natychmiast ożywał.

Przekraczając próg domu Nan, każdy z gości odnosił wrażenie, że znalazł się nagle w rozjazgotanym tłumie, gospodyni miała bowiem około osiemdziesięciu pięciu telewizorów, a każdy był stale włączony i nastawiony na inny kanał. Nie były to jednak płaskie, nowoczesne odbiorniki, lecz wielkie pudła z lat sześćdziesiątych: drewniane krążowniki z potężnymi pokrętłami. Na wszystkich siedziały duże lalki, otoczone zdjęciami w ramkach. Wydawało się, że Nan właściwie nie zwraca na nie uwagi, ale wystarczyło wyłączyć którykolwiek z telewizorów lub zmienić kanał, by oburzyła się głośno, nawet jeśli była wtedy w drugiej części domu.

Wnętrze budynku stanowiło swego rodzaju pole minowe usiane... przedmiotami. Na wszystkich stołach zalegały porcelanowe figurki, lalki i misy z plastikowymi owocami. Każda pozioma powierzchnia wyposażona była we własną popielniczkę, a w każdej z nich piętrzyła się sterta niedopałków. Na ścianach pokrytych okropną tapetą z lat siedemdziesiątych wisiały nieprzeliczone, małe obrazki przedstawiające Wenecję, psy lub wazy. Nie brakowało też prawdziwych waz ani zdobionych kubków, które jakby czekały, aż ktoś je strąci. Przez dom Nan przechodziło się, trzymając łokcie przy bokach. Należało ostrożnie stąpać i ostrożnie siadać, bo wszędzie były też koty.

Wszędzie. Niezliczone.

Jeśli telewizory były oczami, sercem i krwią budynku, to koty były jego oddechem. Przechodziły z miejsca na miejsce całymi stadami, jakby pokoje je wydychały, a potem wciągały

z powrotem. Od czasu do czasu wszystko na moment nieruchomiało, jakby dom odpoczywał, po czym znów wszczynął się ruch, jakby cały budynek głęboko westchnął, uruchomił alarm wyczuwany tylko przez koty połączone z nim jakąś tajemniczą, niesamowitą więzią.

Zostawili ubłocone buty na zewnątrz i przeszli do kuchni, gdzie Nan paliła papierosa i oglądała *Familiadę* na małym przenośnym telewizorze.

– Miło cię widzieć – przywitał się Milo.

– Usiądźcie – odparła beznamiętnym tonem. – Poczęstowałabym was czymś, ale oddałam wszystko ludziom z organizacji humanitarnych, kiedy przyszli tu po prośbie.

– To ładnie z twojej strony – zauważyła Suzie.

– Nie lubię takich protekcyjnych uwag.

Zajęli miejsca wokół stołu i siedzieli w milczeniu.

W końcu Suzie przemówiła:

– Możemy już dać sobie spokój z tą głupotą?

– Ta głupota, jak ją nazywasz, wcale nie jest głupia – odpowiedziała jej Mama.

Milo podniósł rękę jak uczeń w szkole.

– Nie wiem, o jakiej właściwie głupocie mówicie, ale chyba dotyczy mnie, a ja nie mam najmniejszego pojęcia...

– Uważam, że to, co zrobiłeś dla swojej rodziny w ostatnim życiu, to akt Doskonałości – wyjaśniła Suzie. – Moim zdaniem to oczywiste. Te dwie jędze nie zgadzają się ze mną. Głosuję na „tak”.

– Nie będzie żadnego głosowania – odparła Mama. – Życie albo jest doskonałe, albo nie. Nan i ja rozumiemy, dlaczego twoje ostatnie życie takie nie było, a Suzie nie.

Milo wstał i zaczął przygotowywać sobie kawę.

Nie próbował jeszcze ocenić swojego ostatniego żywota. Po uderzeniu komety nie miał okazji o tym pomyśleć. Teraz jednak, po krótkiej analizie, wpadł w złość.

– Chciałbym wiedzieć, co było choć odrobinę niedoskonałe w życiu, które tam wiodłem – powiedział gniewnym tonem.

Paliły go oczy. Przełknął ciężko. Gdzieś na tyłach domu miauknął kot.

– Nawet nie zbliżyłeś się do Doskonałości – powiedziała Nan.

– Zastanów się nad tym – dodała Mama. – Wróciłeś na Ziemię z gotowym planem, tak?

– Wróciłem, żeby krzewić miłość przez duże M, okazywać bezinteresowność i poświęcać się dla innych. I co zrobiłem? Oddałem dwie najdroższe mi kobiety innemu mężczyźnie, by miały szansę przeżyć. Rozumiecie, co to oznacza? Jaki to koszt emocjonalny? Oczywiście, że nie. Dlatego właśnie wy... – tu wskazał palcem na Mamę i Nan – zawsze tak bardzo staracie się wejść w rolę ludzi i dlatego nigdy wam to nie wychodzi. – Objął wymownym gestem dom, telewizory i koty.

Nan zmrużyła oczy i zaciągnęła się mocniej papierosem, ale nie odpowiedziała.

Milo nastawił ekspres do kawy i usiadł, czekając.

Mama objęła go swym wielkim, miękkim ramieniem.

– Opowiedz mi o ogrodzeniu – poprosiła.

O ogrodzeniu?

– O drucianej siatce, którą otoczyliście plac budowy, żeby nie dostał się tam nikt z zewnątrz.

O cholera.

– Statki były jak szalupy ratunkowe – tłumaczył. – Nie wystarczyłoby miejsca dla wszystkich. Niech no zgadnę: zbliżyłbym się do Doskonałości, gdybym pomógł jakoś całej planecie.

Wszystkim ludziom na Ziemi.

Mama skinęła głową. Nan również. Suzie wbiła gniewne spojrzenie w podłogę.

– Jaką konkretnie pomoc masz na myśli? – spytał Milo. – Bo wybór był prosty: albo odlatujesz i żyjesz, albo zostajesz i giniesz zabity przez kometę.

– A jednak nie wszyscy zginęli – odparła Mama. – Ci, którzy ocalili, będą powoli odbudowywać cywilizację, krok po kroku. Mógłbyś im pomóc, przyspieszyć trochę ten proces.

– Jasne, teraz mogę tak myśleć – parsknął Milo. – Ale skąd miałem wiedzieć, że ktoś ocaleje, kiedy byłem jeszcze na Ziemi?

W kuchni zapadło niezręczne milczenie.

– Gdyby to było łatwe, nie nazywaliby tego Doskonałością – wyszeptała Mama.

– Ratuując tych, którzy brali udział w projekcie, optymalnie wykorzystaliśmy dostępne środki i czas – tłumaczył Milo. – Nawet bogowie nie mogą zaproponować lepszej alternatywy.

– Nie jesteśmy bogami – zaprotestowała Suzie.

– Och, cicho bądź – szepnęła Nan. – Oni i tak nie rozumieją tej różnicy.

– Tak czy inaczej to nieistotne, co myśli którakolwiek z nas – westchnęła Mama. – Dwa i dwa to cztery. Woda jest mokra.

Ekspres do kawy wydał smutny brzęk. Milo go zignorował.

– Więc jak mam dokonać tego doskonałego wyboru? – spytał. – Na koniec zawsze się okazuje, że to jakaś cholerna zagadka z ukrytym haczykiem.

– Nie wiem – warknęła Nan. – Bądź sprytniejszy? Uważniejszy? To *twoje* zadanie. Kiedy zrobisz coś doskonałego, na pewno zauważymy. To ma być coś zdumiewającego, zaskakującego i niemożliwego, a jednak prawie wszystkim udaje się tego dokonać w ciągu co najwyżej dziesięciu tysięcy żywotów. Wszystkim prócz ciebie. Tyle wiem.

Światło za oknami przybladło. Do kuchni zaczęły się schodzić koty.

Pora karmienia.

Pora się pożegnać.

Nan zwróciła się do Mamy i Suzie:

– Jego dom powinien być już gotowy. Jeśli chcecie, możecie zostać, napić się jego kawy i kłócić się przez całą noc. Za trzy minuty zaczyna się *MasterChef*.

Suzie wstała od stołu.

– Odprowadzę go.

– Ciekawe, czemu mnie to nie dziwi – mruknęła Nan, zapalając następnego papierosa.

Kiedy przechodzili przez wyschnięty trawnik przed domem, Milo wziął Suzie za rękę.

– Czy to daleko stąd? – spytał. Miał nadzieję, że jego nowy dom znajduje się w pobliżu. Podobała mu się okolica, w której mieszkała Nan.

– Jeszcze tam nie idziemy. Najpierw chcę ci coś pokazać.

W jej głosie pobrzmiwała nuta podniecenia. To nie było daleko.

Szli w górę zbocza, brukowaną ulicą, wzdłuż której ciągnęły się witryny sklepowe i szpaler wiktoriańskich latarni. Witryny było ogromne, zdobione ciężkimi drewnianymi listwami. Nad drzwiami wisały połączone szyldy.

Zatrzymali się przed sklepem pozbawionym jeszcze nazwy. Okna zamazano wodą z mydłem, brakowało również szyldu.

– Zamknięte – zauważył Milo, lecz gdy Suzie wyjęła klucz i otworzyła drzwi, przypomniał

sobie.

– Twój sklep! – wykrzyknął. – Twój sklep ze świeczkami.

– Mój lokal – sprostowała. – Gdzie będzie sklep ze świecami.

Gdy weszli do wnętrza, klasnęła w dłonie, rozpalając w magiczny sposób sto świec jednocześnie.

– Zrobiłam na razie pierwszy krok i podpisałam umowę najmu. Następnym krokiem będzie... co? Pewnie wypełnienie wnętrza świecami. Pomalowanie ścian. Szyld z chwytliwą nazwą.

Milo podniósł jedną ze świec: wysoką figurkę królika w kolorze bursztynu.

Przyjrzał się innym woskowym rzeźbom o przeróżnych kształtach. Rycerz. Snoopy. Budda. Matki Ziemi z krągłymi ciężowymi brzuchami. Owoce. Świece w kształcie samochodów, domów, koni i czaszek. Kobry. Tancerki. Aniołowie. Duchy.

Były piękne i realistyczne. Wiele z nich wyglądało tak, jakby miało coś zaraz powiedzieć.

– Widzę, że byłaś bardzo zajęta – zauważył Milo. – Co rodzi ważne pytanie.

– Jakie?

– Czy to oznacza, że odchodzisz? No wiesz, rezygnujesz ze swojej pracy?

Nie odpowiedziała.

– Rozumiem – westchnął – najwyraźniej nie, bo właśnie masz za sobą tydzień ciężkiej pracy, kiedy musiałaś przeprowadzić na drugą stronę prawie cały świat. Ale nie możesz jednocześnie przygotowywać świeczek, zajmować się umierającymi i prowadzić sklepu. Mam rację?

– Masz. To następna sprawa, którą muszę się zająć, ale prawdę mówiąc, trochę mnie to przeraża.

Wzięła głęboki oddech i zacisnęła w dłoni pasmo swych długich włosów.

Milo uniósł brwi.

– Śmierć się czegoś boi? – spytał ze zdumieniem.

– Dziwisz się? Przecież teoretycznie nie ma takiej możliwości. Czy Lato może odejść i zatrudnić się w cyrku? Czy Piękno może złożyć rezygnację i podjąć pracę w schronisku dla zwierząt? To naruszy równowagę...

– O Boże! – przerwał jej Milo, wymachując rękami. – Jeśli jeszcze raz usłyszę o tym, jak to wszystko musi pozostawać w równowadze, po prostu spalę się z wściekłości. Naprawdę.

– To tak jakbyś złościł się na wodór albo jabłonie.

Milo milczał przez chwilę, dysząc gniewnie.

– Jestem zmęczony – powiedział w końcu.

– Cóż, ja idę spać – oznajmiła Suzie. – Rozłożyłam sobie łóżko polowe na zapleczu. Mogę ci narysować mapkę z trasą do twojego domu. Jest bardzo, bardzo ładny. Możesz też zostać ze mną, zrobimy wtedy szczęśliwego kucyka.

– Co?

– Czytałam o tym w gazecie. Wygląda tak, jakby kobieta jechała na kucyku. Mężczyzna jest wtedy bardzo zadowolony.

Poszedł za nią na zaplecze.

Przez następne dwa tygodnie żyli jak miliardy innych par. Spali razem. Wstawali, by wyjść razem do łazienki w środku nocy. Miewali humory. Oglądali telewizję i zostawiali sobie kartki z wiadomościami.

Robili też pranie, choć nie mieli o tym pojęcia, więc ciągle coś im się kurczyło albo farbowało.

Suzie miała sporo dziwnych ubrań roboczych, takich jak czarne peleryny, jedwabne tuniki i płaszcze z setką kieszeni. Pewnego razu Milo włożył jej obszerny czarny płaszcz z kapturem, zaszedł ją od tyłu i zawołał przeciągle:

– Nadszedł twój czaaaaas!

Suzie malowała sufit pędzlem zamocowanym na długim, rozkładanym uchwycie. Zamarła na moment, obdarzyła Mila spojrzeniem zimnym jak arktyczny lód i wycedziła przez zęby:

– Odłóż. To.

Odłożył.

Kochali się często i namiętnie. Musieli kupić nowe łóżko, bo połamali polówkę Suzie.

Czasami musieli też radzić sobie w trudniejszych chwilach. Jak wtedy gdy Suzie wyszła do pracy i wróciła roztrzęsiona, bo w pożarze szkoły zginęło wiele dzieci. Zawsze było jej przykro, gdy śmierć sprawiała ludziom szczególny ból i cierpienie, mimo że potem przecież żyli ponownie. Właśnie dlatego żywi tak bardzo się jej bali i nienawidzili jej. Tamtego wieczora Milo trzymał ją w ramionach przez godzinę, gdy drżała i wpatrywała się w podłogę. Nie chciała z nim rozmawiać ani płakać, co zapewne zrobiłby Milo.

Tymczasem Zaświaty funkcjonowały w tym samym, niezmiennie zmiennym rytmie. Przypominały ziemską rzeczywistość i zarazem rzeczywistość ze snu. Dni przychodziły i odchodziły. Ulice zmieniały kierunek. Równowaga Nieba i Ziemi trzymała się własnego, nieodgadnionego planu. W górze płynęły chmury. Padał deszcz. Księżyc zmieniał kształt.

– Chciałbym, żeby tak było zawsze – powiedział Milo do Suzie pewnego niedzielnego poranka (Przynajmniej w ich domu była niedziela. Na następnej ulicy mógł być czwartek albo wtorek. W Zaświatach takie rzeczy szybko się działy).

Leżeli razem na kanapie, ze splecionymi nogami, i czytali gazety.

Suzie uścisnęła go lekko swoimi łydkami.

To jest to – pomyślał. To jest właśnie Doskonałość.

Bardzo niewielu ludzi wie, jak nie ingerować w taką chwilę i jej nie spieprzyć.

Milo do nich nie należał.

– Właśnie dlatego – mówił – kiedy znów wrócę na Ziemię, zdobędę wszystko, czego trzeba do sukcesu.

Suzie spochmurniała.

– Co to właściwie oznacza? – spytała.

Jak objaśnić jej pomysł, na który wpadł podczas porannej kawy?

– Nie mogę sobie pozwolić na przegraną – tłumaczył – więc postaram się o specjalne moce.

Spojrzała na niego z nieco większym zainteresowaniem.

Zaczął odliczać na palcach.

– Po pierwsze mogę być bystry i sprytny, jeśli zechcę, tak? Świetnie. W takim razie będę cholernie bystry i sprytny.

– Nie masz gwarancji, że tak właśnie będzie.

– Jasne, że nie, ale... – Drugi palec. – Mogę też mieć specjalne moce czy zdolności. No wiesz, mogę przewidywać przyszłość, czytać aury albo mieć nieodparty urok osobisty i charyzmę.

– Co wybierzesz?

– Jeszcze nie wiem. – Trzeci palec. – Będę dzieckiem mądrych rodziców należących do mądrej społeczności. I wykorzystam moje zdolności do szerzenia dobra. Na razie nie wymyśliłem nic więcej – przyznał. – Ale po zastanowieniu się dochodzę do wniosku, że w kilku ostatnich żywotach rzucałem się z motyką na słońce. Tym razem spadnę na ludzkość jak bomba dobroci.

Suzie odłożyła na bok gazetę.

– Podoba mi się to – oznajmiła. – Jeśli ci się uda, być może rzeczywiście będziemy mogli żyć w ten sposób... – wskazała na sofę, na kawę, pobliską butelkę brandy, blask słońca, sklep – ... przez cały czas.

Słońce przesunęło się odrobinę w sposób widoczny tylko w sklepach ze świeczkami.

– Więc niedługo wyruszasz? – spytała.

Skinął głową.

– Wiesz, jak to jest. Kiedy już raz zaczniesz cię to dręczyć, jest tylko coraz gorzej. Jakby Kosmiczne Oko mówiło ci, że nadeszła już pora.

Suzie przybrała osobliwą minę.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Choć właściwie wiem bardzo dobrze.

Wstała z sofy.

Milo spojrział na nią spod przymrużonych powiek.

– Suzie? Zaskakujesz mnie. O co chodzi?

Zignorowała go. Stała w milczeniu i patrzyła na stary, pokryty plafonami sufit.

A właściwie nie na sufit, lecz na to, co się za nim kryło. Milo pomyślał, że tak mógłby wyglądać człowiek, który chce coś powiedzieć wszechświatowi.

– Przepraszam, Milo – odezwała się w końcu. – Obawiam się, że to może być dla ciebie nieprzyjemne.

Nim Milo zdążył ją spytać o konkrety, otworzyła usta, a pokój, okolica i cały wszechświat wywrócił się na drugą stronę. Język Wszystkiego, Co Jest wcisnął się nagle do pokoju na zapleczu sklepu ze świeczkami, pełen fotonów, huraganów, wełnianych swetrów, żuków gnojaków i czwartkowych popołudni. Piramid, wanien i wyróżnionych nagrodami sosów do grilla...

Milo miał wrażenie, że rozciąga się jak guma.

Nagle wszystko ustało.

W pokoju zrobiło się cicho i spokojnie, oboje byli w pokoju na zapleczu, jak przed chwilą. Milo poklepał się po ubraniu, jakby przypuszczał, że ze spodni wypadnie mu galaktyka albo królowa Wiktoria.

– Właśnie odeszłaś, tak? – spytał.

Suzie skinęła głową. Była chorobliwie blada.

– Dobrze się czujesz?

Podszedł do niej i objął ją. Dotknął dłonią jej czoła.

– Nic mi nie jest. Po prostu zaskoczyłam samą siebie, to wszystko.

– Rozumiem.

Stali tak przez dłuższy czas. Na tyle długo, że cienie się wydłużyły.

W końcu ją puścił i ruszył do łazienki.

– Muszę zastanowić się dobrze nad moim Wielkim Pomysłem – mówił. – Życie ze szczególnymi talentami to nie to samo, co życie w uprzywilejowanej sytuacji, ale może nastroczyć pewnych kłopotów. Właściwie są całkiem...

– Milo?

Suzie mówiła przyciszonym, przerażonym głosem.

Odwrócił się i zobaczył, że pokój za jego plecami już nie istnieje.

Wyglądało to tak, jakby podłogi, ściana i zamknięta między nimi przestrzeń rozciągnęły się gwałtownie. Jakby patrzył na świat przez odwróconą soczewkę, a Suzie znalazła się po drugiej

stronie pola widzenia. Stała tam, gdzie ją zostawił, a jednocześnie gdzie indziej, jakby znalazła się za rogiem.

Ponownie zawołała go po imieniu.

Wyciągnął do niej rękę, ale dzieliły ich lata świetlne.

– Co się dzieje?! – krzyknął, sięgając jeszcze dalej. Ale tak naprawdę znał odpowiedź.

Wszechświat zmieniał postać, by zachować równowagę, dokładnie tak, jak obawiała się tego Suzie.

– Kocham cię – powiedział ze smutkiem.

Z oczu Suzie popłynęły łzy, które przeleciały przez pokój niczym krople deszczu padającego na ziemię.

Ona sama odpłynęła jak woda, rozbłysła w półmroku. Zniknęła.

Milo ją wołał. Jego głos rozciągnął się najpierw niczym gwizd pociągu, potem wrócił do normalnej postaci, podobnie jak cała reszta świata. Milo umilkł i rozejrzał się dokoła, próbując ogarnąć myślą wszystko, co się wydarzyło. Potem rozum go opuścił, wypłynął z niego jak woda przez przerwana tamę i sprawił, że Milo opadł na kolana i krzyczał żałośnie jak małe dziecko.

– Nie zniknęła – mówiła Nan po raz trzeci, podając mu trzecią wódkę z colą. – Jest gdzieś, przybrawszy jakąś postać. Gdzieś.

Milo siedział przy jej stole kuchennym, roztrzęsiony. Chwilę wcześniej przybiegł do jej drzwi, zapłakany, zasmarkany i rozhisteryzowany. Chciał do mamy. Do wszystkich dziewięciu tysięcy dziewięciuset.

– Widziałem, jak zniknęła – powiedział ponownie.

– Nic tak naprawdę nie znika. Słuchasz mnie?

– Gówno prawda. A cała ta historia z chodnikiem?

– To co innego.

– Niby jak?

– Do cholery, Milo, wypij, co tam masz, i siedź przez chwilę cicho. Puszczają *Koło Fortuny*, a potem będzie *Idol* i *Welcome Back, Kotter*.

Siedzieli w milczeniu przez *Welcome Back, Kotter* i sześć kolejnych programów, opróżniając butelkę wódki.

Kiedy tydzień później Milo zszedł w końcu do rzeki, nie zrobił tego dlatego, że wszystko sobie przepracował, uspokoił się i był gotów zacząć nowe życie. Wciąż miał wrażenie, że jego serce i głowa to dwa wielkie kraterki po bombach.

I właśnie dlatego zszedł do rzeki.

Nie chciał myśleć o tym jako o samobójstwie, ale do diabła, jeśli kochasz kobietę przez osiem tysięcy lat, po czym nagle kosmiczne *boa* uznaje, że nie możecie być razem, trudno się pozbierać.

– Najgłupsze cholerstwo – mruknął, po czym zamilkł. Wszystko, co mówił, wszystko, co myślał, pogłębiało ból.

Skoncentrował się na nowym życiu, które sobie wybrał. Wbił wzrok w wodę.

Ułatwienia. Specjalne zdolności. Może nawet supermoce. Szukał ich w wodzie, brodząc w mule i wodorostach, wypatrywał w odbiciu, gdy nurt opływał jego nogi.

Obrazy nie zawsze wyglądały tak, jak można się było spodziewać, ale kiedy już je zobaczył,

znał ich treść.

Gęś. Wysoki mężczyzna w stroju nauczyciela akademickiego. Budynki uniwersyteckie, bluszcz i kamień.

Rzeka wypełniła się obrazami i odbiciami, wciągnęła go.

Rzeka. Mgła. Stary kamienny most.

Nic.

Rozdział 12

Dzień, w którym Iago Fortuno umarł ze starości

Koło ruletki nie dokonuje wyborów.

Jest przyczyna: koło się kręci.

Jest skutek: kulka skacze po kole jak kot rażony prądem i w końcu gdzieś się zatrzymuje.

W tym samym sensie kosmiczne *boa* nie dokonuje wyborów. Pojawiają się przyczyny, dochodzi do automatycznego procesu zrównoważenia, a na koniec pojawiają się skutki.

Nie można więc winić nikogo za fakt, że Suzie, zakręciwszy kołem swoich relacji ze wszechświatem, opuściła nagle swój sklep ze świeczkami i zmaterializowała się daleko, daleko od tego miejsca, w boksie restauracji Santana's Taco Palace.

Stało się to tak szybko, było tak zaskakujące i okropne, że przez całe trzy minuty siedziała w całkowitym bezruchu, otepiała i zdeorientowana.

– Milo – powiedziała drżącym głosem.

Ale nie płakała. Nie wpadła w histerię. Co więcej, gdy do jej stolika podeszła kelnerka – poważna kobieta w kowbojskim kapeluszu – zamówiła tamale i margaritę.

– Z lodem – sprecyzowała. – Nie mrożoną.

– *Bueno* – odparła kelnerka i odwróciła się od jej stołu.

– W wiadrze – dodała Suzie.

– Proszę bardzo. – Kobieta skinęła głową i odeszła na dobre.

Płacz nie zmieniłby *boa* ani trochę.

Oczywiście nie mogła go też zmienić, upijając się, ale właśnie to zamierzała zrobić.

– *Tu mama estan gorda* – powiedziała do wszechświata. Twoja mama jest strasznie gruba...

Postanowiła siedzieć w knajpie, upijać się i wyzywać wszechświat po hiszpańsku.

I nie robiła tego po raz pierwszy.

To było dawno temu (albo nie).

Któregoś dnia obudziła się w dobrym nastroju, choć zmęczona.

Zmęczona, ale czym właściwie? Pewnego razu próbowała wywołać deszcz nad dotkniętą suszą doliną w Gwatemali, bo trzysta milionów dżdżownic umierało powoli w wyschniętej glebie. Wszechświat zawirował i zabrał ją stamtąd, na swój sposób przypominając jej, że jest Śmiercią, a nie Deszczem Miłosierdzia.

Następnego ranka, pokazując Zaświatom środkowy palec, przeniosła się do małej wioski rybackiej nad Morzem Karaibskim i mieszkała tam przez jakiś czas.

Nie zrezygnowała wtedy z pracy. Nadal przemieszczała się z wiatrem i cieniem, nadal wykonywała swoje zadania. Zaczęła jednak pleść swoje włosy w warkocze, jeść mango i rozmawiać ze śmiertelnikami.

Były to dziwne rozmowy, bo oczywiście większość ludzi brała ją za czarownicę.

– *Mi esposo tiene la respiración más horrible* – zwierzała jej się na przykład jakaś kobieta.

Mój mąż ma okropny oddech! Co mogę z tym zrobić?

A ponieważ Suzie była stara i znała się na wielu rzeczach, odpowiadała:

– *Probar algunos de las hojas de menta por la laguna.* Spróbuj liści mięty, która rośnie przy lagunie.

Za jej plecami nazywali ją *bruja*, ale niekoniecznie mieli coś złego na myśli.

Babki wiedziały jednak dobrze, kim jest naprawdę. Patrzyły na nią tak, jak patrzy się na ogień.

Dzieci i mężczyźni po prostu akceptowali fakt, że jest osobą tajemniczą i nieodgadnioną. Podobnie zresztą burmistrz Don Chico, którego sześć razy raził piorun.

Wioska nazywała się San Viejo. Nim tu zamieszkała, ludzie łowili ryby, żyli i grali wieczorami na gitarach, a po jej przybyciu robili to samo. Wcześniej grali w baseball. I nadal to robili.

Kiedy wprowadziła się do San Viejo – na jego skraj, na wzgórze nad plażą – niemal od razu znalazła sobie przyjaciółkę.

Maria Ximena zajmowała się tym samym, co wiele innych kobiet w wiosce, to znaczy w ciągu dnia czekała na powrót rybaków, a kiedy ci przyплыwali wieczorem, brała ostry nóż i oprawiała złowione ryby. Pewnego dnia, gdy stała przy stoliku i postraszyła ryby, obcięła sobie czubek palca. Leżał jak malutkie ciasteczko pośród rybich wnętrzności.

Tak się złożyło, że była tam też Suzie. Niektóre ryby były jeszcze żywe, więc po cichu sprowadzała na nie śmierć. Gdy zobaczyła fragment palca Marii Ximeny leżący na stole, podeszła bliżej, ujęła dłoń kobiety i uleczyła ją.

Maria powiedziała coś o Bogu i coś o diable i od tej pory zostały przyjaciółkami. Maria zaczęła oglądać z nią zachody słońca i nauczyła ją grać na tamburynie.

W pierwszych latach pobytu Suzie w San Viejo zaczęli się w niej zakochiwać młodzi mężczyźni. Nic nie mogli na to poradzić. Bali się jednak przynosić jej kwiaty, bo w ich snach zawsze miała ostre zęby. Jedynym odważnym był niejaki Rodrigo Luis Estrada Alday. Stare kobiety mówiły, że był jednym z tych ludzi, których Bóg tworzy czasem przez pomyłkę, wciskając w ciało jednego człowieka trzech lub czterech mężczyzn. Miał dzikie oczy i bujne wąsy.

– Jeśli popłynę na głębinę, zabiję nożem rekina i przyniosę ci go, pocałujesz mnie, prawda? – wyszeptał jej do ucha pewnego ranka po mszy.

– Nie – odpowiedziała, obdarzając go smutnym spojrzeniem, które błędnie zinterpretował. Wypłynął z nożem na głębinę, gdzie zabrały go prądy morskie.

Jakiś czas później próbował ją adorować inny młody mężczyzna, Iago Fortuno. Najpierw przywiązywał bukiety kwiatów do drzwi jej domu.

– *Gracias* – powiedziała. – Ale kwiaty są smutne, nie uważasz? Zrywasz je i wręczasz komuś, a one umierają.

Jej słowa wcale go nie uraziły, a nawet skłoniły do przemyśleń. Zastanawiał się, czy nie można sprawić, by kwiaty zachowywały świeżość dłużej albo nawet żyły, jak ptaki, bez kontaktu z ziemią. Zrezygnował wtedy z łowienia ryb i został kwiaciarzem. Stał się jednym z tych dziwaków, których ludzie nie rozumieją – jak Suzie albo Don Chico (został trafiony piorunem po raz siódmy i zmarł. Mieszkańcy osady nie mogli dojść do porozumienia i wybrać nowego burmistrza, więc przez wiele lat nikt nie pełnił tej funkcji).

Jeśli ludzie z San Viejo zauważyli, że od czasu przybycia Suzie umierają częściej lub łatwiej niż do tej pory, zbywali to wzruszeniem ramion i zmieniali temat.

Tymczasem Suzie nadal wykonywała swą ponurą pracę. Jak wszyscy zdobywała też doświadczenie w swojej specjalności. Nauczyła się, że każda śmierć jest inna. Niekiedy lepiej

było rozciągnąć ją w czasie. Zwierzęta, szczególnie wilki i ptaki tropikalne, lubiły, gdy zęgała je śpiewem. Bywało i tak, że należało skrócić cały proces do minimum. Na przykład prezbiterianie i chomiki woleli szybką, zdecydowaną śmierć.

Im dłużej mieszkała w San Viejo, tym bardziej doceniała to, co było związane z życiem. Na przykład otwarte okno w czasie snu, trawę i tortillę. Radość na widok ludzi, którzy przyszli do niej z wizytą, i radość w chwili gdy sobie poszli. Doznania, które dawało trzymanie w dłoniach niektórych przedmiotów: książki, siekiery, niemowlęcia, piwa, wielkiej torby emememsów.

Uwielbiała przebywać wśród tych rzeczy, doświadczać życia w San Viejo, choć wolała raczej siedzieć nad wodą, niż w niej pływać. Nie miała żadnych kochanków (choć raz czy dwa razy kusiło ją, by z dobroci serca pocałować biednego Iago Fortuno, który wciąż przynosił jej kwiaty – co ciekawe, jego kwiaty coraz dłużej zachowywały życie i świeżość...). Omal nie zatrudniła się do pomocy w szkole, ale miejscowe staruszki nalegały, by nie spędzała zbyt wiele czasu z dziećmi. Nie założyła sklepu, nie prowadziła lekcji tańca ani nie wypowiadała się w kwestiach polityki.

Obserwowała jednak i czasem pomagała innym, gdy się tym zajmowali.

Maria Ximena wyszła za Jesusa Franco, mieli trzy córki. Rybacy zaczęli zakładać do swoich łodzi małe silniczki o mocy pięciu koni mechanicznych i łapać więcej ryb. Któregoś lata wioskę spustoszył huragan. Przez kilka lat trwała wojna. Pewnego roku wszystko wróciło do natury! Czasami tak się zdarza. Rybacy łowili tylko duże ryby, wszyscy byli zdrowi, urządzili wielkie święto z ogniskiem wysokim na sześć metrów. Iago Fortuno ożenił się z kobietą, która choć nie była mniszką, złożyła kiedyś śluby milczenia. Inni mężczyźni byli pod wrażeniem tego wyboru i od tej pory uważali go za jednego z najmądrzejszych i najsprytniejszych ludzi, namówili go więc w końcu, by został burmistrzem.

Pewien młody mężczyzna, Carlos des Casas Montoya, próbował zaimponować Suzie, połykając miecz. Dwa miecze naraz! Trzy! A potem umarł, kaszląc krwią.

Maria Ximena Franco zmarła na zapalenie mózgu. Jesus, jej mąż, oślepl na jedno oko w dniu jej pogrzebu. Dwie spośród ich trzech córek dorosły i wyprowadziły się do miasta. Trzecia została komunistką i nigdzie nie ruszyła się bez karabinu.

Młody mężczyzna, który nazywał siebie El Gato, zalecał się do Suzie, recytując poezję. Grał na gitarze i śpiewał piosenkę, którą sam napisał, porównując Suzie do wiatru.

El viento es una mujer y un canción y un sueño – śpiewał i umarł we śnie.

Jeśli mieszkańcy wioski zauważyli, że Suzie od wielu lat się nie zmienia i wciąż jest tak samo piękna, nikt o tym nie wspominał. Stare kobiety wciąż spoglądały na nią wymownie, choć staruszki, które poznała po przyjeździe do San Viejo, ustąpiły miejsca nowym.

Nadszedł dzień, gdy poczuła, że powinna po raz ostatni zamieść dom, po czym wrócić tam, gdzie było jej miejsce (teoretycznie). Po prostu to wiedziała, tak jak zwykli ludzie wiedzą, że trzeba się położyć wieczorem do łóżka.

Poczuła to, jak można było przypuszczać, w dniu, w którym Iago Fortuno umarł ze starości.

Przeszła przez jego ogród oraz szklarnię i znalazła go w łóżku. Siedział tam i czekał na nią. Nim zdążyła się pochylić i pocałować go w czoło, poruszył się i powiedział:

– Mam coś dla ciebie.

Wziął coś z drewnianego stolika przy łóżku i podał jej.

Kwiat. Mały, żółty kwiat.

– *Una flor immortal* – powiedział. – Nieśmiertelny kwiat. Możesz nim cieszyć oczy i nie

smucić się.

Kwiat był wykonany z drutu i jedwabiu.

– *Bueno, Iago* – odparła Suzie. Pochyliła się i pocałowała go w usta, a on powędrował w Zaświaty.

Suzie wróciła na wzgórze, zamiotła swój dom, zamknęła za sobą drzwi i stała się wiatrem wiejącym nad plażą.

Stare kobiety wykonały pełne szacunku gesty, ale wyszeptwały:

– *La rana está fuera del pozo*. Żaba wyszła ze studni.

Potem otworzyły butelkę wina, którą ich babki zostawiły im przed wielu laty.

Kelnerki i kelnerzy w Santana's nie podchodzili do Suzie, kiedy ta piła margaritę.

Nie bali się. Chcieli tylko zobaczyć, czy będzie w stanie wypić całe wiadro.

Okazało się, że dała radę. Tyle że później zasnęła na stole i ktoś musiał ją obudzić i powiedzieć jej, że musi już iść. Sprowadzili samego właściciela, Santanę.

– *Señora?* – powiedział, dźgając ją lekko w ramię.

– *Milo?* – wybełkotała, podnosząc głowę. – Och, cześć, przepraszam.

Wstała i chwiejnym krokiem ruszyła do wyjścia. Zatrzymała się jednak, zauważywszy coś niepokojącego. Miała wrażenie, że jest jej... jakby mniej. Jakby wcześniej była gęstą zupą, a teraz ktoś rozcieńczył ją wodą. Gdyby podniosła rękę do lampy, zobaczyłaby zapewne, że staje się przezroczysta.

– *Cholera* – powiedziała do Santany. – *Znikam*.

– *Sí* – zgodził się właściciel. – *Losiento*. Żaba jest w studni.

– O tak. – Skinęła głową, wytoczyła się na zewnątrz i zamieniła w wieczorny wiatr. Lekki, niepewny wiatr, który dziwnie pochrapywał i przez całą noc krążył po parku, jakby zabłądził.

Rozdział 13

Swamin, którego nie można było otruć

Milo przeżył wiele żywotów, w których był obdarowany różnego rodzaju talentami.

Czasami rozwijał je ćwiczeniami i ciężką pracą, kiedy indziej dostawał je jak urodzinowy prezent. Tak czy inaczej specjalne umiejętności ułatwiały życie. Zupełnie jakby siedł na bitwę uzbrojony w magiczny miecz.

Był koniem wyścigowym o imieniu Przez Morza, miał płuca jak lokomotywy i kopyta jak młoty, a do tego nie znosił, gdy jakikolwiek inny koń go wyprzedzał.

Jako kobieta, Milona Oxygen Templeton, zarządzał towarami dla kosmicznych frachtowców – był to naprawdę bardzo trudny zawód. Musiał poznać wszystkie harmonogramy i koordynować punkty rozpadu kwantowego. Umiał sobie wyobrazić hiperprzestrzeń z taką łatwością, z jaką zwykli ludzie wyobrażają sobie kawałek gumy do żucia.

Był zaklinaczem węży w Indiach. Początkowo uważał się za zwykłego zaklinacza, aż pewnego dnia nie zachował ostrożności i został ukąszony przez węża. Poszedł do domu, położył się i czekał na śmierć, ale nie umarł. Okazało się, że jest odporny na jad i wszelkie trucizny. Został swaminem, świętym mężem. Ludzie przychodzili, by patrzeć, jak wypija straszne mieszanki i pozwala się kąsać węzom, a mimo to żyje. Pielgrzymi mu płacili, a on odmawiał za nich modlitwy. Pewnego dnia z jego oczu, uszu i porów skóry wypłynęły strumienie czarnej cieczy. Padł martwy. Wszystko się kumuluje. Nie można tego zmienić.

W jednym z żywotów miał „dobrą rękę do zwierząt”, jak czasami mawiają ludzie. Został sławnym kowbojem w epoce genetycznie projektowanej wołowiny. Po mistrzowsku jeździł konno, pędził slalomem między krowami wielkimi jak karmione kukurydzą tankowce, pod sztucznym, błękitnym niebem.

– Wio! – wołał. – Ihaa! – A konie galopowały dokładnie tam, gdzie chciał, bo go uwielbiały. Krowy ryczały na niego jak syreny mgłowe. One też go kochały na swój smutny, pozbawiony nadziei sposób.

Był Moną Rivette, nad wiek rozwiniętą córką fizyka, specjalisty od przebiegu i kształtu fal. Mona była pięknym dzieckiem, ale padła ofiarą straszliwej, wyniszczającej choroby. W wieku dziewięciu lat była już niemal całkowicie sparaliżowana. Ten stan i przerażenie wywołane faktem, że jest zamknięta we własnym ciele, dały jej motywację do stworzenia genialnego wynalazku.

Poprosiła ojca, by pomógł jej skorzystać odrobinę z przysługującego mu czasu pracy na

solarnym superkomputerze, a on się zgodził. Prosiła go też od czasu do czasu, by przynosił jej taki a taki materiał lub taką a taką rzecz wykonaną na obrabiarce lub odlaną z formy, a on zawsze spełniał jej życzenia.

W dniu swych jedenastych urodzin przedstawiła rodzinie oraz 45. wydziałowi Galaktycznego Urzędu Patentowego aparat, który nazwała rybą. Było to urządzenie komunikacyjne, które unosiło się nad ramieniem danej osoby i służyło do przywoływania innych ludzi, wykorzystywania różnych obliczeń, nagrywania dźwięków i obrazów, nadawania tychże, mierzenia przedmiotów laserem i tak dalej. Krótko mówiąc, był to bardzo sprawny i wygodny w użyciu asystent osobisty.

Ludzie uwielbiali rybę, bo wykonywała mnóstwo prostych a nużących zadań, którymi oni sami nie mieli ochoty się zajmować. Droższe modele nawet przynosiły małe przedmioty. Uwielbiali ją także, bo była jak wierny zwierzak, unosiła się ciągle obok nich, latała z nimi, a nawet pływała, jeśli i oni akurat pływali.

– Jasna cholera – powiedział fizyk, gdy córka pokazała mu swój wynalazek. Dopilnował, by jej pomysły zostały objęte patentami i by te patenty przyniosły jej bogactwo.

Przez dwa lata Mona żyła na wózku, obsługiwana przez własny wynalazek, dzięki któremu mogła mówić, zapisywać swoje myśli i wymyślić jeszcze dwie lub trzy rzeczy, nim w końcu pomógł jej powiedzieć: „Żegnajcie” i zawisł obok jej głowy, mrużąc smutno, gdy umierała.

W niektórych żywotach Milo rozwijał talenty, które tak naprawdę były supermocami. W średniowiecznych Chinach był mistrzem kung-fu, Mo Pi, który pewnego dnia podszedł samotnie do obozu Mongołów i spokojnie zażądał, by zaniechali inwazji i wrócili do domu. Kiedy najeźdźcy go wysmiali, Mo Pi tupnął nogą, uklonił się i wrócił do siebie. Trzy dni później przez całą okolicę przetoczyło się trzęsienie ziemi. Gdy w końcu grunt przestał się kołysać, Mongołowie opuścili Chiny.

Często wielkie talenty muszą być utrzymywane w wielkim sekrecie.

Milošević Kočevar który mieszkał w kraju za żelazną kurtyną, był solidnym, powszechnie szanowanym szewcem. Robił wytrzymałe obuwie za rozsądną cenę, ożenił się z nijaką kobietą, wychowywał nijakie dzieci, żywił się głównie kapustą i nie sprawiał nikomu problemów. A przynajmniej tak się wydawało.

Tylko nieliczni wiedzieli, że Milošević konstruował bomby. Podkładał je pod samochody *snerkezeii*, tajnej policji, i w koszach na śmieci przed budynkiem rządowym na obrzeżach miasta. Czasami umieszczał je też na drodze, którą przejeżdżały pojazdy Armii Czerwonej. Bomby wyglądały jak porzucone buty. Komunistom nigdy nie udawało się zauważyć ich na czas i zapobiec wybuchowi.

Później, gdy zniknęła już żelazna kurtyna, a Milošević opowiadał wszystkim, co kiedyś robił, nikt nie chciał mu wierzyć, nawet jego własna rodzina.

Czasem o osiągnięciu sukcesu decyduje przypadek. Przed kilkuset laty Milo był właścicielem browaru i warzył doskonałe piwo. Jego jedynym konkurentem był stary Geoffrey Morgan, który od dawien dawna zgarniał co roku główną nagrodę na targach piwnych w Bristolu.

Geoff Morgan miał piękną córkę Igraine. Gdy skończyła szesnaście lat, Milo poprosił o jej rękę.

– Nie! – warknął Geoff Morgan. – Dostaniesz rękę Igraine w dniu, w którym ten twój sikacz zdobędzie główną nagrodę na targach!

Milo poszedł do domu i zaczął warzyć swoje najlepsze piwo. Już prawie kończył, gdy w pobliżu wybuchła bitwa między ludźmi króla a podwładnymi księcia Salisbury. Wkrótce walki przeniosły się do miasta. Zabici wpadali do otwartych kadzi, lecz choć ich samych udało się wyłowić, nie dało się już oddzielić ich krwi od uwarzonego piwa.

Tego roku Milo przywiózł na targi ciemne, gorzkie piwo, które natychmiast zdobyło sobie ogromną popularność za sprawą osobliwego, agresywnego smaku. Zdobył główną nagrodę oraz rękę Igraine, a potem prowadził długie, dostatnie życie wypełnione robieniem piwa i dzieci. Co roku zyskiwał coraz większą sławę dzięki swemu tajemniczemu ciemnemu napojowi. On sam i jego żona zawsze pojawiali się na targach nieco bleśdziściej niż zwykle, z bandażami na przedramionach, ale nikt nie zwracał na to większej uwagi ani nie wygłaszał komentarzy na ten temat. Dostrzegano za to i komentowano fakt, że Milo i jego żona są sobie ogromnie oddani i że on mógł ją poprosić praktycznie o wszystko, a ona niczego by mu nie odmówiła.

Milo polubił swój browarniczy talent tak bardzo, że próbował z niego korzystać i po śmierci.

Całymi godzinami nie wychodził z piwnicy swojego skromnego domu w Zaświatach (nagrody za skromne życie poświęcone warzeniu piwa), gdzie próbował opracować recepturę doskonałego, ciemnego piwa, które nie wymagałoby dodatku krwi.

– Powinieneś robić postępy – upominała go Suzie, siedząc na schodach piwnicy. Miała łzy w oczach i lekko zachrypnięty głos. Eksperymentowała właśnie z paleniem papierosów, które niedawno wzbudziły jej ciekawość. Nie szło jej najlepiej. Zgasiła niedopałek na stopniu.

– I robię – odparł Milo, odkręcając kurek i próbując ostatnio uwarzonej porcji. Skrzywił się lekko. – Poprzednia beczka była za słodka. Ta jest gorzka. To krok we właściwym...

– Nie o tym mówię – zakasłała. – Powinieneś zachować to, czego się nauczyłeś, i przygotowywać się do nowego życia, a nie zajmować się starym.

Milo uśmiechnął się drwiąco.

– Wiem, o co ci chodzi – powiedział. – O nią.

Suzie zacisnęła mocno powieki i przetrzała je.

– O kogo?

– O nią. O Igraine. Miłość mojego życia. Ostatniego.

– Chyba upadłeś na głowę. Miałabym być zazdrosna o jakąś ziemską lalę?

– Więcej szacunku.

Oczy Suzie zapłonęły gniewem.

– Posłuchaj sam siebie! – wrzasnęła. – To ty ciągle o niej myślisz. Nie ja.

– Dobra – przyznał się Milo, zakręcając kurek i odstawiając beczkę. – Zgoda. Myślę o niej. W końcu byliśmy małżeństwem przez pięćdziesiąt lat. I dlatego jesteś o nią zazdrosna.

Obdarzyła go wtedy długim, nieodgadnionym spojrzeniem.

– Wiesz, że jesteśmy tylko przyjaciółmi, prawda? – spytała.

Jak mogła być tak tępa?

– Nie jestem tępa – syknęła wściekle. – Jestem Śmiercią. Nie rozumiesz tego? Kładę kres życiu ludzi i zwierząt. Nie zajmuję się Miłością. To nie moja działka.

Milo wzruszył ramionami. No i dobra. Nie będzie prosił.

– Kiedy znów będę żywy, zostanę pierwszym mężczyzną, który prześpi się z milionem kobiet.

Jak ci się to podoba?

– Świetnie. Mam nadzieję, że odpadnie ci fiut duszy.

Milo umilkł zdumiony.

Fiut duszy?

Po życiu poświęconym bankowości Milo musiał odsłużyć karny żywot jako zółw sępi. Większość czasu spędzał na dnie szlamowatych sadzawek, wstrzymując oddech i czekając na ofiarę.

To też były swego rodzaju talenty. Cierpliwość. Błyskawiczny atak we właściwym momencie.

Prosty talent sprzed pięćdziesięciu milionów lat, ukryty w ciemnościach, napięty jak struna.

Był muzykiem jazzowym, saksofonistą, milczącym i intrygującym. Nazywał się Mookie Underwood, nosił garnitury w prążki, szelki i zawsze nienagannie zawiązany krawat. Skórzane, dwukolorowe buty lśniły jak planety, które stukały w równym rytmie na muzycznej orbicie.

Ludzie, którzy go słuchali, w klubie, w sali koncertowej czy w studiu nagrań Smokestack Records, nieświadomie przybierali osobliwą minę, jakby chcieli koniecznie zajrzeć do tego wielkiego mosiężnego saksofonu, bo im wszystkim wydawało się, że coś się w nim kryje. Coś mądrego, wilgotnego i niezbyt szczęśliwego. W tym dźwięku pobrzmiwała jakaś stara dusza, choć trudno było rozstrzygnąć, czy dusza ta tkwi w instrumencie, czy w samym muzyku.

Rozdział 14

Afera „Pochopnego Puddingu”

King's College, Christminster, plan teta Bridgera, rok 3417

Stary kamienny most.

Poranek pełen mgieł i tajemniczych kształtów. Rzeka mgły płynęła pod mostem, a mglisty brzeg wychodził jej na spotkanie.

Zasłona szarości ustąpiła w końcu porannemu słońcu, a z gęstych oparów niczym z samej głębi czasu wynurzył się kamienny kościół. Po chwili dołączyła do niego wieża zegarowa.

Spod mostu wypłynęły nagle trzy łodzie wiosłowe, które przecięły wodę i resztki mgły niczym drewniane włócznie. Donośne głosy wołały:

– Mocne pociągnięcia, równo!

– Z całej siły od trzech do pięciu, chłopcy! Jeden, dwa...

Z brzegu dobiegały głosy ledwie widocznych kibiców: – Trzy, ręce w dół i od siebie.

– Naprzód!

– Spokojnie, Harrow, właśnie tak!

Gdzieś we mgle zalegającej jeszcze nad wodą łódź przepłynęła przez linię mety. Powitały ją okrzyki radości i jęki rozczarowania.

Opary podniosły się w końcu i tutaj, odsłaniając około stu chłopców w uczelnianych marynarkach i krawatach. Tu i ówdzie pojawiały się wśród nich akademickie stroje i siwe włosy wykładowców.

Tłum ucichł, gdy w oddali huknął wystrzał z pistoletu startowego. Wszyscy pochylili się do przodu, by zobaczyć odcinek rzeki za mostem, gdzie rozpoczął się właśnie następny wyścig.

Wszyscy prócz pana Daniela Tiptickle'a, wicedziekana, który przeciskał się cierpliwie przez ciżbę, aż dotarł do wysokiego, pochmurnego mężczyzny, wykładowcy teologii, Williama Haya, i poklepał go po ramieniu.

– O co chodzi, Tiptickle? – mruknął Hay.

– O fryzyjską gęś – wyszeptał Tiptickle. – Znów zniknęła z Klubu Damoklesa. Są podstawy, by podejrzewać o kradzież Stowarzyszenie Jęczmienne.

Hay, opiekun stowarzyszenia, uniósł lekko brwi. Nie chciało mu się wierzyć w to, co mówił jego współpracownik, choć rzeczywiście zgodnie z tradycją Jęczmienni podkradali świętą fryzyjską gęś Klubu Damoklesa, tak jak członkowie klubu przy każdej nadarzającej się okazji próbowali porwać słynne kości Jęczmiennych.

Przedmiotem, o którym mówił Tiptickle, była stara wypchana gęś (ustrzelona przez króla Edwarda II z Ziemi, założyciela oryginalnego King's College), „symbol braterstwa”, który z należytą czcią stawiano przed członkami klubu podczas zebrań. Z kolei kości Jęczmiennych były według starych i mrocznych legend częścią szkieletu niejakiego Jonathana Poore'a, sławnego kapłana i kanibala.

Fryzyjską gęś porywano raz lub dwa razy w roku, odkąd około stu lat wcześniej utworzono Klub – zwany również Stowarzyszeniem – Damoklesa. Kości skradziono tylko raz, a jak głosi legenda, brat, który zasnął wówczas na straży, leżał teraz pogrzebany pod jadalnią w Oxbridge Hall.

– Jeśli zechcesz przejść do mojego biura – proponował Tiptickle – skontaktujemy się z Broode’em z ochrony, a on potwierdzi...

– Nie ma takiej potrzeby – przerwał mu Hay, podnosząc rękę. – Nie tym razem.

– Ale... – próbował protestować Tiptickle.

Hay uciszył go groźnym spojrzeniem.

– To nie moi chłopcy – powiedział. – Choć oczywiście są grzesznikami. Ale nie tym razem. Wezwę policję, jeśli będzie trzeba.

Odprawił Tiptickle’a bez jednego słowa czy choćby gestu. Jeżeli chodzi o tego człowieka, wystarczyło potraktować go z góry. Dziekan wrócił do miejsca, z którego przyszedł, nie zauważwszy niespodziewanego zwycięstwa braci z Towarzystwa Okrągłego Kościoła.

Hay prowadził swoje zajęcia jak ponury władca. Poważniejsi uczniowie go uwielbiali. Dyletanci robili miny za jego plecami, dopóki nie przekonali się osobiście, że starsi chłopcy mówili prawdę: Hay miał oczy i uszy dokoła głowy.

– Jest diaboliczny – twierdzili jego zwolennicy. – Jak wszystkie wielkie postacie religijne.

Hay zwykle jadł lunch w stołówce, ale tego dnia, ku zdumieniu swojej żony, poszedł do domu i poprosił, by zrobiła mu to samo co dla synka. Milo był ośmioletnim, ambitnym młodzieńcem, który uczęszczał do Sparrow, szkoły podstawowej podległej uniwersytetowi. Chodziła tam większość dzieci wykładowców, a przypominała ona co nieco ośrodek opieki dziennej, gdzie czytało się Chaucera.

Victoria, żona Haya, pocałowała go w czoło i podała mu kanapkę z mięsem oraz szklanekę mleka. Potem zajęła się pracami domowymi, podczas gdy Hay siedział sam przy stole i czekał z założonymi rękami. Po chwili do domu wpadł Milo, rozczochrany i zziębnięty, w szkolnym uniformie i krawacie.

Hay życzyłby sobie, aby jego syn się zatrzymał i przywitał go z należyтым szacunkiem, pogodził się jednak z krótkim „cześć, tato!” i machnięciem niezbyt czystą ręką. W następnej sekundzie Milo opuścił kuchnię równie szybko, jak się w niej pojawił.

Hey przerażał wszystkich mieszkańców Bridgera prócz własnego syna, który wprowadzał go w niejakie zakłopotanie. Oczywiście nie wiedział, że to dziecko było starą duszą, która przeżyła niemal dziesięć tysięcy żywotów i zdążyła być już wszystkim, od króla po kijankę.

Czekał. Ugryzł kanapkę.

W końcu jego cierpliwość została nagrodzona. Milo zrzucił buty, poluzował krawat i wyjął koszulę z krótkich spodni, jego twarz i ręce już były czyste. Usiadł przy stole i zachowując pozory dobrych manier, zabrał się do jedzenia.

– Jak to się stało, że jesteś w domu? – spytał chłopiec z pełnymi ustami.

– Pozwolę, żebyś sam się nad tym zastanowił – odparł Hay.

Chłopiec jadł i przyglądał się ojcu.

Ten niemal widział, jak w głowie syna ścierają się ze sobą różne opcje i rozwiązania, jak zastanawia się niczym pokerzysta, blefować czy też wyłożyć karty na stół.

– Schowałem gęś w mojej szafie – powiedział w końcu Milo, po czym zrobił krótką pauzę, by

napić się mleka. – Chciałem ją pomalować na niebiesko albo w kropki.

Zlizał mleczne wąsy z górnej wargi.

Jęczmienni, klub złożony z około dwudziestu pięciu obiecujących dziewiętnastolatków, z największym trudem wykradali co roku gęś, nie uruchamiając przy tym alarmu. Hay nie chciał tego okazywać, ale był pod wrażeniem.

– Powiedz mi, jak to zrobiłeś – poprosił.

– Mam kłopoty? – spytał chłopiec.

– Oczywiście, że masz kłopoty. Nie udawaj głupca. Jak ci się to udało?

Hay uważnie obserwował chłopca, wypatrując symptomów ataku astmy. Jako małe dziecko Milo czasami gwałtownie czerwieniał na twarzy lub tracił oddech, gdy musiał radzić sobie ze stresem lub został przyłapany na jakimś gałęźniku. Wprawdzie choroba została genetycznie wytłumiona, jednak w trudnych sytuacjach zdarzało się, że chłopiec miewał poważne kłopoty z oddechem.

Ostatnio jednak nie zdarzyły się tego rodzaju problemy.

– Skąd wiedziałeś?

– Młody człowieku...

– Opowiem o wszystkim, jeśli ty mi powiesz, skąd wiedziałeś.

– Wczoraj przy kolacji – zaczął Hay – spytałeś, dlaczego gęś jest symbolem braterstwa, a ja wytłumaczyłem ci, że gęsi nigdy nie zostawiają swoich rannych towarzyszy bez pomocy. Jeden z członków stada zostaje z rannym, aż ten wyzdrowieje albo umrze. Odniosłem wrażenie, że wydało ci się to zabawne. Kiedy dowiedziałem się, że zniknęła gęś Klubu Damoklesa, skojarzyłem fakty. To coś w twoim stylu. No więc jak?

– Czasami przewożą ją w różne miejsca. Wracalem wczoraj ze szkoły, kiedy jakiś brat ją wyniósł i postawił przy swoim samochodzie. Potem wrócił do budynku, by szukać kluczyków.

– Przeniosłeś gęś spod siedziby klubu do naszego domu i nikt cię nie zatrzymał?

– Nie niosłem jej. Jechałem samochodem.

Hay wypuścił z dłoni kanapkę.

– Słucham?

– To nie było trudne.

– Jak udało ci się uruchomić samochód bez kluczyków?

Chłopiec nagle stracił rezon i wbił wzrok w podłogę.

– Uruchomiłeś samochód... sam?

Milo pokiwał głową.

Hay zabronił mu już kiedyś używać tego talentu. Do czasu gdy chłopiec będzie starszy, a jego mózg zostanie w pełni ukształtowany. Zakazał mu tego dla jego dobra. Badania prowadzone w King's College dowodziły, że zdolności psychokinetyczne mogły ulec znacznemu osłabieniu, jeśli korzystano z nich zbyt wcześnie.

– Gdzie jest teraz ten samochód? – spytał Hay.

– Zostawiłem go na Braintree Street, przy pomniku.

Mężczyzna wstał.

– Włóż koszulę w spodnie – polecił. – I załóż buty.

Kiedy tylko Milo doprowadził się do porządku, profesor Hay zawiózł go na komisariat i dopilnował, by syn przyznał się do wszystkich swoich występków.

Za poważną kradzież ośmioletnie dziecko było skazywane na roczny okres próbny. Na wyraźną prośbę Haya sąd zdecydował również, że Milo powinien nosić pieprzyk Dawsona, małe elektroniczne urządzenie, które pozbawiało chłopca jego telekinetycznych zdolności. W obecności ojca Milo zawsze umieszczał je na grzbiecie nosa, między oczami. Jeśli budziło to w Hayu poczucie winy, nigdy tego nie okazywał.

Przez kilka kolejnych lat Milo był przykładnym uczniem, wyznaczając sobie bardzo ambitne cele. Uczył się i czytał, zdawał kolejne testy, zdobywał nagrody i dorastał. Wykorzystując energię, którą zużyłby na przemieszczanie przedmiotów umysłem, podążał tradycyjnymi ścieżkami rozwoju intelektualnego.

Ten program przyniósł konkretne owoce. W wieku zaledwie piętnastu lat rozpoczął studia na King's College i w olśniewającym stylu rozprawił się z egzaminami wstępnymi. Pozwolono mu specjalizować się w fizyce podprzestrzennej.

– Hmm! – powiedział wtedy ojciec, unosząc lekko brwi, jakby Milo mu zaimponował. Niekoniecznie napełnił go ojcowską dumą, ale na pewno zaimponował.

Nie udzielono mu jednak pozwolenia na studia specjalistyczne z neuroaplikacji. Pieprzyk Dawsona przekształcił jego synapsy i pozbawił go dawnych talentów. Była to strata równie dotkliwa jak utrata kończyny lub znaczące pogorszenie wzroku, ale Milo zamiótł ją pod swój wielki mentalny dywan i nadal nieugięcie parł do przodu.

Jakiś przytłumiony, pradawny głos w jego duszy wyszeptał: O kurczę, może tym razem naprawdę nam się uda.

Studia stanowiły burzliwy okres w życiu Mila. Zwykle są takim okresem w życiu większości ludzi, ale Milo na dodatek był znacznie młodszy od swoich kolegów z roku i nie należał do tych samych kręgów społecznych co oni. Studentami King's College były w większości bystre dzieciaki z bogatych rodzin, podczas gdy Milo był tylko bystry. Na szczęście nieprzeciętny intelekt zyskał mu szacunek kolegów, a poza tym wciąż pamiętano, że to właśnie on jako mały chłopiec ukradł fryzjerską gęś.

Musiał stawiać czoła tym samym wyzwaniom, jakie nękają wszystkich dorastających chłopców. Starał się być wyjątkowy i przystojny i nie dotykać swojego penisa co pięć minut. W King's College były dziewczyny, ale nie takie, jakie zapamiętał ze szkoły średniej. Studentki go przerażały.

Studentki mnie przerażają! – żalił się swojej starszej, mądrzejszej jaźni, którą coraz lepiej poznawał i na której coraz częściej polegał.

Jego mądrzejsza jaźń nie mogła pomóc mu w tej kwestii. Głosy w jego umyśle też bały się studentek.

Historia Mila przybrała bardziej interesujący obrót w dniu, gdy próbował się popisać, rzucając wyzwanie profesorowi Basmodo Ngatu z kursu literackiego 232, poezji kolonialnego oporu.

Profesor Ngatu, szczupły czarnoskóry mężczyzna o imperialnych rysach i manierach, nie wykładał swojego przedmiotu, lecz stawiał pytania, prowokując studentów do dyskusji

– Dlaczego – zaczął Ngatu pewnego dnia, przechadzając się przed tablicą – waszym zdaniem Zachary Heridia zaatakował kartel tlenowy, posługując się tekstem pisany wierszem, a nie formą epistolarną? Czy asekurował się w ten sposób, swój protest umieszczając w obszarze, na który rzadko zapuszczali się sprzymierzeńcy kartelu?

Większość studentów wpatrywała się w swoje książki, podczas gdy ich ryby robiły notatki.

Nawiązywanie kontaktu wzrokowego z Ngatu było niebezpieczne. Milo jednak podjął wyzwanie.

– Panie Hay?

– Panie profesorze, zastanawiam się, czy nie była to decyzja podyktowana względami artystycznymi. A jeśli Heridia napisał ten utwór wierszem i opublikował go na forum literackim nie ze względów politycznych, lecz po prostu dlatego, że w takiej formie był piękniejszy?

Ngatu wszedł między rzędy foteli, pilnowany przez swoją połączaną rybę, i spojrzał na Mila znad staromodnych okularów.

– *Uduszenie Emeline K.* powstało trzy dni po wprowadzeniu embarga na tlen, a było skierowane przeciwko terraformerom z Ganimedesa i opublikowane tydzień później – przemówił. – W wyniku embarga zginęły cztery tysiące ludzi. Sześciuset przewieziono na wyspy skaźniców na Europie. Pan jednak sugeruje, że Heridii, który stracił siostrę w wyniku tego „incydentu”, bardziej zależało na walorach artystycznych niż na piętnowaniu zbrodni?

Pozostali studenci czujnie podnieśli wzrok znad książek.

Milo pokręcił głową.

– To fałszywy dylemat – odparł. – Sztuka może poruszać kwestie odpowiedzialności społecznej i jednocześnie zaspokajać potrzebę piękna. „Te dwa to jedno”, by przywołać słowa Emily Dickinson. Przypuszczam, że tym właśnie kierował się Heridia. Uświadomił sobie, że jego przekaz będzie miał największą moc, jeśli nada mu piękną formę i dopiero wtedy zaprezentuje ludziom, którzy docenią tę ironię i będą nią poruszeni.

– Będą nią poruszeni? – powtórzył Ngatu, mrużąc oczy. – Uważa pan, że ten twórca chciał odwoływać się do emocji, a nie...

– Ludzie są skomplikowani – przerwał mu ktoś.

Wszystkie głowy odwróciły się w tę stronę. Zaskakującą uwagę wygłosiła studentka, Ally Shepard.

– Panno Shepard? – zwrócił się do niej Ngatu.

Ally wzruszyła ramionami.

– Heridia mógł pisać wierszem z więcej niż jednego powodu. Myślę, że chodziło mu... mniej więcej... o to.

Machnęła ręką w stronę Mila. Piękną ręką! Ally Shepard była niczym dziewczyna z tropikalnego raju przeniesiona magicznym sposobem do sali wykładowej. Studencki uniform kusząco opinał jej idealnie krągłe ciało. Nie było na nim miejsca, którego Milo nie chciałby dotknąć i pieścić. Prawdę mówiąc, ogromna większość studentów i całkiem spora liczba studentek King's College marzyła o tym samym. Ally Shepard była prezeską i największym talentem Klubu Pochopnego Puddingu, sławetnej grupy teatralnej działającej na terenie uczelnianego kampusu. Była kimś w rodzaju uniwersyteckiej celebrytki.

I do tego bardzo inteligentnej celebrytki.

– Ocenianie z perspektywy czegoś równie skomplikowanego jak przyczyny powstania wiersza jest bardzo niebezpieczne – mówiła dalej Ally – bo pojawia się pokusa nadania tym przyczynom głębszego sensu. Oczywiście, możemy podchodzić do sprawy rozumowo, nie możemy jednak odczytać emocji i uczuć, jakie rządzą ludzkim umysłem w danym momencie.

Spojrzała na Mila i puściła do niego oko.

– Cóż, muszę przyznać, że wasze argumenty warte są rozważenia – powiedział Ngatu, idąc z powrotem do tablicy. – Spróbujmy więc znaleźć odpowiedź na pytanie, w jakim stopniu artysta mógł mieć wpływ na politycznego gracza zamieszkującego ten sam umysł i vice versa.

Milo stracił już zainteresowanie dyskusją. Wszystkie jego myśli i emocje skupiały się na Ally Shepard, choć nie odważył się na nią spojrzeć. Starał się ze wszystkich sił zachować spokój i być kimś więcej niż tylko piętnastolatkiem, mógł jednak tylko siedzieć nieruchomo, czerwienić się i wpatrywać tępo w przestrzeń, uciekając myślami od rosnącego napięcia w kroczu.

W następnym tygodniu Milo doświadczył czegoś w rodzaju kryzysu tożsamości.

Czy był jedynie uroczym fenomenem, swego rodzaju maskotką, którą pierwszy rok przyjął i pokazywał z cichym rozbawieniem? Czy może zdołał sprawić, że jego wiek nie miał większego znaczenia? Czy był w istocie przyszłym lordem Byronem nowej ery? Wyobrażał sobie, jak ktoś fotografuje go ukradkiem lub filmuje w czerni i bieli.

Wkrótce miał się dowiedzieć, które z tych przypuszczeń jest najbliższe prawdy. Lada dzień uczelniane kluby miały wystosować jesienne zaproszenia i tym samym rozstrzygnąć jego wątpliwości. W King's College biletem wstępu do klubów i stowarzyszeń była obietnica przyszłej wielkości, nikt nie chciał tam miernot i uczelnianych maskotek.

Zaproszenia – staromodne w formie, na prawdziwym papierze – pojawiły się pod drzwiami wybrańców w pewien deszczowy październikowy ranek.

Milo nie otrzymał zaproszenia od Klubu Damoklesa. Dostał jednak ciepłe bileciki od Jęczmiennych, od Stowarzyszenia Tycho (organizacji naukowej), od Harrisonów (kółka literackiego, wydawców „Illion”), Zespołu Uczelnianego Harrow oraz – ha! – od Klub Pochopnego Puddingu.

Kiedy rozmyślał o tym, że potrzebuje pozwolenia rodziców, by dołączyć do któregoś z tych stowarzyszeń, jego ryba zabrzęczała.

– Milo? – przemówił warkliwym głosem ojciec. – Posłuchaj: jeśli nie masz jeszcze żadnych planów... och, a tak w ogóle jak leci?

Milo słyszał w tle głos mamy, która przypominała ojcu, by „okazał zainteresowanie”.

– Dobrze, tato. A u ciebie i mamy?

– Dobrze, dziękuję. Twoja matka pyta, czy nie zechciałbyś wpaść do nas na kolację w piątek. Dawno cię nie widziała.

Cholera, lord Byron nie jadał kolacji z mamą i tatą.

– Bardzo chętnie – odparł.

– Doskonale. Wpadnij koło piątej, kolacja będzie o szóstej. Miłego dnia.

Ryba zgąsła.

– A przy okazji – powiedział Milo – potrzebuję twojego pozwolenia, żeby wstąpić do Tycho, do Harrisonów, do Harrow, do Jęczmiennych i do Pochopnego Puddingu, ty skurwielu.

W piątek Milo nie śpieszył się jakoś szczególnie do swoich rodziców.

Po zajęciach, które skończył w południe, przechadzał się po kampusie. Przyszły naukowiec i pisarz, z rękami w kieszeniach, smagany wiatrem i wypełniony poetycką zadumą. Przez dziedziniec, pośród wielkich kasztanowców. Brukowaną drogą między Stowe Hall i boiskiem. Wzdłuż kanału. Tu przystanął.

Przyglądał się przez chwilę chłopcom i mężczyznom z uczelni, którzy próbowali zaimponować dziewczynom i kobietom, zapraszając je na przejażdżkę po kanale. Stali na rufach wąskich drewnianych gondoli i sterowali nimi za pomocą długich żerdzi. W większości byli to chłopcy wychowani w mieście, którzy nie mieli pojęcia o żeglowności, resztę zaś stanowili chłopcy ze wsi, którzy wiedzieli co najwyżej, jak uruchomić silnik w motorówce. Niemal wszyscy bez

ustanku chwiali łodziami, omal nie przewracając ich do góry dnem, podczas gdy ich wybranki próbowały zachować zimną krew.

Milo pływał po tym kanale od wczesnego dzieciństwa – zwykle z matką, w środowe wieczory. Teraz naszła go ochota, by wsiąść do łodzi i pokazać starszym chłopcom, jak należy się z nią obchodzić.

– No proszę, młody Hay – przywitał go kierownik wypożyczalni, pan LeJeune. – Jak się miewa pańska mama?

– Dziękuję, dobrze. Chciałbym wypożyczyć łódź. Trzy za godzinę, tak?

– Tak jest, panie Hay. Ale musi pan być pełnoletni. Więc jak, skończył pan już osiemnaście lat?

– Panie LeJeune, wie pan, że umiem kierować łodzią...

– Jak sam diabeł, proszę pana. Ale straciłbym pracę, gdyby...

– Ja to podpiszę – rozległ się za nim znajomy i przerażający głos. – Zapłać mu, Milo.

Ally Shepard.

Chciał zapaść się pod ziemię.

– Nie wydaje mi się... – zaczął, ale wtedy dotknęła jego ramienia ciepłą, delikatną dłonią. I tak ładnie pachniała.

Usiadła na dziobie najbliższej gondoli i spojrzała na niego przez drogie, designerskie okulary przeciwsłoneczne. Pan LeJeune wręczył mu paragon i wiosło, a Milo znów poczuł się mistrzem King's College.

Zajął miejsce na rufie i z wprawą skierował łódź na środek kanału. Sterował nią tak umiejętnie i gładko, jakby sunęli po szklanej tafli. Wszystko układało się tak, jak tylko mógł sobie wymarzyć. Przemknął między innymi łodziami jak rekin pośród błazenków, skręcił w prawo i ruszył ostro w stronę mostu. Och, ależ ci wszyscy młodzianie byli na niego wściekli! A ich wybranki unosiły tylko brwi w niemym podziwieniu!

– Jesteś w tym dobry – zauważyła Ally.

Wzruszył ramionami i odgarnął niedbale włosy.

Przepłynęli wzdłuż kamiennych murów i pod dwoma kamiennymi mostami, gdzie Milo musiał się pochylić. Po lewej stronie kanału ukazał się obszerny zielony dziedziniec college'u St. Martin's, a w oddali budynki i wieże samej uczelni.

Ally zsunęła z nóg buty. I rajstopy. Potem odwróciła się na ławce, podciągnęła spódnicę do połowy ud, wystawiła nogi za burty po obu stronach dziobu i zanurzyła w wodzie zgrabne stopy.

Milo wyciągnął koszulę ze spodni, by ukryć erekcję.

Przekrzywiła głowę do tyłu, przyglądając mu się z tej dziwnej, odwróconej perspektywy. Jak mógł spojrzeć jej w oczy, kiedy jej ciało tak się przed nim prężyło i odsłaniało?

Bądź dzielny – doradzały głosy w głowie Mila.

Zrobił to, co na jego miejscu zrobiłby zapewne lord Byron. Popatrzył na jej nogi, obdarzył resztę ciała palącym spojrzeniem, a potem zajął jej prosto w oczy.

Kiedy w moich biografii będę omawiać relacje z kobietami – rozmyślał – napiszę, że byłem szalony, zły i niebezpieczny.

Roześmiała się, poprawiła na ławce i odwróciła ponownie w stronę kanału.

Milo uderzył w inną gondolę. Brawo.

– Dupek! – rzucił starszy chłopiec.

– Nic się nie stało – powiedziała Ally. – Ćwiczenie czyni mistrza.

Co za suka. Był jej niewolnikiem.

– Płyn do zamku – poleciła.

Kanał ciągnął się do końca East Green, gdzie otwierał się na szeroki staw, dogodne miejsce do zawrócenia. Można jednak było płynąć dalej w górę strumienia, aż do samej rzeki Brandy. Tuż przed tym miejscem kanał okręzał mury zamku niczym fosa. Właściwie była to zautomatyzowana śluza łącząca kanał z rzeką, ale ponieważ należała do King's College, nadano jej kształt zamku i tak też nazywano.

– Nie wyglądasz na piętnaście lat – powiedziała Ally. Pochyliła się do przodu i włożyła do wody również dłonie, obejmując dziób jak kochanka. Wydawało się, że robi to bez żadnych ukrytych zamiarów, po prostu chce się zrelaksować. Czy rzeczywiście był to czysty przypadek? (Nie, to nie żaden przypadek! – ryknęły stare głosy w jego umyśle). Czy wiedziała, co mu robi? Nie widziała go, więc on mógł gapić się na nią do woli. Czy o tym wiedziała?

– A myślałaś, że ile mam lat? – spytał, pochylając się pod mostem, zamkiem i kierując łódź ku dzikiej części kanału.

Chlup! Chlup! Wystraszone żółwie zsuwały się z kłód i znikwały pod wodą.

Ally usiadła prosto i powiodła spojrzeniem po brzegu.

– Chcę żółwia – oznajmiła. I zsunęła się bokiem do kanału, niemal bezgłośnie.

Zniknęła.

Plusk! Wychynęła nagle z wody przy brzegu i sięgnęła na oślep do pnia sykomory.

Do diabła, rzeczywiście złapała żółwia. Małego żółwia malowanego. Podniosła go w triumfalnym geście, potrząsając gwałtownie głową, by odrzucić włosy z oczu.

Zanurzona do pasa w wodzie i kompletnie przemoczona, ruszyła w jego stronę. Milo zauważył z zachwytem i przestraszeniem jednocześnie, że jej studencki mundurek zrobił się niemal całkiem przezroczysty i przylega do niej jak druga skóra.

– Cholera – mruknęła. – Zgubiłam okulary.

Wyglądało jednak na to, że niespecjalnie się tym przejmuje. Podpłynęła do łodzi, a Milo pomógł jej dostać się do środka.

– Widzisz? – powiedziała, pokazując mu żółwia.

– Żółw malowany, tak się nazywa – poinformował ją. – Uważaj, one gryzą.

Ally kłapnęła zębami przed nosem zwierzęcia, a potem położyła go na dnie łodzi. Żółw przez chwilę drapał w desperacji deski, a potem wsunął się pod ławkę.

– Nie był zbyt zabawny – orzekła, wydymając usta. Potem przybrała znudzoną minę i spojrzała na niego spod przymrużonych oczu. – A ty, Milo Hay? Umiesz być zabawny?

– To ja wynalazłem zabawę – odparł, zastanawiając się, co właściwie chciał przez to powiedzieć. I co właściwie chciała powiedzieć Ally.

Łódź wypłynęła spośród drzew, a ich oczom ukazał się zamek. Wysokie kamienne mury porośnięte mchem. Nieruchoma, ciemna fosa, po której pływały liście. W pajęczynach rozpiętych między gałęziami skrzyły się promienie słońca.

Pozwolił, by gondola wpłynęła na gładką toń fosi, zatrzymał ją łagodnie, sięgając wiosłem do dna, a potem odłożył wiosło na dno łodzi i usiadł na ławce rufowej. Odchylił się do tyłu niczym lord Byron, rozluźniony i nikczemny.

Przez kilka minut oboje milczeli. Ally wydawała się pochłonięta podziwianiem zamku i słonecznych iskier tańczących na liściach. Milo starał się wyciszyć.

– Skąd wiesz, że nie jesteś duchem? – spytała nagle Ally, wciąż wpatrzona w zamek. – Podobno duchy nie wiedzą, kim są. Więc skąd wiesz?

– Może nie wiemy – odparł Milo. – Może jesteśmy duchami.

– Przypuszczam, że duchy chodzą po świecie i myślą o wszystkich rzeczach, których nie zdołały zrobić – mówiła dalej dziewczyna. – No wiesz. Żałują różnych rzeczy. Na przykład gdybyś ty teraz umarł, twój duch mógłby krążyć po świecie i żałować, że nigdy nie całował się z dziewczyną.

Teraz patrzyła na niego.

„Ale ja całowałem się z dziewczyną” – miał już odpowiedzieć. Chłopcy i dziewczęta w szkole średniej całkiem często się całowali. Przełknął jednak tę zniewagę. Ta chwila była jak łódź, której nie wolno rozkołysać.

Opuściła się na dno łodzi, podeszła do niego i pochyliła się nad nim. Pachniała rzeką. Przycisnęła usta do jego ust, a on napał na nią. Początkowo myślał, że to wszystko, czego odeń oczekiwała, i właściwie był z tego zadowolony. Potem wydarzyło się coś zaskakującego. Poczul w ustach nową wargę i zrozumiał, że to jej język.

Kiedy się całowali, był świadom dotyku jej dłoni, która poruszała się między nimi, pod ich obojczykami. Nie zwracał na to uwagi, oszołomiony, dopóki nie odsunęła się odrobinę i nie usiadła na nim okrakiem. Dopiero wtedy zobaczył, że rozpięła koszulę i stanik.

Lord Byron by jej dotknął.

Sięgnął w górę obiema rękami, dotykając wierzchem dłoni jej brzucha. (Nie rzucaj się na nią od razu – radziły mu głosy).

Wtedy poczul, jak jej dłonie rozpinają jego pasek, a serce zabiło mu jeszcze szybciej. Przekona się, jaki jest twardy. Czy to dobrze? Czy poczuje się urażona?

Ally wstała raptownie, omal nie przewracając łodzi, sięgnęła pod spódnicę i zsunęła majtki. Wyszła z nich i ponownie usiadła okrakiem na Milu. Sięgnęła po niego i naprowadziła, a on znalazł się nagle w jej wnętrzu.

Mój Boże! Całe ciało i umysł chłopca iskrzyły i dygotały.

Orgazm dopadł go natychmiast jak wielka, ośliniona bestia. W tym momencie Ally Shepard zadziwiała go i jednocześnie przerażała. Poruszyła gwałtownie biodrami, a w jej oczach pojawiło się coś, co prawdę mówiąc, wcale nie podobało się Milowi. Jakby zadawała komuś cios.

I nagle wszystko odwróciło się do góry nogami przy akompaniamencie krzyku i śmiechu. Milo znalazł się pod wodą, w chłodnym mroku. Woda wpłynęła mu do nosa, opłynęła całe ciało. Zrozumiał, że to Ally przechyliła ich na bok i przewróciła łódkę.

Fosa była płytka. Milo namacał dno i stanął na nim, krztusząc się i parszkając. Sięgnął po pasek od spodni.

– Do cholery, Ally! – wycharczał.

Ona również pluła wodą, parskała i wciąż się śmiała. Pozbierała się błyskawicznie i już stała na brzegu, z butami w jednej ręce i żółwiem w drugiej. Jej koszula i stanik nadal były rozpięte.

– Przynajmniej to będziesz mógł wspominać, jeśli umrzesz dziś w nocy – powiedziała, po czym odwróciła się i ruszyła przez las w stronę kampusu.

Kochał ją i zarazem jej nienawidził.

Na w pół zatopiona łódź unosiła się leniwie na ciemnej wodzie. Milo wyciągnął ją na brzeg, opróżnił, zepchnął z powrotem do fosi i powiosłował do domu.

Czuł się trochę jak lord Byron, a trochę jak mały zagubiony chłopiec.

Tak naprawdę był w tym momencie radośnie oszołomionym młodzieńcem.

Kolacja w domu Mila przebiegała w nudnej, oficjalnej atmosferze.

– Coś cię gnębi? – spytał ojciec, spoglądając nań groźnie znad pieczeni wołowej
– Co? – ocknął się Milo. – Nie, nic mi nie jest.
– Więc gdzie jesteś? – roześmiała się mama. – Bo tutaj cię nie ma. Pewnie chodzi o dziewczynę.

Milo przełknął z trudem.

– Owszem, coś jest na rzeczy – przyznał. – Ale nie chodzi o dziewczynę, tylko o kluby.

Jego ojciec przeżuwał z namaszczeniem wołowinę, marszcząc przy tym brwi.

– I tak wzięłeś na siebie więcej, niż powinieneś w tym wieku – przemówił wreszcie. – Myślę, że możesz poczekać z dodatkowymi zajęciami do przyszłego roku.

Cholera – zaklął w myślach Milo. Ojciec doskonale wiedział, że zaproszenia otrzymuje się tylko raz. Albo wstępujesz do klubów i stowarzyszeń na pierwszym roku, albo nie robisz tego w ogóle. Nim zdążył ubrać to spostrzeżenie w słowa, które nie wzbudziłyby gniewu ojca, zabrzączał dzwonek u drzwi.

Może to była Ally Shepard. Pomyślał, że to do niej podobne. Zaskoczyć go i sprawić, żeby czuł się zakłopotany.

To nie była Ally. Za progiem stało dwóch policjantów.

– Milo Hay? Nazywasz się Milo Hay?

– Tak.

– Jesteś aresztowany – powiedzieli, po czym złapali go, obrócili w miejscu i spięli ręce kajdankami.

– Milo?! – zawołała mama z drugiego pokoju. – Kto to?

– Jezu Chryste! – krzyknął Milo. – Za co?

– Za gwałt, panie Hay. Tędy.

Kiedy siedział w miejskim areszcie, stare głosy w jego głowie próbowały go pocieszyć. Formy, które przybiera twoje życie, są tylko iluzją, mówiły. Szczęście czy więzienie – to wszystko przemija jak sen.

– Prawda wyjdzie na jaw – powiedział ojciec, gdy Milowi pozwolili się zobaczyć z rodziną i adwokatem.

Milo umierał raz po raz, opowiadając, co wydarzyło się w łódce. Ojciec słuchał jak wielka kamienna sowa, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Lecz gdy Milo skończył, zrobił coś zaskakującego.

Wyciągnął rękę i w geście czułości położył swą wielką dłoń na policzku chłopca.

– Nie zrobiłeś nic złego – powiedział. – To było głupie, ale nie złe. Nie pozwól, żeby wmówili ci coś innego.

Milo skinął głową.

Adwokat, młody mężczyzna z idiotyczną kępką utlenionych włosów na samym czubku głowy, przełożył jakieś papiery i powiedział:

– Na szczęście głupota nie jest przestępstwem. Jeśli jesteś niewinny, to jesteś niewinny. Koniec kropka.

Jego niewinność nie miała znaczenia.

Myślał o tym w drodze do kolonii karnej Unferth, przykuty do pryczy w statku transportowym. Przez trzy dni mógł jedynie rozmyślać o tym, jak wielka spotkała go niesprawiedliwość, i bać

się.

O karze przesądził fakt, że ojciec Ally Shepard był bogatym bankierem i mógł wynająć cały zespół prawników po najlepszych uczelniach. Natomiast wpływy profesora Haya były ograniczone tylko do ścisłego grona jego współpracowników i studentów. Ze swojej uczelnianej pensji z trudem mógł opłacić adwokata z tlenionym czubkiem na głowie, który na widok swoich przeciwników omal nie zwymiotował na podłogę w sądzie.

Oskarżyciele twierdzili, że setki ludzi widziały Ally Shepard, gdy szła, ociekając wodą, przez kampus King's College w koszuli, która wyglądała na rozdartą podczas gwałtu.

– Dotychczasowe osiągnięcia pana Haya dowodzą, że jest młodzieńcem o nad wiek rozwiniętym intelekcie, któremu towarzyszy równie rozwinięte ego – wywodzili prawnicy. – Pan Hay uważa się za człowieka wybitnego pod każdym względem i traktuje kolegów i koleżanki jak ofiary. Biorąc pod uwagę jego wiedzę i dojrzałość, wysoki sędzie, nie należy go w żadnym wypadku traktować jako dziecka. Jest dorosły i powinien być sądzony zgodnie z regułami obowiązującymi dorosłych.

Trzeba przyznać, że adwokat z tlenionym czubkiem próbował powiedzieć coś o Ally Shepard i zwrócić uwagę na długą listę terapeutów, którzy się nią zajmowali, lecz oskarżyciele przedstawili wiele niezbitych argumentów przemawiających za tym, by odrzucić ten dowód.

Profesor Hay i jego żona siedzieli w pierwszym rzędzie, bladzi i przygarbieni.

– Więzienie Unferth – zawyrokował sędzia.

Opadając przez hiperprzestrzeń, Milo rozmyślał o swojej przemianie.

Moje wyrafinowane życie lorda Byrona na planecie Bridger dobiegło końca – uznał. A wielka szkoda, bo zapowiadało się naprawdę ciekawie.

Ogarnął go nagle rozdzierający smutek, z trudem powstrzymał się od płaczu.

Teraz muszę jakoś przeżyć w więzieniu. To jest moja nowa ponura rzeczywistość.

Bzdura – oponowała jego głęboka dusza. Oto prawda: gwiazdy, czas, Istnienie, Nicość. Twoje *boa*.

Dobrze – zgodził się Milo, gotów przyjąć wszystko, co mogłoby zastąpić rozpacz. Pozwolił, by prawda opływała go jak ocean, w którym fale poruszały się w kojącym rytmie, lecz woda pozostawała nieruchoma. Będzie jak ta woda, jak nieruchoma czarna fosa, do której wrzuciła go ta kłamliwa suka...

Milo – upomniała go głęboka dusza.

Będę jak woda – pomyślał, zaczynając nowe życie.

Jak dowiedział się z sieci, kolonia karna Unferth była jedną z najbardziej przerażających placówek kosmicznego wymiaru sprawiedliwości. Prawie czternaście wieków wcześniej, gdy ludzie opuścili Ziemię i zaczęli żyć na okrętach, na stacjach kosmicznych i w innych sztucznych środowiskach, podtrzymanie życia stało się priorytetową kwestią we wszystkich środowiskach i we wszystkich dziedzinach, łącznie z prawem. Na Ziemi przestępcy mogli żyć w komfortowych warunkach i mogli liczyć na pobłażliwość. Raz po raz wypuszczano na wolność groźnych zbrodniarzy, którzy natychmiast znów zaczynali krzywdzić ludzi. Chciwi korporacyjni potentaci gromadzili bogactwa i trwonili zasoby naturalne, korzystając z ochrony marionetkowych rządów. Wszyscy wiedzieli, do czego doprowadziło to Ziemię, prawda? Potentaci zamienili całe narody w niewolników utrzymywanych na pasku długów i kredytów.

Bezwzględni przestępcy zastraszaali całe społeczności, skutecznie zatruwając im życie. Dostęp do informacji i edukacji został ograniczony do tego stopnia, że planeta praktycznie utraciła zdolność perspektywicznego myślenia, planowania. Ludzkość tonęła więc we własnym zanieczyszczonym, trującym błocku, aż kometa Marie położyła kres tej żalosnej egzystencji. Przeżyli zaledwie nieliczni, ocaleni i wykorzystani przez potentatów.

Życie w kosmosie zmieniło wszystko. Na Ziemi społeczeństwa i środowiska były ogromne, nie poddawały się prostym ocenom i szacunkom. W kosmosie stały się czymś, co można zmierzyć prostymi wskaźnikami. Wystarczyło rozejrzeć się po kawiarni, by ocenić stan zdrowia społeczności. Woda i powietrze nie spadały z nieba i nie unosiły się po prostu nad ziemią: trzeba je było wytwarzać, monitorować i poddawać recyklingowi. Maszyny nie służyły jedynie do tego, by uczynić wygodnym i łatwym życie, nie można było ich zostawiać samym sobie: należało je utrzymywać w dobrym stanie, korzystając z odpowiedniej wiedzy i umiejętności, inaczej bezlitosny kosmos rozerwałby je na strzępy i zabił wszystkich ludzi. I to błyskawicznie. Próżnia, grawitacja i promieniowanie nie istniały po to, by akceptować ludzkie wierzenia i przesady, *boa* kosmosu było surowe i bezwzględne. Liczyło się tylko to, co robiłeś, jak dobrze to robiłeś i jak szybko.

To wszystko, co służyło do podtrzymania życia, stało się w pewnym sensie równie cenne jak samo życie. Tu nie było miejsca na marnotrawstwo. Skoro zużywałeś tlen i wodę, musiałeś być użyteczny. Społeczeństwa nie tolerowały ludzi, którzy zabijali, gwałcili, bili, oszukiwali, kradli, zastraszaali lub krzywdzili innych w jakikolwiek sposób. Bogaci przestępcy – ci, którzy kupczyli zasobami naturalnymi dla własnej korzyści – przetrwali nieco dłużej niż ich biedniejsi pobratymcy, ale ich także dopadło *boa*.

W pierwszych latach po uderzeniu komety niebezpiecznych i szkodliwych ludzi wysyłano w przestrzeń. Władze zamykały ich po prostu w śluzie, a potem otwierały zewnętrzne drzwi.

Skutek? W społecznościach zamieszkujących statki bardzo szybko zapanował idealny porządek.

Kiedy wynaleziono napęd OZ, który umożliwił podróże międzygwiazdne, sztuczne społeczności znów mogły ustąpić miejsca normalnym społecznościom planetarnym. Wymiar sprawiedliwości popuścił nieco cugli. Przestępców niekoniecznie karano śmiercią. Wysyłano ich w odległe miejsca, gdzie zostawali do końca istnienia. Zbrodniarze rzadko wracali do domu.

Do takich właśnie miejsc należało Unferth. Była to asteroida wypchnięta w głąbię kosmosu, odległa o wiele lat świetlnych od zamieszkanego światów. Jałowa, podziurawiona kraterami powierzchnia asteroidy nie nadawała się do życia. Włazy prowadziły do labiryntu tuneli wydrążonych w jej wnętrzu i to właśnie tam pędzili żywot więźniowie. Mogli otwierać śluzę, by wyrzucić odpadki, w tym zmarłych, ale robili to bardzo rzadko. Nie otrzymywali żadnych rzeczy z zewnątrz, więc musieli przestrzegać bardzo rygorystycznych zasad recyklingu. Znajdowali użytek praktycznie dla wszystkiego.

A przynajmniej tak powszechnie uważano. Wieści rzadko docierały do tego miejsca i rzadko się stamtąd wydostawały.

– To *oubliette* – powiedział mu ojciec, opisując to miejsce, kiedy się ze sobą żegnali. – Miejsce zapomnienia.

W ten sposób chciał mu dać do zrozumienia, że prawdopodobnie nigdy się już nie zobaczą.

Profesor nie był już mrocznym lordem, lecz cieniem człowieka obleczonego w marne ubranie, które wisało na nim jak na kołku. Był człowiekiem, którego odarto ze wszystkich złudzeń.

Nikt nie może tak żyć – myślał Milo, płacząc cicho i patrząc, jak jego przygarbieni rodzice

odchodzą na zawsze. Życie w więzieniu może przybierać bardzo różne formy.

Po trzech dniach podróży z Bridgera okręt wyskoczył z hiperprzestrzeni przy kolonii Unferth. Strażnik zaprowadził więźnia do śluzy.

Trzask! Stuk! Bum!

Syk powietrza.

Otworzyły się pierwsze drzwi śluzy, a Milo zobaczył przed sobą puste, upstrzone plamami rdzy pomieszczenie w kształcie sześcianu. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny.

Milo wszedł do środka.

– Cześć, dzieciaku! – zawołał strażnik. – Nie daj się zająć od tyłu!

Właz zamknął się z trzaskiem.

Trzask! Stuk! Bum!

Okręt oderwał się od powierzchni asteroidy i odleciał, zostawiając chłopca w zardzewiałej śluzie.

Czekał pięć godzin.

W końcu po serii zgrzytów i trzasków otworzyły się drzwi po drugiej stronie śluzy.

Przywitał go chudy starzec w spodniach uszytych z worka, sandałach i grubych okularach własnej roboty.

– He! – burknął mężczyzna. – Mamy tu jednego w dziurze. Idziesz?

Milo przeszedł przez właz i stanął na korytarzu.

– Zamknij za sobą – rzucił starzec, kasłając, po czym odszedł, powłócząc nogami w... ciemność.

– Hej! – zawołał za nim Milo, lecz mężczyzna szedł dalej, aż zniknął mu z oczu.

W sądzie ostrzegano go, by nie się spodziewał żadnego przywitania ani oficjalnego przyjęcia w szereg więźniów. Pozbawiono go ryby. Nie przydzielono mu numeru, a po wysłaniu go do więzienia nie prowadzono też żadnej dokumentacji w jego sprawie.

Dokąd miał iść? Co miał robić? Wiedział tylko tyle, że wcześniej czy później będzie potrzebował jedzenia i jakiegoś miejsca do spania. Jak więźniowie sobie z tym radzili? W sądzie dano mu do zrozumienia, że będzie zdany sam na siebie.

Gdy jego wzrok przywykł do otoczenia, Milo uświadomił sobie, że w korytarzu nie jest całkiem ciemno. Umieszczone wysoko pod sufitem lekko rozjarzone kwadraty zapewniały dość światła, by mógł dojrzeć wykute w skale ściany.

Ruszył w głąb tunelu, przytrzymując się ściany jedną ręką. Gdy uszedł jakieś sześć metrów, kwadraty za jego plecami zgasły, a zapaliło się kilka następnych z przodu.

Całkiem rozsądnie – pomyślał Milo. Oszczędność energii. Z pewnością nie stosowano tu takich źródeł światła, które zużywałyby tlen, te prawdopodobnie wykorzystywały prymitywne czujniki ruchu i substancję fosforyzującą. Poczul się nieco lepiej na myśl, że więźniowie potrafią wymyślić tak rozsądne i subtelne rozwiązania. Może jednak nie spotka go tutaj prymitywna przemoc i brutalność.

Sto metrów dalej z ciemności wyskoczyło kilka ciemnych postaci, które powaliły go na podłogę, pobiły do nieprzytomności, zdarły z niego ubranie i zostawiły zakrwawionego na podłodze.

Kiedy się ocknął, przeanalizował to, co go spotkało.

W więzieniu brakowało wszelkiego rodzaju materiałów. Nic dziwnego, że osadzeni patrolowali korytarze w pobliżu włączów i polowali na przybyszów. Powinien był się spodziewać takiej pułapki.

Brawo, chłopcze! – powiedziały jego głosy. Częściej ruszaj głową...

Milo podniósł się na równe nogi i ruszył dalej. Nie miał już niczego, co mogliby mu zabrać.

Głosy nie skomentowały tej myśli.

Godzinę później natrafił na ludzi. To byli prawdziwi, dobrze widoczni ludzie, a nie cienie i niewyraźne postacie. Korytarz otwierał się na pomieszczenie wielkości przeciętnego salonu. Siedziało w nim kilku mężczyzn i kilka kobiet. Trzymali w dłoniach karty własnej roboty. W przeciwległym rogu jeden mężczyzna przytrzymał drabinę, na której stał więzień zajęty pracą przy wiązce kabli.

Wszyscy mieli na sobie przynajmniej spodnie uszyte z tkaniny workowej. Milo poczuł się okropnie, przeraźliwie nagi.

Miał nadzieję, że tu w końcu znajdzie kogoś, kto się nim zaopiekuje, porozmawia z nim, pomoże mu, aż sam się nauczy...

Mądry człowiek nie boi się zadawać pytań – poradziła mu jego stara dusza.

– Czy ktoś może mi pomóc? – spytał Milo. Zanim zdążył powiedzieć coś więcej, troje graczy – dwaj mężczyźni i jedna z kobiet – poderwali się raptownie, rzucili go na podłogę („Patrzcie, jaki ładniutki!”) i zajmowali się nim na zmianę, aż stracił przytomność.

Ocknął się otumaniony i obolały. Leżał zwinięty w kłębek na zimnym, wilgotnym kamieniu. Próbował zapaść z powrotem w niebyt, ale ktoś go kopnął i powiedział:

– Wstawaj. Wytrzymaj się.

Milo nie chciał się budzić. Chciał schować się w sobie. Czuł, że w jego umyśle otwiera się jakaś mroczna otchłań, coś na kształt szaleństwa, w którym mógł się zatracić.

Nie – sprzeciwiły się głosy w jego umyśle. Pozostaniesz człowiekiem. Usiądź prosto, otwórz oczy i staraj się przetrwać.

Więc Milo usiadł prosto, choć czuł się jak wrak rozbitego samochodu. Zamrugnął oczami i zrozumiał, że siedzi w dole przypominającym grób wydrążony w dnie jaskini. Leżało tu coś na kształt dywanu zrobionego z płótna workowego, który zakrywał połowę maleńkiej podłogi, dokoła walały się puste naczynia. Talia kart. Jakieś ciemne patyki, może węgiel do rysowania lub prymitywne ołówki. Coś lśniącego w kształcie noża. Dół śmierdział jak rynsztok.

Dokładnie naprzeciwko chłopca, tak blisko, że ich kolana stykały się ze sobą, siedział ciężki, krągły mężczyzna o gęstych długich włosach i takiej samej brodzie. Oczy, ukryte w tej ciemnej gęstwinie, lśniły jak maleńkie szklane punkciki. Podobnie jak Milo był całkiem nagi.

– Wytrzymaj się – powtórzył, podając mu szmatę i wskazując na miskę z wodą.

Milo wytarł całe ciało. Udało mu się pozbyć części brudu i krwi, resztę tylko rozsmarował na skórze.

Pomyślał, że wypada nawiązać rozmowę.

– Jestem Milo – powiedział.

– Thomas – odparł mężczyzna, wskazując na siebie. – Zjedz to – dodał, wręczając mu miskę wypełnioną czymś, co wyglądało jak sperma wielbłąda.

Nie mógł.

– Nie teraz – odpowiedział.

– Jedz, kiedy tylko masz okazję – poradził mu Thomas.

Milo zjadł. Starał się nie myśleć o tym, co wkłada do ust.

Na razie rób, co trzeba, żeby przetrwać – przykazywał sobie w myślach. Potem przyjdzie czas na zemstę.

Nie – zaprotestowała jego stara dusza. Bądź oceanem, bądź stawem...

Zemsta – powtórzył Milo, przełykając ciężko.

Wcześniej czy później zniknie poczucie, że trafił do sennego koszmaru, prawda? Wcześniej czy później Unferth wyda mu się zwykłą rzeczywistością, a wtedy uodporni się na grozę tego miejsca, prawda?

Nie. Milo uczył się jednak ważnych rzeczy. Zrozumiał, że nauka i zachowanie czujności są tu kluczem do przetrwania.

Dowiedział się, że ma astmę. Przytłoczony wilgocią, ciemnością i lękiem, czuł się od czasu do czasu tak, jakby jego organizm próbował się sam udusić. Cudownie – pomyślał, rżęząc.

Dowiedział się również, że należy do Thomasa, który oznakował jego ramię: THOMAS 817-GG. W prymitywnym systemie lokalizacji opracowanym przez więźniów cyfry te oznaczały położenie celi Thomasa. Nie pilnował on chłopaka przez cały czas ani nie trzymał go na smyczy, ale gdyby ten oddalił się za daleko, prawdopodobnie ktoś odprowadziłby go na miejsce i odebrał nagrodę.

Thomas był hydraulikiem. Czasami wychodził na kilka godzin lub dni, zabierając ze sobą torbę z narzędziami domowej roboty. Wszystkie rzeczy w kolonii wykonywane było ręcznie. Niektórzy ludzie zajmowali się wyrobem różnych przedmiotów. Jedni wytwarzali jedzenie, drudzy szyli ubrania, produkowali papier lub szkło, pędzili alkohol, przynosili wiadomości. Funkcjonował tu nawet specyficzny system szkolnictwa, który pozwalał ludziom dzielić się swoimi umiejętnościami i wiedzą.

Nikt nie zajmował się zawodowo sprzątnięciem. Każdy musiał sprzątać po sobie lub zmuszać do tego innych.

Kiedy Milo już od tygodnia był dziewczyną Thomasa, ku swemu przerażeniu dowiedział się, że Thomas mógł go wypożyczać innym.

Thomas potrzebował nowego narzędzia. Zabrał więc chłopca na noc do domu Goba Kowala.

– Gob ci się nie spodoba – powiedział Milo, prowadząc go do warsztatu Kowala.

Musieli przejść przez gęsto zaludnioną strefę więzienia, miejsca przeznaczonego na sklepy i zakłady przemysłowe, gdzie można było korzystać z lepiej utrzymanej instalacji hydraulicznej i elektrycznej. Była to po prostu jaskinia wielkości przeciętnej wioski. Na omszałych kablach wisiały fosforyzujące lampy. Pod ścianami wznosiły się prymitywne domostwa i sklepy przypominające puebla kultury Anasazi. Dno jaskini przecinały równie prymitywne ulice i przejścia, wypełnione gęstym, zirytowanym i cuchnącym tłumem.

Kiedy dotarli do kuźni, Milo przekonał się, że Gob jest olbrzymem. Nie mógł oderwać od niego wzroku.

Kowal urodził się jako olbrzym, potem poddano jego ciało różnym modyfikacjom. Cała jedna strona jego czaszki została wykonana z aluminiowej płyty. Mięśnie na ramionach i barkach wyglądały jak jakieś ogromne, rozdęte narośle. W ciało i kości wmontowano różnego rodzaju dźwignie, sprężyny i inne mechanizmy. Kiedy weszli do jego warsztatu, rozdierał arkusz metalu gołymi, półmechanicznymi dłońmi.

– Żartujesz sobie ze mnie?! – krzyknął Milo.

– Musi być silny – tłumaczył Thomas. – Nie może używać ognia ani żaru, bo one zużywają tlen. Może więc tylko uderzać, rozdzierać, ciąć i ścisnąć.

Gob zaczął związać metalową płytę w rurę. Nie przerywając pracy, zerknął na chłopca.

– Ładny – powiedział.

– Pożyczam ci go tylko – zastrzegł Thomas. – Rozumiesz? Dwie noce. Jeden gwintownik.

Gob rozumiał.

– Zostajesz tu – rzucił Thomas do Mila i wyszedł.

Gob sięgnął do niego, podniósł go jak piórko i zapiął mu kajdany na nogach.

– To niepotrzebne – jęknął Milo. Nie zamierzał nigdzie uciekać. Dokąd miałby pójść?

– Cicho bądź – mruknął Gob. Wziął do ręki prymitywne, zakrzywione nożyce i uciął nimi kawałek lewego ucha Mila. Odcięty fragment odbił się od kolana chłopca i spadł na podłogę, między metalowe wióry. Zszokowany umysł Mila zauważył tylko, że kawałek ucha jest bardzo brudny, i zastanawiał się przez moment, czy podobnie wygląda reszta jego ciała.

Potem dopadł go atak astmy, który na szczęście pozbawił go zdolności myślenia.

Podczas dwóch dni spędzonych w kuźni Goba Milo obserwował, jak olbrzym struga i obrabia metal z taką łatwością, jakby było to miękkie drewno. Widział też, jak od czasu do czasu po jego ciele spływają strużki krwi, gdy mięśnie i mechanizmy rozrywały nadwerżoną skórę.

Czasami Gob prosił chłopca, by podał mu jakieś narzędzia lub materiały, a on posłusznie je przynosił. Czasami wykorzystywał go w inny sposób. W takich chwilach Milo starał się zasnąć. Oddychał głęboko i przenosił się myślami gdzie indziej. Przekonał się, że w ten sposób może powstrzymać ataki astmy.

Drugiego ranka do kuźni przyszedł oznaczony bliznami mężczyzna. Wyciął ze swojej nogi wąskie paski skóry, za które Gob mu zapłacił. Kowal zjadł jeden pasek i podał Milowi drugi. Milo odmówił.

– Rób, co ci mówię – zagrział Gob. – Jedz, kiedy możesz.

Gdy Milo nadal odmawiał, Gob pogroził mu nożyczkami. Chłopiec pokręcił głową.

Kowal rzucił się na niego z rykiem, zawiązał mu pętlę na szyi i powiesił go na kołku wbitym w ścianę.

– Nie! – krzyknął Milo, nim zabrakło mu powietrza. Wierzgał i szamotał się rozpaczliwie. Poczł jeszcze, jak jego kręgosłup boleśnie się naciąga, potem przestał cokolwiek odczuwać i osunął się w ciemność.

Gob położył go na podłodze. Szyja i płuca paliły chłopca żywym ogniem. Chciał zwymiotować, ale wciąż miał zaciśnięte gardło.

Gob stanął obok i spojrzał na niego z góry jak rozgniewany bóg.

Thomas nie był zadowolony ze swojego nowego narzędzia.

– Nie będzie gwintował prosto – mruzczał, obracając przyrząd w rękach. – Śruby będą się zacinać.

Gob wydał z siebie nieartykułowany, pytający pomruk. Thomas przełknął nerwowo.

– No, jakoś sobie poradzę – zapewnił kowala pospiesznie. – Potem odwrócił się do Mila i powiedział: – Chodźmy. Chcę ci coś pokazać. Coś, co ci się spodoba.

Wydawał się podekscytowany, a nawet radosny. Dziwne. Co takiego mogło się jego zdaniem

spodobać chłopcu?

Chcieli już ruszyć do wyjścia, ale Gob wyciągnął swe wielkie ręce i złapał ich za ramiona.

– Chłopiec – powiedział. – Porozmawiajmy o chłopcu.

– Nie oddam ci go – oznajmił Thomas, lecz nie wydawał się zbyt pewny siebie.

Gob pokręcił głową.

– Nie o to chodzi – odparł. – Próbowałem go powiesić.

Thomas spojrział na niego z wściekłością, lecz jednocześnie przesunął się odrobinę w stronę wyjścia.

– Do diabła, Gob! Obiecałeś mi...

– Nie udało mi się – przerwał mu kowal.

– I całe szczęście – wycedził Thomas przez zęby.

– Zastanów się nad tym – powiedział Gob. – Przestań myśleć tylko o tym, jak stąd wyjść. Zastanów się, co to oznacza.

– To oznacza, że możemy zostać bogaci – oświadczył Thomas, gdy w końcu z Milem opuścili warsztat kowala. – Tak bogaci, jak jest tu możliwe.

Milo przysłuchiwał się wcześniej rozmowie dwóch więźniów i zrozumiał z niej tylko tyle, że będą go „szkolić”.

Przepychali się przez zatłoczone ulice. Thomas wyraźnie się spieszył, wciąż czymś mocno podekscytowany. Nie chciał powiedzieć czym.

– Do czego macie mnie szkolić? – dopytywał się Milo.

– Najpierw poddamy cię próbie – odparł Thomas. – Jeśli ją przejdiesz, będziemy cię szkolić. Zobaczysz jutro. A teraz patrz! Jesteśmy na miejscu.

Thomas zaprowadził go na drugi poziom domostw przyklejonych do ściany jaskini i stanął przed otwartymi drzwiami.

– Ale co to za miejsce?

– Dom. Nowy dom.

– Jak to? – zdumiał się Milo. – Jest drogi? Nie rozumiem.

Thomas wzruszył ramionami.

– Chciałem go – powiedział.

Weszli do środka, a Milo od razu zrozumiał, w jaki sposób hydraulik zdobył nowe lokum. Pod przeciwległą ścianą leżał nagi mężczyzna ze skręconym karkiem i rozplataną głową. Na podłodze krzepła wielka kałuża krwi. Milo wyczuwał w powietrzu charakterystyczny metaliczny zapach. Pokręcił głową i zwymiotował.

– Zająłem go – oznajmił Thomas.

Milo zauważył, że pomieszczenie jest większe od ich nory. Może nawet ze cztery razy.

– Ty zdecydujesz, co zjemy na kolację – powiedział hydraulik, kładąc ciężką dłoń na jego ramieniu. – Mogę wyjść na zewnątrz i... no wiesz, jedzenie... albo możemy... no wiesz.

Wskazał na trupa.

Milo ponownie zwymiotował.

– Nazywamy to „długą świnia”.

I jeszcze raz.

– Mówimy o tym „nurkowanie” – wyjaśnił Thomas.

Szli tunelem prowadzącym na powierzchnię asteroidy. Ku próbie, o której wspominał wcześniej Thomas.

– Nurkowanie?

– Dla własnego dobra wdychaj i wydychaj teraz powietrze najgłębiej i najszybciej jak potrafisz – poradził mu hydraulik, ignorując pytanie.

– Dlaczego?

– Zrób to! – ryknął Thomas.

Milo posłusznie zaczął oddychać szybko i głęboko. Skręcili za róg i ruszyli w górę stromego podejścia.

– Przestań, kiedy zrobi ci się słabo – poradził Thomas.

Milo poczuł, że robi mu się słabo, gdy weszli do pomieszczenia wielkości ich nowego domostwa.

Jedną ścianę tego pokoju stanowiło okno wychodzące na krater o poszarpanych krawędziach. Obok okna znajdowały się drzwi, a koło drzwi siedziała stara kobieta o wyglądzie czarownicy. Miała długie siwe włosy i niebieskie oczy. Nie tylko tęczęwki – całe jej oczy lśniły błękitem. Była ślepa?

Milo potknął się i byłby runął nieprzytomny na podłogę, gdyby kobieta go nie podtrzymała.

– Stosowałeś hiperwentylację, tak? – spytała.

– On mi kazał – wydyszał, wskazując głową Thomasa.

– To dobrze. Jestem Arabeth. Gdy tylko dojdiesz do siebie, zaczniemy.

Milo bardzo szybko odzyskał jasność umysłu. Jego myśli i wzrok znów były w pełni sprawne.

– Czy on wie? – spytała Thomasa Arabeth.

– Nie ma pojęcia.

– To dobrze. Im mniej myśli o tym teraz, tym mniej będzie potem panikował. Chłopcze, posłuchaj mnie. Słuchaj i patrz.

– Zgoda – potwierdził Milo.

Uderzyła dłonią w metalową gałkę umieszczoną pośrodku drzwi, które wyglądały tak, jakby poskładano je ze starych stalowych wiader rozprostowanych na kowadło Goba. Drzwi otworzyły się z głośnym sykiem, ukazując wnętrze śluzy.

– Wyślemy cię w próżnię, chłopcze – powiedziała. – Będziesz musiał...

Milo zawył i rzucił się do wyjścia, lecz Thomas złapał go i przytrzymał w miejscu.

– Kiedy otworzy się zewnętrzny właz, będziesz miał jakieś dziesięć sekund, żeby przejść do następnych drzwi, jakieś sześć metrów dalej w tę stronę... – wskazała ręką – zanim stracisz przytomność.

Thomas wrzucił go do śluzy. Milo próbował wrócić do pokoju, ale odepchnęli go i napani na właz.

– Hej! – wrzasnął.

Pppppppppsssssssst! Łup! A potem syk zamykanych drzwi.

Zbryzgany własnym moczem, rzucił się na stalową przegrodę.

Psssssssst! Kontrolki w śluzie zgasły, powietrze uleciało, otworzył się zewnętrzny właz. Milo zobaczył w górze gwiazdy, a w dole całkowitą ciemność...

W tym samym momencie poczuł się tak, jakby ktoś nadmuchał go niczym balon...

Powietrze wypłynęło z jego gardła i z ust, klatka piersiowa zrobiła się płaska jak naleśnik...

Przeraźliwe zimno palące jak ogień, wulkan przejmującego mrozu...

Był w przestrzeni kosmicznej, nagi.

Straszliwa, dzika panika...

Jeśli poddasz się panice – mówiły jego stare, mądre głosy – zginiesz. Szybko – rób to, o czym mówiła ci ta stara kobieta.

Milo wyteżył umysł i skupił się na problemie.

Odepchnął się palcami u nóg i złapał rękami krawędź włazu – parzyła! Wszystko parzyło, jak zamarznięty metal, do którego za namową kolegów przystawiasz język.

Coś straszego działo się z jego oczami. Zasnuwała je mgła, bardzo szybko!

Drugi wąż... Spojrzał w kierunku wskazanym przez starą kobietę. Tak, były tam drzwi. Jak daleko?

(Czuł, jak się rozdyma, rośnie jak na drożdżach. Krew musowała w jego ciele niby gazowana woda...)

Trzymając się krawędzi włazu, podciągnął mocno ręce, odepchnął się nogami i popłynął przez ciemność w stronę tamtego światła.

Świat przed jego oczami zamienił się w jedną, wielką, niewyraźną plamę. Właściwie nic już nie widział.

Nie wyczuwał też żadnego ruchu. Nic.

(Prócz bolesnego pęcznienia, wulkanicznego zimna, musowania- - - - -
- - - - -)

Wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu ocknął się.

Jak to możliwe, że wciąż żył? Prawdę mówiąc, wcale go to nie cieszyło.

Najpierw poczuł ból. Jakby został poparzony przez słońce na zewnątrz i wewnątrz.

Wciąż nic nie widział.

Usłyszał głosy dochodzące jakby z wnętrza blaszanej puszki.

– Pewnie czujesz się tak, jakby poparzyło cię słońce – mówił ktoś cicho. Kobieta z niebieskimi oczami.

– Wyglądasz jak trup – dodał ktoś inny. Thomas.

– Nie jesteś poparzony – uspokajała go kobieta. – W pobliżu nie ma żadnej gwiazdy, więc nie musisz się obawiać promieniowania. A teraz powiedz mi, jak mam na imię.

– Arabeth – jęknął Milo.

– Dobrze. Bardzo dobrze. Zrobiłeś dokładnie to, co należy. Odepchnąłeś się i poleciałeś we właściwym kierunku, a twoje nieprzytomne dupsko zaniósło cię do otwartej śluzy. Nie zawsze będziesz miał tyle szczęścia. Następnym razem postaraj się zachować przytomność.

Co? Chcieli, żeby znów to zrobił?

Powoli odzyskiwał wzrok. Dostrzegł dwie postacie pochylone nad jego ciałem.

– Mało kto przechodzi tę próbę – powiedziała kobieta. – Miałeś szczęście. Będziesz atletą. Przez jakiś czas, dopóki nie zginiesz.

Osadzeni w więzieniu Unferth mają bardzo mało rozrywek, tłumaczył mu Thomas, gdy wrócili do swego domostwa. Oczywiście organizowano walki i zawody, w których zwyciężał ten, kto zdołał zjeść najwięcej jakiejś substancji chemicznej. Jednak jedyny prawdziwie widowiskowy sport stanowiło nurkowanie.

Właściwie był to rodzaj wyścigu. Do śluzy zapędzano trzy lub cztery osoby, a potem otwierano wąż zewnętrzny. Zawodnicy przepychali się do wyjścia, a zwyciężał ten, kto oddalił się najdalej

od służy i zdołał do niej wrócić.

– Prawie za każdym razem co najmniej jeden z nich nie wraca – mówił Thomas, wypróżniając się do wiadra. – Mdleją i odlatują w przestrzeń, dostają krwotoku zewnętrznego albo tracą wzrok i nie mogą trafić do włazu.

– Nie wiedziałem, że człowiek może przeżyć w próżni bez skafandra – zauważył Milo. – Myślałem, że natychmiast umiera.

– Ludzie są twardzi – odparł Thomas, podcierając się kawałkiem szmaty. – Przez krótki czas mogą znieść niemal wszystko.

Wyjaśnił również, że więźniowie robią zakłady i stawiają na poszczególnych nurków to, co mogą zaoferować. Ubranie. Pracę. Jedzenie. Mięśnie. Sami nurkowie również mogą zarobić.

– Dlaczego pomyślałeś, że się do tego nadaję? – spytał Milo.

– Gob próbował cię powiesić, a ty przeżyłeś. Twoje ciało wie, jak zatrzymać tlen, a twój umysł nie poddaje się panice. Pamiętasz tę kobietę z niebieskimi oczami? Arabeth? To najsłynniejsza zawodniczka w historii więzienia. Zarobiła na nurkowaniu tyle, że mogła zrezygnować ze startów. Teraz zarabia, organizując zawody.

– Ile muszę zarobić, żebym mógł to rzucić? – spytał Milo.

Thomas parsknął śmiechem.

– W ogóle na tym nie zarobisz – odpowiedział, wręczając chłopcu miskę z papką proteinową.

– O czym ty mówisz? Jak to w ogóle...

– Należysz do Goba i do mnie. Jeśli wygrasz, my zarobimy. Ty ocalisz życie.

Milo rzucił miską o ścianę pokoju, ogarnięty nagłym gniewem.

– Nie jestem twoim pierdolonym niewolnikiem! – wrzasnął.

Thomas zaatakował jak wąż. Jego pięść uderzyła w skroń chłopca. Błyskawicznie obalił go na ziemię i usiadł mu na piersiach.

– Owszem, jesteś – powiedział. – Oczywiście, że jesteś.

Aby pokazać mu jeszcze dobitniej, kto tu rządzi, siedział na nim co najmniej z dwadzieścia minut. Dość długo, by Milo dostał ataku astmy i zemdłał.

Kiedy ocknął się następnego ranka, pomyślał najpierw, że Thomas zasnął na nim i wciąż go przygniata. Otworzył oczy i próbował usiąść prosto, ale nie mógł.

– Thomas – wyrzęził. – Puść mnie, daj mi złapać oddech...

Ale Thomas stał za nim.

– Zamknij się – warknął i trzepnął Mila w ucho.

Nad jego twarzą pochylała się wielka halloweenowa maska pokryta w połowie metalem.

Gob.

I jeszcze jedna, okrągła i łysa głowa, poznaczona bliznami i fragmentami metalu wszczepionymi w czaszkę.

– To jest Seagram – wyjaśnił Gob chrapliwym głosem. – Ulepszy naszą inwestycję.

– Dzień dobry, chłopcze – powiedział Seagram. – Wiesz, co to jest?

Pokazał mu coś, co przypominało metalową ostrygę z czerwoną kulką pośrodku i ogonem wykonanym z plecionego miedzianego drutu.

Milo nie odpowiedział.

Seagram zaczął coś tłumaczyć, ale Gob mu przerwał.

– To bioniczne oko – powiedział. – Widzi w kosmosie kilka sekund dłużej niż zwykłe oko.

Daje ci przewagę.

- Nie, czekajcie... – wydyszał Milo.
- Powinniśmy go przynajmniej upić – mruknął Thomas.
- Zrobmy to po prostu – odparł Gob.

O Boże! Nie może...

To stało się bardzo szybko. Ktoś rozsunął mu powieki prawego oka i przytrzymał je. Ktoś inny polał jego twarz alkoholem, a wszystko zamieniło się w piekącą rozmazaną plamę.

Coś na kształt haczyka wbiło się w jego oko i szarpnęło. Milo poczuł, jak gałka oczna wyskakuje z oczodołu.

Zaczął krzyczeć, lecz Thomas zacisnął mu usta.

Nóż oczyścił pusty oczodół i sięgnął w głąb głowy.

Milo próbował zemdleć, ale nie dał rady. Czuł każde cięcie i ukłucie, słyszał przekleństwa, podłączali kable do jego mózgu. Widział jakieś rozbłyski i ognie, z dali dobiegł go głos waltorni. Potem wcisnęli do oczodołu sztuczne oko, metalową ostrygę.

Czerwona mgła, przeraźliwe wycie, a potem gruba poparzona twarz Seagrama nad jego głową. Czerwonawa, ale wyraźna.

– Zbliżenie – powiedział Seagram.

Wydawało się, że oko wie, co robić. Milo po prostu próbował przyjrzeć się mężczyźnie, a oko powiększyło obraz. Rozmazało go na moment, potem wyostrzyło.

I znów rozmazało.

– Zamknij zwykłe oko, kiedy to robisz – poradził Gob.

– Gotowe? – spytał Seagram.

– Gotowe – odparł kowal, wypuszczając chłopca.

Seagram stał nad nimi i pocierał w zamyśleniu brodę.

– Wydaje się, że mógłby wygrać kilka wyścigów – powiedział. – Może zamiast zwykłej zapłaty umówimy się na udziały?

– Nie – odrzekł krótko Gob. – Prosta wymiana.

Wymiana?

– Po jutrzejszym nurkowaniu pójdziesz z Seagramem na tydzień do jego domu – wyjaśnił Thomas, pomagając chłopcu usiąść prosto. – I lepiej, żebyś był dla niego miły.

Milo zamrugał gwałtownie. Jego nowe oko zrobiło zbliżenie na podłogę.

Po jutrzejszym nurkowaniu?

Odkąd został uwięziony, próbował nie myśleć o swoim innym życiu, tym minionym.

Zupełnie mu to nie wychodziło. Bez względu na to, jak bardzo się starał wpływać na swój intelekt, odsuwać bezużyteczne myśli i wspomnienia, wracały w snach i wchodziły do jego umysłu jak duchy, gdy był przytomny.

Czasami były to marzenia na jawie, myśli o młodych przyjaciółach i letnich dniach na zalanych słońcem uczelnianych dziedzińcach. O książkach. O kolacji z rodzicami. Tej czy tamtej dziewczynie. Muzyce, która rozbrzmiewała w jego umyśle równie wyraźnie, jakby słyszał ją w rzeczywistości.

Tęsknił głównie za matką, ale ku własnemu zaskoczeniu płakał na myśl o ojcu, który podczas procesu zrzucił maskę mrocznego lorda i po raz pierwszy pokazał się jako zwykły człowiek o sercu wypełnionym cierpieniem. Milo niczego chyba nie pragnął bardziej, niż poznać tego

nowego ojca.

Początkowo walczył z takimi myślami. W tym ponurym miejscu stanowiły tylko obciążenie. Szczególnie niebezpieczne wydawały się rozmyślenia o Ally, które budziły w nim gniew i prowadziły prosto ku otchłannemu rozżaleniu. W ten sposób pozbawiał się sił i wiary w ocalenie, czuł to. Po prostu nie mógł sobie pozwolić na wspomnianie Ally.

Mógł skupić się tylko na tym, co służyło przetrwaniu. Wspomnienia i pragnienia były śmiertelnie niebezpiecznymi iluzjami.

Stare głosy również uważały, że wspomnienia są niebezpieczne. Mówiły jednak, że nie są takie same jak inne iluzje. Wspomnienia kształtują nasze człowieczeństwo.

Ostatecznie Milo przyznał im rację. Nie chciał, by Unferth zamieniło go w zwierzę, które dąży jedynie do zachowania życia.

Następnego wieczora po tym jak otrzymał mechaniczne oko, w osadzie panowała taka cisza i spokój, że Milo odważył się odezwać do Thomasa jak człowiek do człowieka.

– Thomas? Jak wyglądało przedtem twoje życie, no wiesz, zanim cię tu przywieźli?

Thomas naprawiał właśnie jakieś prymitywne narzędzie. Nie odrywając się od pracy, odrzekł:

– Nie ma żadnego przedtem.

Milo otwierał już usta, by zadać następne pytanie, lecz Thomas odwrócił głowę i spojrzał na niego. Było to spojrzenie spokojne i bardzo wymowne – dawało do zrozumienia, że jeśli Milo odezwie się ponownie, zginie.

Milczał więc posłusznie i oglądał w swojej głowie film z wielkanocnego poranka sprzed kilku lat, różowe rozmazane wspomnienie szczęśliwej przeszłości.

Arabeth ujęła głowę Mila w dłonie i przechylała ją do przodu i do tyłu, oglądając uważnie dzieło Seagrama.

– Wygląda na to, że wszystko jest zgodnie z przepisami – orzekła, spoglądając na Thomasa i Goba. – Kto się z tym nie zgadza?

Byli w tym samym pokoju, co poprzednio, gdy Milo został wrzucony do śluzy. Tyle że tym razem panował tu znacznie większy tłok.

Przy włązie czekało jeszcze troje więźniów, uczestników wyścigu.

Starszy, żyłasty mężczyzna ze sprężynami wmontowanymi w nogi.

Młody mężczyzna bez ręki, obrośnięty gęstymi włosami jak troll.

Kobieta, którą można by wziąć za mężczyznę, gdyby nie była naga. Miała niebieskie oczy jak Arabeth.

Czy wszystkie te bioniczne udoskonalenia były dziełem Seagrama? Czemu służyły niebieskie oczy i sprężyny?

Z pewnością sprawiały, że poruszali się szybciej. Widzieli lepiej, docierali dalej, wytrzymywali dłużej.

Milo zaciskał i rozwierał pięści. Chciał, żeby to wszystko już się skończyło, w taki czy inny sposób.

– Lepiej wygraj – zagroził mu Gob, ściskając go za łokieć. – W przeciwnym razie wygryzę ci twarz.

– Jeśli nie wygrasz, to lepiej zostań na zewnątrz – dodał Thomas.

Milo był jedynym niewolnikiem wśród nurków. Jedynym, który musiał obawiać się gróźb swoich właścicieli. Wyglądało na to, że pozostali byli ochotnikami. Szczęściarze? Głupcy?

Przy oknie stało pięciu mężczyzn z urządzeniami przypominającymi aparaty fotograficzne.
– Dziennikarze sportowi – powiedziała naga kobieta, stając obok Milo. – Jak w normalnym świecie.

– Tak myślałem – odpowiedział Milo.

– To oni będą pokazywać zdjęcia twojego trupa, kiedy zostawię cię na skałach.

– Cudownie – mruknął chłopiec.

Arabeth spryskała nurków... czym? Gorącą wodą?

– Farba świecąca w ciemności – wyjaśnił owłosiony zawodnik, widząc wyraz zdziwienia malujący się na twarzy Milo. – Żeby ludzie cię widzieli, kiedy wyjdiesz na zewnątrz.

– Powodzenia – odpowiedział mu chłopiec.

Troll pokręcił tylko głową, po czym wszyscy weszli do śluzy.

Żadnych zapowiedzi, żadnego odliczania.

Tylko ppppppppsssssssssssssst! Łup! I wszyscy czworo znaleźli się w przestrzeni kosmicznej.

Milo wiedział, że musi się postarać. Musi być szybszy niż...

Nie był.

Próżnia pochwyciła go lodowatymi rękami i rozciągnęła we wszystkich kierunkach naraz.

Ręce i nogi pozostałych zawodników uderzały w niego, odpychały do tyłu i w dół. Czuł, jak rozdiera się skóra na jego policzku. Z rany wypłynęły bąbelki krwi.

Wyglądali jak duchy, unoszące się tuż nad poznaczoną kraterami powierzchnią. Jarząca się nagość w kompletnych ciemnościach.

Milo odepchnął się i poleciał przed siebie, podobnie jak poprzednim razem. Z boku widział okno pomieszczenia, które przed momentem opuścił, i całe stado przyczajonych dziennikarzy celujących do niego z aparatów.

Wkrótce zrozumiał swój błąd.

Poleciał w stronę przeciwną śluzy, ale ten wyścig na czym innym polegał. Zapomniał. Miał odsunąć się jak najdalej od włazu, a potem wrócić tą samą drogą. Czy mógł to jeszcze zrobić? Czy zachował dość przytomności?

Widział, jak troll sięga w dół, ciągnie palcami po skałę, zwalniając lot, a potem zapiera się stopami o nierówną skałę. Odpychając się jak pływak, zmienił kierunek i poleciał w stronę włazu. Kilka sekund później stracił przytomność. Czy dobrze wymierzył? Trudno powiedzieć.

Milo rozejrzał się dokoła, szukając sposobu, by się zatrzymać i wrócić. Wyleciał jednak za wysoko, skały i szczeliny przesunęły się w dole tuż poza jego zasięgiem.

Cholera.

(Zimno jak milion maleńkich ostrzy... krew musuje i wrze... ciało puchnie, rozrasta się...)

Nim stracił przytomność, poczuł, jak stary mężczyzna spycha go z kursu.

Pomyślał jeszcze o tym, kto wygra wyścig, a potem - - - - - Bip. Zero. Ciemność.

Ocknął się.

Przyszli po niego?

Nie. Nadal był w próżni. Sunął przez krater. Pewnie grawitacja w końcu nieco go wyhamowała. Mógł sięgnąć w dół i zatrzymać się, jeśli chciał. Tak też zrobił. Odwrócił się i spojrział w kierunku, z którego przyleciał.

Nie odleciał daleko, widział dziennikarzy w oknie.

Dostrzegł też w pobliżu współzawodników, którzy w różnym tempie sunęli w stronę śluzy. Pierwsza była kobieta, którą od włazu dzieliło zaledwie kilka sekund. Gonił ją starszy mężczyzna. Troll zбочzył z kursu i leciał w przestrzeń, skazany na niechybną śmierć.

Pospiesz się – radziły mu głosy.

Dłonie, którymi dotykał gruntu, wyglądały jak balony i kiełbaski, krew pieniała się w jego żyłach niczym szampan, lecz odzyskał trzeźwość umysłu i myślał coraz precyzyjniej. Dlaczego? Jak?

Nie miał czasu na takie rozmyślenia.

Odepchnął się mocno od ziemi i niemal natychmiast znalazł się wśród pozostałych nurków – za szybko!

Zwolnił.

Kurwa, co jest? Przecież w próżni nie można zwolnić!

Ale on właśnie to zrobił.

Co się dzieje? – pytał samego siebie i swoje stare głosy, lecz one były równie zaskoczone jak on sam.

Później zaskoczeni byli wszyscy kibice. Zaskoczeni i zachwyceni. I chcieli dowiedzieć więcej.

Wszędzie tam, gdzie można było oglądać relację na cyfrowych ekranach lub gdzie na kamiennych ścianach umieszczano zdjęcia i tekst, mówiono o niezwykłym nowym zawodniku nurkującym w kosmosie.

Filmy i zdjęcia pokazywały, jak Milo wynurza się z nicości, niewytłumaczalnie przytomny i sprawny, a potem zwalnia.

Pokazywały, jak wyciąga opuchnięte, zamarznęte ręce, którymi zatrzymuje starca i kobietę. Zostawia ich z tyłu i obraca się powoli.

Następnie – wciąż przytomny! – pokonuje pięć metrów przestrzeni i ciągnie za sobą trolla. Wchodzi do śluzy – pieczętując w ten sposób wygraną! – a potem wciąga za sobą swoich konkurentów. Właz zamyka się za nim, a filmowa relacja z wyścigu dobiega końca, choć zaraz potem zostaje odtworzona ponownie.

– Kim i czym jest ten Milo Hay? – pytali więźniowie.

– Kim on jest? – chciały wiedzieć tłumy, które gromadziły się przed domostwem Mila i Thomasa. – *Gdzie on jest?*

– W pierdolonym szpitalu! – wrzeszczał Thomas, który nie lubił, gdy robiono mu zdjęcia, i rzucał w gapiów kamieniami. – Ciekawe, gdzie wy byście byli, gdybyście przez całą minutę biegali na golasa w próżni.

Milo nie był w szpitalu.

Oczywiście jak zawsze trafili tam pozostali nurkowie, mniej lub bardziej poturbowani. Kobieta i troll przeżyli, a starzec niepotrzebnie – i wbrew własnym doświadczeniom – próbował wstrzymać oddech, co skończyło się rozerwaniem płuca.

Milo, ku zdumieniu wszystkich widzów, wyszedł chwiejnym krokiem ze śluzy, zamrugał oczami, roniąc kilka krwawych łez, i rozejrzał się dokoła, szukając swoich właścicieli.

Gob i Thomas kręcili w milczeniu głowami. Wyglądali tak, jakby chcieli poklepać go po plecach, ale bali się, że zrobią mu krzywdę.

– Nie wiem, co właśnie widziałem – powiedział Thomas.

Arabeth nie skomentowała tego w żaden sposób. Wyprosiła dziennikarzy z pomieszczenia i poszła za nimi w głąb korytarza.

– Chyba zasłużyłem na część wygranej – odważył się powiedzieć Gobowi Milo.

– Masz spotkanie z Seagramem, to wszystko – odpowiedział kowal.

Milo był u Seagrama.

Pomieszczenie zajmowane przez wynalazcę było zarówno laboratorium, pracownią, jak i warsztatem. Milo czuł się tutaj jak w muzeum. W jednym roku półki, a na nich sterty arkuszy blachy. W innym soczewki, mikroskopy i prawdziwe komputery. Seagram miał nawet własnoręcznie wykonaną rybę, która towarzyszyła mu nieustannie, unosząc się nad jego ramieniem. Nikt inny w Unferth nie miał ryby, a przynajmniej Milo nie widział jej u nikogo.

Seagram poczęstował go czymś, co smakowało jak wino, i ugotował coś, co smakowało jak prawdziwe jedzenie.

Z wyglądu przypominało kurczaka, a smakowało jak wieprzowina.

– Co to jest? – spytał Milo. – Przypomina prawdziwe mięso.

– Wiesz, co to jest – odparł Seagram.

Tak. Milo wiedział. W Unferth żył tylko jeden gatunek zwierzęcia.

Był głodny. Pieprzyć to. Zjadł.

Po kolacji Milo odkrył ze zdumieniem – i mimo wszystko z odrobiną zadowolenia – że Seagram ma prawdziwy materac (w Unferth, jak wszędzie indziej, największe pieniądze były tam, gdzie zasoby i technologia). Odetchnął też z ulgą, gdy okazało się, że jego gospodarz jest łagodny, a nawet delikatny. Spotkał się z takim traktowaniem po raz pierwszy od przybycia do więzienia.

Z drugiej jednak strony ta grudkowata, spalona skóra...

To tylko ciało i kości – mówiła jego stara dusza. Daj spokój.

– Jesteś telepatą – powiedział Seagram, kiedy było już po wszystkim.

Leżeli na materacu wynalazcy, bok w bok, obserwując cienie na kamiennym suficie.

– Telepatą? – powtórzył Milo.

– I najwyraźniej opanowałeś też telekinezę. Tak podejrzewałem, kiedy montowaliśmy ci oko. Mózgi osób o zdolnościach parapsychologicznych zbudowane są inaczej. Zawsze umiałeś robić to... co zrobiłeś?

– Kiedy byłem mały, mogłem przenosić rzeczy na odległość – odparł Milo. – Ale potem wpakowałem się w kłopoty i...

– Zamontowali ci pieprzyk – dokończył Seagram. – Zrobiliby to samo przed wysłaniem cię tutaj, gdyby podejrzewali, że masz takie zdolności. Straciłeś je na jakiś czas, ale teraz wróciły. I to z jaką siłą. Przypuszczam, że twój mózg w chwili desperacji jeszcze bardziej rozwinął twoje talenty. To się zdarza: ludzie biorą udział w jakimś wypadku, uderzają się w głowę lub doświadczają jakichś wyjątkowo silnych emocji i – *bam!* – nagle potrafią robić rzeczy, których nigdy wcześniej nie potrafili, albo widzieć coś, czego nie dostrzegają inni. Czy tego chciałeś czy nie, spowolniłeś krążenie w organizmie i zmniejszyłeś zużycie tlenu. Może nawet nauczyłeś się poruszać w próżni niezależnie od praw fizyki. Film nie kłamie.

Seagram przewrócił się na bok i pogłaskał Mila po ramieniu. Chłopiec odsunął się odruchowo.

Wynalazca natychmiast cofnął rękę.

– Nie musisz, jeśli nie chcesz – powiedział.

Milo spojrział na niego z wściekłością.

– Jasne, że nie chcę! – wrzasnął. – Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej?

Seagram wydawał się urażony.

– Przepraszam – dodał Milo łagodniejszym tonem. – Nie jestem... Nie lubię mężczyzn w ten sposób.

Seagram wstał z łóżka i owinał swe grube ciało szlafrokiem.

– W porządku – powiedział, siadając przy jednym z biurk. – Ja też kiedyś nie lubiłem. Ale w końcu prawdopodobnie polubisz. Jak większość mężczyzn tutaj.

– Cóż, ja nie.

– W porządku, Milo. Śpij.

Po raz pierwszy w kolonii Unferth ktoś zwrócił się do niego po imieniu.

Nazajutrz Seagram dał mu ubranie. Prostą koszulę bez rękawów z płótna workowego i krótkie spodnie z kawałkiem sznurka zamiast paska.

– Ludzie cię szukają – powiedział przy śniadaniu złożonym z zimnych resztek.

– Co miałbym im powiedzieć, gdybym z nimi rozmawiał? – spytał Milo.

– Ja nie mówiłbym prawdy. To ich przerazi. Wróć do Thomasa, niech on postara się ich jakoś powstrzymać.

Milo zmarszczył brwi.

– Mam wracać już teraz? Myślałem, że zostaję tutaj na tydzień. Czy to dlatego, że...?

– Nie, nie. Powiem Thomasowi, że jestem z ciebie bardzo zadowolony, nie martw się. Po prostu źle się czuję. To się zdarza. Miewam bóle głowy.

Milo nie chciał iść do Thomasa. Na samą myśl o powrocie czuł ból w odbytnicy.

– Posłuchaj – zaczął. – Pozwól, że spróbuję coś zrobić.

– Co chcesz zrobić? – spytał Seagram podejrzliwie, mrużąc oczy.

– Zaufaj mi.

– Chłopcze – westchnął wynalazca. – Jeśli chcesz zadźgać mnie nożem, to pamiętaj, że bardzo trudno zabić w ten sposób grubego człowieka... – Przerwał raptownie, jakby tknięty jakąś myślą, po czym dodał: – Zgoda. Co?

– Zamknij oczy.

Seagram posłusznie opuścił powieki, a Milo przeszedł na drugą stronę stołu, stanął za wynalazcą i położył dłonie na jego wielkiej, tłustej głowie.

Skoro mógł się nauczyć żyć w próżni, to może mógł też wyleczyć Seagrama. Jak? Nie wiedział. Sam również zamknął oczy.

Przez moment czuł tylko nicość, a potem jakby ocean zamknięty między jego dłońmi. Coś ciepłego i wypełnionego falami elektrycznymi.

Jaźń Seagrama.

To było coś olbrzymiego, senna niezwykłość, *boa* bardzo podobne do jego własnego, ale mimo wszystko inne. Starsze. Pełne wspomnień.

I bólu.

Im dłużej Milo trzymał głowę Seagrama, tę inną jaźń, w swoich rękach i w swoim umyśle, tym bardziej owa jaźń przypominała brzemię. Dotykał duszy, która została skrzywdzona i zraniona

i która mogła się zamienić w bezrozumne zwierzę.

Milo usłyszał własne westchnienie. Wyczuwał, że było to coś, w czym można się zagubić, jak w jego własnym bólu. Przypomniawszy sobie, że dotyka Seagrama z konkretnego powodu, że zajął się nim, by mu pomóc. Czuł, jak zdziera i odrzuca kolejne warstwy cieni, rozproszeń i iluzji, aż odnajduje coś, co jest proste i ludzkie.

Drzwi. Drzwi na dnie ciemnego morza, gdzie zamknięto i ukryto w niepamięci coś cennego.

Milo otworzył te drzwi, a z wnętrza wylało się światło. Czuł je w swoich dłoniach, widział w swoim umyśle.

Seagram drgnął gwałtownie.

– Jezu drogi!

Milo wiedział, że pobudził substancje chemiczne. Pobudził do działania i przemieścił składniki neurochemiczne w głowie Seagrama. Lecz to właśnie te substancje, podobnie jak wspomnienia, tworzą człowieka.

Brawo, Milo! – cieszyła się jego stara dusza.

Zabrał ręce z głowy Seagrama.

Wynalazca siedział nieruchomo, z szeroko otwartymi ustami.

– Przestało cię boleć? – spytał chłopiec.

Seagram zerwał się z miejsca z energią, o jaką jeszcze przed chwilą nikt by go nie podejrzewał.

– Coś ty zrobił?

– Chyba usprawniłem trochę twój mózg.

Seagram wpatrywał się w swój warsztat tak, jakby zobaczył go po raz pierwszy.

W jego oczach pojawiło się coś nowego. Coś, czego próżno by szukać w tym więzieniu. Milo nie umiał tego jeszcze nazwać.

– Mój Boże – wyszeptał. – Dziękuję.

– Więc mogę zostać? – spytał Milo. Jeśli chodziło o unikanie Thomasa, nie miał oporów.

– Możesz – odparł Seagram. – Ale uważam, że nie powinieneś. Nie powinieneś uciekać albo ukrywać się przed czymś.

– On może mnie skrzywdzić. Może mnie zabić.

Seagram pokręcił głową, niemal płacząc ze szczęścia.

– Na pewno nie, jeśli zrobisz z nim to samo co ze mną.

Milo nie umiał sobie tego wyobrazić. Splunął na podłogę. Ale cóż, skoro Seagram chciał, żeby poszedł, to pójdzie.

Skinął głową na pożegnanie i ruszył w drogę przez ciemny kamienny labirynt.

Jednocześnie badał własny mózg. Penetrował swój mroczny ocean. Szukał, aż znalazł ukryte drzwi. Otworzył je... coraz szerzej i szerzej, i szerzej...

Seagram mieszkał na poziomie drugim, odległym o wiele korytarzy i cztery wioski od domostwa Thomasa. Milo odkrył, że jeśli uruchomi odpowiednią funkcję w umyśle, odnajdzie drogę za pomocą węchu. Dotarł w ten sposób na obrzeża swojej osady, nim inni więźniowie dostrzegli jego twarz, rozpoznali go z nagrania i ruszyli za nim. Zaczęli łapać go za ręce, próbowali zatrzymać.

– Jak to zrobiłeś, do diabła? – pytali. – Jesteś czarodziejem?

– Nie wiem – odparł. – Straciłem przytomność, a potem się ocknąłem.

– Ty cholerny kłamco! Czego nie chcesz nam powiedzieć? Co ukrywasz?

– Nic.

Ktoś chwycił go za rękę i szarpnął.

Puśćcie mnie – pomyślał Milo.

I zrobili to, cofnęli się na sekundę, jakby poraził ich prąd albo dotknęli czegoś niebywale wstrętnego. Potem jednak znów wyciągnęli do niego ręce, szarpali ubranie.

Puszczajcie! – pomyślał ponownie, a potem popędził do domu Thomasa.

Wpadł do środka, potykając się na progu, spocony i zdyszany. Thomas siedział na podłodze, zajęty jakąś pracą: rozłożył dokoła rury, kolanka, klucze i tym podobne rzeczy. Milo przykucnął pod przeciwną ścianą, gdy ścigający go tłum zablokował drzwi, wypełnił wnętrze mrokiem.

Thomas zerwał się z podłogi, w obu rękach trzymał ciężkie metalowe rurki.

Trzask! Złamana szczeka. Intruz wyjący z bólu.

Tłum szybko się rozproszył.

Thomas odwrócił się do chłopca. Jego oczy płonęły gniewem.

– Wcześniej wróciłeś – wycedził przez zęby. – Mówiłem ci, że jeśli okaże się, że Seagram nie będzie zadowolony...

– Jest zadowolony – przerwał mu Milo, wstając z kucek. – Posłuchaj...

Ale Thomas nie słuchał. Tłum go rozwścieczył.

– Seagram ci to dał? – warknął, szarpiąc za ubranie chłopca. Zacisnął dłoń na koszuli, by ją zedrzeć, lecz Milo przytrzymał go za nadgarstek.

Thomas uderzył go w twarz.

– Oszalałeś, chłopcze?

Milo nie puszczał.

Dostał porządne lanie, ale trzymał rękę Thomasa z całych sił. Coś potężnego i muskularnego sięgnęło z jego umysłu do rąk. Pokonywał kolejne kanały światła i kości, aż w końcu dotarł do jaźni Thomasa – oceanu mniejszego niż jaźń Seagrama – i skupił się na nim.

Przedarł się przez cierpienie, odepchnął je na bok i znalazł ukryte drzwi, a ból w końcu ustąpił, wylał się z jaźni Thomasa szeroką falą.

Otworzył oczy i zobaczył, że hydraulik wymiotuje w rogu pokoju.

Milo przyniósł mu wody. Pomógł się napić. Wytarł go najlepiej, jak potrafił.

W końcu Thomas się uspokoił. Usiadł na środku pomieszczenia, podniósł swą kudłatą głowę, spojrzał prosto na Mila i wypowiedział tylko jedno słowo:

– Tak.

Z Gobem było jeszcze trudniej.

Thomas musiał go obezwładnić albo przynajmniej spróbować to zrobić. Odwrócił jego uwagę, a Milo uderzył kowala ołowianą rurką. To oszołomiło go na tyle, że Thomas pozbawił go przytomności większą ołowianą rurką. Kiedy Gob leżał nieprzytomny, Milo ujął w dłonie jego głowę i otworzył drzwi.

To był mały domek. Ukryty w samym środku pokój nie zawierał zbyt wiele światła. Wyglądało na to, że przemiana kowala nie będzie należała do spektakularnych.

Kiedy się ocknął, ani nie wymiotował, ani nie narobił w spodnie. Powiedział tylko: „Lepiej” i zaczął płakać.

Wolność! Przynajmniej w pewnym sensie.

Milo w końcu miał własny pokój czy też celę. Wraz z Thomasem, Seagramem i Gobem stanął w drzwiach mieszkania należącego do smutnego, wysokiego mężczyzny, który miał na sobie jedynie turban z workowego płótna.

– Chciałbyś być szczęśliwy? – spytał go Milo. – Chciałbyś mieć coś, dla czego warto żyć?

– Powiedz „tak” – poradził mu cicho Thomas.

– Złamię mu rękę – zaproponował Gob, lecz Milo powstrzymał go ledwie dostrzegalnym gestem.

– Tak – odpowiedział mężczyzna. Milo ujął w dłonie jego głowę i otworzył neurochemiczne drzwi.

– Idź na zewnątrz, pospaceruj i zobacz, jakie wszystko jest dobre – poradził mu Thomas. – Milo potrzebuje twojej celi.

Mężczyzna ochoczo zastosował się do sugestii hydraulika.

Później, jedząc kolację z misek człowieka w turbanie, Milo, Thomas, Gob i Seagram odbyli bardzo prostą, ale ważną rozmowę.

– Co to jest? – spytał Thomas. – To coś, co potrafisz robić

– Coś naturalnego – odparł Milo. – Coś, co robi mózg, talent, który mają niektórzy ludzie.

– I co teraz? – spytał Seagram.

– Nie wiem – przyznał Milo.

Seagram odchrząknął i przemówił z pokorną łagodnością, patrząc na swoją miskę:

– Chyba mam pomysł.

Po czym powiedział im, na czym polega jego pomysł.

Seagram uważał, że powinni „uleczyć” całe więzienie.

– Jak byłoby cudownie, gdybyśmy zamiast żyć jak zwierzęta, zaprowadzili tu cywilizację. Prawdziwą, gdzie ludzie pracują razem i troszczą się o siebie nawzajem. Gdzie robią różne rzeczy nie dlatego, że są bici i zabijani, lecz dlatego, że cieszą się życiem. Ludzie muszą mieć w życiu jakiś cel. Ich celem nie może być tylko przetrwanie, bo tak zachowują się zwierzęta. Musimy się rozwijać.

– Więc Milo pójdzie do ludzi i będzie wszystkich leczył? – pytał Gob.

– Uważam, że to oni sami powinni podjąć decyzję – tłumaczył Seagram. – Kiedy zobaczą, jak dobrze się nam to przysłużyło, być może mu zaufają. Ale to nie wystarczy. Będziemy musieli uczyć się nawzajem, a wtedy te zmiany chemiczne w naszych mózgach się cofną. Kiedy już wszyscy zrozumiemy – zrozumiemy – nową wizję życia, będziemy zachowywać się inaczej.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu. Medytowali.

– Powinniśmy zwołać wszystkich na spotkanie – przemówił Thomas. – Po jednej wiosce, zaczynając od naszej.

– Tak – zgodził się Milo, choć w pierwszej chwili pomyślał z przerażeniem: Kurwa, oni nas zjedzą.

Nie zostali zjedzeni.

Ale nie okazali się przekonujący.

Zorganizować spotkanie nie było trudno. Większość więźniów śmiertelnie się nudziła, więc każda nowość była przez nich mile widziana. Ale nie oznaczało to otwartości na nowe idee i pomysły.

Siedzieli i słuchali uważnie krótkich przemówień Thomasa i Seagrama. Nagrodzili nawet

oklaskami świadectwa Goba i nagiego mężczyzny w turbanie. Ale nie pragnęli żadnych zmian.

– Żyjemy tak, jak żyjemy – mówił mężczyzna o ciele całkowicie pokrytym tatuażami – bo to się sprawdza. Silniejsi jedzą słabszych. To naturalne.

Pomruki aprobaty. Tłumowi odpowiadała ta prosta filozofia.

– Zgoda – przyznał Seagram. – Ale czy to naprawdę ci się podoba? Jesteś szczęśliwy?

– Czy twoja matka jest kurwą? – odpowiedział pytaniem wytatuowany mężczyzna.

Śmiech.

– Pozwól, że ci to pokażę – odezwał się Milo, ruszając w kierunku rozmówcy. – Może jeśli wszyscy zobaczycie...

Mały kamień odbił się od jego ramienia.

– Au! – krzyknął. – Naprawdę?

Zebrani więźniowie ruszyli ławą na niego. Nie wiedzieli, co właściwie chcą zrobić, ale czuli się zagrożeni i chcieli zrobić *cokolwiek*.

– Chodźmy – powiedział Milo, zwracając się do swoich towarzyszy. – Chodźmy stąd.

Nie uszliby zapewne z życiem, gdyby nie Gob. Olbrzym odrzucał ludzi stojących im na drodze, a Thomas szedł za nim, rozdając ciosy. Seagram krył się za nimi, skupiony na ochronie swojej tłustej głowy. Na końcu maszerował Milo, który od czasu do czasu krzychał: „Z drogi!”, a ludzie cofali się, by mogli między nimi przejść.

Opuścili osadę i uciekli w labirynt korytarzy, kierując się ku powierzchni. Część zebranych przestała się nimi interesować, inni wciąż szli za nimi i obrzucali ich różnymi przedmiotami.

– Chcą mnie dopaść – wysapał Milo. – Niech idą za mną. Wy skręćcie w ten następny... tutaj! Idźcie tędy! Spotkamy się wieczorem u Seagrama!

– Nie! – krzyknął Thomas. – Zostaniemy razem i wymyślimy...

– Gob – rzucił krótko Milo.

Kowal pochwycił Thomasa i wraz z Seagramem pobiegł we wskazanym przez chłopca kierunku.

Tymczasem Milo przeszedł do pomieszczenia dla nurków i rzucił się do kontrolek, by otworzyć właz. Odczekał minutę, prowadząc hiperwentylację, nasycając ciało tlenem, aż usłyszał krzyki i kroki.

Wszedł do śluzu, wydał z siebie przeciągły okrzyk, opróżniając płuca, i zamknął właz.

Zgrzyyyyyyyyyyyyyyyyyyy... psssssssssssssssssssssssssst!

Resztką powietrza pozostałego w śluzie wyrzuciła go w przestrzeń, na skalistą powierzchnię.

Napęczniał trochę. Zdrętwiał z zimna. Jego krew zaczęła się pienić, czuł się nieprzyjemnie rozdęty, jakby cały organizm chciał kichnąć, ale nie mógł.

Spowolnił wszystkie reakcje, całą wymianę, przepływ i spalanie. Zwolnił, aż poczuł się senny, nie tracił jednak przytomności.

Potem stanął na powierzchni, korzystając z niewielkiej siły ciężenia, wrócił do włazu, stanął przed oknem i patrzył na tłum, który ciskał się i wrzeszczał po drugiej stronie.

Próbował ich zrozumieć. Próbował ich pokochać.

Dobrze – powiedziało jego stare ja.

Zamknął oczy i medytował przez kilka sekund. Potem się odwrócił i oddalił od włazu, całkowicie znikając im z oczu. Wielkimi susami pokonywał rozległą, kamienną równinę, oświetloną jedynie nikłym blaskiem gwiazd.

Przebiegł jakieś półtora kilometra, nim wybrał włącz i wyobraził sobie, że ten się otwiera. Otworzył się.

Kiedy wieczorem pojawił się u Seagrama, przyjaciele czekali na niego. Thomas wydawał się odrobinę nadąsany.

Byli też inni. Thomas rozpoznał twarze z tłumu, który go ścigał i który widział, jak odchodzi w próżnię. Było ich może z dziesięciu. Dobre i to.

– Najwyraźniej wiesz coś, czego my nie wiemy – powiedział wytatuowany mężczyzna.

Pół roku później Milo żył w typowym proteinowym ogrodzie.

Był to ogród podobny do wszystkich innych ogrodów w galaktyce, na planetach albo w szklarniach na orbicie. Uprawiali tu żywe struktury, a nie tylko produkowali jadalną maź. Nauczyli się wytwarzać glebę z kruszonego kamienia i odpadków. Stworzyli również sztuczne ziarna i zbudowali generatory błękitnego światła.

Większość ludzi jest bystra i pomysłowa, wystarczy tylko dać im czas i spokój.

Wystarczy ofiarować im świat, w którym nie będą żyć w lęku i gniewie.

Ogród nie miał nieba. Miał kamień. Nie wypełniały go świeże zapachy i powiewy wiatru. Była w nim wilgoć i pleśń, oddechy jaskiń i ludzi. Milo i jego pierwsi uczniowie doglądali swojego dzieła.

Każdy otrzymał konkretną pracę i zadania przy uprawie roślin. Milo sadił i zbierał. Gob zajmował się maszynami. Seagram konstruował różne rzeczy. Thomas podlewał i wytwarzał glebę z kamienia, kału i zmarłych więźniów.

Inni osadzeni budowali szkoły. Jeszcze inni tworzyli rysunki, obrazy i ładne przedmioty, którymi upiększali jaskinie, bo jeśli wewnątrz asteroidy nie wyglądało jak więzienie, to może właściwie nim nie było.

Tak – mówiły stare głosy Milo, które z dnia na dzień były coraz bardziej zadowolone i pewne siebie.

Kiedy więźniowie przychodzili do niego na nauki, spotykali się w ogrodzie, siadali w wielkim kręgu i trzymali się za ręce. Milo przekazywał im wtedy obrazy i sugestie czuciowe, fala przechodziła przez nich wszystkich, aż przed oczami widzieli ciepłą zieloną trawę pod błękitnym niebem z białymi chmurami. Otaczały ich kwiaty i śpiew ptaków. Przez chwilę.

To właśnie była nauka: ten wymyślony ogród, który mogli zabrać ze sobą, zapamiętać i oglądać w marzeniach.

Czasami Milo wychodził z ogrodu i spacerował po więzieniu. Ludzie gapili się na niego, gdy przechodził przez korytarze i osady, jakby był istotą z Zaświatów. Nie zaczepiali go. Dotykali tylko jego lnianej szaty (wytwarzali teraz lepsze ubrania) i czuli się pobłogosławieni, gdy zwracał na nich swe mechaniczne oko, chłopiec, który uczynił ich mężczyznami i kobietami.

Zawsze był skromny i pokorny, przynajmniej tak to wyglądało. Zawsze miał też czas, by przystanąć i porozmawiać, opowiedzieć żart i okazać ludzkie ciepło. Początkowo nie mógł opędzić się od myśli, że ma do czynienia z bandą szumowin i idiotów i że byłoby cudownie, gdyby jakaś grupa pięknych kobiet dopuściła się zbrodni i trafiła tutaj, by zostać jego świętymi konkubinami. Wciąż się jednak rozwijał, wzrastał w skromności i dobroci, jak cała reszta. Przestał postrzegać ich jako brudnych, głupich i prymitywnych, szczególnie gdy widział, jakimi stali się budowniczymi, projektantami i artystami.

Wydawało mu się, że słyszy, jak jego stara dusza mówi: Tym razem nam się uda.

Nie wiedział, co to właściwie oznacza, był jedynie głęboko przekonany, że wszystko doskonale się układa. Że osiąga coś wspaniałego, pozwalając, by rzeczy wyglądały tak, jak powinny wyglądać.

- Niech tak będzie – mówił swoim uczniom i całemu swojemu ludowi.
- Niech jak będzie? – pytali.
- Niech będzie doskonale.
- Och... – Kiwali głowami. – W porządku.

Czasami szedł do śluzy i wychodził na zewnątrz. Najbardziej lubił rozbierać się do naga, mocować stumetrową linę do żurawika w śluzie, a potem, obwiązawszy drugim końcem liny nogę w kostce, wyskakiwać na zewnątrz i unosić się przez jakiś czas w przestrzeni. Miał wtedy wrażenie, że jego ja rozmywa się, znika w morzu gwiazd.

Wkrótce zaczął wychodzić do śluzy codziennie. Kiedy nie zajmował się pracą w ogrodzie ani nie przyjmował wyrazów uwielbienia, unosił się w próżni jako najbardziej chyba niezrozumiałe szczęśliwa forma życia w kosmosie.

Był właśnie na zewnątrz, gdy zobaczył nadlatujący statek.

Przyjrzał mu się uważniej swoim mechanicznym okiem, widział, jak silniki wyhamowują pojazd.

Minęło już sporo czasu, odkąd sam tu przybył. Ciekaw był, jakiego to przestępcę przywieziono tym razem do karnej kolonii. Kimkolwiek był, czekała go miła niespodzianka. Pociągnął za linę, wrócił do śluzy, a potem do ogrodu. Wiedział, że wkrótce ktoś przekaże mu informacje o nowo przybyłym.

Kiedy otworzyły się drzwi do ogrodu, do środka weszło dwóch umundurowanych urzędników.

Zobaczył, jak rozmawiają z Thomasem, a ten wyciąga rękę, wskazując na drogę między grządkami rzodkiewki, sałaty i kukurydzy. Milo widział, że idą w jego stronę, więc wyszedł im naprzeciw i spotkał się z nimi w połowie drogi, między dyniami.

Zobaczył mężczyznę i kobietę z insygniami sądowymi z Bridgera.

- Milo Hay? – spytał mężczyzna.
- Tak, to ja.

Poczuł się dziwnie, słysząc swoje nazwisko. Od wielu miesięcy wszyscy zwracali się do niego wyłącznie po imieniu.

Kobieta uśmiechnęła się doń promiennie i oznajmiła:

- Mamy zabrać pana do domu.

Wyjaśnili mu, że Ally Shepard zrobiła w końcu wystarczająco dużo dziwnych i niezbyt miłych rzeczy, by jej rodzina doszła do wniosku, że dziewczyna powinna trafić do szpitala. Tam stwierdzono, że Ally cierpi na rzadkie dysocjacyjne zaburzenie, które praktycznie uniemożliwia jej odróżnianie dobra od zła. Rodzina zaczęła się poważnie niepokoić o jej zdrowie psychiczne, gdy Ally zabrała grupę dzieci z parku na „wycieczkę edukacyjną” i zaprowadziła je na plac budowy. Jeden z dzieciaków omal nie wpadł pod buldożer, szczęśliwie skończyło się na kilku siniakach.

Podczas obserwacji przyznała, że Milo Hay wcale jej nie zgwałcił, dodała, że bardzo jej

przykro, że teraz chłopak jest w więzieniu i najpewniej już nie żyje, i zapytała, kiedy będzie mogła wrócić do domu.

Milo nie był zainteresowany ich opowieściami i rzucił się do ucieczki. Być może nawet by mu się udało, ale urzędnicy zarzucili mu na głowę bicz ogłuszające i wyciągnęli nieprzytomnego z ogrodu.

Bicze unieszkodliwiły również jego uczniów. Nawet Goba.

Milo zaczął odzyskiwać przytomność na korytarzu, a nim dotarli do śluzy, był już całkiem przytomny. Krzyczał, płakał i chwycił się różnych przedmiotów, drapiąc sobie ręce do krwi, nim w końcu zdołali przepchnąć go do śluzy i wsadzić na pokład swojego statku. Trzasnął zamykany właz, rozbłyśły potężne silniki i transportowiec zawiózł go przez hiperprzestrzeń do domu.

Rodzice nie potrafili mu pomóc.

Rozumieli, że ich syn padł ofiarą straszliwej niesprawiedliwości, ale uważali, że skoro już wrócił do domu, to mógł po prostu zwalić nieszczęście na wszechświat i jego szalonego Boga, a potem o wszystkim zapomnieć.

– Nazywam to przesunięciem o przypadkowej wartości – tłumaczył ojciec Mila. – To dlatego profesor zoologii zostaje zjedzony w dżungli przez tygrysa. Nieważne, kim jesteś: różne rzeczy i tak będą ci się przydarzały. To jedna z podstawowych zasad boskiej alegorii.

Milo miał to gdzieś. Czy Boga może choć trochę interesować teologia?

Rodzice nie mogli zrozumieć, dlaczego ich błyskotliwy, niegdyś ambitny syn teraz najchętniej przesiaduje godzinami przed oknem w salonie i mówi do siebie. Albo dlaczego wstaje w nocy, by stać nago w ogrodzie za domem.

Prawie się nie odzywał. Prawie nie oddychał. Rodzice mieli stuprocentową pewność, że nie umarł, tylko wówczas, kiedy zabrano go do szpitala, a on wrzeszczał jak opętany, gdy usuwano mu święte oko.

Jego stara dusza była w szoku. Wszystkie jego minione żywoty nie mogły pojąć, co znaczy zostać porwanym z kolonii Unferth, od jego uczniów, i trafić z powrotem do tego małego, głupiego miejsca, gdzie wciąż był dzieciakiem, który nie mógł nawet jeszcze zrobić prawa jazdy.

Milo – mówiła jego stara dusza, stare ja. Zrozum to i zaakceptuj. To małostkowe zachowanie. Odrzuć je.

Milo ignorował stare głosy. Próbował je zamknąć w ich własnym małym pokoju, na dnie morza umysłu, ale jego umysł nie dysponował już tą radosną magią, odkąd uderzyli go biczami ogłuszającymi.

Czuł się tak, jakby oddzielono go od samego siebie.

Po roku podjął wysiłek.

Starł się do trzydziestego roku życia. Przez czternaście lat zmagał się z trywialnością i nudą normalnego, codziennego życia. Było tak, jakby próbował przebiec maraton, nie mając nóg.

Skończył college ze średnią 3.

Przekonał się, że kiedy pije, choć w pewnym stopniu potrafi być towarzyski. Był wtedy w stanie siedzieć w pokoju pełnym ludzi i słuchać ich paplaniny. Więc pił.

Zarabiał na życie, naprawiając różny sprzęt w domach klientów. Skomplikowane urządzenia elektryczne lub nuklearne. Dzięki pracy miał przynajmniej powód, by nie przesypiać całych dni,

a poza tym nie musiał zbyt dużo z nikim rozmawiać.

Wieczorami, w domu, oglądał programy i filmy na swojej rybie lub na ścianie, dopóki nie zasnął. Czasami kupował marihuanę. To one były respiratorem dla jego duszy.

Dość często przypominał sobie pewną noc w Unferth, gdy dopadły go wspomnienia z domu.

Mieć miłe, bezużyteczne wspomnienia, które pomagały mu uciec od rzeczywistości, czy też ich nie mieć? Teraz stał przed tym samym dylematem. Przypominał sobie, że powinien być ludzki, niedoskonały, rozproszony.

Powinien coś osiągnąć, prawda? Uratowanie umysłów i dusz więźniów to całkiem inna historia. Co się stało z lordem Byronem, poetą, którym miał zostać? Albo przynajmniej z naukowcem, którym również mógł być?

Rozsiadł się wygodnie w szarym fotelu. Być może tak właśnie skończyłby Napoleon, gdyby nie zrobił kariery w armii.

Milo położył dłonie na głowie i próbował aktywować substancje neurochemiczne, ale przypominało to przeszukiwanie pustego pudełka po butach.

Pewnego dnia, gdy Milo miał trzydzieści lat, przyszła do niego z wizytą Ally Shepard.

Ally miała udane, poukładane życie. Była profesorem literatury dramatycznej. Wystarczyło dokonać jednej drobnej zmiany w jej mózgu, by pozbyła się obłędu i przestała robić dziwne, niewłaściwe rzeczy.

Byłaby całkiem szczęśliwa, gdyby nie jedna rzecz. Dręczyło ją to, co stało się przed laty z Milem.

Zapukała do drzwi jego mieszkania. Milo nikomu nie otwierał ani nie odbierał połączeń z ryby. Ale właśnie wtedy wrócił z torbą pełną zakupów spożywczych, wśród których kryła się również półkilogramowa paczka marihuany. Wszedł na schody i wtedy ją zobaczył.

– Ally – powiedział.

(Milo – wyszeptła jego uśpiona, od dawna ignorowana, stara jaźń. Zrób to, jak należy...)

– Milo. Dobrze wyglądasz.

I rzeczywiście Milo naprawdę stanął na wysokości zadania. Może dlatego, że nie chodziło jedynie o jakąś małą, nudną drobnostkę. To była naprawdę duża rzecz.

Zaprosił ją do środka. Zjedli razem kolację, a potem oboje palili trawę. Kiedy już się wyluzowała, zaczęła płakać jak dziecko, chciała go przeproszać i zrekompensować traumę słowami. Przytulił ją wtedy i pozwolił się przeprosić.

– Ally – mówił. – Nie musisz się tym przejmować. Byłaś chora. I naprawiłaś swój błąd. Poza tym było mi wtedy naprawdę bardzo przyjemnie.

Ally poszła do domu w znacznie lepszym nastroju.

Następnego dnia Milo, który również poczuł się znacznie lepiej, kupił bilet na wypoczynkową stację orbitalną, gdzie zjadł lunch z automatu, a potem znalazł na poziomie technicznym służę, której nikt nie obserwował ani nie odwiedzał.

Bez większego problemu obszedł kody zabezpieczające i uruchomił odpowiednie kontrolki. Otworzył właz i wszedł do służy, ubrany jedynie w tenisówki, luźne spodnie i lekką kurtkę.

Nie, Milo – protestowała jego bardzo smutna dusza. Był to głos duszy, która w drodze na urodziny z tańcami i darmowym piwem wpadła pod pociąg.

Bez zbędnych wstępów uruchomił awaryjne otwieranie zewnętrznego włazu i pozwolił, by dekompresja błyskawicznie wyrzuciła go na zewnątrz.

Natychmiast poczuł ogromny ból, bo tym razem wystawił się też na działanie Słońca i promieniowania. Odpływając od statku, zawieszony między ciemnością i oceanem światła, smażył się z jednej strony, a z drugiej zamarzał. W środku musował, pieniał się i gasł.

Chciał pomyśleć w ostatniej chwili o czymś świętym i wzniosłym, ale umierający mózg jest nieprzewidywalny.

Ciekawe – zastanawiał się w ostatniej sekundzie życia, czy Klub Damoklesa ma jeszcze tę cholerną gęś.

Rozdział 15

Podnoszenie słoni, żonglowanie wodą

Milo obudził się na piasku nad rzeką o przejrzystej wodzie i powolnym nurcie.

Na białym niebie wisiało małe, palące słońce. Słońce płowienia i wysuszonych kości.

Jak zwykle natychmiast wróciły do niego wspomnienia ośmiu tysięcy lat. Jak zwykle z radością przywitał zarówno tę świadomość, jak i poczucie swej prawdziwej większej jaźni.

Niezwykła była jednak przygniatająca, szara melancholia, która wypełniała jego żołądek i duszę. Wiedział, że to pozostałość po samobójstwie. Gotowość do odebrania sobie życia rodzi się z wewnętrznej pustki, która przenosi się również między światami.

– Nie śpiesz się – powiedział ktoś.

Na piasku u stóp Mila kucał blady, szczupły mężczyzna o kanciastych rysach twarzy i płonących oczach. Długie, czarne włosy otulały go niczym całun albo skrzydła.

Śmierć. A przynajmniej jeden z nich. Nie Suzie.

– Gdzie ja jestem? – spytał Milo.

– Dokładnie tam, gdzie powinieneś być – odparł Śmierć, po czym zniknął w obłoku piasku i nagłym podmuchu gorącego wiatru.

Dupek.

Milo poczuł, jak wypełnia go ogromny, oceaniczny smutek.

Suzie. Przez chwilę siedział w bezruchu jak sparaliżowany, przypominając sobie wszystko.

W końcu otrząsnął się z przygnębienia i zrobił co w jego mocy, by wrócić do życia. Zmuszał się do wstawania z łóżka w pół miliona poniedziałkowych poranków, wiedział więc, jak się do tego zabrać.

No dobrze. Na początek to samo pytanie: gdzie właściwie był?

Zaświaty, podobnie jak czas, są nieskończone, Milo był jednak szczerze przekonany, że tym razem trafił gdzieś poza ich obrzeża. Czuł się mniej więcej tak, jakby po milionach pobudek w Bostonie ocknął się na Księżycu.

Przynajmniej był odpowiednio ubrany. Miał na sobie szaty pustynnego wędrowca.

W jednym z poprzednich żywotów Milo był beduinem i wiedział, że głupotą jest podróżowanie w środku dnia, w największym upale. Naciągnął więc szaty na głowę, tworząc w ten sposób miniamiot, i zamknął jeszcze na chwilę oczy.

Obudził się pod rozgwieżdżonym niebem, drżąc z zimna. Wstał i ruszył w drogę brzegiem rzeki.

Tuż po świcie, gdy znów zaczęło się robić gorąco, dotarł do jej źródła: maleńkiej oazy, w której rosło jedno drzewo daktylowe i cała masa chwastów. Za granicami tej zielonej plamy życia jak okiem sięgnąć rozciągała się pustynia.

Milo zastanawiał się, czy nie lepiej będzie zawrócić. Być może rzeka prowadziła do jakiegoś większego akwenu i do ludzi? A może lepiej będzie, jeśli zatrzyma się tutaj i zostanie

pustelnikiem oazy.

Kiedy oddawał się tym rozmyśleniom, ktoś zawołał:

– Haaaaaloooooooo!

Milo dostrzegł na pobliskiej wydmie jeźdźca na koniu, który prowadził za sobą wielbłąda.

Pomachał do niego. Jeździec odpowiedział mu tym samym, a potem ruszył w dół zbocza.

Kiedy podjechał bliżej, Milo zobaczył, że to mężczyzna o imponującej brodzie i postawie sugerującej pogodną pewność siebie.

– Znajdujemy cię w potrzebie? – spytał mężczyzna.

– Na pewno co najmniej w stanie niezdecydowania – odparł Milo.

– Na piechotę daleko nie zajdziesz – zauważył brodac. – Ofiaruję ci moje towarzystwo i możliwość jazdy na wielbłądzie.

– Dziękuję – powiedział Milo, kłaniając się uprzejmie i wyciągając rękę do mężczyzny. – Milo.

Wędrowiec uściśnął jego dłoń i również się przedstawił:

– Akram.

Brodacz zaczął rozładowywać sprzęt obozowy, który wioził na wielbłądzie, a Milo mu pomógł, prowadząc konia do wodopoju.

Na namiocie rozbitym przez Akrama znajdował się duży srebrny napis: „AKRAM NIEZWYKŁY”.

– Niezwykły kto? – spytał Milo. Astronom? Hycel? Brodac?

– Żongler – wyjaśnił Akram. Podrzucił kilka kołków do naciągania linek, przez chwilę żonglował nimi w leniwym tempie, a potem wbił w ziemię.

– Niezwykły? – dopytywał się dalej Milo. – Nie Wspaniały? Nie Zdumiewający?

– Wrodzona skromność – odpowiedział Akram, spuszczać oczy.

Żongler był na tyle uprzejmy, że udostępnił Milowi miejsce w namiocie, w którym przespał najgorętszą część dnia. Milo śnił o Suzie.

Słyszał jej głos w ciemności. Gdzieś bardzo, bardzo daleko.

– Milo! – wołała słabo. Czy to był znak? Czy nadal jednak przebywała gdzieś tutaj, w Zaświatach? O zmierzchu Akram potrząsnął go lekko za ramię, wyrывая z snu.

– Milo!

– Suzie? – wychrypiął Milo.

– Niestety, nie.

Przez następną godzinę składali namiot, ładowali bagaże i parzyli kawę nad ogniskiem. W końcu Milo wsiadł na wielbłąda Akrama.

Zwierzak próbował go ugryźć. Trochę mu się udało.

Milo wzruszył ramionami. Jak sam by się czuł, gdyby jakiś obcy człowiek próbował na nim usiąść? Poznają się lepiej, a wtedy poprawią się ich stosunki.

W czasie wędrowki wielbłąd co chwila schodził z trasy i nie słuchał Milla, kiedy ten wrzeszczał na niego i ciągnął za wodze. Akram musiał do niego podjeżdżać i holować za sobą. Po kilku minutach sytuacja się powtarzała.

Przy każdej takiej okazji Akram mamrotał pod nosem:

– *Salam alejkum*.

– *Salam alejkum* znaczy Bóg jest dobry, prawda? – spytał Milo.

– Tak.

– Więc dlaczego, gdy raz po raz musisz napominać tego świetnego wielbłąda...

– To o wiele lepsze niż przeklinanie. Przekleństwa zaćmiewają duszę. Przepraszam, że sprawia tyle kłopotów.

Milo sięgnął pamięcią do własnego życia w postaci beduina i przypominał sobie, jak być cnotliwym i wdzięcznym.

– Szatan to wspaniałe zwierzę – zapewnił Akrama. – Tylko uparte. Jest młody?

– Owszem.

– Więc z czasem na pewno złagodnieje i będzie ci doskonale służył przez wiele lat.

– Skoro tak bardzo go cenisz, to jest twój – odparł Akram. – Chętnie ci go podaruję.

Aż ty sukinsynu, nie!

Ale odrzucenie prezentu byłoby wielką nieuprzejmością.

– *Salam alejkum* – powiedział Milo, kłaniając się nisko.

Koń Akrama podrzucił dumnie głową, niemal tańcząc na piasku.

– To z pewnością jest miły koń – zauważył Milo.

Akram nie odpowiedział.

To była długa, gwiazdzista noc.

Po nocy nastąpił gorący dzień, który spędzili, drzemiąc w namiocie. A po nim następna gwiazdzista noc. Godzinę po zapadnięciu zmroku dojrzeli nad horyzontem jakieś światła. Wjechali na teren porośnięty trawą, potem pojawiły się daktylowce. Dojechali do skraju wielkiej oazy.

Na tyle wielkiej, że mieściły się tu budynki i ulice wypełnione świecami, kolorowymi lampami i ludźmi. W powietrzu unosił się zapach jedzenia, kadzidła, zwierząt i płonącego drewna.

Szatan robił wszystko, co mógł, by zepsuć tę miłą chwilę. Wypuszczał z pyska gęsty strumień śliny, smarków i wymiocin, zostawiając za sobą wilgotny ślad niczym ślimak. Ludzie krzywili się z obrzydzeniem na jego widok.

Milo starał się skupiać wyłącznie na dobrych rzeczach.

Być może zostanie tutaj na jakiś czas – myślał. Może na całkiem długi czas.

Ta myśl wydawała się krzepiąca. W rzeczywistości jednak kryła się pod nią świadomość, że Milo nie ma powodu, by przenieść się gdziekolwiek indziej.

Tej pierwszej nocy zostali w mieście na tyle długo, by zjeść kurczaka i napić się piwa. Potem ponownie wyjechali na pustynię, a właściwie na obrzeża oazy, gdzie inni koczownicy stworzyli własne, tymczasowe miasto, i tam rozbili obóz.

Następnego dnia Milo zobaczył niezwykle, magiczny występ Akrama.

Odbyło się to tak:

Akram obudził go około południa i powiedział:

– Zechcesz wybrać się ze mną do miasta? Zjem jakieś śniadanie i może dam mały pokaz.

– Jasne – odparł Milo, wzruszając ramionami.

Opuścili namiot, zostawili zwierzęta i ruszyli do centrum oazy.

Milo zauważył, że Akram nie wziął ze sobą żadnych przedmiotów, którymi mógłby żonglować. Podzielił się tym spostrzeżeniem ze swoim towarzyszem.

– Tajemnicza sprawa, prawda? – odparł Akram, po czym zamilkł na dobre.

Kiedy dotarli na miejscowy bazar, okazało się, że pracuje tu już całkiem sporo ulicznych artystów. Na każdym kawałku wolnego miejsca ludzie popisywali się różnego rodzaju sztuczkami, chcąc przyciągnąć uwagę podróżnych i sprawić, by przystanęli, a potem wrzucili do kapelusza jakąś monetę.

Wśród licznych sztukmistrzów byli też żonglerzy. Lepsi i gorsi. Nie brakowało zaklinaczy węzów, akrobatów i muzyków. Karykaturzystów. Wróżbitów. Ludzi zajmujących się malowaniem twarzy. I ciała.

Byli też i tacy, których umiejętności sięgały granic niemożliwego. Jak mężczyzna, który robił ze swego ciała skomplikowany węzeł. Za dolara można było spróbować go rozplątać. Milo podjął się takiej próby, ale bez powodzenia. Pewna kobieta rozmawiała ze zwierzętami, a mężczyzna – ukryty przezornie za zasłoną – mógł za pięć dolarów wysrać złoty naszyjnik. Wszystko to było bardzo interesujące, ale trochę niepokoiło Milla. Ci ludzie przebywali w Zaświatach od dłuższego czasu i najwyraźniej nie spieszyli się do ponownych narodzin. Trafili na obrzeża rzeczywistości z jakichś dziwnych, trudnych do odgadnięcia powodów.

Nijakość? Apatia?

– Kiedy ostatnio żyłeś na Ziemi? – spytał Milo Akrama.

– Jakies pięć lat temu – odparł żongler. – Może więcej.

Zatrzymali się na burrito i kawę.

– A kiedy zamierzasz tam wrócić? – pytał dalej Milo.

Akram westchnął i przełknął kęs jedzenia.

– Po powrocie zawsze spotykam te dwie kobiety, Obong i Glee – wyjaśnił. – Są przedstawicielkami wszechświata i moimi doradczyniami. Każdy je ma, tak? No więc kiedyś przyleciały tu razem z burzą piaskową i zasugerowały, żebym wrócił na Ziemię jako księgowy. Powiedziałem im, że zastanowię się nad tym. I od jakiegoś czasu zastanawiam się. W moim ostatnim życiu przez siedem lat leżałem w śpiączce. Z całym szacunkiem, człowieku, ale świat żywych nieszczególnie mnie interesuje.

Milo chciał już zadać następne pytanie, ale Akram go uprzedził.

– Nie pozwolą mi włóczyć się tutaj bez końca, wiem o tym. Kiedy naruszę tę bezcenną równowagę rzeczy i będę musiał zostać sprzedawczynią albo mułem, albo ziarnem kawy, będę smutny. Nie, dosyć pytań. Pokój.

Kupili namiot, by Milo nie musiał spać z Akramem.

– Nie żebym nie chciał się z tobą dzielić – tłumaczył Akram. – Ale być może któregoś wieczora będę miał gościa albo nawet dwóch i...

– Rozumiem – powiedział Milo.

Szedł więc przez bazar, niosąc na ramieniu belę płótna i maszty, co sprawiało, że z jednej strony miał ograniczone pole widzenia. Odwrócił się, by sprawdzić, czy Akram idzie za nim.

Nie szedł.

– Akram?! – zawołał.

Dokoła kłębił się tłum. Nikt mu nie odpowiedział.

Raptem dostrzegł coś kątem oka. Zaledwie kilka kroków dalej nad ciżbę wyleciał jakiś lśniący przedmiot – była to miedziana lampka oliwna – który rozbłysnął na moment w słońcu, a potem opadł ku ziemi.

Chwilę później znów wystrzelił w górę. Tuż za nim leciała drewniana miska.

W końcu lampka wzniosła się ponad tłum po raz trzeci, a tym razem w ślad za nią poleciała miska, kosz, czyjś kapelusz i plastikowa butelka ze spryskiwaczem. W tym momencie tłum się

rozstał, by zrobić miejsce sztukmistrzowi, który dokonywał tych cudów. Był to Akram.

Milo domyślił się bez trudu, że jego towarzysz chwycił kilka przedmiotów na sprzedaż z pobliskiego straganu i zaczął nimi żonglować, nie pytając o pozwolenie ani nikomu się nie tłumacząc. Właściciel straganu stał przed nim i pienieł się z wściekłości.

– Dobrzy ludzie! – zawołał Akram do tłumu. – Zobaczycie teraz pokaz powietrznej magii! Namawiam was gorąco, byście po pokazie odwiedzili stoisko tego dżentelmena – jak się pan nazywa? Bill? Odwiedźcie stoisko Billa. Jego towary są nie tylko aerodynamiczne, ale też doskonałe jakościowo, warte swojej ceny.

Udobruchany straganiarz Bill wrócił na swoje miejsce. Akram oddał mu towary.

– A teraz – przemówił ponownie Akram, wyłamując sobie palce – podrzucie mi coś do żonglowania.

Ktoś rzucił mu parę sandałów i słomiany kapelusz. Akram przerzucał je leniwie w szerokim kręgu.

– Może coś bardziej wymagającego? – poprosił prowokacyjnym tonem.

Ktoś krzyknął: „Masz!” – i rzucił mu coś długiego, co przypominało pyłajnik i ruszało się gwałtownie...

– Jasna cholera! – krzyknął Milo, podobnie jak wielu innych gapiów.

Waż!

Akram również krzyknął, ale złapał zwierzę i włączył je do kręgu przedmiotów wirujących w powietrzu. Waż syczał, wił się i próbował go ukąsić, ale Akram mrugnął tylko do tłumu i wybuchnął śmiechem.

Publiczność obsypała go oklaskami i okrzykami zachwytu. Odrzucił buty i kapelusz do ich właścicieli, a potem pozwolił, by waż zsunął się po jego ciele i popęzł w stronę tłumu. Wywołało to pewną konsternację i nerwowe podskakiwanie wśród zgromadzonych, większość jednak została, by zobaczyć, co jeszcze pokaże im niezwykły artysta.

Nie pożałowali tego wyboru.

Akram występował jeszcze przez pół godziny. Ludzie rzucali mu noże, cegły, rozżarzone węgle i stołki.

Brodacz przyjmował wszystkie rzeczy ze stoickim spokojem, nawet gdy ktoś podrzucił mu całą torbę piłeczek golfowych naraz. Wyłapywał je i żonglował nimi tak szybko, że piłeczki utworzyły w powietrzu mały obłok. Nie był bezbłędny. Upuścił jedną czy dwie, ale bez trudu włączał je z powrotem do kręgu, podrzucając każdą z osobna czubkiem sandała. I nieustannie się uśmiechał.

Jedyną wpadkę – jeśli można to tak nazwać – zaliczył tylko wtedy, gdy ktoś rzucił w niego wiadro wody. Nie samo wiadro, lecz wodę. Akram stał w bezruchu, ociekając wodą, nie wydawał się jednak zaskoczony. Co więcej, uklonił się kobiecie z pustym wiadrem.

– Moje gratulacje, droga pani – powiedział. – Podała mi pani jedyną rzecz, którą się nie da żonglować.

Tłum znów bił brawo. Akram zakończył pokaz, żonglując trzema ładnymi dziewczynami, zebrał datki i pomachał do Mila.

– Jesteśmy bogaci! – oznajmił. – Przez chwilę. Wieczorem kupimy zapiekany ser i piwo.

Był tak miły, że poniósł przez chwilę zakupiony namiot, gdy wracali do obozowiska.

– Jesteś naprawdę silny. Co jeszcze potrafisz podnieść? – spytał Milo, wracając myślami do trzech ładnych dziewczyn.

Akram wzruszył ramionami.

– Kwestia pracy nadgarstków – odpowiedział enigmatycznie.

Później, gdy po obfitej kolacji podlanej odpowiednią ilością piwa próbowali rozbić nowy namiot Mila, ten wypalił niespodziewanie:

– Chcę z tobą pracować.

Akram czknał głośno i odparł:

– Pracuję sam.

Udało im się postawić jedną część namiotu, ale druga opadła na ziemię.

– Bóg jest wielki – powiedział Milo, zamiast przekląć. – No dobrze, ale posłuchaj. Gdybyś miał partnera, mógłbyś przerzucać się z nim różnymi rzeczami. Moglibyśmy też rozmawiać i żartować, no wiesz, zamiast tylko się uśmiechać.

– Ponownie odmawiam – westchnął Akram. – Planuję napisanie książki albo kupno stadniny.

Tym razem zawalił się cały namiot.

– Dajmy sobie z tym spokój. – Milo machnął ręką. – Potraktuję go dziś jako bardzo drogi śpiwór.

I odszedł, by zabrać zwierzęta do wodopoju.

Zwierzaki piły, podczas gdy Milo siedział na brzegu, mocząc stopy w wodzie, i próbował żonglować trzema kamieniami. W najlepszym wypadku udawało mu się utrzymać dwa z nich w powietrzu, podczas gdy trzeci spadał na ziemię albo do wody.

– Trzeba użyć do tego pewnej sztuczki – przemówił ktoś za jego plecami.

Milo się odwrócił i zobaczył Akrama, który żonglował trzema woreczkami z ziarnami grochu.

– Mogę cię tego nauczyć w niecałe pięć minut – dodał brodac. – To proste. Wstań.

Milo posłusznie wstał. Akram wręczył mu dwa woreczki.

– Trzymaj po jednym w każdej ręce – tłumaczył. – Przerzuc ten z lewej do prawej, żebyś miał oba w jednej dłoni.

Milo przerzucił. Łatwizna.

– Teraz zrób to samo, tylko gdy pierwszy worek będzie w powietrzu, rzuć ten drugi tak, żeby przeleciał za nim, i złap go lewą ręką.

Po kilku próbach Milo poradził sobie i z tym zadaniem.

– Ot i cała sztuka – powiedział Akram, wzruszając ramionami. – Rzuć, przerzuc, powtórz.

Milo potrzebował zaledwie kilku minut, by nauczyć się żonglować trzema woreczkami.

– Super! Dzięki! – mówił, szczerze wdzięczny.

– To właśnie będziemy robili – odparł brodac. – Teraz, gdy pokazałem ci ten najważniejszy ruch, sam musisz dojść do tego, jak żonglować więcej niż trzema przedmiotami. Kiedy zdołasz utrzymać w powietrzu co najmniej siedem rzeczy, pokażę ci, jak podrzucać noże tak, by nie pokłuć sobie dłoni.

– Dziękuję – powtórzył Milo. – To bardzo miło z twojej strony. Dlaczego zmieniłeś zdanie?

– Ludzki umysł to błogosławieństwo i tajemnica – odrzekł Akram, odchodząc.

Milo znów miał cel w życiu.

Był pokornym czeladnikiem, który szkolił się u wielkiego mistrza. Był uczniem czarnoksiężnika. Oczywiście dobrze znał tę rolę. W tysiącach żywotów uczył się kung-fu i latania samolotami. Był mistrzem pokera, bilardzistą i primabaleriną. Wiedział już, jak się

uczyć i jak doskonalić daną umiejętność, by w końcu przypominała prawdziwą magię.

Nie było to łatwe. To pierwsza zasada dotycząca nauki wartościowych rzeczy: trzeba mieć dużo cierpliwości. Trzeba pamiętać, że jeśli próbuje się coś zrobić tysiąc razy, zwykle uda się tego dokonać, a jeśli przećwiczysz się czynność milion razy, można ją robić bardzo dobrze. Opanowanie trudnej umiejętności nie było kwestią magii, lecz ciężkiej pracy.

Rąb drewno, noś wodę, jak mawiali buddyści.

Więc Milo ciężko pracował. Karmił i poił zwierzęta. Obserwował Akrama. I ćwiczył. To stało się jego życiem.

Oczywiście trzeba mieć powód, by pracować tak ciężko, by nieustannie ćwiczyć. Milo go miał. Bardzo chciał zdobywać publiczność tak samo, jak robił to Akram. Chciał też doznać tego spokoju, który spływał na jego mistrza, gdy ten żonglował nożami, butami czy kociećkami. Sprawiał wrażenie, jakby go tam nie było.

Czasami zdarzało mu się śnić o żonglowaniu zamiast o Suzie. Czasami.

– Kim jest Suzie? – spytał Akram pewnego ranka, gdy jedli pączki na bazarze.

– Dlaczego?

– Wołasz ją przez sen.

Milo nie chciał o tym rozmawiać. Ani o tym myśleć, ani śnić. Wsadził do ust cały pączek i zmrużył oczy, wpatrując się w słońce.

– Jak sobie chcesz. – Jego mistrz wzruszył ramionami. – Najwyraźniej to jakaś ważna tajemnica. A teraz przeżuwasz.

Jak żonglować więcej niż trzema przedmiotami?

Milo obserwował Akrama. Ćwiczył. Robił wymachy i zaciskał dłonie. Nauczył się przekładać kulki między palcami. Robił pompki na piasku.

Szatan lubił go gryźć albo nadeptywać na niego, kiedy robił pompki. Milo ćwiczył unikanie wielbłąda.

Gdy nadszedł wreszcie moment objawienia, wyglądał zupełnie inaczej, niż Milo przypuszczał. Przez cały ranek ćwiczył z woreczkami z grochem i próbował nowych sposobów przerzucania, gdy nagle przyszedł mu do głowy prosty pomysł.

Wystarczy zapytać.

Więc Milo poszedł na bazar, poczekał, aż wysoki, ciemnooki żongler skończy swój występ, po czym zaproponował:

– Dam ci pięćdziesiąt dolców, jeśli mi powiesz, jak utrzymać w powietrzu więcej niż trzy przedmioty.

Ciemnooki żongler odpowiedział:

– Podrzucasz je wyżej.

– I szybciej, tak?

– Nie. Tylko wyżej.

To powiedziawszy, facet wziął pieniądze i poszedł sobie.

Aha!

Milo ćwiczył przez miesiąc, nim poszedł do Akrama i powiedział:

– Spójrz na to.

– To nie jest dobra pora – odparł brodac, zajęty pisaniem. – Mówiłem ci, że chcę napisać

książkę. Teraz właśnie to robię. To będzie historia mojego życia i moich nauk dotyczących żonglowania.

Milo puścił w ruch pięć woreczków. Nie zrobiło to większego wrażenia na Akramie, który mimo to przestał pisać i przyglądał się swemu uczniowi.

Milo dodał szósty woreczek. Potem siódmy. Wirowały coraz wyżej, przelatując nad cienkim sierpem księżycy.

– Widywałem gorszych od ciebie – przyznał Akram. – No ale minął już miesiąc...

Milo dodawał kolejne woreczki. Wyciągał je spod ubrania, jeden, dwa, dziesięć. Jednocześnie wolną ręką wciąż podrzucał pozostałe.

Akram otworzył usta. Odłożył pióro.

Milo wyłapał wszystkie woreczki, jeden po drugim, i schował je pod ubranie.

– No i jak? – spytał.

– Jeszcze jak! – odpowiedział jego mistrz, patrząc nań szeroko otwartymi oczami.

– O czym pisałeś w swojej książce? – zainteresował się Milo. – Jaki ma tytuł?

– *Dzień, w którym Milo i Akram Niezwykły zaczęli pracować razem jako partnerzy.*

Milo uklonił się z wdzięcznością.

– Bóg jest dobry – powiedział Akram.

– Zajebicie dobry – dorzucił.

Ćwiczyli teraz razem, przerzucając między sobą różne przedmioty. W końcu Akram zaczął uczyć Mila.

– Jeśli chcesz żonglować wszystkim, co podrzuci ci publiczność, musisz poznać pewien sekret – powiedział brodac z pewnego dnia, gdy ćwiczyli siedmioma woreczkami z grochem.

– I wtedy poradzę sobie nawet z wężem, jak ty?

– Zgadza się.

– Co to za sekret?

– W powietrzu każdy przedmiot obraca się zwykle wokół trzech osi, w trzech kierunkach, a ty musisz go unieruchomić i sprawić, żeby przemieszczał się tylko w górę i w dół.

Wtedy właśnie treningi Mila nabrały bardziej skomplikowanego, technicznego charakteru. Całymi dniami eksperymentował, uczył się i ćwiczył. Podrzucić to, podrzucić tamto. Sprawdź, jak różne przedmioty zachowują się w powietrzu. Sporo już wiedział, bo w wielu poprzednich żywotach był naukowcem, występował w cyrku na trapezie, rzucał piłką do baseballu i wymachiwał mieczem.

Mijały kolejne dni. Milo nie próżnował, dzielnie znosił różnego rodzaju obrażenia i ćwiczył dalej.

Akram pracował nad książką. Czasami pokazywał Milowi fragmenty.

– Pewnego razu żonglowałem słońcem – pochwalił się, podając mu książkę. – Czytaj.

– Napisałeś tu, że żonglowałeś tylko jednym słońcem – zauważył Milo. – Czy to jest żonglowanie?

– Owszem, kiedy podrzucasz słońca.

– Akramie! Ile tym masz siły?

– Tyle, ile trzeba. Idź, rób pompki.

Milo zrobił tysiąc pompek, a Szatan stał nad nim i ślinił się na jego plecy, pokrywając je niemal w całości czymś, co przypominało wielką kluchę.

Mijał czas. Nomadzi przyjechali do oazy i znów odjechali. Milo śnił różne sny. Niebo i Ziemia obracały się w jednostajnym tempie. Pustynne wiatry zasypywały niektóre rzeczy, a inne odsłaniały, jak to pustynne wiatry.

Kiedy po raz pierwszy wystąpili razem na bazarze, to Milo rozpoczął przedstawienie.

Najpierw zgarnął ze straganu młodego kupca trzy koszulki z napisem: „Jestem napalony na pustynię”.

– Hej! – krzyknął sprzedawca, skacząc za nim.

W ciągu kilku sekund Milo wprowadził w ruch wszystkie trzy koszulki, które fruwały w powietrzu niczym łabędzie.

– Ooooch! – westchnął głośno tłum, otaczając go ciasnym kołem.

– Dzień dobry! – zawołał Milo. – Przyjaciele, za chwilę zobaczycie pokaz żonglowania oparty na dogłębnym badaniach naukowych. Namawiam was gorąco, byście po pokazie odwiedzili stoisko tego miłego dżentelmena... Jak się pan nazywa? Moudi? Koniecznie odwiedźcie stragan Moudiego.

Moudi wycofał się dyskretnie.

Wydawało się, że będzie to rutynowy pokaz. Do pewnego momentu. Milo prosił widzów, by rzucali mu różne przedmioty. Podali mu sandały. Frisbee. Żonglował nimi w jedną i drugą stronę. Żonglował też trzema indykami i tuzinem jaj.

– Hej, moi drodzy! – wołał. – Stać nas na coś więcej.

I wtedy ktoś rzucił mu niemowlę.

Przeleciało z płaczem nad głowami widzów z pierwszego rzędu.

Milo omal nie spanikował. Jak cały tłum, wydał z siebie stłumiony okrzyk przestachu. Złapał jednak dziecko i ułożył je tak, jak należy układać niemowlęta, wspierając je na przedramieniu i przytrzymując główkę dłonią.

Ale wtedy poleciało w jego stronę jeszcze jedno maleństwo. I następne.

Milo nie miał wyboru. Odruchowo schwycił je wszystkie i bez zastanowienia zaczął żonglować płaczącymi dziećmi.

Tłum podniósł ręce w bezradnym geście, przesunął się do przodu, potem do tyłu, nie chcąc wytrącić go z rytmu. Krzyki przyciągały uwagę innych, krąg gapiów rósł z każdą chwilą, ludzie przybiegali z innych części bazaru i zatrzymywali się, wstrzymując oddech.

Wkrótce Milo – który przecież tysiące razy był ojcem, matką i dzieckiem – zrozumiał, że coś mu nie pasuje. Dzieci wydawały się zbyt sztywne, ich płacz zbyt jednostajny...

Lalki.

Jakiś sukinsyn zabrał ze straganu płaczące lalki i... No tak, kupcy już szli w jego stronę, gestykułując gniewnie.

Jeden, dwa, trzy. – Milo sprawnie odrzucił im ich towar.

Jeden, dwa, trzy – odliczał tłum ze zdumieniem.

Chwila ciszy i niepewności. A potem eksplozja oklasków, którym nie było końca.

U boku Mila pojawił się Akram, równie zdumiony i uradowany jak cała reszta.

– Ukłoń się nisko i chodźmy – powiedział.

– Dlaczego? – oburzył się Milo. – Nie występowaliśmy jeszcze we dwójkę, nie rzucaliśmy mieczami ani...

– Nie przebijesz już dziś niczym tego, co właśnie zrobiłeś – przerwał mu Akram. – Kończ

w kulminacyjnym momencie występu, bez względu na to, kiedy ten nastąpi. Chodźmy!

Milo uklonił się nisko, zabrał stertę monet i poszedł z Akramem na tacos. Tak wyglądał jego debiut w roli zawodowego zonglera.

Tej nocy miał cudowny, a jednocześnie okropny sen.

Ktoś z tłumu gapiów rzucił mu kobietę. To była Suzie.

– Suzie! – krzyknął, wyrzucając ją w powietrze i łapiąc z wprawą.

– To nic nie da – powiedziała, a nim zdążył odpowiedzieć, ktoś zabrał ją od niego, jak ostatnio. Pociągnął ze sobą. Nim odeszła, przesunęła jeszcze dłonią po jego twarzy.

– Nie!

Jej palce stały się długie, miękkie i ciepłe, gdy znikła między wymiarami...

Milo się obudził. Nadal czuł coś miękkiego i ciepłego na policzku. Z ciemności nad jego głową dobiegało głośne mlaskanie, gorący oddech owiewał jego twarz. Jakiś długi, lepki przedmiot wsunął się do wnętrza namiotu i...

– Au, do ciężkiej cholery, Szatan! – wrzasnął Milo, odpychając łeb wielbłąda. Omal nie wyrzucił namiotu, wyskakując pośpiesznie na zewnątrz. Odszukał po omacku wiadro i zmył z twarzy warstwę wielbłądziej śliny.

– Milo! – zawołał Akram, wypadając ze swojego namiotu. – Milo, co się dzieje? Jesteś chory? Ktoś nas napadł?

Milo, prychnąwszy i plując na wszystkie strony, opisał mu całą sytuację.

Akram parsknął śmiechem.

– To wcale nie jest zabawne – burknął Milo. – Ciągłe robi mi jakieś paskudne kawały i zatruwa mi nimi życie.

– Powiem ci, co naprawdę jest zabawne – odrzekł, poważniejąc, Akram. – Po pierwsze, tak, jest paskudny. Jest wielbłądem. Po drugie, nie rozumiesz, dlaczego poświęca ci tyle uwagi? Chce ci w ten sposób okazać, że cię kocha.

Milo usiadł na piasku. Milczał. Akram poszedł kupić bułki z cynamonem.

Miał rację. Milo to wyczuwał. Udobruchał się nawet trochę. Ale...

– Dlaczego? – spytał, gdy przyjaciel wrócił z jedzeniem.

Akram wzruszył ramionami. Podał mu bułkę i przez jakiś czas obaj jedli w milczeniu.

– Bo jesteś dla niego dobry i miły mimo wszystkich jego wad? Bo w jakimś odległym świecie byłeś wielbłądzicą? Kto to może wiedzieć?

Z namiotu wynurzył się Szatan. Wypatrzył Mila i podszedł bliżej, zionąc na niego cuchnącym oddechem.

Milo podniósł rękę i poklepał zwierza po obrzydliwym, spoconym karku.

Szatan wydał okropny dźwięk i czule ugryzł Mila w ramię.

Nazajutrz Milo i Akram wystąpili razem. Przerzucali się ładnymi dziewczętami. Podrzucali sobie jabłka, które jednocześnie jedli. Zonglowali nożami i ogniem, porcelanowymi talerzami i szklanymi figurkami. Wykonując coś w rodzaju tańca w zwolnionym tempie, podawali sobie bańki mydlane i balony.

Potem zanieśli do namiotów cały worek pieniędzy.

Mijały dni.

Pewnego razu zonglowali wiadrami pełnymi wody, co wymagało niezwyklej siły i wycucia czasu. Pomysłodawcą i choreografem był Milo. Kiedy indziej wymyślił, jak zonglować gumowymi piłkami i odbijać niektóre z nich od ziemi, dzięki czemu wyglądali jak żywa maszyna do popcornu.

Wkrótce stało się całkiem oczywiste, że uczeń przerósł mistrza.

Akram nie był zazdrosny. Coraz częściej pisał w swej książce o wyczynach swego ucznia.

O tym, jak Milo żonglował trzema śpiącymi dziewczynami, nie budząc ich.

Jak przerzucał stertę suszonych na słońcu cegieł, przenosząc cały stos na inne miejsce.

O tym, jak Milo – wielokrotnie – wył „Suzie!” przez sen, ale nie chciał o tym rozmawiać i zachowywał się jak dziecko; jeśli zadawało mu się zbyt wiele pytań, wyraźnie próbował coś wyprzeć, ukryć...

Pewnego wieczora Akram wyszedł z namiotu i stanął nad Milem, który siedział na piasku, przebierał w nim palcami i wpatrywał się w rozgwieżdżone niebo. Niedaleko wielbłąd chrapał jak parowóz pełen wymiocin.

– Przyjacielu – przemówił brodac. – Powinieneś od czasu do czasu wyjść do ludzi. Chodźmy do miasta i poszukajmy guza.

– Tu mi dobrze – odparł cicho Milo.

Akram westchnął ciężko.

– Nie możesz po prostu ukrywać się w pracy – perswadował.

Milo uniósł lekko głowę.

– Nie ukrywam się – odpowiedział. – To koncentracja. Tak właśnie człowiek dochodzi do mistrzostwa w danej dziedzinie. Inni myślą, że masz obsesję, ale ty jeden rozumiesz, czego naprawdę szukasz.

– Czyli?

– Doskonałości.

– Z całym szacunkiem, mój przyjacielu, ale to bzdury. Po prostu uciekasz przed czymś.

– Ty też. I połowa ludzi w tym miejscu. Okrążamy odpływ powoli, trzymając się od niego najdalej, jak to możliwe.

– To prawda. Zgoda. Całkowita. Ale nigdy nie widziałem, żeby ktoś zachowywał się tak jak ty. Ćwiczysz. Występujesz. Śpisz. Siedzisz tutaj ze swoim złośliwym wielbłądem. Tak nie wygląda normalne życie, ani w Zaświatach, ani na Ziemi.

– To moja sprawa.

Przestał przebierać palcami w piasku.

Akram poszedł do miasta sam.

Nazajutrz do oazy wjechała nowa karawana. Jeźdźcy dosiadali słoni.

– Słonie – powiedział Milo do Akrama.

– Właśnie, słonie! – ekscytował się Akram. – Imponujące stworzenia! Byłeś kiedyś słoniem? Bo ja tak, raz, kiedy...

Milo spojrzał na niego wymownie.

– O nie. – Brodac pokręcił głową. – Milo, nie ma mowy.

Lecz Milo szedł już do pierwszego i największego ze słoni, wspaniałego zwierzęcia, okrytego tkaniną wysadzaną klejnotami. Kły olbrzyma były pomalowane, a w lektyce na jego grzbiecie siedziało kilku bogato ubranych nomadów.

Milo wdał się w uprzejmą rozmowę z ludźmi w lektyce, a ci wydawali się rozbawieni tym, co mówił.

– Milo! – warknął Akram, stając za jego plecami. – Nie!

– Ty to zrobiłeś.

Akram odchrząknął niepewnie i zaczął kręcić młynka palcami.

– Może zrobiłem, a może nie – odrzekł.

– Napisałeś o tym w książce.

– Pisałem tam wiele rzeczy. To tylko książka.

Nomadzi zeszli na ziemię, a Milo wszedł pod słoń.

– Bóg jest dobry – westchnął Akram. – Także dla głupców.

Nie udało się.

Milo napierał z całych sił na brzuch słoń. Wszystkie mięśnie na jego ciele – a te bardzo się ostatnio rozrosły – drżały z wysiłku, nie przynosiło to jednak najmniejszego rezultatu. Słoń stęknął. Nie był zirytowany, wręcz przeciwnie, wydawało się, że chętnie pomógłby temu dziwnemu dwunogowi, gdyby tylko wiedział, czego ten właściwie chce.

Ale niektóre rzeczy są niemożliwe. Istnieją różne ograniczenia i bariery nie do pokonania.

Akram spuścił wzrok i rysował sandałem wzory na piasku. Może takiej właśnie lekcji potrzebował jego przyjaciel. Może potem wyjadą z miasta, wybiorą się gdzieś dalej.

Wtedy zad słońa uniósł się nad ziemię, odrobinę.

– Ooooh! – zachłysnął się tłum.

Słoń zatrząbił nieśmiało.

Sekundę później od gruntu oderwały się również przednie nogi zwierzęcia.

Kompletna, pełna zdumienia i niedowierzania cisza.

Nie trwało to długo, a słoń nie uniósł się wysoko. Kilka, może kilkanaście centymetrów. Wszyscy obecni widzieli jednak na własne oczy, że choć przez moment człowiek trzymał w powietrzu słoń.

Milo opadł z głośnym sapnięciem na kolana, słoń wylądował z gracją na ziemi, a widownia zaczęła wiwatować i rzucać pieniądze.

Akram wypadł na ulicę, odepchnął słoń na bok i pomógł przyjacielowi podnieść się z klęczek.

Tyle że Milo nie był w stanie ustać o własnych siłach. Wyprostował się odrobinę, a potem osunął się bezwładnie na ziemię.

– Chyba się złamałem – wyszeptał.

– A czego się spodziewałeś?

– Spodziewałem się, że podniosę słoń. I zrobiłem to.

Akram przerzucił sobie przyjaciela przez ramię i wyniósł go z miasta.

– Trudno to nazwać żonglowaniem – powiedział.

– Zapisz to w swojej książce – odparł Milo i zemdłał.

Milo spał.

Akram położył go w jego namiocie i co jakiś czas zaglądał do niego, choć by to zrobić, za każdym razem musiał przejść nad Szatanem.

Sen zamienił się w śpiączkę. A może w półśpiączkę, bo od czasu do czasu Milo podnosił się z posłania, by coś wypić, a nawet trochę zjeść. Potem jednak ponownie osuwał się w niebyt.

Mijały dni. Dokładnie minął tydzień.

Nagle w środku chłodnej, wietrznej nocy podniosła się poła namiotu Akrama, ukazując kogoś stojącego w ciemnościach.

Akram zapalił świeczkę.

Tak, to był Milo. Był całkiem przytomny i nawet nieźle wyglądał. Może trochę wyszczupłał, ale właściwie niewiele się zmienił. A przynajmniej tak myślał Akram, dopóki nie zobaczył oczu przyjaciela.

Jeszcze przed incydem ze słoniem w oczach Mila płonął dziwny wewnętrzny blask. Teraz blask ten przybrał na sile, jakby podsycony tygodniem sennych marzeń.

– Przyszedłem się pożegnać – oznajmił Milo. – I powiedzieć, że jestem ci wdzięczny.

– Pożegnać się? Gdzie – Bóg jest dobry, Milo! – gdzie ty się, do diabła, wybierasz? Nie jesteś w stanie...

– Idę gdzieś sam – przerwał mu Milo. – Uczyć się żonglować wodą.

Wiatr zatrzepotał nagle połą namiotu. Wielbłąd beknął.

– Milo, posłuchaj mnie – prosił Akram. – Nie da się żonglować wodą. Słoń to co innego. Kwestia ciężaru. Granicy ludzkich możliwości. Ale to konkretna rzecz, można go dotknąć, przesunąć... – Umilkł, widząc, że jego argumenty nie robią żadnego wrażenia na przyjacielu.

– Bóg jest dobry – powiedział Milo i odszedł.

Przez tydzień jechał przez pustynię na Szatanie. Pozwalał wielbłądowi iść tam, gdzie ten zechciał. W końcu jaka to różnica? Po drodze ćwiczył mięśnie dłoni, zaciskał i rozluźniał palce. Żonglował kamieniami.

Po jakimś czasie, zupełnie przypadkiem, trafił do tego samego źródła, przy którym poznał Akrama. Do źródła rzeki, która płynęła nie wiadomo dokąd.

Tu się zatrzymał, rozbił namiot i zanurzył ręce w wodzie.

Wędrowcy, którzy przybywali do oazy, nazywali go Żonglującym Pustelnikiem albo Zapatrzonym Pustelnikiem, albo Pluszczącym Pustelnikiem, albo Pustelnikiem z Okropnym Wielbłądem, zależnie od okoliczności spotkania.

Jeśli mieli szczęście, poznawali go w chwili, gdy był stosunkowo rozmowny i żonglował orzechami, kamieniami lub grudami błota. Czasami nawet występował specjalnie dla nich, żonglując wszystkim, co mu podrzucili. Kiedy indziej siedział na brzegu i wpatrywał się w wodę, nie poruszając powiekami. Nie patrzył jednak na swoje odbicie, lecz na coś niewidzialnego, co kryło się w głębi.

Czasami pluskał się w wodzie jak dziecko i wcale się nie wstydził, gdy ktoś go na tym przyłapał. Tak czy inaczej zawsze był uprzejmy i serdeczny, choć nieco skryty. Niestety, jego wielbłąd był złośliwy i odrażający, ale trudno za to winić właściciela, szczególnie człowieka świętego, jakim bez wątplenia był ten dziwak.

Gwiazdy wędrowały po niebie, księżyc i słońce wschodziły i zachodziły, pustynia nieustannie się zmieniała.

Pewnego dnia Milo wpatrywał się w wodę, starając się widzieć tam nie twarz Suzie, lecz tajemnicę, która nadałaby cieczy namacalną formę, kiedy od strony rzeki nadszedł wędrowiec w jasnozielonej szacie. Miał twarz zasłoniętą chustą. Wsparty był na wysokiej lasce.

– Aha! – powiedziała zielona zjawa, pochodząc bliżej. – Tu jesteś!

Milo podniósł wzrok i zamrugał. Czasami miewał bardzo realistyczne przywidzenia.

Ta istota była jednak rzeczywista. Odwinęła z głowy chustę, uklękła i wyciągnęła do niego swe wielkie, tłuste, cudowne ramiona.

– Mama – wychrypiał i pozwolił, by go przytuliła.

Znalazł coś do jedzenia, przyniósł kubek z namiotu i ostrzegł wielbłąda, by na nią nie wymiotował. Siedzieli i jedli w milczeniu, aż słońce schowało się za horyzont. Wtedy Mama spytała:

– Milo, do ciężkiej cholery, co ty wyprawiasz?

Wymamrotał coś o żonglowaniu wodą.

– To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam. To niemożliwe.

– Ale gdyby mi się jednak udało, byłby to akt Doskonałości – tłumaczył Milo.

Mama zdjęła szaty podróżne i weszła do wody.

– Więc o to właśnie chodzi? – spytała, unosząc się pośród gwiazd odbitych w wodzie. – Bo w Zaświatach i tak się to nie liczy. Wiesz o tym?

Milo odparł, że chyba tak.

– A ty wiesz, o co tak naprawdę mi chodzi – dodał.

Odpląnęła dalej, niemal całkiem rozmywając się w ciemnościach. Stała się tylko cieniem. Głosem.

– Tak – odpowiedziała. – Wiem.

Milczenie.

Milo był mistrzem milczenia. Nie odzywał się przez długi, długi czas.

– Jeśli wciągnęła ją Wielka Kosmiczna Dusza, to jaki w tym sens? – przemówił wreszcie.

Mama podpląnęła bliżej. Wielka ciepła dłoń wysunęła się z wody i złapała go za kostkę.

– Nie mogę ci na to odpowiedzieć. Sam musisz zdecydować, czy lepiej siedzieć tutaj i dąsać się jak dziecko, czy próbować coś z tym zrobić. Może nie zdobędziesz tego, czego pragniesz. Ale czy to oznacza koniec? Chcesz się tak po prostu poddać?

Milo chciał coś powiedzieć, ale Mama odezwała się ponownie:

– Spójrz na siebie – poleciła.

Począł, aż jego wzrok przywyknie do ciemności, i po raz pierwszy od bardzo długiego czasu spojrzął na swoje odbicie w wodzie.

Wyglądał jak szkielet obciągnięty skórą. Zapadnięte policzki i oczy. Pustynna szata wisiała na nim jak całun.

– Wracaj – powiedziała Mama. – Wróc i przynajmniej spróbuj.

– Czego mam spróbować? – wychrypiął.

– *Czego?* – Tym razem Mama naprawdę się wkurzyła. – Żartujesz sobie ze mnie? Co się z tobą dzieje, ty samolubny kretyńcu? Spróbuj być doskonały! Spróbuj zrobić *cokolwiek!* Który z twoich żywotów był najfajniejszy? Może nie najfajniejszy, może to nie najlepsze określenie, ale...

– Kapitan Gworkon – odparł Milo.

– Naprawdę? No dobrze. To chyba dobry wybór. Kapitan Gworkon na pewno nie siedziałby w Zaświatach i nie gnił przed własnym odbiciem w wodzie. Wróciłby i przeżył następne życie...

– Żonglując – dokończył Milo.

Dłoń Mamy zacisnęła się jeszcze mocniej na jego kostce.

– Do diabła, Milo, jeśli...

– Żartuję. Walcząc ze złem. Wróciłby i poświęcił życie walce ze złem.

Wstał i zaczął zdejmować ubranie. Wielbłąd również wstał.

– Czemu nie? Kolejne narodziny to także forma ucieczki, prawda?

– Idź – powiedziała Mama. – Walcz ze złem. Rób to doskonale. A potem wracaj, zobaczymy, co się da zrobić.

Gadanie – pomyślał Milo.

Ale zmusił się do działania. Przecież był weteranem pół miliona poniedziałkowych poranków. Mędrzec wie, co robić w takiej sytuacji: nie litować się nad sobą i pozbyć się wszelkich obsesji, stawiać stopy jedna przed drugą i iść naprzód.

Wchodzisz do pustynnej sadzawki i przeglądasz różne żywoty. I kiedy już gotów jesteś zanurkować, z brzegu dobiega cię głupawy, smutny ryk. Odwracasz głowę i widzisz to zwierzę, to ohydne, złośliwe zwierzę, które cię kocha i może myśli, że jesteś wielbłądzicą w przebraniu. I zachowuje się teraz jak każdy zwierzak, który nie wie, czy jeszcze do niego wrócisz.

Miałeś już wiele psów i wiele razy byłeś psem, więc wiesz, że jeśli wrócisz się pożegnać, to niczego nie zmieni, ale i tak to robisz. Zwierzak parska, śliniąc się na ciebie, poci się i dyszy, pęka mu serce, na całej tej głupiej pustyni serca pękają i rozpadają się z trzaskiem jak popcorn. Jesteś rozgoryczony. Żal ci samego siebie i o tym właśnie myślisz, kiedy nurkujesz, a woda zabiera cię w głąbinę i sprawia, że zapominasz o wszystkim prócz wyjątkowości własnego ja, tej ratunkowej kapsuły duszy, i zaczynasz od nowa po raz dziewięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąty ósmy z rzędu.

Rozdział 16

Zielone jabłka

Z każdym dniem rozmywała się i znikła po odrobinie.

Całkiem wyraźnie widziała już słońce przez swoją dłoń. Jak jasnoczerwony tatuaż.

Cholera – pomyślała.

Wkrótce całkiem zniknie.

Jak się z tym czuła? To zależało od danej chwili. Szczególnie od poziomu frustracji. Czasami była wręcz zadowolona, że zniknie i nie będzie już musiała się niczym przejmować. Kiedy indziej łudziła się nadzieją. Milo ją znajdzie albo ona znajdzie jego. Wszechświat uzna, że miała jednak rację, że krztyna nierównowagi w niczym nie zaszkodzi.

Wędrowała.

Przelatywała z miejsca na miejsce. Wiatr i liście. Pozwalała, by niosły ją prądy Zaświatów. Materializowała się na plażach i w restauracjach. W parkach, na łodziach, w kuchniach i zakładach recyklingu.

Wydawało się, że wszechświat nie traktuje poważnie jej rezygnacji; pewnego razu postawił ją u boku umierającego nigeryjskiego króla.

– Mówiłam ci już – powiedziała. – Rezygnuję.

Wszechświat naprężył swoje *boa*. Warczał i trzaskał wokół Suzie i nigeryjskiego króla.

– Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś zechciała się kłócić ze wszechświatem gdzie indziej – westchnął król. – Przechodzę właśnie trudną transformację.

Wiatr i cienie. Suzie ruszyła w drogę.

Czy Milo w ogóle tu był? A może przebywał na jakiejś planecie i przeżywał jeden ze swoich ostatnich żywotów?

Instynkt kazał jej omijać zatłoczone miejsca, kierował ją na obrzeża. Do miejsc, gdzie chodzili ludzie, gdy byli zmęczeni, gdy przed czymś uciekali albo czegoś szukali.

Pewnego razu przeszła przez teren, gdzie wcześniej był Milo. Wyczuwała tam jego obecność, niemal widziała, jak ślad na piasku. Ale odszedł. Zostawił po sobie wyjątkowo nieprzyjemnego wielbłąda.

Wiatr i liście, i odległe miejsca.

Przekonała się, że ludzie lubią takie właśnie zakątki. Bardziej niż wszelkie inne istoty potrzebowali miejsc, do których mogli uciec. Przemienić się i zrobić z niczego coś nowego.

Wracała myślami do pewnej osoby. Przyjaciela. Jedynego człowieka prócz Mila, który mógłby ją choć trochę zrozumieć. Człowieka, który wciągnął ją w największą walkę jej życia.

Nazywał się Francesco. Mieszkał we Włoszech.

Francesco miał bogatą rodzinę i piękny dom, był przystojny, bystry i elegancki. Przez pierwszy okres swojego życia wspaniale się bawił, pił, śpiewał i sypiał z przyjaciółmi. Potem pewnego dnia wszyscy musieli pójść na wojnę. Rodziny ubrały ich w zbroje, kupiły im konie i wysłały

w świat, roześmianych i rozśpiewanych pod kolorowymi sztandarami. Niemal od razu zostali ujęci i wtrąceni do więzienia wrogów.

Były to nieco zawstydzające okoliczności, ale młodzi przyjaciele starali się jakoś odnaleźć w tej sytuacji, śpiewali piosenki, opowiadali różne historie, zakładali się, kto zabije najwięcej szcurów lub robaków. W końcu wojna się skończyła i wszyscy wrócili do domu, wciąż śpiewając.

Ojciec Francesca wykrzyknął: *Bentornato, figlio!*, pocałował go i wciągnął do pracy w rodzinnym biznesie, czyli handlu modnymi ubraniami.

Być może to właśnie wywołało chorobę Francesca.

Na pewno była jakaś przyczyna. W pewnej chwili uznali go już za zmarłego i przykryli prześcieradłem. Suzie miała go już pocałować w czoło i odesłać w Zaświaty, gdy nagle usiadł prosto i powiedział: *Gesù, non so cosa darei per una ciotola di zuppa*, co znaczy: Jezu, czego bym nie dał za miskę zupy.

Tak się czasem działo. Gdyby chodziło o kogoś innego, Suzie wróciłaby po prostu do domu, ale dostrzegła w tym człowieku coś intrygującego. Było w nim jakieś światło, szaleństwo lub dobroć uwolnione przez chorobę.

I rzeczywiście, wydawało się, że Francesco oszalał. Wciąż unikał pracy, spędzał całe dnie w lesie i na łąkach, ścigał ptaki, brodził w strumieniach, próbował głaskać jelenie. Jego przyjaciele i sąsiedzi śmiali się z niego, ale on także odpowiadał im śmiechem. Pewnego razu zdjął ubranie i wyszedł całkiem nagi z miasta. Zamieszkał w ruinach kamiennej kaplicy w lesie, żywił się jagodami i orzechami i robił, co chciał.

– *Questo è folle!* – Ludzie z miasta kręcili głowami.

– Nie można tak po prostu być szczęśliwym i robić, co się chce!

Niektórzy poszli nawet do lasu, by mu to powiedzieć.

Francesco nie reagował na ich słowa. Po prostu nadal był szczęśliwy, także w ich obecności. To budziło złość niektórych z jego gości, którzy po powrocie do domu kopali meble w bezsilnej irytacji. Jednak kilku postanowiło z nim zostać. Powoli powstała mała społeczność: grupa najmielszych ludzi, jakich można spotkać, odzianych w szmaty i pożywających się jagodami, naprawiających kamień po kamieniu starą kaplicę. Zaczęły do nich przychodzić zwierzęta. Ptaki, jelenie, wiewiórki, żaby, ropuchy.

Suzie nie mogła w to uwierzyć. Ludzie są zwykle dziwnie uzależnieni od cierpienia i tragedii. Ci dziwacy, którzy postawili na prostotę i szczęście, przypominali jej trochę Mila (który właśnie żył w postaci japońskiego królika). Wiedziała, że jeśli nie zachowają ostrożności, zarażą swoją radością innych i uczynią ze świata lepsze miejsce albo zdenerwują kogoś tak bardzo, że zostaną spaleni na stosie.

Suzie przyjęła ludzką postać i ostrzegła przed tym Francesca:

– Szczęście ludzi przeraża – mówiła.

Uśmiechnął się tylko i wrócił do swoich zajęć.

Kiedy rozmawiali, stało się coś niezwykłego.

Zobaczyli siebie nawzajem. Naprawdę się zobaczyli.

Francesco zrozumiał, kim jest Suzie. Wydawał się zaskoczony faktem, że wokół jego kaplicy kręci się Śmierć. Ale się nie bał. Śmierć była częścią natury. Śmierć była drzwiami. A do tego była całkiem niebrzydka.

Suzie przejrzała Francesca na wylot. Wiedziała już, że być może zasłynie jako przykład pokoju i dobroci, że uczyni świat lepszym. Bardzo zależało jej na tym, by kontynuował swoje dzieło

i urzeczywistnił tę wspaniałą przyszłość.

Suzie zobaczyła jednak coś jeszcze. Coś złego.

Francesco nadal był chory, ale o tym nie wiedział. Choroba w nim spała, lecz wkrótce miała się obudzić i go zabić. Suzie widziała to tak samo, jak czasem widzi się cień w wodzie.

Postanowiła nie dopuścić do tego.

Włożyła jakieś szmaty i dołączyła do odbudowujących kaplicę.

Skóra na jej dłoniach i stopach stała się szorstka i twarda. Suzie próbowała głaskać zwierzęta, ale te ją rozpoznawały i trzymały się z daleka.

Francesco poszedł do Rzymu (boso), by porozmawiać z papieżem. Papież go polubił i pobłogosławił, a od tej pory do kaplicy zaczęło przychodzić więcej ludzi. Nie po to, by się śmiać lub złościć, lecz by patrzeć i się uczyć.

Wkrótce potem choroba Francesca rozkwitła z całą siłą. Suzie miała ochotę pocałować go w czoło i przenieść w Zaświaty, ale tego nie robiła.

Nie popełniła tego samego błędu co z wielorybicą. Nie pozwoliła, by dusza Francesca całkiem uciekła. Zamiast tego skupiła się na cieniu. Wcisnęła go z powrotem pod jakiś anatomiczny kamień, pod którym ukrywał się do tej pory, i zabroniła mu stamtąd wychodzić.

Francesco przez jeden dzień pociągał nosem, ale poza tym nic mu nie dolegało. Wieczorem czuł się już na tyle dobrze, że mógł wraz z kilkoma swoimi uczniami szukać trędowatych, by ich nakarmić.

Suzie czuła, że przyjdzie jej za to drogo zapłacić.

W istocie, tydzień później, gdy szukała na łące kamieni potrzebnych do odbudowy kaplicy, zobaczyła wysoką bladą postać wyjeżdżającą konno z lasu.

Jedną z innych Śmierci. Nazywał siebie Zaazeemozogmelaffello-Ba-Tremuloso-Ba-Jalophonso-Umbertoaawiigsheetossalavagredorro-Ba.

– No? – powiedział przedstawiciel wszechświata, podchodząc do Suzie. – Gdzie on jest?

Suzie znalazła właśnie stertę kamieni. Podniosła jeden z nich, trzymając go w sposób, który miał w jej zamyśle wydawać się groźny.

– Gdzie jest kto? (Starła się też wyglądać niewinnie).

Ba spojrział na nią z niesmakiem i ruszył w stronę kaplicy.

– Nie możesz go zabrać! – zawołała Suzie. Zaciśnęła mocniej dłoń na kamieniu. W razie konieczności gotowa była nim rzucić.

Zatrzymał się.

– Suzie, co się dzieje? – spytał. – Przecież wiesz, że to tak nie działa.

Skinęła głową.

– Mimo wszystko – odparła.

Zdziwiony i niepewny zsiadł z konia.

– Więc co proponujesz? – spytał. – I czy możesz łaskawie odłożyć ten kamień? Oboje wiemy, że nim nie rzucisz.

Odłożyła.

– Jest ważny – powiedziała.

– Na pewno. Przykro mi. Tu chodzi o równowagę.

– Czasami nie jest konieczna.

– Nie ty o tym decydujesz.

Oczy Suzie zapłonęły gniewem.

– Ale ja decyduję o tym, że mogę to powiedzieć – odparła. – Lubisz jabłka?

– Jabłka?

Wpadła na pomysł.

– Możesz go zabrać, jeśli pokonasz mnie w pewnej grze – powiedziała.

– Jakiej? (Ba uwielbiał wyzwania. Wszystkie Śmierci je uwielbiały).

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła dwa małe zielone jabłka.

– Będziemy rzucać tymi jabłkami. Kto rzuci dalej, ten wygra.

Spojrzał na nią z nieufnością.

– To nie jest żadna gra.

Podawała mu jedno z jabłek.

– Raz – powiedziała.

– Jak sobie życzysz.

– Dwa – mówiła dalej. – Trzy!

Oboje rzucili najmocniej, jak potrafili, a wtedy z nieba sfrunęła wrona, porwała jabłko Suzie i zaniósła je daleko za las.

Drugie jabłko leżało na ziemi, w sporej odległości od Suzie i Ba.

– To się nie liczy – zaprotestował Zaazeem-etc.-Ba.

Ale wsiadł na konia i odjechał, zawstydzony, że tak łatwo dał się wywieść w pole.

Suzie nie powiedziała Francescowi o tym, co się wydarzyło, tak jak nie powiedziała mu, dlaczego przez chwilę czuł się nieco gorzej.

Przez całą noc stróżowała pod jego drzwiami, na wypadek gdyby Zaazeem-Ba próbował się zakraść i zabrać Francesca pod osłoną nocy. Ale nie zrobił tego.

Mijały lata. Ludzie przychodzili do kaplicy, by patrzeć i pomagać. Niektórzy zakładali własne społeczności w innych miejscach. Suzie w końcu przekonała zwierzęta, by pozwoliły się jej głaskać. Niektóre z nich umarły, ale ogólnie wyczuwały, że to nic złego.

Co jakiś czas na łąkę przyjeżdżał któryś z kolegów po fachu Suzie (albo przylatywał z wiatrem, spadał z deszczem lub sącył się ze świtem), a ona wyzywała ich na pojedynek. Zawsze udawało jej się wygrać.

Aż w końcu ukryty cień wyszedł spod kamienia i nie chciał tam za żadne skarby wrócić. Francesco zaczął pociągać nosem, zrobił się błądy, miał zapadnięte oczy. Suzie pomagała mu, karmiła go różnymi specyfikami, a nawet trochę na niego krzyczała, ale nic nie pomagało.

Kiedy niektóre części jego ciała szerniały, Francesco podniósł na nią wzrok i powiedział:

– Suzie, dość.

Miał rację.

Pocałowała go w czoło i siedziała przy nim, trzymając go za rękę, podczas gdy on przygaś, wyszedł i odleciał, by się połączyć z Kosmicznym Hu-Ha.

Suzie zamknęła oczy i pokazała Kosmicznemu Hu-Ha środkowy palec.

Teraz, po wielu wiekach, Suzie często myślała o Francescu. Jak wielu ludzi.

Myślała o nim, gdy czuła się wyjątkowo zagubiona na obrzeżach świata. Wędrowała po bagnach i pustych drogach. Czasami szukała Miła, a czasami nie. Zbyt zmęczona i zła, by mogła być szczęśliwa.

Czasami inni wędrowcy patrzyli na nią w typowy dla nich sposób i pytali, dokąd idzie.

– Po prostu staram się unikać wszechświata – odpowiadała.

Rozdział 17

Rzecz konkretna i potężna

Kapitan Gworkon.

Milo w wielu żywotach walczył ze złem, ale Kapitan G był postacią wyjątkową.

Działo się to w czasach, które większość ludzi uznałaby za przyszłość. Wygrał galaktyczną loterię i wydał całą fortunę na operacje bioniczne. Zamienił się w latającego atomowego cyborga, spadał na fortece potężnych kosmicznych piratów i prowadził ich w łańcuchach przed oblicze sprawiedliwości.

Przestępczość w czwartym ramieniu galaktyki spadła o pięćdziesiąt procent.

Ku jego zdumieniu nie wszyscy to doceniali.

– Uratowałeś nas przed złymi ludźmi – powiedziała mu kiedyś pewna studentka. – Ale kto uratuje nas przed tobą?

Nie odpowiadał na to pytaniem. Ludzie tego typu zwykle myśleli w ten sposób, gdy ich życie było zagrożone.

Dwie noce później uratował tę samą studentkę przed stadem dzikich, sztucznych świniopsów.

– Przepraszam za to, co powiedziałam – mówiła, całując go w metalowy policzek. – Zabrakło mi wyobraźni.

– Jak wielu innym – odparł. – Nie ma problemu.

Zło.

Czasami było to coś, co objawiało się głośno i wyraźnie. Jak w sytuacjach gdy rodził się muzulmaninem, a chrześcijanie byli źli, albo gdy rodził się jako chrześcijanin, a źli byli muzulmanie. Gdy tak się działo, dziękował Bogu, że uczynił tę sprawę tak oczywistą.

Zdarzało się też, że zło było oczywiste, ale trudne do zwalczenia. Kiedy zatrudnił się przy budowie tunelu pod rzeką Crookshank. Często dochodziło tam do przecieków, woda zalewała tunel, a pracownicy tonęli. Jeśli któryś z robotników narzekał na fatalne warunki pracy i narażenie życia ludzi, nocą do obozu przychodzili jakiegoś zbiry, które mówiły, że to właśnie ten robotnik włamał się do kilku domów, a oni mają na to świadków. Należało więc trzymać gębę na kłódkę, znosić upokorzenia i ryzykować utratę życia.

Milo nie godził się na to i nie chciał się podporządkować, nawet gdy po niego przyszli. Gdy wtrącono go do więzienia, umarł tam, plując krwią.

Niekiedy walka toczyła się na ulicy albo w sklepie w niekoniecznie przewidywalny sposób.

W dwudziestym pierwszym wieku zabroniono sprzedaży i kupna lekarstw przez internet. Firmy farmaceutyczne zapłaciły prawodawcom za wprowadzenie takiego prawa, a wydatki na lekarstwa w aptekach doprowadzały ludzi do bankructwa i zabijały ich. Milo nie przejmował się

obowiązującym prawem i kupował wszystko, co chciał, od kogo chciał, walcząc w ten sposób ze złem.

Bohaterami bywają też zwykli ludzie, miliony zwykłych ludzi, którzy stukają w klawiatury swoich komputerów.

Wiele wieków wcześniej Milo stanął na czele chłopskiego buntu. Tysiąc chłopów pomaszerowało na zamek feudalnego władcy i zażądało obniżenia podatków. Nie mieli co jeść.

Władca wstał od kolacji, kazał dwudziestu żołnierzom wyjść na mury i wypuścić kilka strzał w stronę chłopów.

Dziesięciu buntowników padło w pszenicę i między kwiaty i umarło.

Dziewięćset dziewięćdziesięciu rzuciło się do ucieczki.

– Ludzie, co z wami?! – krzyczał Milo, rzucając za nimi kamieniami. – Jest was tysiąc, a ich tylko czterdziestu!

Wyglądało to tak, jakby koń uciekał przed gzem.

Milo był saksofonistą, nazywał się Mookie Underwood i maszerował po moście do Selmy w stanie Alabama, z setkami innych mężczyzn i kobiet. Po drugiej stronie mostu czekali policjanci z pałkami.

– Zawróćcie – rozkazali policjanci.

Nie zawrócili.

Policjanci rzucali ich na ziemię i bili.

Protestujący uciekali, a policja ich łapała i okrutnie biła.

Błyskały flesze. Terkotały kamery. Ludzie na całym świecie zobaczyli, co się stało w Selmie.

– Niech to oglądają – mówił Milo, dławiąc się własną krwią. – Niech patrzą. Tu chodzi też o nich.

Walka ze złem stawała się też niekiedy tajną działalnością.

Milošewić Kočewar, szewc, prowadził grę z esesmanami, ukrywając niedozwolone książki pod podłogą w swoim mieszkaniu. Niektórzy członkowie ruchu oporu strzelali do żołnierzy, inni wysadzali tory kolejowe, jeszcze inni ukrywali książki i dzieła sztuki, by nie wpadły w ręce nazistów.

Miłosz zachował rzadki zbiór polskiej pornografii. Kiedy wojna dobiegła końca, oddał ją do muzeum, które z tajoną przyjemnością ukryło kolekcję. Po dziś dzień trzeba prosić o pozwolenie, by ją zobaczyć.

Po powrocie w Zaświaty po tym polskim życiu Milo zobaczył, że Suzie ma idealną kopię tej kolekcji.

– Ryzykowałeś dla tego życie? – spytała.

Miny, jakie robiła, oglądając zbiór, były niezwykle wymowne. Niektóre z rysunków i zdjęć wprost zaskakiwały. Na niektórych pojawiały się kucyki.

– Kiedy ludzie próbują zniszczyć sztukę lub wiedzę – tłumaczył Milo – wszystkie formy sztuki i wiedzy zyskują na wartości. Moglibyśmy popełnić niewybaczalny błąd, gdybyśmy chcieli decydować o tym, co ludzie powinni oglądać, a czego nie. To realne zło, rzecz konkretna i potężna. Robiłem to, by ludzie mieli potem możliwość wyboru.

– Ach tak – wyszeptała. – Rozumiem.

Przez cały miesiąc Suzie niemal bez ustanku przeglądała te książki.

– Walczę ze złem – mówiła.

– Rozumiem – odpowiadał po polsku.

Rozdział 18

Rzeźnia

Covington, Ohio, lata 1948–1972

Kiedy dusza rodziła się już prawie dziesięć tysięcy razy, poród przychodzi łatwiej.

Milo szybko doszedł do siebie po szoku, jakim było przeciskanie się przez wąski tunel i potem nagła jasność. Oczywiście nie rozumiał od razu, kim lub czym jest, bo nie rozumie tego żaden noworodek. Mijał jednak czas, a on się uczył.

Uczył się emocji. Czasami wypełniała go olbrzymia, słoneczna dobroć. Czasami był wystraszony lub spokojny. Czasami się złościł. Zauważył, że kiedy się złości, dają mu jeść.

Nie licząc pewnego sprytu i pewności siebie, Milo nie różnił się niczym szczególnym od innych dzieci na świecie. Lecz coś w jego mózgu – cudownym mózgu – było inne. Coś, co działało jak wyłącznik. Wyłącznik, podobnie jak reszta mózgu, nie był jeszcze w pełni uformowany.

Do czego służył?

Nie wiadomo.

Milo żył z Mamą. Mieszkali w przyczepie kempingowej na farmie. Mama (która miała na imię Joyce) pracowała dla rodziny Smokerów, właścicieli farmy. Zajmowała się krowami. Smokerowie mieli setki krów, więc Joyce była zawsze zajęta.

Pewnego razu, gdy Milo miał trzy lata, chodził po oborze, niewidoczny dla swej matki. Usłyszał jakieś skrobanie w rogu, za rdzewiejącym roztrząsaczem do obornika, i odkrył tam olbrzymiego, paskudnego rybika.

Insekt patrzył na niego lśnącymi, paskudnymi oczami. W poprzednim życiu był alfonsem.

Milo podniósł z podłogi zardzewiały gwóźdź. Z wyrazem łagodnego skupienia na twarzy przebił rybika na wylot i przyszpilił go do deski.

Insekt wił się i dygotał jak liść na wietrze.

Wszystkie dzieci robią coś takiego. Potem mają wyrzuty sumienia i źle się z tym czują. Wyłącznik w głowie Mila zaskoczył, oddzielając go od złych uczuć. (Nie chronił go przed brakiem oddechu, który mu dokuczał w chwilach, gdy był wystraszony lub podekscytowany. Mama nazywała to „astmą”).

Pięć minut później krowy były już wydojone, a mama gotowa do wyprowadzenia ich na pastwisko.

– Milo! – zawołała.

– Idę, Joyce! – odkrzyknął, pobiegł do niej i wziął ją za rękę.

Zostawił za sobą rozczłonkowanego rybika: obok tułowia leżały starannie ułożone nogi, wąsy i ogon. Brakowało głowy, która spoczywała w kieszeni Mila.

Kiedy Milo był w piątej klasie, do Covington sprowadziła się pewna dziewczyna, Jodi Putterbaugh. Jej rodzice, podobnie jak Joyce, pracowali na farmie. Pierwszego dnia Jodi wsiadła

do autobusu szkolnego, podeszła prosto do Mila i powiedziała:

– Wyglądasz, jakbyś był w piątej klasie.

Milo skinął głową. Był zajęty czytaniem książki science fiction.

– Mogę wsiąść obok ciebie, żebyś wiedziała, kiedy wysiąść z autobusu? Mama mówiła, że zatrzymuje się przy trzech różnych szkołach, a nie chciałabym przez pomyłkę pójść do średniej. Nazywam się Jodi Putterbaugh.

– Milo Wood.

Usiadła koło niego i pozwoliła mu w spokoju czytać książkę.

Milo nie mógł się jednak skupić na czytaniu. Myślał o siedzącej obok dziewczynie, o jej długich brązowych włosach i sarnich oczach. W jego mózgu zaczęły się otwierać nagle nowe przełączniki. Czuł, że znów ma kłopoty z oddychaniem.

Wyłącznik złych emocji na razie tylko badał sytuację.

Później, na placu zabaw, gdzie wyszli po długim wrześnieym deszczu, Milo rozgniał właśnie dżdżownicę, gdy usłyszał za sobą głośne:

– Och!

Jodi Putterbaugh, z wyrazem przerażenia na twarzy.

– Co ty robisz? – spytała.

– Nic.

– Zabijasz dżdżownicę. Dlaczego?

Milo nie znał odpowiedzi. Nie podobało mu się, jak Jodi na niego patrzy.

– Może nie będę już tego robił – powiedział.

Skinęła głową, ale odeszła od niego. Milo poczuł się źle, jakby ktoś go odrzucił, ale przełącznik szybko pomógł mu sobie z tym poradzić.

Rodzina Jodi założyła farmę ekologiczną po drugiej stronie Covington i uprawiała rośliny, nie stosując nawozów ani chemikaliów. Hodowali też świnie, ale traktowali je bardzo miło. W czerwcu Jodi zaprosiła Mila i kilku innych piątoklasistów na swoje urodziny.

– To jest Henry – powiedział ojciec Jodi, kiedy chodząca luzem świnia trąciła Mila w nogę i zaczęła przeżuwać nogawkę jego dżinsów. Wszyscy siedzieli przy ogrodowym stoliku i jedli ciasto.

– Nadaje pan imiona zwierzętom? – zdziwił się Milo. – Przecież...

– Zabijemy je, tak. Ale to nie znaczy, że nie możesz im okazywać szacunku. – Ukląkł i ujął głowę Henry'ego w dłonie.

– Spójrz mu w oczy – powiedział. – Tam ktoś jest. Henry przeżywa wszystko, tak jak ja i ty, choć ukrywa to w swojej głowie. Docenia dobroć.

(Pan Putterbaugh miał rację. Zaledwie rok wcześniej dusza Henry'ego była emerytowanym malarzem w Buenos Aires. Malarz słynął z uprzejmości i dobroci wobec swoich sąsiadów. Jego krótkie i szczęśliwe życie świnia na farmie Putterbaugha było nagrodą, a nie karą).

– Zamierzam zmienić sposób, w jaki świat traktuje zwierzęta – powiedziała Jodi.

To ciekawe, że tak różne rzeczy wywołują u ludzi stan zakochania. Tym razem był to prosty gest Jodi, która uściśnęła dłoń Mila. Później, pod jabłonią, w najlepszym momencie zmierzchu, gdy pojawiają się świetliki, odliczyli głośno do trzech i pocałowali się w usta.

Milo usłyszał wtedy w swojej głowie jakiś szept, jakby dziesięć tysięcy starych dusz chciało

mu coś doradzić i pragnęło, by je usłyszał. Wydawało się, że pochwalają ten pocałunek.
Będzie dobrze – mówiły dusze.

Stare dusze się myliły. Zły wyłącznik wiedział, jak czekać na właściwy moment.

Mijały lata. Fred Smoker, właściciel farmy, zabierał Mila na polowania z własnymi synami. Kiedy Milo po raz pierwszy zabił zwierzę, Smoker naznaczył jego czoło krwią. Gdy krew dotknęła jego skóry, chłopak cicho jęknął. Nie mógł się powstrzymać. I nie powiedział o tym Jodi.

Rodzina Putterbaugh się wyprowadziła, pokonana przez olbrzymią konkurencję, jaką były zakłady mięsne Dinner Bell z pobliskiej miejscowości Casstown. Serce Mila pękło z żalu, ale zły wyłącznik zadziałał i zdławił ból.

Jego stara dusza wyczuwała, że dzieje się coś niedobrego, nie wiedziała jednak jeszcze co.

Milo uczył się od swojej mamy pracy w gospodarstwie, a gdy dorósł i wyprowadził się, mógł dzięki temu zarabiać na życie. Pewnej nocy w lesie stracił dziewictwo z jedną z przyjaciółek mamy, Debbie Fair.

Miał już dyplom ukończenia szkoły średniej i własne mieszkanie – a właściwie pokój przy stacji benzynowej na obrzeżach Covington. Zamierzał odłożyć trochę pieniędzy i zacząć wkrótce studia. Dzięki tym planom miał dobre samopoczucie, podobnie jak jego dusza. Dusza przypominała mu jednak, że aby odkładać pieniądze, musi je zarabiać, więc powinien poszukać sobie jakiejś dobrze płatnej pracy.

Słusznie – zgodził się z nią Milo. Pewnego wieczora upił się w barze u Walta z pracownikiem Dinner Bell, Tomem Littlejohnem, i dzięki temu dostał pracę w zakładach mięsnych, gdzie zabijał krowy. (O cholera – syknęła jego stara dusza).

Nosił ogłuszacz, rodzaj pistoletu z bolcem, i sto razy dziennie przykładał go między oczy krowy i...

Ssssss**POP!**

...stalowy bolec przebijał czaszkę zwierzęcia i wciskał się w jego mózg. Niekiedy krowa od razu zostawała zabita, kiedy indziej dygotała i patrzyła na niego błagalnie. Na czas pracy zły wyłącznik w głowie Mila uruchamiał się automatycznie: Milo mógł zabijać zwierzęta bez względu na to, jak na niego patrzyły.

Pewnego razu mieli zabić dwustukilowego wieprza o imieniu Orlando specjalnie na imprezę dobroczynną w Cincinnati. Don Sweeney, doświadczony pracownik, próbował ogłuszyć Orlanda pistoletem rzeźniczym, ale wieprz odskoczył do tyłu, kwicząc wściekle. Sweeney wyszedł z zagrody i oznajmił ze śmiechem:

– Nie dam rady, chłopcy!

Milo wziął od niego ogłuszacz i przeskoczył przez ogrodzenie. Nim zdążył wylądować na podłodze, Orlando ruszył na niego, nabierając rozpędu i otwierając szeroko ryj (był świnia przez sześć żywotów z rządu i dobrze się na tym znał).

Milo był skupiony, nie okazywał strachu.

Ssssss**POP!**

Świnia i jej oprawca runęli razem na podłogę.

Milo poderwał się pierwszy i przystawił pistolet do oka Orlanda.

Ssssss**POP!**

Krew bryznęła prosto na jego fartuch.

Mimo to potężna świnia wciąż kwiczała i wierzgała, wydawało się, że lada moment znów się podniesie. Milo podskoczył najwyżej jak mógł i wylądował obiema stopami na klatce piersiowej świni.

Trzask!

Orlando kwiczał i wił się.

Jednym płynnym ruchem Milo sięgnął za niego, podniósł pięciokilowy młot i zdruzgotał nim szczękę świni.

I jeszcze jedno uderzenie. Gdy odsunął się zdyszany na bok, z głowy wieprza nic nie zostało. Wyglądała jak sterta porwanych kawałków skóry przemieszanych z galaretą.

– Jezu, Milo – powiedział Sweeney słabo.

Po powrocie do domu Milo cały dygotał, jakby właśnie przeżył poważny wypadek.

Powinieneś coś czuć – szeptała jego stara dusza.

Milo próbował płakać. Nie mógł złapać oddechu. Siedział tak przez godzinę, roztrzęsiony, starając się wrócić do normalności.

Postanowił, że będzie studiował inżynierię. Po miesiącu poszukiwań znalazł program, który kosztował cztery tysiące dolarów rocznie. Pięć lat pracy w rzeźni powinno mu dać dość pieniędzy na start. Nie będzie musiał się zadłużać.

Świetnie! – powiedział mądry głos w jego głowie.

Milo zapisał swoje plany, sporządził nawet harmonogram. Skontaktował się z college'em, wypytał o ewentualną pomoc finansową, umówił się na spotkanie. Nigdy nie czuł się bardziej człowiekiem niż w tym czasie.

Aby to uczcić, za zaoszczędzone pieniądze kupił sobie strzelbę.

Zaczął chodzić nocami do lasu. Godzinami siedział pod osłoną drzew, przy drodze numer 41.

Wydawało się, że tylko wtedy potrafił wyciszyć swój umysł, gdy kuczał pośród drzew otoczony odgłosami nocy, ze strzelbą na ramieniu, i wodził nią za przejeżdżającymi samochodami.

Wdech. Wydech. Reszta była milczeniem.

Na urodziny kupił sobie lunetkę do strzelby i ciepłe nieprzemakalne ubranie w kolorach maskujących.

W środku lata zrobił coś, czym sam siebie zaskoczył.

Ukryty w odległości stu pięćdziesięciu metrów od drogi strzelił do przejeżdżającej toyoty 4runner, rozbijając jej przednią szybę. Samochód wpadł w poślizg, a potem przyspieszył i odjechał w stronę Springfield.

O cholera! To było głupie. Poważna sprawa. To było coś, co przyciąga uwagę.

Nazajutrz Milo przejrzał gazety. Nic.

Czy był rozczarowany? A może czuł ulgę? Sam nie wiedział.

Tego samego dnia, gdy poszedł do sklepu po kiełbasę bolońską i sos chrzanowy, spotkał Jodi Putterbaugh.

Wpatrywał się w nią ponad stertą dwunastopaków piwa Miller. Wiedział, że skądś ją zna, nie mógł jednak...

– Czy ja cię znam? – spytała Jodi.

Była ładna, w specyficzny sposób. Ubrana w dres.

– Nie jestem pewien. Nazywam się Milo Wood.

– O mój Boże, Milo! Milo, jestem Jodi Putterbaugh, z piątej klasy!

Czasami wspomnienia sprawiają, że robimy dziwne rzeczy, szczególnie jeśli jesteśmy dziwnymi ludźmi. Milo powiedział: „Cześć, Jodi”, przeszedł na drugą stronę piwnej piramidy, pochwycił dziewczynę za ramiona i złożył na jej ustach pocałunek. Nie był to przyjacielski pocałunek.

Oczywiście wciąż miał w głowie ten zmierzch sprzed lat, tamten pocałunek i świetliki.

Ho ho! – wołały z radością głosy w jego głowie.

– W porządku – powiedziała Jodi. Potem objęli się i stali tak przez jakiś czas przy piwie.

Gdzie się podziewała?

W Iowa. Potem spędziła kilka lat w szpitalu, miała halucynacje, w końcu przeszła operację mózgu. Była teraz głupsza: dostrzegaj to?

Jej rodzice?

Nie żyli.

– Cholera, Jodi, przykro mi.

Naprawdę było mu przykro. Wyłącznik się nie uruchomił.

– Dzięki – odparła Jodi. – Kiedy zaczniesz się nauka, będę kierowała szkolnym autobusem.

Spotkanie z Jodi Putterbaugh w sklepie, a potem rozmowa przy smażonym serze i coli w K's sprawiła, że Milo musiał poukładać sobie myśli. Potrzebował do tego ciszy i spokoju.

Nocą znów siedział między drzewami przy drodze. Myślał. Oddychał.

Czekał. Pociągnął za spust i – *trzask!* – pęknięta szyba pasażera w małym niebieskim mercury lynx. Kierowca zachował zimną krew, nie wpadł w poślizg, tylko przyspieszył.

Tym razem sprawa trafiła do gazet. Policjanci wspomnieli także o poprzednim strzale, do toyoty. Sprawcę nazwano „wiatrówkowym snajperem z drogi 41”.

Dlaczego musieli tu wsadzić słowo „wiatrówkowy”? Kojarzyło się z jakimś niegrzecznym dzieciakiem.

Poszedł kupić prawdziwy karabin i prawdziwe naboje. Wyrzucił jednak wszystkie przez okno samochodu. Wszystkie prócz jednego, który schował do kieszeni.

Jedli kolację w restauracji Brewery, z widokiem na rzekę Miami.

Kurczę, wyglądała naprawdę ładnie. Znacznie ładniej niż wtedy w sklepie. Do tej pory rozrosła się już w jego głowie, zrobił tam dla niej miejsce. Wyglądała tak pięknie, że miał przy niej kłopoty z oddychaniem. Była ubrana w niebieską sukienkę, a we włosach nosiła wpiętą olbrzymią chryzantemę. Kwiat wyglądał niemal jak druga głowa.

On specjalnie na tę okazję kupił krawat.

– Brakuje ci życia na farmie? – spytał, gdy jedli sałatkę.

Jodi skinęła głową.

– Tak – odparła. – Z wyjątkiem pracy. Brakuje mi zwierząt, ale trzeba naprawdę ciężko pracować, żeby wyżyć z rolnictwa. Myślisz, że jestem leniwa?

– Nie – zaprzeczył Milo. – Są przecież różne prace, które wymagają różnych rodzajów energii.

Spojrzała wtedy na niego w szczególnie miły sposób. Użył właściwych słów. Przez chwilę,

nabijając na widelec ostatni kawałek sałaty, czuł się jak piękna łódź sunąca po spokojnej wodzie. Ale zaraz się zdenerwował, bo wcześniej czy później musiał jej powiedzieć, gdzie pracuje.

Rozmawiali o studiach. Oboje odkładali na nie pieniądze.

– Może moglibyśmy chodzić razem na zajęcia w Edison – mówiła Jodi. – Na próbę. To zajęcia z poezji. Wiem, że pewnie nie masz specjalnej ochoty uczyć się o wierszach, ale to może być ciekawe, kiedy zastanowisz się, jak układamy słowa w codziennym życiu. W zeszłym tygodniu przygotowałam sobie listę zakupów. Napisałam... Chcesz wiedzieć, co napisałam?

– Tak.

– Czerwona sałata i sznurówki.

– I to jest jak wiersz? – spytał Milo.

– Nie. To po prostu dwie rzeczy, które nie mogłyby spotkać się gdzie indziej jak tylko na liście zakupów.

Milo wzruszył ramionami.

– Dlaczego właściwie nie mógłby to być wiersz? – spytał. – Tylko dlatego że powstał przypadkiem?

Jodi rozpromieniła się i pochyliła do przodu.

– Rozumiesz to – powiedziała, wyciągając rękę i dotykając jego przedramienia. – Przypuszczałam, że tak właśnie będzie.

– Pracuję w zakładach mięsnych Dinner Bell – powiedział.

Kelner przyniósł przystawki.

– Jezu, Milo.

– Muszę jakoś zarabiać na życie – mruknął. Czuł się dokładnie tak jak wtedy, gdy przyłapała go na rozgniataniu dżdżownic.

– Wiesz, co robią z prosiętami, których nie mogą przerobić na mięso? – spytała. – Czytałam o pewnej rzeźni w Pittsburghu. Podnoszą je za tylne nogi, biorą zamach i rozbijają im głowy o podłogę. Organizują nawet zawody. Wygrywa ten, kto uderzy tak, że mózg jego prosiaka rozbryzga się najdalej.

Na dzielącym ich stole paliła się jedna świeczka. Była za wysoka, więc kiedy patrzył na wprost, widział tylko płomień na środku czoła Jodi i wystającą z boku chryzantemę.

Niepokoił go ton jej głosu. Uruchomił się zły wyłącznik. Czyżby miała ochotę na jakieś krwawe historie?

– Kiedyś w Dinner Bell urządzili sobie inne zawody, z wołami opasowymi – zaczął opowiadać, pochylając się do przodu. – Zepsuł im się pistolet do ogłuszania, a w ciągu nocnej zmiany mieli oprawić dwieście zwierzaków. Zawieszali je więc na hakach, nie używając ogłuszacza, co oznaczało, że woły wisały głową w dół, żywe, przytomne i śmiertelnie przerażone. Sprawdzali wtedy, jak długo mogą oprawiać wołu, zanim ten zdechnie. Wygrywał oczywiście ten rzeźnik, któremu udało się zachować zwierzę jak najdłużej przy życiu. Jeden z wołów był już odarty ze skóry, wypatroszony i sparzony, ale kiedy dojechał na haku do faceta, który miał z niego wycinać steki, podniósł łeb i zamuczał mu prosto w twarz. Rozumiesz, to już nawet nie było zwierzę, tylko kawał mięcha, ale jeszcze miał siły, żeby muczeć. Ten rzeźnik odszedł wtedy z pracy.

Wyjrzał zza świecy, by zobaczyć, czy Jodi jest zszokowana. Siedziała z pochyloną głową, wpatrzona w swoje nogi.

Zły wyłącznik wrócił do neutralnej pozycji. Do głosu doszedł wreszcie rozsądek. Oj, stary...

– Posłuchaj – przemówił ponownie. – Tak naprawdę to nie były żadne zawody. Po prostu ubój

w rzeźni przypomina pracę na linii montażowej...

Jodi skrzywiła się odruchowo na dźwięk jego głosu. Zamknął się.

Zjedli kolację.

Milo zaczął układać w głowie listę.

Tematy, na które mogą porozmawiać: najbardziej szalona rzecz, jaką kiedykolwiek robiłeś. Strzelanie do samochodów na drodze.

Nie! – krzyknęły jego stare dusze. Milczał.

Widelce. Obraz na ścianie. Obraz, który mógł przedstawiać oko albo wodę ściekającą do odpływu. Trudno powiedzieć.

Milo pojechał do swojego drzewa przy drodze numer 41.

Dlaczego opowiedział Jodi tę okropną historię?

Ludzie ciągle sami sobie szkodzą – pomyślał. Na przykład dlaczego jedzie do tego samego drzewa, tego samego miejsca, z którego strzelał już do dwóch samochodów? Prawdopodobnie policja zaczęła obserwować tę okolicę. Gdyby wiatrówkowy snajper był sprytny, nie strzelałby więcej w tym miejscu.

Wrócił do samochodu.

Pojechał na obrzeża Troy, za stary kryty most i za drogę do farmy eksperymentalnej, aż znalazł wzgórze z widokiem na autostradę międzystanową I-75.

Zostawił samochód na zwirowym placu, jakieś półtora kilometra od autostrady. Niosąc oba karabiny – strzelbę i prawdziwą snajperkę – przeskoczył ogrodzenie z drutu kolczastego i usiadł pod drzewem, czterysta metrów dalej. Poza zasięgiem reflektorów samochodowych.

Od strony autostrady dobiegał jednostajny szum. Reflektory zbliżały się niczym okręty kosmiczne, zamieniały w pasma światła, a potem w czerwone światła tylne. Niełatwo będzie trafić w auto przejeżdżające z taką prędkością. Musi wziąć poprawkę o jakieś... sześć metrów? To zależy, czy użyje strzelby, czy prawdziwego karabinu.

Wybrał strzelbę, choć bez większego przekonania. Wiatrówkowy snajper, też coś. Pocisk karabinowy w kieszeni jakby chciał mu przypomnieć o swojej obecności, gniótł go w nogę, dziwnie gorący. Milo go zignorował i przymocował do strzelby lunetę. Spokojnie skalibrował broń, strzelając czterokrotnie do puszki po napoju leżącej w rowie.

Cierpliwości – wyszeptał do niego zły wyłącznik.

Był cierpliwy. Sam nie wiedział, jakiej formy doskonałości oczekuje. Czyż wszystkie reflektory nie wyglądały tak samo? Poza tym im dłużej tam siedział, tym większe było prawdopodobieństwo, że jakiś gliniarz zainteresuje się jego pikapem i zauważy uchwyt na karabin w tylnym oknie.

W końcu zdecydował się na ciężarówkę. Wielką cysternę Peterbilt, która zwróciła jego uwagę, bo przez dłuższy czas jechała z włączonym hamulcem silnikowym Jacobsa, wydającym charakterystyczny, terkotliwy odgłos.

Milo poczekał, aż ciężarówka pojawi się w lunecie. Przesunął lekko siatkę celowniczą. Nie mierzył w kierowcę. Poruszył ramionami i obrócił się nieco, by środek siatki wyprzedził samochód.

Zrobił wydech.

Opróżnił płuca z powietrza. Poziom tlenu w jego krwi wzrósł do maksimum, wyostrzając jednocześnie wzrok. Pociągnął za spust przed następnym oddechem, gdy jego ciało i umysł były

wyciszone i skupione.

Do jego uszu dotarł odgłos wystrzału, a potem odległy trzask śrutu uderzającego w szybę. W jego organizmie eksplodował potężny ładunek adrenaliny. Milo doświadczył przez moment Doskonałości, którą doceniła nawet jego stara dusza.

Potem rozległ się przeraźliwy pisk opon, gdy ciężarówka gwałtownie zahamowała, wpadła w poślizg i zatrzymała się na poboczu zaledwie sto – *nieprawdopodobne!* – metrów dalej. Powietrze wypełniło się smrodem palonej gumy. Samochody skręcały gwałtownie, by nie wpaść na ciężarówkę. Ktoś wcisnął klakson.

Milo zeszytywniał, niemal rzucił się do ucieczki. Wtedy uruchomił się zły wyłącznik.

Wypuścił powietrze z płuc. Siedział nieruchomo jak kamień.

Pojawił się kierowca, szedł szybko. Nie wyglądał jak typowy kierowca ciężarówki, był szczupły, ubrany w czyste dżinsy i koszulę.

Miał latarkę.

Snop światła przesunął się po rowie, a potem w górę zbocza, na prawo od Mila.

Milo starał się przemówić sobie samemu do rozsądku. Wydawało mu się, że jest widoczny jak ognisko w bezksiężycową noc, wiedział jednak, że to tylko bezrozumna panika. Wyobraził sobie, co widzi kierowca idący poboczem. Ułożył sobie w głowie listę tych rzeczy.

Kształty. Cienie. Jeden duży kamień i trochę śmieci.

Igła. Stóg siana.

Światło powędrowało w jego stronę. Milo zakrył dłonią lunetę, by nie odbiło się w soczewce.

Promień latarki przesunął się po nim i sięgnął dalej.

Okryty ciemnością Milo podniósł prawdziwy karabin do oka i wymierzył w kierowcę. Mężczyzna zawrócił i ruszył w stronę ciężarówki. Milo naprowadził środek siatki celowniczej na tył jego głowy. Przesuwał ją powoli wraz z przemieszczającym się kierowcą.

Wypuść powietrze – wyszeptał zły wyłącznik. Pociągnij za spust.

Nie zrobił tego. Ładunek adrenaliny w jego piersiach wypalił się i przygasł.

Kierowca wszedł do kabiny, ale nie odjechał. Milo domyślił się, że wzywa policję i że poczeka na jej przyjazd.

Wycofał się przez trawy, nie wstając z kucek. Potem ruszył wzdłuż ogrodzenia do swojego samochodu.

Przez suchą trawę. Ze schyloną głową pod gałęziami. Szybsze bicie serca. Stęknienie. Westchnienie. Uwaga na dołek.

Syreny. Kurwa! Gdyby mieli choć trochę rozumu, wysłaliby też kogoś na drogę do farmy eksperymentalnej. Niech to szlag. Nawet jeśli dotrze do swojego auta i wyjedzie na drogę, gliniarze mogą go zatrzymać.

Cholera. Zdjął z ramienia strzelbę i nie zwalniając kroku, wytarł ją rękawem. Kiedy uznał, że nie ma już na niej żadnych odcisków, rzucił ją między drzewa.

Przebiegł przez wysoką trawę przy drodze, aż zrównał się ze swoim pikapem. Trzydzieści sekund później był już w aucie, a karabin leżał na swoim miejscu. Milo uruchomił silnik, włączył radio i odjechał.

Bez przeszkód dotarł do Troy, opuszczając strefę zagrożenia. Choć niewiele brakowało, by wpadł w ręce policji, wciąż myślał głównie o tym, że niepotrzebnie opowiedział Jodi historię z rzeźni.

Daj temu trochę czasu – upominał samego siebie. Bądź cierpliwy, jak przy tym strzale. Przygotuj wszystko perfekcyjnie, a znów da ci szansę.

Radio. Reklama pralkosuszarki. Powolna piosenka. Szum.

Pewnego dnia, jakieś trzy tygodnie po rozpoczęciu roku szkolnego, Jodi zatrzymała szkolny autobus na podjeździe Kosmalów, przy Tick Ridge Road, by zabrać Rachel i Skye. Czekał tam na nią Milo Wood, w nowiutkiej czapce. Cincinnati Reds na głowie. Jego pikap stał nieco dalej, na poboczu.

– Milo! – zdumiała się Jodi, gdy wszedł na stopień autobusu.

– Cześć – odpowiedział, uśmiechając się ciepło. – Mogę usiąść z przodu?

Tydzień wcześniej przysłał jej kwiaty. Pięć żółtych róż i dwie czerwone. Skromny bukiet bez podtekstów.

Trzy dni temu przysłał list na eleganckim papierze. Pisał, że bardzo mu przykro i że ma dla niej niespodziankę.

W domu zbudował mały ołtarzyk dla Jodi. Gumowa świnka. Paragon ze sklepu spożywczego. Świeczka. Zdjęcie chryzantem. Zdjęcie szkolnego autobusu.

Teraz stał tutaj, jedną nogą w autobusie, jedną na zewnątrz.

Wszyscy pasażerowie – małe dzieci i dwoje nastolatków – siedzieli w bezruchu i obserwowali rozwój sytuacji.

– Nie powinnam nikogo podwozić – powiedziała cicho Jodi. – No wiesz, dorosłych przyjaciół czy kim tam właściwie jesteś.

– Nie powinnaś to nie to samo, co nie wolno ci.

Milo chciał wejść wyżej, by zająć miejsce w środku, ale Jodi sięgnęła do dźwigni i zaczęła powoli zamykać drzwi.

– Możesz pojechać za mną do garażu – zaproponowała. – A teraz wysiądź. Narobisz mi kłopotów.

W porządku. Wysiadł. Drzwi zamknęły mu się przed nosem.

Jechał za autobusem do czternastu kolejnych domów i trzech szkół. Dzieciaki zbierały się na tylnych siedzeniach i gapiły na niego przez szybę. Jeden z nich zrobił głupią minę. Milo odpowiedział tym samym. Dzieciaki parsknęły śmiechem. Widział, jak się odwracają i mówią o wszystkim Jodi.

Dzieciaki – pomyślał. Czysta radość.

– Rzuciłem pracę w rzeźni – powiedział Jodi, kiedy już zostawiła autobus w garażu.

– Przecież musisz jakoś zarabiać na życie. To twoje słowa.

– Dam sobie radę. Znam kogoś z Chem-Gro. Może mnie tam przyjmą.

Milo mówił o firmie z Troy, która małymi kuleczkami rozsiewanymi na trawnikach niszczyła szkodniki i chwasty. Gdyby dostał tam pracę, nosiłby zielony kombinezon ze swoim nazwiskiem, pchał przed sobą rozrzutnik przypominający kosiarkę do trawy i oczyszczał nim ogrody klientów. Nie zarabiałby tyle, co w Dinner Bell, ale przecież nie to było najważniejsze.

– Dinner Bell jest jak *Teksańska masakra piłą mechaniczną* – stwierdziła Jodi. – Wszystko, tylko nie to.

I pocałowała go w policzek.

Z jakiegoś niezrozumiałego powodu obudziło to do życia zły wyłącznik. W przestrzeni własnego umysłu Milo uśmiechnął się dziko, odsłaniając zęby, wziął szeroki zamach i pozbył się wyłącznika.

Właśnie, że to zdobędę – pomyślał. Zdobędę tę jedną dobrą rzecz. A potem następną. I jeszcze jedną.

Jego stare dusze zsikały się duchowo ze zdumienia.

Oddał jej pocałunek.

Róże. List. Szkolny autobus.

– O czym myślisz? – spytała Jodi.

– Układam w głowie wiersze – odparł.

Powiedziała, że nie pójdzie z nim do łóżka, jeśli nie zamieszkają razem.

– Więc wprowadź się do mnie. – Wzruszył ramionami. – Twoje mieszkanie jest takie samo jak moje. Jaka to różnica?

Zmrużyła lekko oczy.

– To bardzo romantyczne – powiedziała z przekąsem.

– Praktyczne – odparł, potem się jednak odwrócił, pochwycił ją, pocałował i wziął za rękę. Odrzuciła jego dłoń i objęła go ramieniem. Trzymając się w ten sposób, wyszli razem z K's.

– Dzieciaki pytają, kiedy znów będziesz jechał za autobusem.

– Myślałem, że możesz mieć przez to kłopoty.

– I miałam. Ktoś zadzwonił do szkoły. Dobrze, że nie zapisał numerów.

Czasami myślał, że praca nauczyciela może być niezłą zabawą. Gdyby zatrudnił się w college'u, naprawdę wszystko mogłoby się zdarzyć.

Wprowadziła się jeszcze tego samego wieczora.

Stała jak wryta, zobaczywszy ołtarzyk na swą cześć. Milo nic nie tłumaczył. Stał tylko, wystraszony, i wyłamywał sobie palce.

Nie skomentowała tego w żaden sposób, wносиła jedynie dalej swoje rzeczy. Gdy wszystkie znalazły się w mieszkaniu i gdy wyczyściła łazienkę, zaciągnęła go do sypialni i powiedziała:

– Możesz zdjąć ubranie.

Zauważył, że położyła coś obok ołtarzyka dla Jodi: prosty ołtarzyk dla Mila: jego imię na kartce i świecę.

Jasna skóra. Lampa. Pomięte prześcieradło. Wiatr. Otwarte okno.

I tu lista się skończyła. Wiersz się urwał, jeśli to był wiersz. Zostali tylko on i ona, spleceni w jedno, złączeni doskonałym oddechem.

Potem leżała na nim i głaskała go po piersi.

– Kocham cię – powiedziała. – Wiesz o tym, prawda?

– Wiem – odparł. On też ją kochał. A przynajmniej chciał. Czy to nie to samo?

Odpowiedział więc:

– Ja też cię kocham.

Zły wyłącznik zawył przeraźliwie, jakby oblano go kwasem.

To było leniwe popołudnie i leniwy wieczór. Rozpakowali i poukładali część rzeczy. Kłócili się żartobliwie o to, czyjej sofie będą używać, jego czy jej (jej), czyj telewizor oglądać (jej), na czyich jeść talerzach (jej). Trzy razy przerywali, by się kochać.

Zły wyłącznik przycichł nieco i zmienił taktykę na subtelniejszą.

Co ty robisz? – szeptał. To może być dobre albo złe. Musisz mieć coś jasnego, ludzkiego i normalnego, tak? Inaczej te piękne rzeczy, które robiłeś, mogą wyjść na jaw.

Po drugim razie już się nie ubierali. Nadzy siedzieli na podłodze i układali płyty. Jodi miała na ramieniu tatuaż z delfinem.

– Widziałeś mojego delfina? – spytała, pochylając się nisko do przodu, niemal dotykając jego kolan.

– Ładny – orzekł. Tatuaż był niebieski.

– Podoba mi się twoja opaska – powiedziała Jodi.

Przedramię Milo oplatał napis „Jodi”.

– To nie jest prawdziwy tatuaż – wyjaśnił. – Napisałem to markerem.

– Brawo.

– Powinniśmy oboje zrobić sobie prawdziwe. Prawdziwe tatuaże ze swoimi imionami.

Pokręciła głową.

– Co? – spytał. Nie była zachwycona tym pomysłem. Myślał, że jej się spodoba. Dlaczego było inaczej?

– Nie traktuj tego zbyt poważnie – powiedziała w końcu.

Tak – zgodził się z nią tysiąc jego głosów. Nie traktuj.

Miały rację. Milo skinął głową i odwrócił wzrok. Potem przyciągnął ją bliżej i siedział w milczeniu, wodząc palcem po tatuażu z delfinem.

W porządku – pomyślał. Wydech. Spokojnie. Wszystko będzie dobrze, jeśli zachowasz spokój i dasz temu szansę.

Kiedy zasnęła, wybrał się na przejażdżkę.

Zaparkował pikapa z dala od drogi i wyszedł na skarpe, z której rozciągał się widok na Tick Ridge. Część autobusowej trasy Jodi.

Jeśli miał znów strzelać, to potrzebował całkiem nowego miejsca. Na pewno obserwowali teraz okolice I-75.

Księżyc w pełni.

Wdech... wyciszenie...

Bum! Huk wystrzału z prawdziwego karabinu, szarpnięcie prawdziwej broni.

Trzask! Dźwięk rozbijanej szyby prawdziwego samochodu.

Pisk opon. Reflektory omiatające ciemność. Samochód ześlizgnął się bokiem do rowu po drugiej stronie drogi.

Brzuch i pierś Mila wypełniły się ciepłem. Czuł mrowienie w kroczu.

Czy on...?

Czekał.

Cichy głos radia.

Jakiś zgrzyt.

Drzwi po stronie kierowcy powoli się otworzyły, z auta wysiadła kobieta. Przeszła na środek drogi i przystanęła tam, pochylając głowę. Jedną rękę opierała na biodrze, drugą pocierała kark.

W porządku.

To dobrze, prawda? Nie była ranna. Tak?

Stare głosy i zły wyłącznik zwarły się w uścisku i zmagaly ze sobą.

Po powrocie do domu przeżył chwilę kompletnego zaskoczenia, widząc Jodi siedzącą na *jej* sofie, w *jego* salonie, okrytą *jego* kocem i oglądającą *jej* telewizję.

Kiedy ludzie zaczynają nagle mieszkać razem, ich umysły potrzebują trochę czasu, by do tego

przywyknąć.

– Gdzie byłeś? – spytała.

Pochylił się i pocałował ją.

– Kiedy nie mogę spać, jeżdżę po mieście – odparł.

– Uważaj na siebie – ostrzegła go. – Wiesz, że jakieś debilne dzieciaki strzelają do ludzi z wiatrówek.

Dwa dni później zaczął pracę w Chem-Gro.

Nie przechodził nawet żadnego szkolenia.

– Używasz tego tak samo jak kosiarki – powiedział mu brygadzista. – Kiedy skończysz, wbij w ziemię trzy albo cztery chorągiewki.

Mężczyzna wręczył mu wiązkę metalowych prętów z małymi, żółtymi chorągiewkami, które miały ostrzegać ludzi, że trawnik został właśnie posypany środkiem chemicznym i że przez kilka dni lepiej trzymać się od niego z dala.

– Gotowy? – spytał brygadzista.

– Jak najbardziej – odparł Milo. Wsiadł do ciężarówki Chem-Gro, która śmierdziała jak trucizna. Zapach chemikaliów palił go lekko w nozdrza. Czuł, że od samego prowadzenia tej ciężarówki może nabawić się raka.

Ale był to zapach stałej pracy. Zapach prawdziwego życia i kogoś, kto czekał na niego w domu. Kogoś, z kim lubił być. To był zapach miłości.

Obsypał trzy trawniki, a potem zatrzymał się przy budce telefonicznej.

Jodi odebrała telefon.

– Cześć, skarbie – powiedziała. – Co robisz?

– Pracuję na raka.

– Co?

– Nieważne. Przepraszam. Zjemy razem lunch?

– Może.

– Pizza Hut.

– Zdrowy wybór. Dobrze. Teraz?

– Poczekam na ciebie. Zajmę stolik. To tylko dwa kilometry stąd.

Jodi cmoknęła na pożegnanie i odłożyła słuchawkę.

Cztery minuty później Milo zginął w drodze do Pizzy Hut.

Jechał Main Street, rozmyślając o tym, że Velma ze *Scooby Doo* jest seksowniejsza niż Daphne, choć bez wątplenia twórcy kreskówki chcieli, by było odwrotnie. Jego umysł zaczął właśnie analizować tę kwestię, gdy wydarzyło się to, co się wydarzyło.

Szybko i paskudnie.

Na Main Street za Milem pojawił się chevrolet camaro. Jego kierowca uznał, że ciężarówka Chem-Gro jedzie zbyt wolno, i z piskiem opon zaczął ją wyprzedzać (dupek).

Przy stacji benzynowej Sunoco camaro wyleciał nad tory kolejowe.

Z naprzeciwka jechał właśnie autobus z dziećmi z kościoła baptystycznego w Columbus. Aby uniknąć zderzenia z chevroletem, autobus skręcił gwałtownie na pas ciężarówki Chem-Gro, która właśnie przejeżdżała przez tory. Milo miał jakąś jedną dziesiątą sekundy, by oderwać się od rozmyślań o Velmie i zdecydować: uderzyć w autobus czy też wjechać do rowu.

Szybko szybko szybko: Milo szarpnął za kierownicę i wpakował ciężarówkę do rowu. Wypadł

przez drzwiczki po stronie kierowcy, kiedy te się otworzyły. Potem drzwi zamknęły się z powrotem pod ciężarem auta i przecięły go na pół. Obie połówki znalazły się pod ciężarówką, przysypane stertą chemikaliów. Zły wyłącznik nie zdążył się uruchomić.

Umarł po trzech sekundach, ale były to długie, straszliwe i niezwykle bolesne trzy sekundy.

Jodi mijiała miejsce wypadku w drodze do Pizzy Hut. W tym czasie oprócz autobusu i camaro stało tam pięć policyjnych radiowozów z migającymi światłami, karetka i dwa wozy strażackie.

Zatrzymała się. Wiedziała. Zaczęła drżeć.

W tym samym momencie owiał ją zapach chemikaliów.

– To może być mój chłopak – powiedziała do jednego z policjantów, wymiotując i jednocześnie zakrywając twarz dłońmi.

Gliniarz pokiwał głową. Spojrzał na nią ze współczuciem, ale potem podniósł rękę, mówiąc:

– Musi się pani cofnąć. Proszę. Rozsypało się tu jakieś paskudztwo.

Jodi posłusznie się cofnęła.

Wbiła wzrok w rów.

Ciężarówka. Chemikalia. Część Mila. Czerwone światła, niebieskie światła.

Pomyślała o wszystkich tych rzeczach, jakie mogły się wydarzyć lub nie wydarzyć, i o tym, jak odmienny będzie jej świat od tego, który mogłby być.

Spuściła wzrok i zobaczyła, że nie ma butów.

Bose stopy. Asfalt. Wyblakła puszka po pepsi. I tak nie wpuściliby mnie do Pizzy Hut – pomyślała.

Rozdział 19

Najbardziej niezwykła dziewczyna, jaką znałeś w szkole średniej

Milo obudził się zanurzony do połowy w wodzie. Jak trup wyrzucony na brzeg.

Przez moment było bardzo miło. Zapach ziemi, trawy i kwiatów polnych, dotyk chłodnej wody. Potem jak zawsze wróciły wspomnienia. Najpierw szept, później ryk, który przyprawił go o wymioty. Wywrócona ciężarówka, drzwi przecinające go na pół, chemikalia zasypujące jego ciało – wszystkie te odczucia były jeszcze bardzo żywe, namacalne.

Potem wspomnienie wyblakło, a pojawiły się inne, które wprawiły go w osłupienie. To, co robił w minionym życiu, na przykład że strzelał do pojazdów. To, co prawdopodobnie by zrobił, gdyby nie wypadek.

Przewrócił się na bok, wstrząsany konwulsjami, i wymiotował ponownie.

Drżał na całym ciele.

Nie był zaskoczony tą reakcją. Miał już za sobą sporo nieudanych żywotów i wiedział, że złe rzeczy wnikają w duszę. Jeśli dopuszczasz się jakichś nikczemności, po powrocie w Zaświaty masz paskudnego kaca.

Usłyszał kroki. Ktoś szedł w jego stronę po trawie.

Nie podniósł wzroku. Skrzywił się, odchrząknął, splunął i powiedział:

– Hej.

– W rzeczy samej – odpowiedział ktoś. – Hej.

Z pewnością nie była to Suzie.

Podbiegł do niego kot, dotknął nosem jego nosa i się oddalił.

Nad Milem stała Nan ubrana w coś, co przypominało wymiętą suknię pogrzebową.

– No i co myślisz, jak ci poszło? – spytała, krzyżując ręce na piersiach.

Milo potrzebował kilku sekund, by zebrać myśli.

– Niewiele brakowało, a zacząłbym zabijać ludzi – powiedział, wzdrygając się. – Chybabym to zrobił.

Nan wydeła usta. Kiedy przemówiła, Milo był zaskoczony jej łagodnym tonem.

– Robiłeś postępy – powiedziała. – Trzeba to przyznać. Chodźmy do twojego domu.

Sięgnęła w dół, z zaskakującą siłą złapała go za rękę i pomogła mu się podnieść. Zachwiał się, a gdy odzyskał równowagę, ruszyli brzegiem rzeki.

– Nie uszło mojej uwadze – mówił Milo, przystając i wymiotując ponownie – że nie zostałem częścią Metaduszy.

– Zauważyłeś to, powiadasz?

Przeszli po moście i znaleźli się w mieście. Minęli bogatą dzielnicę. Przedmieścia.

– Pewnie muszę teraz wrócić jako tasiemiec – powiedział Milo.

– Przestań jęczeć.

– Cóż, niczego nie osiągnąłem.

Nan przystanęła. Szarpnęła go za łokieć i obróciła do siebie.

– Czasami – zaczęła – wartość życia kryje się w tym, czego *nie* zrobiłeś. Wyobraź sobie, że Hitler nie uległ swojemu wewnętrznemu głosowi i zajął się pszczelarstwem. Co za wspaniałe życie.

Milo zastanowił się nad tym.

– Dzięki temu, że wjechałeś do rowu, a nie uderzyłeś w autobus, nie musisz wracać jako tasiemiec. Ciesz się tym. Nie osiągnąłeś Doskonałości i nie zdobyłeś żadnych nagród. Jesteśmy na miejscu.

Doszli do osiedla przyczep kempingowych i zatrzymali się przed starym modelem Airstream z wybitymi oknami. Z boku piętrzyła się ogromna, chyba ze trzydziestoletnia sterta puszek po piwie.

– Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej – powiedziała Nan.

– Mmm... – odparł Milo, zafascynowanym widokiem puszek.

Na razie nie miał siły, żeby myśleć o czymkolwiek innym.

Wewnątrz przyczepa była równie obskurna jak na zewnątrz. Poplamione krzesło, łuszcząca się farba na ścianach, dziwny zapach, połączenie spoconych stóp i skórek po bananach.

Milo nie przejmował się tym ani trochę. Poszedł prosto do sypialni, padł na wilgotny materac i natychmiast zasnął.

Mijał czas.

Nie spał dobrze. Budziły go nawet najdelikatniejsze dźwięki, przelatujący w pobliżu ptak albo liść, który wylądował na stercie puszek.

Schowwał głowę pod zapleśniałą poduszką, ale to niczego nie zmieniło.

Nie zmieniło, bo tak naprawdę nie budziły go ani dźwięki, ani światło, lecz Suzie.

Nie myśl o tym! – ostrzegła część jego umysłu.

Ostatnim razem, na pustyni, słuchał tej części siebie. Teraz gwałtownie ją odepchnął.

Przez osiem tysięcy lat budził się nad rzeką, gdzie czekała na niego Suzie, i wszystko było dobrze. Teraz wszystko było do niczego.

Wyczuwał jej kształt w miejscu, gdzie leżałaby obok niego. Kupiłby wtedy świeżą pościel i spryskałby ją jakimś zaświetowym środkiem dezynfekującym. Kochaliby się i rozmawiali.

Milo krzyknął w poduszkę, połykając przy tym garść pleśni.

Zakochali się w sobie w podobnych okolicznościach. Dzień po tym, jak umarł po raz sto pierwszy.

Przez sto pierwszych żywotów byli przyjaciółmi. Prowadzili długie rozmowy, oglądali razem telewizję. Wymieniali się książkami i kłócili o desery.

– Zjem trochę twojego – mówiła Suzie, bo nie zamawiała porcji dla siebie.

– Nie, nie zjesz – odpowiadał Milo całkiem poważnie. Traktował jedzenie w sposób zaborczy. Uwielbiał jeść i nie chciał oddawać niczego, co leżało na jego talerzu. I kazał jej zamawiać oddzielnie. Przyjaciele robią sobie takie rzeczy.

Potem wszystko się zmieniło.

Pewnego razu prowadził na Ziemi jeden ze swych mniej chwalebnych żywotów. Był Szkotem,

nazywał się Andrew Milo McCleod i trudnił się kradzieżą owiec. W końcu szeryf go złapał, związał mu ręce za plecami i szykował się do obcięcia mu głowy.

Milo patrzył na zasnutą mgłą wzgórze i myślał o różnych rzeczach. O tym, że może uda mu się uwolnić ręce i uciec. Zastanawiał się, czy ma jakieś szanse, by trafić do nieba, i żałował, że nie zaciągnął do łóżka więcej kobiet. Myślał o lordzie Donnelu, właścicielu tych wzgórz i owiec, które kradł, życzył mu kiły, która zamieniłaby jego genitalia w szwajcarski ser. Wtedy właśnie pojawiła się przed nim blada kobieta w czarnej sukni.

– Uważaj na swoje życzenia, Milo – powiedziała.

Podniósł głowę, puścił do niej oko i odparł:

– Lepiej dałabyś mi buziaka, dziewczyno.

Wydawało się, że ją rozbawił. I rzeczywiście go pocałowała. Pocałowała tak mocno, że aż zakręciło mu się w głowie i zapragnął nagle jeszcze trochę pożyć. Miał zaproponować, by pomogła mu się podnieść na równe nogi i uciec do lasu. Kiedy już się tam znajdzie...

Lecz kobieta odsunęła się na bok, robiąc miejsce szeryfowi, który naostrzył już swój miecz. Przy pasie nosił nawleczone na sznurek pary ludzkich uszu: to był naprawdę paskudny szeryf.

– Kocham cię – powiedziała kobieta.

Andy Milo McCleod też ją kochał. Bardzo! Tak jak kochał rześkie, poranne powietrze, niskie chmury i słońce, które się za nimi kryło. Owce rozsiane na odległych wzgórzach, morze i skały, o które rozbijały się fale. Pocałunek, który przed chwilą otrzymał i który bardzo chciałby powtórzyć...

Ostrze opadło ze świstem.

Ostre, elektryczne szarpnięcie.

Świat zawirował. Milo leżał twarzą na trawie i mrugał gwałtownie, próbując pozbyć się z oka listka koniczyny. Potem na moment ogarnęła go ciemność.

Stał obok bladej dziewczyny i patrzył na swoją odciętą głowę.

– Bardzo, ale to naprawdę bardzo, bardzo mi przykro – powiedziała.

– To był dobry pocałunek – odrzekł. Chciał znów ją pocałować. Tylko to go teraz obchodziło.

– Bolało? – spytała. – Na to wyglądało.

– Bolało bardziej, niż można by przypuszczać – przyznał, masując kark. – Chyba dlatego, że przecina się rdzeń kręgowy. Trudno to opisać.

Podniosła ręce, objęła go za szyję i przyłgnęła do niego całym ciałem.

Czy powiedziała „Kocham cię”, zanim obcięli mu głowę?

– Tak – potwierdziła. – Och, pieprzyć to. Od dawna chciałam ci powiedzieć. W Zaświatach musimy być bardzo ostrożni, a chciałam, żeby wszystko było w porządku.

Milo spojrzał na głowę, na krew i na szeryfa, który właśnie sikał pod drzewem.

– Jest idealnie – oświadczył i również ją objął.

Powtórzyli pocałunek. Oboje wiedzieli, że na tym nie poprzestaną.

– Wiem, jak to opisać – powiedział – kiedy odcinają ci głowę. To tak, jakby ktoś bardzo mocno uderzył w czułe miejsce na łokciu, tyle że ten ból obejmuje przez sekundę całe ciało. A szczególnie szyję.

– Dziękuję, kochanie.

Całowali się czule, podczas gdy szeryf podszedł do uciętej głowy, podniósł ją za długie rude włosy i wrzucił do starego worka.

Po tym poranku w Highlands sporo się zmieniło.

Zacząli spotykać się po kryjomu. Nie wiedzieli, czy to konieczne, ale nie chcieli, by ich rozdzielono, woleli więc dmuchać na zimne.

Tamtego wieczora w Zaświatach Nan, Mama i Suzie zaprowadziły go do domu (starej rudery przy oczyszczalni ścieków), a potem sobie poszły. Wtedy Suzie dała początek długiej tradycji, wracając doń kuchennym oknem, w otoczeniu suchych liści i wiatru. Wzięli się za ręce, przeszli do jego starego, rozchwierutanego łóżka i przez długi czas siedzieli w milczeniu.

Było tak, jak się spodziewał, ale też inaczej.

Było ciepło i cudownie. Zawsze czuli się ze sobą jak w domu. Teraz odczuwali to jeszcze intensywniej. Jakby kochali się od wieków.

Nie było w tym nic szaleńczo nadnaturalnego. Milo zakładał, że seks ze Śmiercią oznacza dziwne doznania, ogień, cienie i szepty w ciemnościach – może nawet ból – lecz tego było naprawdę niewiele. Tylko delikatny czerwony blask w jej oczach. Czasem odrobina krwi. Nagły trzepot i dotyk jej skrzydeł, raz czy dwa. Raz tylko jej oczy otworzyły się szeroko, aż wydawało się, że go chłoną, a on czuł się tak, jakby leciał w przepaść, a całą jego jaźń wciągało coś większego, jakby został pojedynczą nutą w symfonii, krzyczał i krzyczał...

Poza tym wszystko wyglądało zaskakująco normalnie.

Później poszli razem na kolację, a on pozwolił jej zjeść część jego deseru. Wielki kawał placka z masłem orzechowym. Nie dlatego, że chciał. Po prostu wiedział, że inaczej wyglądają relacje między przyjaciółmi, a inaczej między kochankami.

Dlatego właśnie wiele wieków później Milo wstał z zapleśniałego łóżka, opuścił swoją wilgotną, brudną przyczepę i poszedł jej szukać, nie zastanawiając się wcale, co może o tym sądzić Bóg-dusza.

A jeśli została wessana przez kosmiczne ying-yang? – pytała jakaś część jego umysłu. Jeśli już nie istnieje?

Powiedział tej części swojego umysłu, żeby się przymknęła, i szedł dalej.

Zatrzymał się w sklepie, by kupić trochę konserw, otwieracz do puszek i wodę w butelkach. Zrobił sobie z poszewki na poduszkę plecak, przerzucił go przez ramię i ruszył... dokąd?

Między drzewami prześwitywał czerwony księżyc.

Milo szedł, aż dotarł do przejazdu kolejowego. Tu położył plecak na ziemi i czekał.

Na znaku przed przejazdem przysiadła wrona, potem poleciała dalej.

Z daleka dobiegł gwizd lokomotywy. Po chwili nadjechał pociąg przy akompaniamencie dudnienia, zgrzytów i pojękiwań. Znów wydał z siebie ogłuszający gwizd, a Milo musiał przytrzymać czapkę, by nagły podmuch nie zerwał mu jej z głowy.

Wrzucił plecak do otwartego krytego wagonu i sam do niego wskoczył. Przetoczył się przez warstwę zakurzonej słomy i zatrzymał w ciemnościach.

Potem przesunął się z powrotem do drzwi i siedział tam, smagany wiatrem i wpatrzony w niebo, aż zasnął.

Obudził się, bo z zaciemnionej części wagonu dobiegł go jakiś odgłos.

Zwierzę?

– Jest tam kto?! – zawołał.

– Jest, jak jasna cholera – odpowiedział mu głos z ciemności. – Nawet kilku ktosiów.

– Cóż, więc chyba... cześć.

– Ano cześć.

Milo wbił wzrok w ciemność i po chwili dojrzał trzy postacie siedzące przed tylną ścianą wagonu.

Podczas swych ziemskich żywotów wiele razy jeździł w ten sposób pociągami. Gdyby to była Ziemia, wyciągnąłby teraz nóż i ostrugał kawałek drewna. Żeby wyglądać na pewnego siebie luzaka i by pokazać, że ma nóż. Ale nie miał noża, a to nie była Ziemia.

– Szukam kogoś – powiedział w końcu.

– No więc kogoś znalazłeś.

– Kogoś konkretnego – odrzekł Milo. – Śmierci. To moja dziewczyna – dodał.

Stukot kół.

– Mówisz o Suzie – odezwał się jeden z cieni. – A ty jesteś Milo. Słyszałem o tobie.

– Dziesięć tysięcy żywotów – dodał inny głos. – Jesteś jak Superman.

– Prawdę mówiąc, nic o tym nie wiem – odpowiedział Milo.

– Słyszałem od pewnego kolesia, który słyszał od innego kolesia, który słyszał od jeszcze innego kolesia, że kiedyś podrzuciłeś słonia tak wysoko, że nigdy nie spadł.

Milo uniósł tylko lekko brwi.

– Superman czy nie – odezwał się ponownie pierwszy – nie powinieneś się z nimi spotykać, bo skończysz jak ten facet, który ożenił się z oceanem. Słyszałeś o tym?

– Ostrzegano mnie.

Stukot kół.

– Jak to jest? – spytał jeden z trzech.

Milo zastanowił się nad tym i uznał, że mają prawo o to pytać.

– Pomyślcie o najbardziej wyjątkowej, najwspanialszej dziewczynie, którą znaliście w średniej szkole – mówił. – Nie o swojej dziewczynie ani o jakichś innych dziewczynach, z którymi chodziliście. Mam na myśli tę, której nigdy nawet nie podrywaliście. O której ciągle myśleliście i nadal myślicie. Wiecie, o czym mówię?

Wiedzieli. Każdy facet wie.

– Marsha Funderburg – powiedział jeden cicho.

– Wu Ping – odezwał się drugi.

– Vici Tuscedero – dorzucił trzeci.

– No więc to jest właśnie tak – zakończył Milo.

Za otwartymi drzwiami wagonu przesuwały się jakieś światła. Pewnie czyjeś gospodarstwo.

– Cóż... – westchnął po chwili jeden z cieni. – Ja jej nie widziałem. Przykro mi.

Pociąg zwolnił. Milo podniósł plecak i stanął przy drzwiach. Pomyślał, że jeśli zwolni jeszcze trochę, wyskoczy.

– Czy to prawda – odezwał się ponownie jeden z cieni – że jest takie miejsce, gdzie schodzisz z chodnika i zamieniasz się w nicłość?

– To prawda – potwierdził Milo.

Stuk. Stuk. Coraz wolniej.

Światła z przodu. Miasto.

Skoczył.

Wszedł do miasta i odszukał komisariat policji.

Nie taki komisariat jak na Ziemi. W większości miast i miasteczek było miejsce, gdzie mógł się udać każdy, kto potrzebował pomocy. W tej miejscowości też było. Ładny ceglany budynek

w samym centrum, z betonowym orłem nad wejściem.

Milo wszedł do środka i zobaczył zmęczonego sierżanta siedzącego za biurkiem.

– Cześć – przywitał go sierżant tonem dość przyjaznym jak na taką późną porę.

– Cześć – odpowiedział Milo. – Szukam kogoś.

– Ten ktoś ma imię?

Milo podał mu imię.

Sierżant znieruchomiał na sekundę. Potem pochylił się do przodu i spojrzał na Mila jak dyrektor szkoły na ucznia.

– Więc ty pewnie jesteś Milo?

Cholera.

– Tak.

– Cóż, nie powinno cię chyba dziwić, że przykazano mi, by nic ci nie mówić. Co więcej, zgodnie z moimi instrukcjami powinienem ci zalecić, byś wykorzystał swój czas i energię w jakiś inny sposób, a nie szukał Suzie. Te instrukcje są dość jednoznaczne, jeśli mnie rozumiesz.

– Na pewno.

– Mam cię też poprosić, żebyś tutaj zaczekał – kontynuował sierżant – jeśli to nie kłopot, aż...

Milo zniknął.

Nie poszedł daleko. Za ledwie kilka przecznic dalej, w okolice torów, gdzie ułożył się na parkowej ławce i próbował zasnąć.

Obudził się nagle z dziwnym wrażeniem, jakiego czasem doznajemy, że ktoś właśnie wołał go po imieniu, a on to przegapił. Usiadł prosto i nasłuchiwał.

Wiatr krążył wokół jego ławki. Cienie droczyły się z jego wzrokiem.

Nic. W kręgu światła rzucanego przez latarnię wychylił się na moment kot albo opos.

Nie był już w stanie ponownie zasnąć, więc zarzucił plecak na ramię i przeszedł z powrotem do torów kolejowych.

– Straszy? Jak to „straszy”?

Milo siedział w zatłoczonym wagonie towarowym w pociągu pośpiesznym. Czasami, kiedy w pociągu zebrali się dużo ludzi, takie spotkanie zamieniało się w prawdziwą imprezę. Tu wszystkich łączyła głośna dyskusja, której towarzyszyło światło latarek i starych lampek, a podsycala whisky w dzbanie krążącym wśród zebranych oraz wielki plecak pełen ostrych frytek cajun.

Starszy mężczyzna w gumowcach powiedział właśnie, że na niektórych odcinkach drogi straszy.

– Jak tu może coś straszyć? – dziwiła się kobieta z tatuażem z henny na czole. – Przecież to Zaświaty.

– W Zaświatach można umrzeć – odparł starzec, który sam w sobie stanowił ciekawostkę właśnie ze względu na swój wiek. Wszyscy byli tu raczej młodzi. Prawda?

Tak, jasne. Tak jak wszyscy byli szczęśliwi, wszyscy marzyli o ponownych narodzinach i nie mogli się doczekać, aż dołączą do Metaduszy.

– Jeśli umrzesz w Zaświatach, to dokąd się przenosisz? – spytało kilka osób.

Starzec wyjaśnił, że wtedy dusze trafiają do Nigdzie.

– Ale taka podróż może sporo potrwać – dodał.

Milo zadrżał.

Wyskoczył z pociągu, gdy na niebie pojawił się księżyc. Zabrał ze sobą dzbanek whisky i popijał z niego, idąc drogą. Jakąś nieznaną drogą na kompletnym odludziu. Przez pewien czas towarzyszył mu bezdomny pies.

Dni i noce zamieniały się w rozmazany ciąg miejscowości i rozmów.

– Śmierć? Ta Śmierć? Wiem tylko tyle, że przyszła po mnie.

– Nie mogę ci nic powiedzieć, przyjacielu. Dostałem instrukcję...

Od czasu do czasu stawał przy drodze i wyciągał rękę z podniesionym kciukiem. Od czasu do czasu ktoś się zatrzymywał i zabierał go.

Co jakiś czas musiał słuchać kazania lub opowieści z morałem.

O facecie, który próbował umówić się z Zorzą Polarną. O dziewczynie, która kochała Prąd Rzeki.

Wciąż miał nadzieję, że za którymś razem wejdzie na dworzec autobusowy i znajdzie Suzie w kiosku z gazetami. A może znajdzie ją w autobusie, co jakiś czas jeździł więc autobusami i przyglądał się pasażerom.

Czasami go rozpoznawano. Wszyscy wiedzieli przecież, że jest stary i mądry, wiedzieli też, że siedzi po uszy w gównie.

– Czy to prawda, że istnieje miejsce prowadzące do Nigdzie? – pytali. – Czy ono wygląda jak tunel? A może szaleją tam burze? Albo sięga po ciebie jakaś wielka ręka?

– To zwykły chodnik – odpowiadał.

Wędrował przez kolejne dni i noce, kolejne tygodnie, aż minął prawie rok.

Wychudł, wyglądał jak wieszak na ubrania. Nauczył się odczuwać głód tylko wtedy, kiedy to naprawdę było konieczne.

Zaczął roztaczać wokół siebie zapach piżma jak zwierzę.

Porzucił życie „tam, na górze”, jak określiliby to niektórzy, i nauczył się żyć „tu, na dole”.

Przez jakiś czas pracował w elewatorze zbożowym, zarabiając w ten sposób na jedzenie i dach nad głową. Potem zrobiło się chłodniej, powietrze pachniało tak, jakby za tydzień lub dwa miał spaść śnieg. Może powinien ruszyć na południe.

Szedł na południe, aż poczuł sól i morskie wyspy, ale nadal było mu zimno. Czuł się dziwnie słaby i przyszło mu do głowy, że nie jest to może kwestia pogody ani pory roku.

Gdy tknęła go ta myśl, jechał na dachu długiego, zardzewiałego pociągu w księżycową noc. Rozpalił wcześniej ognisko – małe, złożone z kilku patyków – i chciał ogrzać ręce, gdy zobaczył coś, co nim wstrząsnęło.

Widział ogień przez swoją dłoń.

– Kurwa! – krzyknął, zrywając się na równe nogi, i schował rękę do kieszeni.

Później, gdy zebrał się na odwagę, podniósł rękę do księżycy.

– Ja pierdole... – wyszeptał.

Tak, na tej drodze rzeczywiście straszycie. Straszycie on.

Nagle jakby za dotknięciem różdżki zobaczył ich wszystkich. Jechali na pociągu jak na mitycznym wężu. Blask księżycy przeświecał przez nich, ale też obmywał ich jak woda i ukazywał ich kształty.

Niektórzy siedzieli, inni stali. Wszyscy patrzyli przed siebie, ale było im zupełnie obojętne, dokąd jadą. Wielu się zestarzało, chyliło się ku ziemi jak stare szopy. Wielu paliło ogniska, jak

Rozdział 20

Zdyskredytowany ekonomista, który spadł z nieba

Milo miał ogromny, autentyczny szacunek dla uczenia się.

Zdobywanie wiedzy i doświadczeń było najważniejszą rzeczą, jaką może robić dusza. Istniało nieskończenie wiele rzeczy, których można się uczyć i których można nauczać. Istniało też nieskończenie wiele sposobów nauki i nauczania.

Przede wszystkim można się było uczyć na błędach. Był to powszechny sposób. Pierwszym błędem, który Milo popełnił jako dziecko, kiedy żył w Indiach, było sięgnięcie po jadowitego pająka. Pająk ukąsił go w kciuk. Część palca poczerniała i odpadła. Milo wrzasnął, wypuścił pająka i nigdy więcej nie zrobił czegoś takiego.

Można też było uczyć się robić coś, czego nikt dotąd nie robił, wyobrażając sobie, jak należy tego dokonać. Jako marokański wynalazca Abass ibn Firnas Milo uznał, że najwyższy czas, by jego gatunek podbił przestworza. Sklecił skrzydła z drewna i papieru, rzucił się w dół z najwyższego dachu w Andaluzji i poleciał!

Ku zdumieniu zgromadzonych na dole tłumów niemal przez dziesięć minut unosił się i szybował między wieżami i minaretami, aż stracił rozpęd i był zmuszony lądować. W tym momencie uświadomił sobie, że choć niezwykle dokładnie przeanalizował elementy samego lotu, zapomniał opracować procedurę lądowania. Ptaki latają dzięki skrzydłom, więc zbudował sobie skrzydła. Lądują jednak na ogonach, a Abass takowego nie miał. W końcu zdołał wylądować i choć było to dlań bardzo bolesne doświadczenie, niczego nie żałował.

– Jesteś aniołem! – wykrzyknął miejscowy poeta.

– To miłe z twojej strony – odparł Abass. – Ale jestem naukowcem i przyjacielem ludzkości, kimś sto razy większym.

Był starym górnikiem w kopalni miedzi, który miał uczyć nowicjuszy, jak wiercić otwory, umieszczać w nich dynamit, a potem chować się w bezpiecznym miejscu, nim dojdzie do eksplozji.

Traktował to zadanie bardzo poważnie.

Podobnie jak jego uczniowie.

Nauczanie nabiera szczególnej wartości, gdy od wyników zależy twoje życie.

Jeden z najbardziej tajemniczych żywotów spędził na Ziemi jako rabbi Aben ben Aben, szanowany żydowski mistyk. Przez całe życie ślęczał nad zwojami i tekstami. Pewnego dnia poderwał się nagle na równe nogi i potoczył dokoła dzikim wzrokiem, jakby otworzył coś, czego nie da się otworzyć, poznał coś, czego nie można poznać.

– Co się stało, *rabboni*? – szeptali inni badacze.

– To pułapka! – krzyknął i padł trupem.

Z pewnością było to bardzo ważne przesłanie, tyle że nikt, łącznie z samym Milem, nie rozumiał jego znaczenia.

Milo uczył się o pieniądzach i został sławnym ekonomistą.

Wynalazł dziedzinę nauki zwaną kryptoekonomią.

Była to dziedzina podobna do kryptozoologii, która zajmowała się nieistniejącymi zwierzętami, takimi jak yeti czy potwór z Loch Ness.

Jak zauważył Milo, niektórzy ekonomiści twierdzili, że jeśli pomoże się bogatym ludziom pomnożyć ich bogactwa i nie każe im się płacić podatków, w końcu pomoże to również biednym ludziom.

– To ekonomiczna wersja potwora z Loch Ness – powiedział w telewizji.

Jeździł po świecie, opowiadał o kryptoekonomii i doprowadzał do wściekłości bogaczy, aż pewnego dnia wydarzyły się dwie dziwne rzeczy. Po pierwsze, mnóstwo ekonomistów (opłacanych przez wielkie firmy kierowane przez bogatych ludzi) zebrało się na konferencji i orzekło, że twierdzenia Mila to zwyczajny stek bzdur. Po drugie, gdy Milo leciał prywatnym odrzutowcem, drzwi awaryjne przy jego fotelu otworzyły się nagle, a pęd powietrza wyciągnął go na zewnątrz. Rolnik, który widział go, jak spada z nieba, nie dostrzegł samolotu, tylko faceta w garniturze, który spadł na jego pole pszenicy.

Wielkie firmy zamieniły się w kartele zarządzające zasobami niezbędnymi do życia i omal nie doprowadziły do zagłady ludzkości.

Istnieją rzeczy, których lepiej się nie dowiadywać, bo pewnym ludziom bardzo się to nie podoba.

Milo prowadził jeden z tych żywotów, w których nie mógł osiągnąć żadnego postępu. Pracował w Subwayu, płacił raty za samochód, uiszczał czynsz, musiał kupować jedzenie i opłacać rachunki za prąd.

Trzeba się nauczyć kilku prostych sztuczek, żeby prowadzić takie życie. Masz już niemal dość pieniędzy, żeby odłożyć je na studia, ale właśnie wtedy psuje się samochód. Uzbierałeś w końcu tyle, żeby zapłacić za prąd w terminie, a tu dostajesz mandat za brak tylnego światła.

Milo nauczył się korzystać ze sklepów z artykułami używanymi, nauczył się również, jak nie mieć dzieci, dopóki nie skończy studiów i...

Bach! Ma dziecko. Tak po prostu.

Czasami to, czego się uczymy, niewiele nam daje – rozmyślał Milo.

Bywało, że uczył się prostych rzeczy, które przypominały poezję.

Miał dziesięć lat, gdy babcia pokazała mu, jak troszczyć się o rośliny.

– Bierzesz kamień – mówiła, krzątając się po swojej szklarni – i kładziesz go na ziemi obok kiełkującej rośliny. Kiedy chcesz ją podlać, wylewasz wodę na kamień, a nie prosto na ziemię. Dzięki temu woda się rozpryskuje po całej doniczce, nie porusza ziemi i nie uszkadza korzeni.

– Podlewam kamień – powtórzył Milo.

– Podlewasz kamień – przytaknęła babcia.

Rozdział 21

Budda zimą

Indie, 500 r. p.n.e.

Dawno temu istniała hinduska wioska Moosa.

Moosa nie była miejscem szczególnie niezwykłym ani ekscytującym. Właściwie ani sama miejscowość, ani jej mieszkańcy niczym się nie wyróżniali. Byli uczciwi i dobrzy, ale niezbyt inteligentni, ambitni czy charyzmatyczni.

Los sprawił, że Milo urodził się w tej właśnie wiosce. Jak łatwo przewidzieć, nie został tu do końca życia, a człowiekiem, który pchnął go w szeroki świat, był niejaki Horsa Chaturjee.

Horsa Chaturjee, jako nieodrodny syn Moosy, nie był naukowcem ani wybitnym sportowcem, ani wielkim wojownikiem. Właściwie był zupełnie przeciętnym człowiekiem. Ale pewnego dnia wpadł do dołu i złamał sobie nogę.

To było ważne wydarzenie dla całej wioski.

Członkowie starszyny zastanawiali się podczas specjalnej narady, skąd wziął się ten feralny dołek i dlaczego Horsa nie patrzył, gdzie stawia nogi, gdy nagle ktoś zaproponował, by wyciągnąć Horsę na górę i zanieść go gdzieś, gdzie można udzielić mu pomocy. Autorem tej sugestii był mały Milo Raj Ram, który miał w zwyczaju udzielać nieproszonych rad starszym od siebie. (Milo zaczął już podejrzewać, że Moosa nie jest siedzibą przyszłego imperium. Obserwując z boku, jak starsi zabierają się do opatrywania nogi Horsy Chaturjee, tylko utwierdził się w tym przypuszczeniu).

– Ciągnijcie za nogę – mówił najstarszy, stary półnagi pierdoła z siwym czubem – aż kość wsunie się pod skórę. Ciągnijcie, aż wskoczy na miejsce. Potem obłożcie rozdartą skórę kozim łąjnem, żeby zatamować krwawienie.

Milo był pewien, że obkładanie otwartej rany kozim łąjnem to bardzo kiepski pomysł. Próbował podzielić się z innymi tą refleksją, ale dostał tylko w ucho.

Obraził się na cały świat i wlaźł na drzewo.

Kiedy tam siedział, wydarzyły się trzy rzeczy.

Po pierwsze jakieś głosy w jego głowie powiedziały mu, żeby nie przejmował się starszymi, którzy są uparci i głupi. Milo słyszał te głosy od jakiegoś czasu i domyślał się, że pochodzą z żywotów, które już kiedyś przeżył. Miał dla nich wielki szacunek.

Po drugie zaczęło mu brakować tchu. Do tego też zdążył się już przyzwyczaić – podobne ataki prześladowały go przez całe życie i ustępowały zwykle, gdy przestawał biegać, wspinać się albo denerwować.

Tym razem jednak czuł się coraz gorzej, aż zakręciło mu się w głowie i spadł z drzewa.

Wtedy wydarzyła się trzecia rzecz.

Do wioski wszedł wędrowny uzdrowiacz.

Uzdrowiacz, święty mąż, nosił brodę tak długą, że trzeba ją było splatać w warkocze

i przywiązywać do pasa aż w sześciu miejscach.

Kiedy Milo spadł z drzewa i wylądował u jego stóp, uzdrowiacz zmarszczył brwi i dźgnął go swoim długim, strojnym w koraliki kijem. Milo wpatrywał się w niego od dołu, mrugając oczami i łapiąc oddech. W tym samym momencie z chaty najstarszego starszego dobiegł straszliwy krzyk:

– Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa!

– Co to? – spytał uzdrowiacz.

– To Horsa Chaturjee – wyjaśnił Milo. – Starsi obłożyli mu złamaną nogę kozim łajnem.

– Aha. – Uzdrowiciel pokiwał głową. – Więc to musi być Moosa.

Tymczasem świętego męża dostrzegli również inni mieszkańcy wioski i zaczęli gromadzić się wokół niego.

– Jeśli chcecie, zbadam waszego przyjaciela – zaproponował uzdrowiciel. – W zamian za kolację.

– Aiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiii! – wrzeszczał Horsa Chaturjee.

Uzdrowiciel został ugoszczony i nakarmiony.

Milo obserwował poczynania przybysza z zewnątrz, przez okno chaty.

Uzdrowiciel zmył kozie łajno, odsłaniając bardzo czerwoną, zaognioną i cuchnącą ranę. Wypalił ją pochodnią, omal nie wysyłając Horsa na orbitę. Potem uklęknął u stóp pacjenta i modlił się, wymachując pochodnią. Milo przyglądał się temu jak urzeczony.

Więc tak to się robi w wielkim mieście! – myślał.

Wciąż stał przy oknie, gdy uzdrowiciel wyszedł z domu i oznajmił:

– Niestety w sprawę wdał się demon. Niech ktoś przyniesie siekiere. Trzeba się pozbyć tej nogi.

Kiedy przyniesiono siekiere, święty mąż osobiście przeprowadził operację.

Później nie chciał przyjąć żadnej zapłaty, zabrał tylko kozę, która wytworzyła niefortunne łajno, i pożegnał się słowami:

– Wyświadczam waszej wiosce przysługę.

Przy takim nauczycielu – rozmyślał Milo, oczarowany, pilny uczeń mógłby rozpocząć złotą erę! I przysiągł sobie, że kiedy już osiągnie dojrzałość, z pewnością znajdzie takiego mistrza, choćby musiał szukać go po całym świecie.

Nazajutrz po rytuale przejścia w dorosłość, wciąż przepasany żółtym pasem modlitewnym, Milo stanął podczas śniadania przy stole rodziców i powiedział:

– Żegnajcie. Idę w świat szukać wiedzy. Bóg mi świadkiem, że nie znalazłbym jej tutaj.

– Mądre posunięcie, dzieciaku – odparł ojciec i wysłał go w drogę, obdarowawszy chlebem i parą nowych sandałów.

Milo wędrował przez wiele tygodni, mijał wsie, mosty i rzeki. Rozmawiał z innymi wędrowcami i spał przy ogniskach gościnnych nieznanym. Tak jak przypuszczał, im dalej szedł, tym świat stawał się większy i bardziej sensowny. Po drodze słyszał o armiach czających się za górami. Słyszał też o dziwnym mistagogu zwanym Buddą, którego uczniowie byli tak święci, że nie musieli jeść ani pić. Słyszał o wielkich powodziach, o morzach i okrętach, o kobietach tak pięknych i wprawnych, że mężczyźni, którzy z nimi obcowali, umierali z rozkoszy. Im dłużej wędrował, tym więcej słyszał i widział, i tym większy stawał się jego

świat, a przecież na to właśnie liczył.

Pewnego wieczora Milo korzystał z gościnności hodowcy buraków i jego robotników. Gospodarz spytał go, czy jego wędrowka ma jakiś konkretny cel.

– Szukam nauczyciela – odparł Milo.

– Nauczyciela czego?

Milo wzruszył ramionami.

– Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie. Czegoś nowego. Czegoś cudownego i straszego.

Szepty zdumienia wokół stołu rolnika.

– My możemy cię uczyć tylko o burakach – powiedział ktoś.

Potem odezwał się najwyższy z robotników rolnych, mężczyzna o inteligentnym wyrazie twarzy:

– Rozumiem, o czym mówisz. Ja też chcę kogoś takiego. Ale może nauczyciel, którego szukasz, nie jest wcale zwykłym nauczycielem. Może to raczej ktoś taki jak rolnik albo kowal.

Milo potrafił docenić prawdziwie mądre słowa bez względu na to, kto je wypowiadał.

– Chciałbym z tobą pójść – kontynuował robotnik – ale obiecałem mojemu pracodawcy, że będę tu pracował w czasie zbiorów. Może ty też popracowałeś z nami, a potem mogliśmybyśmy wędrować i szukać razem.

Milo przyjął tę propozycję, zajął się na jakiś czas uprawą buraków i był za to wdzięczny.

Milo się uczył.

Uczył się wczesnego wstawania i noszenia wody. Uczył się o burakach. Buraki, buraki, buraki. Uczył się naprawiać różne rzeczy. Był coraz silniejszy.

Gdy zebrano buraki, wyruszył wraz z robotnikiem rolnym – miał na imię Ompati – szukać nauczyciela. Był to jeden z najprzyjemniejszych okresów w życiu Mila. Wędrowali długimi drogami, poznawali innych wędrowców, wymieniali się opowieściami i pieśniami. Pewnego razu spędzili noc w burdelu, gdzie Ompatiemu skradziono portfel. Dwukrotnie próbowali ich obrabować bandyci uzbrojeni w noże, ale Milo i Ompati pracowali wcześniej na roli, więc też mieli noże. Pływali w rzekach. Spali pod gwiazdami. Widzieli dziwne i cudowne rzeczy: trędowatego bez nóg, który postanowił doczołgać się do Kalkuty. Widzieli magika, który potrafił oddzielić się od swojego cienia. Pewnej nocy, którą spędzili u świętego męża w wiosce zwanej Księżycowy Dym, pili krew węża.

Milo zrozumiał, że w ogromnej większości święci mężowi i ludzie, którzy wydawali się mądrzy, wcale tacy nie byli.

Nie pozwól, by to cię zniechęciło – mówiły stare głosy w jego głowie. Gdzieś tam są prawdziwi nauczyciele. Szukaj dalej.

– Dobrze – odparł Milo cicho. – Będę.

Pewnego razu Milo i Ompati przez kilka dni maszerowali razem z wielką armią, dowcipkując z żołnierzami i podziwiając wielkie słonie bojowe. Piątego dnia zaczęli spotykać mężczyzn z wygolonymi głowami, przepasanych pomarańczowymi szarfami, którzy śmiali się i machali do przechodzących żołnierzy.

– Pielgrzymi – wyjaśnił Ompati.

W miarę jak słońce wznosiło się na niebie, widzieli coraz więcej tych świętych szaleńców.

– W pobliżu nauczają uczniowie Buddy – szeptano w szeregach żołnierzy.

Wieczorem armia nieoczekiwanie się zatrzymała.

Wieści rozchodziły się lotem błyskawicy: nie tylko uczniowie Buddy, ale i on sam! Na skrzyżowaniu dróg Budda i jego świta spotkali się z armią, która przystanęła, by pozwolić im przejść.

– Nie rozumiem, skąd takie poruszenie – dziwił się Milo.

– Może jego nauki nie dotarły do Moosa, ale w nieco bardziej znaczących miejscach mówią, że to najwspanialszy człowiek, jaki kiedykolwiek stąpał po ziemi – tłumaczył Ompati. – Mówią, że zwyciężył w pojedynku demona Marę, nawet nie wstając. Podobno tylko dotknął ziemi i pokonał Marę czystą *jednością*.

– Czyli czym?

– Nie wiem. Nikt nie wie.

Nazajutrz wczesnym rankiem Mila i Ompatego spotkała przykra niespodzianka. Wzdłuż szeregów wojska jechali posłańcy, krzycząc coś do sierżantów i wachmistrzów. Wyglądali na zdenerwowanych.

Z kolei sierżanci i wachmistrzowie krzyczeli na swoich żołnierzy:

– Naprzód marsz! Równać szyk!

Wszędzie dokoła, za nimi i przed nimi, żołnierze, słonie, rydwany i jeźdźcy w zbrojach ruszyli szybko naprzód. Wszyscy mieli srogie, zacięte miny.

– Coś mi się wydaje, że będziemy tu tylko przeszkadzać – stwierdził Ompati.

Oddalili się więc od armii i weszli między drzewa.

Nagle dokoła nich zaczęły padać strzały. Jedna z nich otarła kostkę Mila i wbiła się w ziemię.

– Zdaje się, że poszliśmy w stronę bitwy – zauważył Ompati.

Milo z trudem łapał oddech. Ogarnął go nagły paniczny strach. Był pewien, że się posika. Zewsząd dobiegały go okrzyki wojenne, wrzaski i słowa zachęty do walki.

Z zarośli wysunęli się żołnierze. Faceci o wrednych gębach, w skórzanych zbrojach.

Milo zarzęził, stracił przytomność i runął prosto w krzak jakiejś azjatyckiej odmiany malin.

Ciepły deszcz.

Ocknął się cały obolały i dziwnie lepki... W pobliżu coś szurało w trawie.

Kiedy podniósł głowę i rozejrzał się dokoła, zobaczył stojącego nad nim słonia.

Nie przestraszył się. Od razu zrozumiał, że słoń nie chce mu zrobić krzywdy. Co więcej, zwierzę wydawało się smutne i zdezorientowane, patrzyło na Mila z niemą prośbą w oczach.

– O Boże... – wyszeptał Milo. Trąba słonia była ucięta w połowie długości. Ciepły deszcz, który obudził chłopca, był w istocie krwią, która rozbryzgiwała się w powietrzu przy każdym oddechu zwierzęcia.

W wielkim oku słonia pojawiła się łza, która spłynęła po jego policzku.

Otoczający ich las wyglądał tak, jakby zdeptała go armia olbrzymów. Wszędzie leżały połamane drzewa i zabici żołnierze. Milo zaczął się zastanawiać, jaki los spotkał Ompatego.

Skup się – przykazały stare głosy w jego głowie.

Milo wyjął szablę z dłoni martwego żołnierza i podszedł do słonia, który również zrobił kilka kroków w jego stronę. Zwierzę stęknęło ciężko i ukląkł przed chłopcem.

Milo poklepał go po głowie, a potem poderżnął mu gardło.

Trysnęła na niego fontanna krwi. Słoń zacharczał, przewrócił oczami i umarł.

Śpiew ptaków. Jęki rannych żołnierzy.

Milo poczuł na sobie czyjś wzrok i odwrócił się powoli.

Niedaleko, na zboczu wzgórza, zobaczył ciemną sylwetkę na tle porannego słońca.

– To był akt prawdziwego współczucia – powiedział nieznajomy.

Milo skinął głową. Odpowiedziałby mu jakoś, ale jeszcze nie złapał oddechu.

Słońce skryło się na moment za chmurą, a Milo zobaczył, że człowiek stojący na zboczu to przygarbiony starzec. Jak inni mężczyźni w jego wieku, miał luźną, pomarszczoną skórę, pod którą skrywały się jednak sprawne, napięte jak struna mięśnie. Był ubrany w prostą, znoszoną szatę, która wisiała na nim jak druga skóra.

To właśnie dostrzegł Milo w pierwszej chwili – biednego starca – dopóki nie spojrzał w jego oczy.

Rentgen – wyszeptały głosy w jego głowie.

Milo nie wiedział, czym są promienie rentgenowskie (nie w tym życiu), ale bez trudu się domyślił. Mężczyzna patrzył na niego tak, jakby widział dokładnie jego kości i wszystkie atomy, z których były złożone.

– *Namaste* – powiedział Milo, kłaniając się nisko.

Starzec oddał ukłon.

Liczne okrzyki na szczycie wzgórza.

– Bodhi! – zawołał najpierw jeden głos, do którego zaraz dołączyły następne. – Bodhi! Jest tutaj!

Milo podniósł wzrok i zobaczył kilku młodych, łysych mężczyzn w prostych szatach, zbiegających między drzewami, przeskakujących nad zabitymi i rannymi.

– Mmm... – mruknął starzec. – Znów się zaczyna.

Młodzi mężczyźni dotarli do niego, tworząc niewielką, zdyszana grupkę.

– Wszystko w porządku – zapewnił ich starzec. – Mam dobry dzień.

– To nieważne, czy masz dobry, czy zły dzień – odpowiedział najwyższy z młodzieńców. – Nie powinieneś się oddalać, nie mówiąc nic Anandzie.

– Tss... – uciszył go starzec i ukląkł, by pomóc krwawiącemu żołnierzowi. – Bądź przydatny.

Zdjął szatę, zostając tylko w ręcznie tkanej przepasce biodrowej, po czym zaczął ją drzeć na pasy. Jego uczniowie – bo za takich uznał ich Milo – bez wahania i bez dodatkowej zachęty zrobili dokładnie to samo.

– Budda – wyszeptał Milo.

Starzec go usłyszał i puścił do niego oko.

Milo podarł swoje ubranie na bandażę i ruszył w las, by opatrywać rannych.

Pracował z Balbeerem, najstarszym spośród uczniów. Rozbili kilka namiotów na szczycie wzgórza, tworząc zaczątek szpitala polowego.

– Co ma na myśli Budda, mówiąc o dobrych i złych dniach? – spytał Milo.

– Nie nazywamy go buddą. To ogólne określenie osoby oświeconej. Budda to coś, co ma w sobie każdy, musi tylko do tego dotrzeć. Więc nazywamy go Bodhi. Mędrzec. Nauczyciel.

– A te dobre i złe dni?

Balbeer podał mu naręcz chrustu.

– Bądź przydatny – powiedział.

Milo poszedł zagrać trochę wody.

Więc tak naprawdę wygląda praca uzdrowiciela – rozmyślał.

Zakładał opaski uciskowe na krwawiące rany. Obwiązywał łupkami złamane kończyny. Uciął zmasakrowaną nogę. Zbierał drewno na opał. Oczyszczał obrażenia, które tego wymagały.

Pewnego dnia zobaczył, jak Mistrz wychodzi ze szpitala z wiadrem pełnym odchodów i idzie wyrzucić je do latryny, którą Milo własnoręcznie wykopał.

– Oto nauczyciel, którego szukałem – powiedział do siebie. – Zostanę z nim, jeśli tylko mnie przyjmie.

– Mógłbyś przynajmniej wyjąć strzałę z mojego gardła, zanim opuścisz trzeci wymiar? – zakasłał żołnierz u jego stóp.

Milo aż podskoczył z radości.

– Ompati! – krzyknął. – Tak się cieszę, że nie zginąłeś!

Ompati chciał coś odpowiedzieć, ale zadławił się.

Milo kazał mu milczeć.

Starał się być przydatny.

Kilka następnych dni nie różniło się niczym od siebie. Milo pracował w prowizorycznym szpitalu i robił to, co inni uczniowie Bodhiego. Spał tam, gdzie znalazł odrobinę miejsca. Jadł to, co wpadło mu w ręce, choć nie było tego wiele. To zadziwiające – rozmyślał – jak mało, w gruncie rzeczy, człowiek potrzebuje do życia.

Uczniowie wydawali się szczęśliwi w niezrozumiały dla niego sposób. Nie przypominali zwykłych śmiertelników. Większość ludzi roztacza wokół siebie aurę smutku i niezadowolenia. Widać to w ich oczach, słychać w tonie ich głosu. Zawsze są źli z jakiegoś powodu albo zmartwieni, albo zawstyżeni. Ta nieustająca, dręcząca zgryzota stała się sposobem życia, do której przywykła większość z nich.

Ludzie Buddy nie mieli takiego problemu. Skupiali się raczej na czynach niż na jałowych rozmyśleniach. Robili to, co należało zrobić w danej chwili, czy była to rozmowa, czy zaszycie rany, czy też wypicie kubka wody.

Kiedy to zauważył i zastanawiał się nad tym, przystanął obok niego Balbeer, położył mu dłoń na ramieniu i powiedział:

– Ty już jesteś oświecony, Milo.

Chłopak zamrugnął oczami, zaskoczony.

– Nie bardzo rozumiem, jak to możliwe – odparł. – Przecież nie...

– Nie spłynęło na ciebie oślepiające światło, nie widziałeś przyszłości ani nie strzelałeś ogniem z nosa?

– Nie.

– Nie tak wygląda oświecenie. To nie jest jakaś mistyczna eksplozja. To dostrzeżenie tego, co dzieje się wokół ciebie, tu i teraz, a ty już to robisz.

– Nie zawsze.

– Cóż, nie zawsze jesteś oświecony.

– Więc każdy jest oświecony, przynajmniej co jakiś czas. Jak ten facet, któremu musiałem uciąć nogę. Wrzeszczał tak strasznie, że ślina ciekła mu z ust, a oczy odwracały się białkiem do góry.

Balbeer zmarszczył brwi, zastanawiając się nad tym.

– Nie wiem – odrzekł w końcu.

Milo był zaskoczony. Nigdy jeszcze nie słyszał, by nauczyciel lub poważny uczeń mówić: „Nie wiem”. Brzmiało to zadziwiająco i przerażająco inteligentnie.

– Dlaczego nosorożec ma róg na pysku, a nie na czubku głowy? – spytał.

– Nie wiem – odparł Balbeer.

– To cudowne. Dlaczego drewno się pali? Dlaczego śmierdzi nam spod pach? Dlaczego śnię, że stoję nagi na targowisku, i co to może oznaczać?

– Nie wiem. Myślałem, że tylko ja mam te „nagie” sny.

– Chyba każdy je ma.

Poszli coś zjeść.

Wkrótce potem nastąpił ranek, kiedy cały lud Buddy opuścił szpital i ruszył w drogę.

Milo i Ompati poszli z nimi. Milo nagle zdał sobie sprawę, że właściwie nie ma na tym świecie żadnego majątku, jedynie prostą szatę, komplet bielizny i parę skórzanych sandałów, które zabrał poległemu żołnierzowi.

Ompati wziął kij leżący przy drodze.

– Dobrze jest czuć, że coś się ma – powiedział. – Nawet jeśli to tylko patyk.

Szli przez jakiś czas w milczeniu.

– Nie widziałem Mistrza od tygodnia – powiedział Ompati. – Czy on w ogóle jest z nami? Może poszedł przodem.

– Jest stary – odrzekł Milo. – Mówią, że ma dobre i złe dni.

– Chyba każdy ma dobre i złe dni. Co to właściwie oznacza?

Milo wzruszył ramionami. Nie wiedział.

Tej nocy obaj się dowiedzieli.

Siedzieli po zmierzchu przy ognisku i gotowali fasolę, którą wyżebrali od przejeżdżającej w pobliżu karawany, kiedy Milo podjął nagłą decyzję.

– Spytałem go – powiedział.

– Spytasz kogo o co? – zainteresował się Ompati i kilku pielgrzymów, którzy do nich dołączyli.

– O ten sen, w którym stoję na środku targowiska i nagle uświadamiam sobie, że jestem nagi.

– Chyba każdy ma taki sen.

– Tak, ale ja jestem ciekaw, co on oznacza.

To powiedziawszy, wstał i ruszył między ogniska szukać Buddy.

Budda nie miał dużego, pięknego namiotu ani czegoś w tym rodzaju. Niełatwo było go znaleźć pośród tłumu uczniów, bo spał na ziemi jak cała reszta. Milo zakładał jednak, że tam, gdzie Mistrz rozpalił swoje ognisko, na pewno przysiądzie wielu jego wyznawców. Poszedł więc do miejsca, gdzie zgromadził się największy tłum, i rzeczywiście znalazł Bodhiego.

Milo przypuszczał, że zobaczy kilku starszych uczniów siedzących w kręgu wokół Mistrza wpatzonego w ogień. Ujrzał jednak zupełnie co innego. Rzeczywiście, kilku starszych uczniów Buddy tworzyło krąg i szeptało między sobą, lecz Mistrz stał na środku i płakał, wyraźnie czymś zdenerwowany.

Inni pielgrzymi, siedzący przy pobliskich ogniskach, ostentacyjnie udawali, że niczego nie widzą.

Milo podszedł, chcąc dowiedzieć się czegoś więcej. Jeśli ktoś skrzywdził Mistrza...

– Jak mogliście powiedzieć coś takiego? – chlipał starzec. – To okrutne. Co się z wami wszystkimi dzieje?

Dwaj uczniowie – jeden gruby, drugi niski, ale szczupły jak orzesznica – stali na uboczu i sprzeczali się półgłosem.

– Dlaczego się z nim kłóciłeś? – pytał grubszy. – Wiesz, że nie wolno mu zaprzeczać, kiedy jest w takim nastroju! Nie rozumie tego. Tylko się denerwuje.

– Wiem! – odparł chudszy ze smutkiem. – Wydawało się, że wszystko jest w porządku. Mówił z uśmiechem, że góry są jak rzeki, tylko wolniejsze, i że ma świetny dzień. A potem dodał z marszu jednym tchem: „Muszę spytać Yi, czy ma jeszcze ten kawałek wulkanicznego szkła”. Odpowiedziałem mu odruchowo, zanim się nad tym zastanowiłem: „Mistrzu, Yi nie żyje od siedmiu lat. Pamiętasz tygrysa?”.

A wtedy on rozkleił się jak dziecko.

Gruby uczeń wyraźnie się uspokoił, jakby usatysfakcjonowany tym wyjaśnieniem.

– Musimy być uważni – westchnął. – Wiem, że nigdy nie zrobiłbyś czegoś takiego celowo.

Silne dłonie złapały Milo za ramiona i obróciły go w miejscu.

Kurwa! Budda miał ochroniarzy! Kto by pomyślał?

Balbeer.

– Milo – przemówił Balbeer smutnym tonem. – Idź coś zjeść. W niczym nam tutaj nie pomożesz.

– Ale co się stało? – chciał koniecznie wiedzieć Milo.

Balbeer wyprowadził go z lasu. Z tyłu dobiegał ich gniewny głos Mistrza.

– Jest stary – westchnął uczeń. – Starym ludziom trochę miesza się w głowach.

– Ale on jest...

– Nie jest bogiem.

Milo wrócił do swojego ogniska i usiadł.

– Wiedział, co znaczy ten sen? – spytał Ompati. – Powiedział ci?

Milo wbił wzrok w ogień.

– Nie mogłem go znaleźć – odpowiedział.

Próbował zasnąć, ale nie mógł.

Gdy tylko zamykał oczy, widział zapłakanego Budę, który bał się własnych przyjaciół.

Zamknął oczy i próbował medytować. Może to coś da.

Medytacja była jednym z ulubionych zajęć uczniów Buddy. Wydawało się, że dzięki niej podchodzą do wszystkiego z dystansem. Milo próbował ich już kiedyś naśladować, ale bez powodzenia.

– Usiądź i posłuchaj, co dzieje się w twoim umyśle – radził mu wtedy Balbeer.

– Mój umysł jest bardzo hałaśliwy – odrzekł Milo. – Niczego w nim nie widzę ani nie słyszę.

Balbeer wzruszył ramionami, zamknął oczy i przestał zwracać na niego uwagę.

Milo spróbował ponownie.

Wciągnij powietrze. Nie myśl o niczym. Wypuść powietrze. Zauważ, że oddychasz.

Co się dzieje z Mistrzem? – spytał jego umysł.

Milo zarejestrował pytanie.

Ciekawe, czy na Księżycu żyją ludzie – zastanawiał się jego umysł. Choć Milo naprawdę bardzo się starał, nie mógł się uwolnić od idiotycznych myśli i pytań.

Boli mnie noga. Od dawna nie miałem ataku astmy: może wyzdrowiałem? Czy buddyści uprawiają seks? Co to za hałas?

Zamknij się – pomyślał. Zamknij się, zamknij się. Oddychaj! Spokój... oddychaj...

Czuję jak rosną mi włosy.

– *Kurwa!* – ryknął.

– Tssss... – uciszali go pobliscy pielgrzymi. – Medytujemy.

Następnego popołudnia wędrowcy dotarli do Sravasti.

Mistrz był w tej miejscowości wiele razy. Dawno temu wybudowano tu cały kompleks klasztorny. Było to jedno z tych miejsc, do których wędrowali ludzie pragnący poznać nauki Mistrza. Uczyli tu niektórzy spośród jego najlepszych wychowanków, a samo miasto również wydawało się jedną wielką świątynią. Wystarczyło wyskoczyć do sklepu po chleb, by po drodze natknąć się na kilku medytujących pielgrzymów.

Kiedy sam Budda zawitał do Sravasti, przypominało to wjazd Jezusa do Jerozolimy, tyle że Jezus jeszcze się nie narodził.

Tłum wędrowców zamienił się w radosny pochód, obsypywany kwiatami i witany pieśniami. Ludzie klękali przed nimi, składali im pokłony i dotykali ich z nabożną czcią. Po części wynikało to z faktu, że mieszkańców Sravasti wychowano w głębokim szacunku dla wszystkiego, co wiązało się z Buddą, ale działało się tak też dlatego, że nikt nie wiedział, który z wędrowców nim jest.

Jak większość ludzi, ci duchowi turyści przypuszczali, że od razu rozpoznają Mistrza. Wyobrażali sobie, że jest wyższy od wszystkich o trzy głowy, a jego oczy miotają błyskawice. Przecież to właśnie on, mówili, sprawił, że miska ryżu popłynęła w górę strumienia tylko dlatego, że ją o to poprosił. To on zabił straszliwego potwora z dżungli, gdy pozwolił mu się zjeść, a potem wypalił mu trzewia promieniami Doskonałości. To jego dusza pozostawała w jedności z czasem i wszechświatem.

A mimo to przechodził obok nich niezauważony, przygarbiony starzec podobny do wielu innych starców. Owszem, miał w oczach rentgen, ale mogli to dostrzec tylko ci, na których spojrzał.

– Nie rozpoznają go – mruknął Ompati, wyciągając z włosów płatki magnolii.

Milo skinął głową.

– Może to i lepiej – wyszeptał jeden z wędrowców, który szedł obok nich. – Przez cały dzień wypytuje o przygotowania do ślubu, szczególnie o tancerki.

– Do czyjego ślubu? – spytał Milo, marszcząc brwi.

– Jego.

– Żeni się?

– Kiedyś się ożenił. Nie wyszło.

– Rozumiem – mruknął Milo. – Przykro mi to słyszeć.

– Tyle że to było sześćdziesiąt lat temu – dodał uczeń.

Wieczorem zapalono pochodnie na trawnikach i za murami kompleksu klasztornego. Zebrały się tu tysiące ludzi, którzy przysiedli na trawie i czekali na Buddę, szepcząc z podnieceniem.

Zupełnie jak na koncercie rockowym w plenerze – powiedział głos w głowie Mila (głos z życia spędzonego w odległej przyszłości).

Z głównego budynku klasztoru wyszło kilku starszych uczniów, którzy ułożyli na trawie grubą, bogato zdobioną poduszkę i usiedli przy niej w półkolu. Wydawali się zdenerwowani.

W końcu wyszedł Mistrz. Powoli stawiał kroki, wsparty na ramieniu Balbeera.

Tłum ucichł. Cykały świerszcze. Między pochodniami przelatowały bezgłośnie nietoperze.

Mistrz usiadł na poduszce i ułożył mudrę z palców.

Minęło trochę czasu.

Wstał księżyc.

Budda podniósł głowę. Jego oczy błyszczały jasno, lecz wzrok wydawał się daleki, jak ognie na dalekich górskich szczytach. Milo rozpoznał ten wyraz zagubienia.

O nie!

Mistrz zaczął mówić o ślubie.

– Żenię się – oznajmił z łagodnym uśmiechem. – Ślub odbędzie się w pałacu mojego ojca, pojmę za żonę moją miłość i przeznaczenie, moją kuzynkę Yasodharę. Wystąpią tancerki brzucha.

Milo rozejrzał się ukradkiem i zobaczył, że zgromadzeni kiwają głowami i spoglądają na siebie z powagą. Słuchali i próbowali zrozumieć.

– Dobre tancerki brzucha są ze wszech miar godne podziwu – kontynuował Mistrz. – Nie tyle tańczą, ile płyną. Są jak prawda albo rzeka. Jak fala. Zastanówcie się nad tym. Poprosimy je, żeby nosiły w pępkach szmaragdy.

Tłum łykał te słowa. Prawda! Rzeka! Jedność! Przemijanie! Nie mieli pojęcia, że Budda błędzi po ukrytej krainie swoich wspomnień.

Jego najbliżsi uczniowie patrzyli nań ze szczerą miłością i szacunkiem. W ich spojrzeniach kryło się jednak pytanie, którego nie ośmieliliby się wypowiedzieć głośno.

Jak długo jeszcze – myśleli – będziemy w stanie to ukrywać?

Tej nocy spadł pierwszy deszcz monsunowy.

Wyznawcy Buddy zwijali maty i tłoczyli się w szopach i klasztorach. Rankiem kilku młodych pielgrzymów obudziło wszystkich, krzyząc:

– Chodźcie szybko! Coś cudownego! Coś dziwnego! Mistrz musi to zobaczyć!

Budda i tysiące jego wyznawców przeszli za młodymi pielgrzymami na brzeg pobliskiej rzeki. Milo zauważył, że Mistrz się nie garbi ani nie powłóczy nogami. Wydawał się trzeźwy i sprawny.

Rzeka wezbrała, rozciągnęła się na boki niczym boa dusiciel, który połknął konia. Pędziła przed siebie, porywając drzewa i grube konary.

– Patrzcie! – krzyczeli młodzi pielgrzymi, wskazując na coś palcami i podskakując z podniecenia.

Wszyscy spojrzeli we wskazanym kierunku.

– Potwór! – krzyknęli.

W pewnej odległości od brzegu nurtowi rzeki wciąż opierało się samotne drzewo głożyny o mokrych, odartych z liści gałęziach. W najwyższej części drzewa czaiło się jakieś przerażające stworzenie. Coś wilgotnego i złego. Coś o wielkich kłach i groźnym spojrzeniu, w którym jednak krył się również niekłamany strach.

– Diabeł – mruzcili niektórzy.

– Demon! – mówili inni.

– Bzdura – parsknął Budda. – To tygrys.

I tak było w istocie.

Przemoczony i ubłocony drapieznik obnażał zęby w groźnym grymasie. Wydawało się, że gotów jest rzucić się do walki, gdyby tylko coś chciało podjąć tę walkę. Gdy Milo przyglądał mu się z podziwem, tygrys zrobił wielką, zieloną, przerażoną kupę.

Wszyscy spojrzeli na Mistrza, oczekując od niego jakiejś decyzji.

– Niech ktoś przyniesie mi linę – powiedział. – Najdłuższą, jaką uda wam się znaleźć. Na tyle długą, by sięgnęła czubka drzewa.

Stu pielgrzymów bez chwili wahania i bez zbędnych pytań pospieszyło z powrotem do klasztoru i do Sravasti.

Milo pochylił się do Balbeera i spytał cicho:

– Co...?

Balbeer zmarszczył brwi i pokręcił głową.

Zamieszanie i krzyki – wrócili z liną! Przynieśli sto lin! Mistrz wybrał jedną i zawiązał ją w szerokie, luźne lasso.

– Niemożliwe! – zawołał Ompati. Wielu pielgrzymów stojących na brzegu podzielało jego zdanie.

Nawet tygrys zainteresował się poczynaniami Buddy. Wpatrywał się w niego jak w obraz, oblizując co jakiś czas paszczę.

Mistrz zakręcił lassem nad głową... najpierw powoli... a potem wypuścił je jak strzałę nad wodę. Pętla opadła na złamaną gałąź tuż za tygrysem.

Zacisnął ją mocno i pociągnął.

Teraz już wszyscy zrozumieli, że zamierza przechylić drzewo ku brzegowi, by tygrys mógł zeskoczyć na stały grunt. Ale miał przecież osiemdziesiątkę na karku i...

Drzewo zaczęło się pochylać.

Tysiące wyznawców wstrzymały oddech.

Tygrys wiedział, że coś się święci, ale nie był jeszcze pewien, czy mu się to podoba, czy nie. Poprawił się na gałęzi i mruknął gniewnie.

Ręce Mistrza zaczęły drżeć.

– Proszę, bądźcie przydatni – zwrócił się do stojących obok ludzi.

Uczniowie i pielgrzymi chwyci za linę.

– *Aaan!* – zaintonował Balbeer, a wszyscy w jednym rytmie pociągnęli za sznur. – *Bastei!* – zawołali już razem i pociągnęli ponownie, a drzewo pochylało się coraz niżej, aż korzenie wysunęły się z ziemi, a czubek zawisł w odległości zaledwie trzech metrów od brzegu.

W tym momencie kilka rzeczy wydarzyło się niemal jednocześnie.

Tygrys wyskoczył w górę.

Widząc drapieznika lecącego ku brzegowi, wszyscy puścili linę i uciekli.

Wszyscy prócz Mistrza, który owinął sobie sznurem rękę.

Tygrys błysnął zębami i popędził w las, nie robiąc nikomu krzywdy.

Wyrwane z ziemi drzewo popłynęło z rwącym nurtem, przewracając Mistrza i błyskawicznie wciągając go do wody.

Choć działo się to bardzo szybko, Milo był jednak szybszy. Sam nie wiedział kiedy znalazł się w rzece i sięgnął po bosą stopę Buddy, ostatnią część jego ciała, która nie zniknęła jeszcze w odmętach.

Woda zawirowała wokół niego. Gałęzie, żwir i niesione prądem śmieci ocierały się o niego,

uderzały go i drapały, lecz dłonie Mila znalazły w końcu to, czego szukały. Choć rzeka ciągnęła ich za sobą – Mistrza, Mila i drzewo – chłopak nie zamierzał się poddawać.

Wdrapał się na ciało Buddy niemal jak na pień drzewa i złapał go za rękę. Kiedy już trzymał ją mocno w nadgarstku, zrobił to, czego nie mógł dokonać sam Mistrz, czyli używając obu dłoni, rozplątał i ściągnął linę.

Drzewo popłynęło dalej ku krańcom Ziemi.

Milo i Budda wychynęli nad powierzchnię wody, chwytając łąpczywie powietrze. Przytrzymując się krzewów, gałęzi drzew i błota, brnęli w stronę brzegu.

Jakaś wysoka postać sunęła ku nim z głośnym chlupotem. Duże, silne, nawykłe do pracy na roli dłonie – Ompati! – pochwytyły Mila i Mistrza – wyciągając ich z głównego nurtu. Po chwili wszyscy trzej dotarli do brzegu i leżeli tam, trzymając nogi w wodzie i dysząc ciężko. Pielgrzymi i uczniowie biegli do nich, otaczali ich ciasnym kręgiem i krzyczeli z radości.

Milo uświadomił sobie wtedy, że rzeka zdarła z nich ubrania. Zarówno on, jak i Mistrz byli całkiem nadszy, podczas gdy dokoła gromadził się coraz większy tłum.

– Miewam takie sny – powiedział Milo.

– Każdy ma takie sny – odparł Budda.

Wielkie ocalenie tygrysa miało łatwe do przewidzenia konsekwencje.

Opowieść o nadnaturalnej sile i litości Buddy rozniosła się lotem błyskawicy po lasach i wioskach. Już po kilku godzinach do Sravasti zaczęły napływać tłumy nowych pielgrzymów. Nowa historia! Nowy cud!

Nikt nie wspominał o tym, że Budda wpadł potem do rzeki i ledwie uszedł z życiem. Ta część nowej opowieści została skutecznie wyciszona za zgodą wszystkich zainteresowanych.

Nie możesz mieć do nich pretensji – mówił jeden z głosów w głowie Mila. Wyobraź sobie, że Jezus zostałby zjedzony przez fretki. To nie przyniosłoby niczego dobrego.

Uczniowie i pielgrzymi nie chcieli o tym rozmawiać tamtego dnia. Kiedy siedzieli w wielkim kręgu i spożywali główny posiłek, moknąc w drobnym, chłodnym deszczu, Ompati powiedział:

– Stary, myślałem, że już po wszystkim. Byliście pod wodą tak długo...

Wszyscy dokoła wstali i odeszli.

– Nie chcą tego słuchać – westchnął Milo.

– Uratowałeś mu życie – upierał się Ompati.

– Razem je uratowaliśmy. Co nie zmienia faktu, że nie jest zwykłym człowiekiem. To raczej żywa opowieść, która stąpa po ziemi i oddycha. Czasami trzeba taką opowieść trochę zmienić albo podkolorować.

– Zaczynasz mówić jak mędrzec – zauważył Ompati.

W tym momencie podszedł do nich Balbeer.

– Chce się z wami zobaczyć – powiedział, klękając przy Milu. – Chodźcie.

Och. Świetnie.

Balbeer poprowadził ich przez tłum do chaty Mistrza. Było to skromne domostwo o ceglanych fundamentach i dachu ze świeżych, zielonych liści pwaavy. Wyglądało to tak, jakby Budda mieszkał pod wielką sałatą.

Kiedy weszli do środka, Mistrz siedział na ziemi ze skrzyżowanymi nogami i zamkniętymi oczami. Gdy zajęli miejsca naprzeciwko niego, uniósł powieki.

– Dziękuję – powiedział, klepiąc Mila po kolanie i kiwając głową w stronę Ompatego.

– Prosimy bardzo – odpowiedzieli szeptem.
– Oczywiście, życie jest jak fala na rzece – mówił Mistrz. – Podnosi się i opada, niktąc w rzece. Potem znów gdzieś się pojawia. Podnoszenie i opadanie nie ma większego znaczenia.
– Czyli nie ma większego znaczenia to, że Milo uratował ci życie – skonkludował Ompati.
– Tak, to nie ma znaczenia – odrzekł Mistrz, wbijając wzrok w Ompatiego – dla rzeki.
Ompati spuścił oczy, zawstydzony.
– A teraz pomedytujcie ze mną – zaproponował Budda.
I znów opuścił powieki.
Milo również zamknął oczy i próbował.
Próbował nie myśleć o kurczakach, o tym, dlaczego skały są twarde, o piersiach pewnej kobiety, którą kiedyś podejrzwał, o sznurku, o swoim pępku, o śniegu...

Budda i jego uczniowie opuścili Sravasti w środku nocy.
– Odchodzimy – wyszeptał Balbeer, budząc Mila. – Zanim będzie miał następny zły dzień.
– Nie sędę, żeby o tym mówili – ziewnął Milo. – Nawet jeśli rzeczywiście poczuje się gorzej. Nie chcą tego widzieć, więc nie widzą.
– Zobacz, jeśli to zaczniesz się powtarzać zbyt często – odparł Balbeer.
Wędrowali przez wiele dni, żebząc po drodze o jedzenie. Co wieczór Milo i Ompati spotykali się z Mistrzem, by porozmawiać z nim przez chwilę i pomedytować. Cała reszta świata chciała zapomnieć o groźnej przygodzie Buddy w rzece, lecz on sam najwyraźniej uważał obu młodych mężczyzn za dobrych i wartościowych przyjaciół.
– Nie umiem medytować – wypalił Milo pewnego wieczora. Chciał medytować tak bardzo, że rozboleł go brzuch.
Mistrz podniósł rękę, uciszając go.
– Medytacja to głównie oddychanie – powiedział. – A oddychanie to nasz najdoskonalszy, najbardziej intymny kontakt ze światem zewnętrznym. Wciągamy go w siebie... – Mistrz zrobił wdech – ...i wypuszczamy. – Wydech. – Kiedy to robimy, świat zewnętrzny staje się częścią nas.
Oddychali razem, we trójkę. Wdech, wydech. Wdech, wydech.
– Więc to nieważne, że nie mogę przestać myśleć o małych albo o dużym palcu u nogi? – spytał Milo.
– Umysł nie umie się wyciszyć, nic na to nie poradzi. Zeszłego wieczora nie mogłem się uwolnić od myśli o kotach.
– Tak? – zdziwił się Milo. – I co z tymi kotami?
– Nic. Tylko koty, koty, koty, koty, koty, koty.
– Koty, koty, koty, koty, koty, koty – powtórzył Milo. Ompati dołączył do niego.
– Medytujemy teraz, prawda? – spytał Milo.
– Medytowaliśmy – sprostował Mistrz.
– Nie rozumiem – odezwał się Ompati. – Powinniśmy oczyszczać umysł, ale nie ma nic złego w myśleniu o kotach. Medytujesz, jeśli myślisz o kotach, ale nie robisz tego, jeśli myślisz o medytowaniu.
Mistrz zamknął oczy, jakby zastanawiał się nad tą kwestią.
Czekali cierpliwie, aż wygłosi swoją opinię, dopóki nie zaczął pochrapywać.
Później, gdy siedzieli z Ompati przy własnym ognisku, Milo milczał przez długi czas.

Nie medytował w milczeniu, po prostu milczał. Myślał.

– Mówią, że Mistrz osiągnął Doskonałość – przemówił w końcu.

– To raczej oczywiste – odparł Ompati. – Takie rzeczy od razu widać.

– Owszem, ale wygląda to trochę inaczej, niż można by się spodziewać. To znaczy, wiadomo, jest uduchowiony i tak dalej, ale ma też podejście praktyczne. Miewa kłopoty z medytacją jak ja. Ale przekuwa to w sukces. Jego umysł się rozpada, ale to też obraca na swoją korzyść. No i takie historie jak ta z tygrysem. To było zdumiewające!

Jakaś gałąź w ognisku strzeliła głośno. W górę wyleciał snop iskier, które wirowały przez moment w powietrzu, a potem zgasły.

– Zmierzasz do jakichś konkretów? – spytał Ompati.

– Tak. Chcę Doskonałości.

– Myślałem, że wszyscy tego chcą.

– Nie wydaje mi się. Myślę, że większość ludzi wolałaby Doskonałość bez niektórych elementów, jak odejście z cyklu życia. Myślę... nie, wiem, że żyłem już tysiące razy. Może nie umiem medytować, ale zaczynam rozumieć niektóre rzeczy. Jakby moje inne życia podsuwały mi notatki. Nie patrz tak na mnie. Mówią mi, że do tej pory nie chciałem prawdziwej Doskonałości, bo nigdy nie widziałem jej na własne oczy. Nie w ten sposób. To coś, przeciwko czemu buntowałem się przez bardzo długi czas.

– Buntowałeś się? Przeciw Doskonałości?

– Tak. Ale już tego nie robię. W jakimś sensie jest niezbędna. Czuję to. Opierałem się, bo nie chciałem zostać częścią Metaduszy. Ale teraz niczego nie pragnę bardziej.

Milo słyszał, jak głosy w jego głowie śpiewają i tańczą.

– Chwileczkę, niech no sprawdzę, czy dobrze cię zrozumiałem – powiedział Ompati. – Buntowałeś się przeciwko Doskonałości, ale teraz zmieniłeś zdanie, bo Mistrz jest doskonały w praktyczny, trochę szalony sposób, który rozumiesz?

– Tak. To właśnie robi nauczyciel, prawda? Sprawia, że zaczynasz rozumieć, tak? No więc ja rozumiem.

Głosy w jego głowie migotały kolorowymi światłami i grały na sitarze.

Milo nie wiedział, że potrafią to robić.

– O kurczę – mruknął. – To piękne.

Sięgnął w dół i dotknął Ziemi. Przez moment czuł, jak obraca się wraz z nim.

– Co ty wyprawiasz, do diabła? – spytał Ompati.

– Sam nie wiem. Coś wspaniałego. Aż muszę przez to iść na stronę.

Miał wrażenie, że to coś godnego Buddy, coś prawdziwie doskonałego, i może rzeczywiście tak było.

Potem nastąpiła cała seria złych dni.

Ci, którzy nie należeli do kręgu najbliższych Mistrza, mogli tego nawet nie zauważyć. Dla jego starych uczniów i nowych przyjaciół oznaczało to jednak więcej pracy.

Balbeer odszukał Mila i Ompatego w kolumnie maszerujących pielgrzymów i wziął ich pod rękę.

– Możecie coś zrobić dla Mistrza? Nie ma dziś najlepszego dnia.

– Jasne, co tylko zechce – odparł Ompati.

– Wkrótce dojdziemy do wioski. Weźcie jego miskę, a kiedy będziecie prosić o jedzenie,

nałóżcie też coś dla niego.

– Bardzo chętnie – odpowiedzieli, kłaniając się uprzejmie.

Na skraju wioski uczniowie otaczali ciasnym kręgiem Buddę i uśmiechali się do pielgrzymów przechodzących obok z miskami na jedzenie.

Wszystko jest w porządku – mówiły te uśmiechy.

– Spóźnimy się na wyścigi słoń! – wołał Mistrz ze środka kręgu.

Mieszkańcy osady byli hojni. Zawsze tacy byli. Szczególnie gdy Milo podniósł miskę Mistrza i powiedział:

– Jeszcze do tej, jeśli można, dla samego Buddy.

Później siedział wraz z Ompatim wśród uczniów wokół lektyki. Mistrz wyszedł z niej na czworakach i dołączył do nich. Podali mu miskę, ale jadł bez entuzjazmu, jakby robił to tylko z rozsądku. Milo zauważył, że jego spojrzenie wydawało się odległe, lecz nie puste ani zagubione. Najwyraźniej coś sobie układał w głowie.

Po chwili Mistrz zwrócił się do Balbeera.

– Czy zechciałbyś coś dla mnie zrobić? – spytał.

– Oczywiście – odparł Balbeer.

– Kiedy skończymy jeść, wyjdź, proszę, na górę i powiedz mojej matce, że chciałbym się z nią widzieć, dobrze?

Milo od razu stracił apetyt.

– Oczywiście, Mistrzu – odparł Balbeer z taką miną, jakby miał się rozpłakać.

Przez resztę dnia odpoczywali w wiosce. Milo znalazł sobie piękne, dostojne drzewo, pod którym medytował przez całe trzy godziny.

Koty. Deszcz. Drzewa. Miłość. Psy. Jego penis. Noc.

W jego głowie nieustannie kotłowały się myśli. Nic nie mógł na to poradzić. Znacznie łatwiej szło mu oddychanie.

Wdech. Wydech. Świadomość wpływającego i wypływającego świata.

Wyczuwał coś znajomego w tym ćwiczeniu. Nie dlatego, że oddychał całe życie – po prostu robił to już kiedyś w podobny sposób. Z wprawą. Świadomie. Przez moment ujrzał swe nagie ciało unoszące się w przestrzeni kosmicznej...

Doskonałość. W jakimś innym życiu. Ale utracił ją. Nie pamiętał jak.

Szalone. I tragiczne. Tym razem na to nie pozwoli.

Otworzył oczy. Słyszał jakiś hałas, nie były to jednak odgłosy dżungli. Zdenerwowane głosy dochodziły z obrzeży wioski. Milo wyszedł z lasu i zobaczył uczniów Mistrza biegających nerwowo jak wystraszone bociany.

– O co chodzi?! – zawołał. – Co się stało?

– Zniknął – odparł Ompati, zatrzymując się u jego boku.

– Może zabrały go niebiosy! – powiedział jeden ze starszych uczniów. – Spójrzcie, tu leżą jego szaty. Są tu wszystkie jego rzeczy. Mówię wam, wstąpił do nieba.

– Chodźmy – rzucił Milo, ciągnąc Ompatego za rękaw. Dołączyli do pielgrzymów, którzy chodzili po wiosce i szukali Buddy.

Nie musieli szukać długo. Ponownie wskazówką był podejrzany hałas. Podniesione głosy dochodzące z centrum osady. Milo i Ompati natychmiast pobiegli w tamtą stronę i zobaczyli niewielki tłum gromadzący się na targowisku.

Spokojnie – przykazał sobie w myślach Milo. Czuje się lepiej i przyszedł do wioski nauczać.

Tłum rozstał się przed nimi. Milo przeszedł do przodu i zobaczył Mistrza stojącego przy

straganie. Trzymał w dłoni owoc granatu i przyglądał mu się uważnie.

Był zupełnie nagi.

Milo rozejrzał się dokoła i zrozumiał, że tłum wcale nie jest zdumiony, uduchowiony czy nawet zaciekawiony. Zgromadzeni wokół gapie przypominali uczniów, grupkę dzieci, które znalazły rannego ptaka i zamierzają zamęczyć go na śmierć.

– Może dziś jest dzień kąpieli – zasugerował ktoś.

Śmiech.

– Jest strasznie gorąco – powiedział ktoś inny.

– Przyszedł zrobić sobie tatuaż – śmiał się jeszcze jeden z gapiów.

A potem ktoś rzucił kamieniem. Odbił się od ramienia Mistrza.

Milo nie widział winowajcy, ale Ompati go dostrzegł. Złapał młodego mężczyznę za rękę i rzucił go na ziemię.

Kilku innych młodzieńców zrobiło krok w jego stronę.

Milo, który wcześniej podniósł obie ręce, teraz je opuścił.

– Spokojnie, przyjacielu Ompati – powiedział. – Nie tego się uczyliśmy. I nie tego nauczamy.

Zrobił wdech. I wydech. Powietrze, tłum i osada były częścią niego.

Odwrócił się do Buddy i wziął go za ramię, mówiąc:

– Nasi przyjaciele czekają, ojczu.

Nie nazwał go Mistrzem. Może ci ludzie nie wiedzieli. I nie musieli wiedzieć. Przyszłość nie potrzebowała takiej historii.

– Chcę ten granat – upierał się Mistrz.

– Nie mam pieniędzy – wyszeptał Milo do ucha Buddy. – Ty też nie. Później przyniosę ci granat.

– Ale ten – powiedział Mistrz, odkładając owoc. – Chcę ten właśnie granat.

– Dobrze. Ale teraz musimy już iść.

Ompati ujął Mistrza pod drugą rękę, po czym przeszli przez tłum. Młodzi mężczyźni dostrzegli w oczach Mila spokojną, lecz wielką moc, przypominającą falę oceanu, i rozstąpili się przed nim z szacunkiem. Niektórzy nawet się kłaniali, wyraźnie zawstydzeni. Zauważyli też, że Ompati czeka tylko na pretekst, żeby skopać komuś tyłek, co również skłoniło ich do zejścia z drogi.

Kiedy już zostawili Mistrza z jego starymi przyjaciółmi, Milo wrócił samotnie do lasu. Odszukał swoje ulubione drzewo i usiadł pod nim, by pomyśleć.

Tym razem nie była to medytacja. Człowiek, który medytuje, nie marszczy brwi i nie zaciska ust. Tak raczej wygląda człowiek, który próbuje znaleźć w sobie odwagę.

Mistrz potrzebował pomocy.

Potrzebował czegoś, czego bardzo trudno dokonać. Aktu Doskonałości.

Milo medytował nad tym przez chwilę.

Medytacja polega także na tym, by wiedzieć, kiedy przestać medytować, a potem wstać i przejść do czynów.

Więc wstał. Wyszedł z lasu, niosąc swoją miskę. Poprosił Balbeera o miskę Mistrza i ruszył do wioski.

– Poczekaj! – zawołał Ompati, biegnąc za nim.

Wyprosilili jedzenie dla siebie i dla Mistrza. Milo zdobył też kilka monet, zajrzeli więc na targowisko, gdzie kupili dla Buddy jego granat.

Kiedy godzinę później siedzieli przy lektyce, Milo dostrzegł jaśniejsze błyski w oczach Buddy.
– Jak się czujesz, Mistrzu? – spytał.

Budda nie odpowiedział od razu. Przez długi czas wpatrywał się w Mila, nie mrugając oczami. Potem podniósł wzrok na niebo.

– Czuję się dobrze, Milo – powiedział. – Dziękuję. To piękny wieczór.

Wszyscy czuli się dobrze. Wieczór był ciepły, wypełniony śpiewem ptaków. Chmury częściowo przesłaniały niebo, niczym rozdarta na kawałki tkanina, zabarwiona złotem na obrzeżach, gdzie chowało się zachodzące słońce.

– Nie będę dziś nauczał – oznajmił Budda. – Posłuchajmy lepiej muzyki.

Więc słuchali muzyki. Do obozowiska przyszli mieszkańcy wioski z instrumentem zwanym rudra wina.

Blask słońca przeszedł ze złota w róż, a potem w fiolet i czerni. Na niebie pojawiły się gwiazdy. Mistrz zjadł swój granat. A właściwie połowę. Drugą wręczył Ompatiemu.

Otoczyły ich zielone oczy, lśniące w krzakach. Przysunęły się bliżej. Cienie przypominające małych ludzi.

– Mały – wyszeptał Ompati. Gdy tylko wypowiedział te słowa, z ciemności wyszła stara samica pawiana, która usiadła obok i wpatrzyła się w niego. Potem wyciągnęła łapę i położyła długie cienkie palce na jego kolanie.

Gwiazdy przesunęły się po niebie. Grała rudra wina.

– Nie wstydz się, Ompati, mój przyjacielu – powiedział Mistrz. – O ile mi wiadomo, nie składałeś ślubów czystości.

Śmiech uczniów na długi czas zagłuszył muzykę.

Rano Mistrz źle się poczuł.

– Chyba zostaniemy tutaj jeszcze dzień – oznajmił Balbeer.

W południe Mistrz poczuł się jeszcze gorzej.

– Módlcie się – zaapelował Balbeer. Potem zwrócił się do Mila: – Weź miskę Mistrza i przynieś trochę jarmuzu, trochę aloesu i trochę soku z didi. Weszło w niego coś złego. Musimy to wygonić.

Przemawiał spokojnym, łagodnym tonem, ale Milo widział strach w jego oczach.

Zrobił, co mu kazano, a kiedy wrócił, Balbeer i uczniowie siedzieli w kręgu wokół śpiącego Mistrza, milczący i zasępieni.

– Siadaj – polecił Balbeer. – Niczego nie przełknij.

Wszyscy udawali, że medytują.

Słońce pochylało się nad horyzontem.

Ompati zmieszał resztki owoców z zieleniną i zrobił z nich sałatkę, którą podzielił się z Milem.

W końcu Mistrz się poruszył. Usiadł prosto, a potem, pomimo protestów Balbeera, wstał. Początkowo przygarbiony i zielony na twarzy, zebrał siły, wyprostował się i spojrzał na nich swoimi kosmicznymi oczami.

– Wkrótce umrę – oznajmił.

Odpowiedział mu chór oburzonych głosów, Mistrz uciszył je jednak, podnosząc rękę.

– Dlaczego mielibyście się tym martwić? – pytał z przyganą. – Mam osiemdziesiąt lat. Moja dusza powędruje do Wszystkiego. Powinniście cieszyć się wraz ze mną.

Z jego brzucha wydobył się okropny dźwięk.

– Poproście mieszkańców wioski, żeby przynieśli kilka koców i poduszek i urządzili mi posłanie w tym zagajniku, o tam. – Wskazał na kilka damarzyków rosnących nieopodal. – A teraz pozwólcie, że opuszczę was na chwilę – dodał i udał się truchtem do lasu.

Po południu wszyscy już wiedzieli. Pielgrzymi, uczniowie i gapie stali w zagajniku i wokół niego w koncentrycznych kręgach. Wszyscy wbijali wzrok w ziemię. Mistrz leżał na stercie koców z głową wspartą na poduszce ozdobionej frędzlami. Jego twarz zrobiła się jeszcze bardziej zielona, wydawał się jednak spokojny.

– Słuchajcie – mówił. – Chcę jasno postawić pewną sprawę, żeby po moim odejściu nie było żadnych wątpliwości. Nie wybrałem nikogo na swoje miejsce. Nie chcę, żebyście dalej wędrowali po Indiach. Wyglądamy jak cyrk. Rozejdźcie się. Wracajcie do domów. Opowiadajcie wszystkim o tym, czego się nauczyliście.

– Jak się czujesz, dotykając Doskonałości? – spytał jakiś zdesperowany głos z zagajnika.

– A jak ty się teraz czujesz? – odpowiedział pytaniem Budda.

– Jestem smutny – odparł głos. – Przerażony.

– Ja czuję to samo, dotykając Doskonałości – odparł Mistrz. – Ale nie martw się. Za chwilę to się zmieni.

Przytłumione głosy, zamieszanie.

– Posłuchajcie – przemówił ponownie Mistrz, kasłając. – Nie wędrujcie na krańce ziemi w poszukiwaniu szczęścia. Doskonałość to zadowolenie z tego, kim jesteście teraz.

– A jeśli ktoś jest dupkiem? – spytał któryś z uczniów.

Mistrz uśmiechnął się słabo.

– Bardzo wątpię, by szczęśliwi ludzie byli dupkami.

To powiedziałwszy, umarł.

Ompati wpatrywał się w przestrzeń, zszokowany.

– Dupkami. Tak brzmiało jego ostatnie słowo – zauważył.

– Nie sądzę, żeby mu to przeszkadzało – odparł Milo. – Patrz! – zawołał, wyciągając rękę. Wielu ludzi wskazywało to samo miejsce.

Z gałęzi drzewa opadały kwiaty. Jasnoczerwone płatki trzepotały w powietrzu jak ćmy i kładły się na zmarłym Mistrzu, na trawie i na pielgrzymach.

– Tak lepiej – powiedział Ompati.

Milo odszukał swoje ulubione drzewo i usiadł.

Zamierzał medytować. Co innego mógł robić?

Mógł wrócić do Moosy. Czemu nie? Nikt nie potrzebował nauk Mistrza bardziej niż idioci z Moosy.

Kaczki – rozmyślał, zamykając oczy. Koty. Księżyc. Śmierć. Wiatr.

Słyszał odległe głosy mieszkańców wioski, którzy gromadzili się w zagajniku. Chcieli, by Mistrz poleżał tam jeszcze trochę i wszyscy mogli go obejrzeć. Za trzy dni tak czy inaczej będą musieli go skremować.

Może dadzą mi garść popiołów – pomyślał.

Czy zasłużył na to? Wciąż nie wiedział.

Miał nadzieję, że jego starsze głosy i byłe żywoty wspomogą go jakąś radą czy uwagą, lecz w jego głowie panowała dziwna cisza. Odniósł wrażenie, że wcześniej były z niego ogromnie

zadowolone, a potem wszystko spieprzył.

– Otwórz oczy – usłyszał głos Ompati. – Wiesz, że nie umiesz medytować i gównu ci z tego wyjdzie, więc otwórz te cholerne oczy.

Milo otworzył oczy.

Ompati stał przed nim.

– Ty to zrobiłeś, prawda?

Milo zmrużył oczy i spojrzał na niebo.

– Nie wiem, o czym... – zaczął.

– Nie rób ze mnie idioty! – wrzasnął Ompati.

– W porządku – westchnął Milo. – Tak. Zrobiłem to. Zanim poszedłem zebrać o kolację, znalazłem w lesie pewien rodzaj grzyba. Rozgniotłem go i wtarłem w granat, który dałem Mistrzowi. Proszę bardzo. Oto odpowiedź.

Ompati drżał na całym ciele.

– Dlaczego? – spytał.

– Wiesz dlaczego. Jego historia jest ważniejsza niż jego życie. Wiedział o tym. Wszyscy o tym wiemy. Zrobiłem to, co konieczne. Być może jestem jego największym przyjacielem.

Czy tak było w istocie? Miał pewne wątpliwości. Słyszał, jak głosy w jego głowie pomrukują gniewnie.

Postanowił, że będzie o tym rozmyślał i medytował w drodze powrotnej do Moosy.

– Przepraszam – powiedział Ompati.

– Za co?

– Obawiam się, że dodałem drugą połówkę tego granatu do sałatki.

Milo poczuł dziwny ucisk w brzuchu.

– I?

– Mówię o sałatce, którą zjedliśmy dziś razem.

Zaśpiewał ptak. Milo patrzył przez chwilę na księżyc wschodzący pośród drzew.

– Cóż... – westchnął ponownie. – Fala wraca do rzeki.

– W rzeczy samej – przytaknął Ompati, siadając obok niego.

Czekali razem, medytując o burakach, monsunach, bogach, burdelach i innych wspaniałych rzeczach, które poznali w życiu.

Wdech. Wydech.

– Koty – powiedział Milo.

– Tsss... – odrzekł jego przyjaciel.

Rozdział 22

Ucieczka do chińskiego nieba

Tym razem Milo nie obudził się nad rzeką.

Nie obudził się nawet na pustyni.

Siedział na dnie głębokiej studni, która była czymś w rodzaju więziennej celi, tyle że bez toalety i wody.

– Cudownie – mruknął.

Nie trzeba być mędrce, by domyślić się, że w takie właśnie miejsce trafia człowiek, który zamordował Budę.

– Halo?! – zawołał.

Cisza. Czy zostawią go tutaj i zapomną o nim? Czy byłoby aż tak podli?

Do cholery, miał jeszcze jedno życie! Na Boga, ktoś musiał go wysłuchać. Rozejrzał się dokoła, szukając jakichś patyków albo kamieni, którymi mógłby rzucać. Naprawdę się wścieknie, jeśli spróbują zostawić go tutaj...

Coś przyćmiło na moment światło i wpadło do studni.

Drabinka sznurowa. Zawisła dokładnie naprzeciwko jego twarzy, kołysząc się lekko do przodu i do tyłu.

– Wyłaź – warknęła z góry Nan. – Chcę, żebyś coś zobaczył.

Milo burknął coś pod nosem, zirytowany. Nie pozwolił mu się nawet powściekać.

Wszedł na drabinkę.

Na górze czekała Nan z dwoma kotami. Stała na tylnym podwórzu czyjś domu.

Nie była sama. Niemal całe podwórze wypełniali ludzie – stojący, siedzący na kocach, rozparci na krzesłach ogrodowych. Wszyscy patrzyli w tym samym kierunku i nie zwracali najmniejszej uwagi na Mila.

Nawet Nan go ignorowała. Ona również była zainteresowana czymś innym.

Dom oraz podwórze znajdowały się na zboczu wzgórza, z którego rozciągał się widok na rzekę. Wzdłuż brzegów i na wzgórzach kłębił się ogromny tłum, jakiego Milo jeszcze nigdy nie widział. Morze głów ciągnęło się po sam horyzont.

Wśród zgromadzonych panowała atmosfera wielkiego święta. Niemal wszyscy ubrani byli w kolorowe, jaskrawe ubrania. Niektórzy trzymali flagi i odręcznie malowane transparenty. Nie brakowało półnagich pijaków z wymalowanymi torsami, którzy wyginali się w rytm osiemnastu tysięcy różnych rodzajów muzyki wprawiającej w drżenie powietrze. Wyglądało to tak, jakby połączono festiwal w Woodstock z finałem Super Bowl.

Milo stanął przy Nan.

– Co... – zaczął.

– Zamknij się i patrz – warknęła Nan. – Może nauczysz się czegoś przez tę godzinę czy dwie, które ci jeszcze zostały.

CO?!

Serce waliło mu młotem. Chciały wysłać go w kosmos. Albo w Nicość czy jak to tam zwały. Boże... Co to oznaczało dla Suzie? Kiedy spotkał ją tamtej nocy w pociągu, była już cieniem samej siebie. Co teraz? Czy jeszcze jest gdzieś tutaj, czy też wyprzedziła go w wędrówce do Nigdzie?

Krzyki tłumu przybrały na sile. Ludzie śpiewali radosne pieśni.

Źródło tej radości pojawiło się całkiem niedaleko, w dole zbocza.

Był to Budda, który przybył właśnie do Zaświatów. Szedł przez tłum powoli, pokornie, z łagodnym uśmiechem na twarzy. Księżę Siddhartha znów był młody, miał lśniące, czarne włosy, które przerzucił przez ramię.

Czy Mistrz go rozpozna? (Pomoże mu?)

Milo zaczął machać rękami i wołać:

– Hej! Tu na górze!

Nan dźgnęła go łokciem w brzuch i uśmiechnęła się szyderczo.

– Siedź cicho. To najwspanialsza dusza, jaka kiedykolwiek żyła tam na dole. Ty jesteś tylko gnojkiem, który go zabił.

Milo odwrócił się do niej, czerwieniejąc ze złości.

– Powinienem być się domyślić, że niczego nie zrozumiesz! – ryknął. – Dokonałem najtrudniejszej rzeczy, jaką można sobie wyobrazić, dla dobra Mistrza i wszystkich ludzi na świecie...

Nan dźgnęła go ponownie.

– Wszystko ci się pomieszało – mruknęła. – Zawsze posuwasz się za daleko.

Tymczasem Mistrz zbliżył się do rzeki, a powietrze nad wodą zaczęło drżeć i jaśnieć.

Nagle w górze pojawił się krąg złotego światła, który oblał tłum kosmicznym, doskonałym blaskiem. Sprawił, że wszystko stało się proste i piękne. Czyste jak powietrze i światło po deszczu.

Milo pomyślał, że Budda na pewno rozumie, co dla niego zrobił.

Może powie coś w ostatniej chwili. Przystanie i zawoła: „Hej, zapomnieliśmy o kimś! Gdyby nie było Mila, po Mistrzu zostałyby tylko opowieści jako o starym głupcu, który zapomniał własnego imienia i ślinił się jak niemowlę. Chodź tu do mnie, Milo!”.

Ale Budda nic nie powiedział.

Wszedł do rzeki rozpromieniony.

– Proszę – wyszeptał Milo. Nie miał siły na nic więcej. Czas i przestrzeń wbiły się weń niby wielki korkociąg i wyciągnęły z niego całą energię.

Był skończony.

Jak to możliwe, że człowiek tak mądry i dobry staje się wrogiem całego wszechświata?

Mistrz był już tylko cieniem na tle powodzi światła. Potem Drzwi Słońca wchłonęły go w siebie, stał się ich częścią.

Wielkie światło przyblakło i zniknęło.

– To dokładne przeciwieństwo tego miejsca, do którego ty się wybierasz – powiedziała Nan. Milo ledwie ją słyszał, bo odezwały się jego własne, stare głosy, które wcale nie były zadowolone.

Miałeś przedostatnią szansę, żeby uporządkować swoje życie – mówiła jego dusza – a ty zamordowałeś Buddę. Oj.

Och, daj spokój! – zirytował się Milo. Byłaś tam. Wiesz, jak to wyglądało.

Ty. Zamordowałeś. Buddę.

Zrobiłem coś skomplikowanego i zbawiennego – rozmyślał Milo. A przynajmniej próbowałem. Nagle poczuł w sobie dziwne trzepotanie. Przemoc, która była delikatna, anielska. Własna dusza Mila próbowała go pobić, na swój wyjątkowy, metafizyczny sposób.

Nad rzeką, miastem i ogromną rzeszą ludzi zapadał już zmrok, lecz tłum nie zamierzał się rozchodzić. Wielki dzień nie dobiegł jeszcze końca.

Ludzie wymieniali się uwagami, rozglądali się dokoła, jakby czegoś szukali. Powoli, odwracając się w kierunku wskazanym przez niektórych gapiów, wszyscy znajdowali to, co ich teraz interesowało. Podnosili wzrok na wzgórze, na podwórko, gdzie stał Milo, na samego.

A potem wszyscy wyciągnęli ręce w jego stronę.

– To on – powiedzieli.

– Ożeż kurwa... – jęknął Milo. – *Naprawdę?*

Trzask! Nagle zmaterializowała się obok niego Mama.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała. – Nie chciałam przegapić widowiska na dole.

– Mama! – krzyknął Milo. Nadzieja. – Bogu dzięki! Miałem już...

– Tss... – przerwała ma Mama, odwracając się do niego plecami. – Proszę, bądź cicho.

Milo czuł, jak opuszczają go resztki sił. Upadłby, ale go złapali. Nie Mama ani Nan, lecz ludzie stojący na podwórzu, tłum. Podnieśli go i zaczęli nieść tak, jak tłumy niosły czasami świętych na stos albo królowe na szafot. W dół, wzdłuż rzeki.

Milo zamknął oczy i poddał się.

Przez most, ku kolejnym dzielnicom i ich chodnikom.

Słyszał wyzwiska, jakimi go obrzucali. Nie były zbyt wyszukane.

Morderca. Truciciel. Judasz.

Od czasu do czasu ktoś go uderzył albo czymś w niego rzucił. Coś mokrego rozprysnęło się na jego ramieniu. Coś trafiło go w kolano.

Milo milczał. Nie chciał, by potem rozeszła się pogłoska, że się wściekał i panikował jak szaleniec albo morderca, ale gdy właśnie o tym myślał, ktoś dźgnął go kijem prosto w czułe miejsce na łokciu.

– Niech to szlag! – zawył.

Dokoła podniosła się wrzawa.

– Widzicie? – mówili, pokazując go palcami. – Widzicie? Na pewno zawsze taki był! Przez wszystkie dziesięć tysięcy żywotów czekał tylko na okazję jak bomba zegarowa.

Dość – pomyślał Milo. Skoro oni mogą być podli, to i ja będę. Mam większe doświadczenie niż ci frajerzy. I zaczął się odwracać, otwierając szeroko usta. Na początek odgryzie kilka palców. A potem nosów. Co miał do stracenia?

I nagle poderwał się do lotu.

Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Obłok liści i pyłu, który wyrwał go z ich rąk i poniósł w górę. Prosto w Nigdzie, w Nicość. Nic, tylko wiatr i coś, co oplotło go jak nogi, co wyglądało jak bezdenne oczy, co dotykało jak język.

– Kochany – powiedziały ciemność, wiatr i nicość.

Kiedy ucichł wiatr i ustąpiła ciemność, znaleźli się w jakimś odległym miejscu.

Zmierzch. Lekka bryza i dzwoneczki wietrzne. Tu i tam kolorowe latarnie. Przyszań i stare

łodzie, które unoszą się i opadają, jakby oddychały.

Zmaterializowali się na pokładzie jednej z nich. Długiego obszernego sampana, który wyglądał jak wielkie canoe z dachem.

Chińskie niebo – pomyślał Milo. Super.

Rozejrzał się dokoła.

– Suzie?

Coś jak westchnienie i szept z drugiej strony sampana.

Nie widział jej, dopóki księżyc nie wyszedł zza chmur. Leżała jak szmata przewieszona przez reling, rozplywała się jak mgła.

– O cholera – jęknął i podbiegł do niej. Próbował ją przytrzymać, podnieść. Znaleźć coś, czego mógłby dotknąć.

– Musisz mnie podtrzymać – wyszeptała. – Jestem prawie całkiem zużyta. Musisz pozwolić, żebym zaczerpnęła od ciebie.

Trzymał ją. Drżał z wściekłości i strachu. Ile jeszcze mają czasu, nim rozplynie się w nicość? Skąd, do diabła, wzięła dość sił, żeby go porwać i odlecieć z nim.

– Wiem – westchnęła. – Zamknij się.

Nawet jej głos był już tylko cieniem jej dawnego głosu.

Boże – myślał – kiedy kogoś się kocha, każdy dzień jest Przeciwiństwem. Obecność tej osoby daje siły i je odbiera. Sprawia, że chce się śmiać i płakać. Ubierać i rozbierać. Chce się zatrzymać ją na zawsze i zjeść jak porcję frytek.

– Zabiłem Buddę – wyznał.

– Rozumiał to – odparła Suzie. – Wiedział, że postąpiłeś mądrze.

Milo tupnął nogą w bezsilnej złości.

– Wiedziałem! – wrzasnął. – Wiedziałem! Cholera, Suzie, dlaczego nic nie powiedział? Wystarczyło, żeby spojrzeć na tych cholernych wysłanników wszechświata i powiedział: „Nie bądźcie zbyt surowi dla Mila, wy bezduszne, dwubiegunowe fagasy, on chciał tylko zapewnić pokój i życzliwość w przyszłości”, ale nieeeeeeeeeee...

– Był zajęty – przerwała mu spokojnie. – Transformacją w czyste wieczne światło. A tak przy okazji tęskniłam za tobą.

No tak.

– Ja za tobą też – odpowiedział. – Ostatnim razem nie mieliśmy za dużo czasu.

– Być może tym razem też go nie będziemy mieli. To zależy, jak bardzo będą chcieli cię złapać. I zależy też...

Przesunęła ręką przed najbliższą latarnią. Jej dłoń stała się niewidzialna.

Widział jednak jej oczy. Były pełne miłości.

No widzisz – pomyślał. *To jest właśnie Doskonałość.*

– Może jeśli wejdziemy razem w czyste wieczne światło – mówił – razem się w nim rozplyniemy i nadal będziemy razem.

Skinęła głową.

– Może mam mniejsze oczekiwania niż kiedyś – odrzekła – ale mnie też by to wystarczyło.

Milo usiadł i oparł się plecami o nadburcie. Suzie leżała z głową na jego kolanach. Oddychali w jednym rytmie.

– Budda sprawił, że dostrzegłem w Doskonałości coś, czego nie widziałem tam wcześniej – powiedział Milo.

– Że jest lepsza niż unicestwienie?

– Że chodzi o ewolucję. Ten facet ciągle ewoluował. Kiedy zaczął tracić rozum, wcale się nie poddał, nie osunął się w śmierć, tylko wstawał co rano, robił różne rzeczy i wciąż się uczył. A kiedy śmierć rzeczywiście nadeszła, spokojnie ją przyjął. Ciągłe się rozwijał. Robił następny krok. I tak to właśnie powinno wyglądać. A następnym krokiem, jeśli na niego zasłużyć, będą Drzwi Słońca.

Suzie odchrząknęła znacząco, jakby chciała mu o czymś przypomnieć.

– Zastanowimy się, co zrobić z tobą – zapewnił ją. – Musimy tylko trzymać się od nich z daleka, aż coś wymyślimy.

Zapadła noc, niebo płonęło miriadami gwiazd. Papierowe lampiony ze świeczkami unosiły się niczym motyle nad miastem i zatoką.

– Szkoda, że nie zrobiliśmy tego już dawno temu – powiedziała Suzie.

Gwiazdy i lampiony odbijały się w wodzie.

Wyglądało to tak, jakby uciekli w głębiny kosmosu.

Czas płynął. Mieszkali na sampanie, niekiedy w tej samej przystani, niekiedy płynąc wzdłuż wybrzeża. Mijały kolejne dni i noce, a potem tygodnie.

Czasami Milo wyczuwał wrogie spojrzenia, rzucane w ich stronę. Wyczuwał plany i złe zamiary, które oplatały ich gęstą siecią. Wiedział, że wszechświat chce interweniować, przywrócić zaburzoną równowagę. W takich chwilach ruszali w drogę. Żeglowali. Zapuszczali się w górę rzeki i cumowali pod wielkimi, rozłożystymi i kwitnącymi drzewami.

Byli najpiękniejszymi zbiegami w całej wieczności.

Nawet jako zbiegowie wiedzieli, że życie jest po to, by coś *robić*.

Czytali razem książki. Jedli i pili podczas świąt i uroczystości. Pewnego razu zrobili wielkiego papierowego smoka, w którym mogli się oboje ukryć i biegać pośród tłumów, brzęcząc dzwoneczkami i rycząc. Towarzyszyła im czereda zachwyconych dzieciaków.

Kochali się tak powoli – jak inaczej mogłaby to robić mgła? – że ogarniała ich przy tym przyjemna senność, jakby wylegiwali się w ciepłej trawie. Suzie była jak cień lub ciepła woda, która go obmywała i poruszała się z nim. Mimo to wciąż był to prawdziwy seks, potężny i odurzający.

Pewnego ranka Milo siedział na rufie, prał skarpetki w wiadrze i oglądał teleturnieje na małym telewizorze na baterie, gdy zobaczył całą grupę przedstawicieli wszechświata idących pirsem. Szli zdecydowanym krokiem w ich stronę, mieli zacięte miny i okute drągi.

– Powinniśmy się stąd wynieść! – zawołał do Suzie, która przygotowywała posiłek.

Nie musiał dodawać nic więcej.

Westchnęła ciężko, ale zrobiła to, co należało.

Wiatr! Szelest liści! Gwałtowny podmuch! Uciekli.

Przez jakiś czas mieszkali na zboczu góry.

Niedługo. Milo wyczuwał, że mają coraz mniej czasu, a ich pula szczęścia wkrótce się wyczerpie.

Dusze mieszkające na górze codziennie zbierały liście herbaty, a Milo i Suzie postanowili do nich dołączyć. Długie szeregi herbacianych krzewów rosły na ułożonych kaskadowo terasach na zboczu góry. Gdy od morza nadciągała mgła, zakrywała dolną część góry. Tkwili wtedy nad chmurami, jak w kreskówkowej wizji nieba.

Wypasali owce, które jadły chwasty, a nie ruszały krzewów herbaty, a przy tym nawoziły je swoim łajnem. Mieszkali w okrągłym drewnianym domu z trzema setkami innych ludzi. Dom przypominał wir złożony ze ścian, okien i rozwieszonego pod sufitem prania. Jedli wszyscy razem, razem puszczała wieczorem papierowe lampiony, słyszeli wszystko przez ściany i otwarte okna, gdy inni rozmawiali lub się kochali. Dom miał sześć tysięcy lat, a każdy, kto tu kiedyś mieszkał, wydrapał swoje imię na ścianie, na schodach, na dachu, gdziekolwiek. Budynek stał się biblioteką imion. Milo i Suzie wryli swoje imiona na małym drewnianym podwyższeniu przy studni. On napisał „Milo”. Suzie zapisała swoje prawdziwe imię, bo każdy przedstawiciel wszechświata i każda siła natury również nosi własną, wyjątkową nazwę. Jeśli chodzi o nią, było to siedem zachodzących na siebie symboli nieskończoności złożonych z ciągu liczb reprezentujących litery. Napis zapalał się pod dotykiem i poruszał. Pod spodem Suzie dopisała: „alias Suzie”.

Pewnego dnia na górę wszedł przedstawiciel wszechświata okryty prostą szatą z workowej tkaniny. Najpierw Milo pomyślał, że to Mama, i struchlał.

Ale to nie była Mama.

Nieznajomy dołączył do nich bez słowa i zaczął pomagać przy zbiorze herbaty.

Na wszelki wypadek Milo i Suzie zasłonili oczy ciemnymi okularami.

Przedstawiciel wszechświata puszczał papierowe lampiony, a potem zjadł z nimi kolację. Przedstawił się jako Mohenjodaro Bo-Ti Harrahj Nandaro, Piąta Droga Piątego Światła Piątego Znak Piątej Nocy, Ten, Który Jest Daleko i Blisko, Wcielenie Pracy.

Zapisał swoje imię na drewnianej misce. Zajęło mu to piętnaście minut.

Mohenjodaro nie zrobił ani nie powiedział niczego, co by się mogło wydać podejrzane. Umył wszystkie naczynia, spędził noc w szopie na narzędzia i odszedł przed śniadaniem.

– Co cię dręczy? – spytał Milo po śniadaniu. Tego ranka postanowili zostać w domu, bo Suzie czuła się wyjątkowo przezroczyście i zatroskana.

– Nie lubię żyć w strachu – odparła. – Mam dość uciekania i poczucia, że każda chwila to ziarno piasku w klepsydrze mojego życia. Chcę być wreszcie u siebie w domu. Chcę odzyskać mój sklep ze świecami. Chcę, żebyśmy... żebyśmy...

– Normalnie żyli – dokończył za nią Milo, który stał przy oknie i patrzył na zieloną górę wyrastającą z morza mgieł.

– Tak – potwierdziła Suzie drżącym głosem. – Ale oni nam na to nie pozwolą. *Boa* nam na to nie pozwoli. Wcześniej czy później nas dopadnie, jak fala rozchodząca się po wodzie.

Milczenie.

Tak właśnie wygląda kapitulacja – pomyślał Milo.

Daleko w dole mgła się przeredziła i rozstąpiła na moment, ukazując wybrzeże i krętą wstęgę rzeki.

Milo wstrzymał oddech. Jego oczy nabrały osobliwego, łagodnego blasku.

– Wiem, co trzeba zrobić – wyszeptał.

Suzie spojrzała na niego z powątpiewaniem, ale wyszeptała:

– Więc powiedz.

– Chodź ze mną – poprosił. Wyszli z okrągłego domu, trzymając się za ręce.

Przeszli między okrytymi mgłą krzewami na brzeg rzeki.

Suzie zrozumiała.

– Chcesz wrócić i przeżyć swoje ostatnie życie – powiedziała. Jej oczy posmutniały, zebrała jednak siły i wyprostowała się. – Tak właśnie powinno być. Idź, dopóki możesz, i...

– Ty pójdziesz ze mną – przerwał jej Milo.

Spojrzała na niego ze zdumieniem i zaciekawieniem.

– Razem wszystko naprawimy – dodał.

– Nie. – Suzie pokręciła głową. – Chcesz powiedzieć, że mogłabym przeżyć zwykłe życie... byłabym człowiekiem?

– Jedno życie. Zrobimy to dobrze albo źle, wygramy albo przegramy razem. Wszystko albo nic. Chodnik.

– Kochanie, nie mogę tego zrobić – odrzekła łagodnym tonem.

– Suzie – westchnął Milo. – Najdroższa. Kochanko od ośmiu tysięcy lat. Ogromnie cię kocham, więc nie bądź upartym osłem. Co masz do stracenia? Jedno z nas?

W oczach Suzie pojawił się błysk gniewu, szaleństwa i desperacji.

– Jestem najmądrzejszą duszą we wszechświecie – przypomniał jej Milo. – Zaufaj mi ten jeden raz.

Milczała, ale ponownie ruszyli przed siebie, przez wąską, skalistą plażę.

Stanęli nad wodą i ujrzeli w niej tysiące możliwych żywotów.

Suzie podniosła rękę.

– Spójrz – poprosiła. – To.

Milo spojrzał.

– Chyba żartujesz – parsknął. Jednak im dłużej patrzył, tym rozsądniejsza wydawała mu się ta propozycja.

– Pokój. – Pokiwał głową. Mistrz pochwaliby ten wybór.

– Pokój – powtórzyła Suzie.

Weszła do wody.

– Ciekawe, jak to będzie wyglądało – zastanawiała się głośno.

– Jak życie boga – odparł Milo. – Tyle że bez tego wszystkiego, co odróżnia bogów od ludzi.

– Mówisz tak, jakbyś tego nie cierpiał.

– Nie cierpię się rodzić. To ohydne.

Zanurzona do pasa w wodzie, podskoczyła i pocałowała go w usta.

– Wszystko albo nic! – zawołała i zanurkowała w falach.

Milo był tuż za nią, po raz ostatni wchodząc w nowe życie.

Rozdział 23

Niezwykłe misterny (i dziwnie hipnotyczny!)

tatuaż Julie DeNofrio

Przed oczami Mila przemykały jego poprzednie żywoty. Czasami dzieje się tak nie tylko tuż przed śmiercią, ale i tuż przed narodzinami.

Nie przypominały mu się wszystkie. Tylko niektóre. Przeżyte zgodnie z zasadami, których nauczył się od Buddy. Te, w których szerzył Pokój przez duże P.

Kiedys przez pięćset lat był drzewem i postrzegał świat zewnętrzny jako coś dużego, co się zmieniało, poruszało i miało w sobie ogień. Kiedy wiał wiatr, pochylał się. Kiedy przychodziła jesień, zrzucał liście. Kiedy go ścięli i zrobili z niego dom, był wspaniałym domem. Był już stary, myślał i czuł, i rozumiał te przemiany, i wiedział, że każda z nich miała miejsce w naturalnym porządku świata.

Każda jego chwila i myśl była Łagodnością i Spokojem.

Na Gorm 7, planecie eksperymentalnej, gdzie poddawano badaniom w praktyce różne sposoby życia, Milo mieszkał w dzielnicy, w której pewnego roku kontrolerzy dwukrotnie podnieśli czynsz.

Mieszkańcy dzielnicy nie buntowali się, nie zaatakowali siedziby kontrolerów. Po prostu zrzucili ubrania i poszli do lasu.

– Wracamy do natury – mówili.

– Hej! – wołali kontrolerzy. – Nie możecie tego zrobić! Nie wolno wam! Potrzebujecie naszych domów!

Nadzy ludzie nie odpowiedzieli. Zniknęli między drzewami.

Tak się złożyło, że Milo siedł za swoją (byłą) sąsiadką Julie DeNofrio. Miała niezwykle misterny – i dziwnie hipnotyczny! – tatuaż na plecach.

Nigdy by go nie zobaczył, gdyby nie ten pokojowy – i bardzo skuteczny! – protest konsumencki. Nigdy nie wiadomo, jakie czekają cię niespodzianki, gdy zechcesz się rozwijać.

Pokojowe zmiany zachodziły też niekiedy w Zaświatach. Wkrótce po tym jak zostali kochankami, Suzie postanowiła założyć szklarnię.

– Będiesz uprawiać i sprzedawać rośliny? – zdumiał się Milo. – Czy ja dobrze słyszę?

– Tak – odparła. Jedli właśnie burrito. Suzie przerwała. – Dlaczego?

Mogła zajrzeć do jego umysłu, starał się więc nie myśleć o tym, że trudno przypuszczać, by Śmierć miała dobrą rękę do roślin.

– Nic, nic – odpowiedział. – Pomogę ci, jeśli chcesz.

Suzie ponownie zajęła się swoim burrito.

Szklarnia prosperowała doskonale. Jak się okazało, śmierć była istotną częścią uprawy. Rośliny umierały i wracały do ziemi. Liście więdły i opadały, można je też było przycinać. W miejscu uschniętych roślin wyrastały nowe.

Wyjątkowo dobrze Suzie radziła sobie z uprawą roślin mięsożernych. Pewnego razu wyhodowała muchołówkę, która zjadła jednego z kotów Nan.

– Może nie zauważy – pocieszał ją Milo.

I nie zauważyła.

W odległej przyszłości ludzie zamieszkujący różne planety nie przeszkadzali sobie nawzajem i utrzymywali głównie kontakty handlowe. Jednak w 3025 roku mieszkańcy Kurgan 4 zaatakowali Pondwater 3.

– Będziecie pracować dla nas! – ryknęli Kurganie.

Mieszkańcy Pondwater 3 (wśród nich także Milo) odrzekli krótko:

– Nie.

Kurganie zastrzelili część z nich, lecz Pondwaterianie wciąż powtarzał:

– Nie.

Kurganie próbowali ich bić, wykręcać im ręce, zmuszać ich do pracy i prowadzić tam, gdzie zechcieli, lecz ludzie z Pondwater albo zupełnie ich ignorowali, mówili „nie”, albo osuwali się bezwładnie na ziemię i tam leżeli.

I cytowali przypowieść Jonathana Yah Yah, słynną lekcję o tym, jak nie możesz zniewolić kogoś, kto się ciebie nie boi.

Wreszcie zdumieni i zakłopotani Kurganie powiedzieli: „A chuj z wami, dupki”, porzucali trochę roślin doniczkowych, wsiedli na swoje statki i wrócili do domu.

Milo był jednym z tych pechowców, którzy zostali postrzeleni. Kiedy leżał na ziemi, bliski śmierci, podszedł do niego jakiś człowiek w czapce baseballowej i powiedział:

– Tak naprawdę to nie jest koniec. Jesteś jak fala, która się podnosi, a potem wraca do rzeki. Wkrótce znów się podniesie.

– Wiem – odparł Milo. – Ale zanim ta fala zacznie wracać, zjadłaby chętnie kawałek pizzy.

Mężczyzna w czapce spełnił jego prośbę i przyniósł mu kawałek pizzy.

To był miły gest.

Umierając, Milo rozmyślał o tym, że takie miłe drobiazgi to w istocie wielkie rzeczy.

Suzie też czasami wspierała Pokój.

Oczywiście, jako że była Śmiercią, jej dokonania mogły wprowadzać innych w błąd i na pierwszy rzut oka wcale nie kojarzyć się z Pokojem.

Pewnego razu wybrała się na wyścigi konne. Na derby Epsom, w 1913 roku.

Było przyjemnie. Było radośnie. Mnóstwo bogatych eleganckich Brytyjczyków w wymyślnych nakryciach głowy. Kapelusze kobiet były olbrzymie. Nie mogła się na nie napatrzeć. Chciała mieć taki.

Jednego z elementów swej pracy naprawdę nie cierpiała. Otóż wybierasz się czasami w cudowne miejsca i doskonale się bawisz, aż... aż musisz spełnić swoją powinność i zepsuć wszystkim dzień.

Pojawiła się tutaj z powodu pewnej kobiety.

Emily Davison była sufrażystką. Kilkakrotnie trafiała do więzienia za walkę o równe prawa dla kobiet – głównie o prawo do głosowania, ale nie tylko. Kilkakrotnie podejmowała strajk głodowy, a strażniczki więzienne musiały karmić ją siłą.

Suzie stała przy barierce i obserwowała, jak konie ustawiają się do biegu, gdy Emily Davison podeszła do niej i powiedziała:

– Dzień dobry.

– Och... – zdziwiła się Suzie. – Dzień dobry.

Emily była starą, mądrą duszą. Niektórzy ludzie dostrzegali Śmierć bez względu na to, czy chciała być dla nich niewidzialna, czy nie. Sufrażystka należała do takich właśnie ludzi.

Zabrzączał dzwonek, a konie popędziły po torze, znikając im z oczu.

Suzie podziwiała kapelusz Emily.

Miała ochotę spytać, czy nie zechciałaby go zdjąć, żeby się nie zniszczył, ale nie zrobiła tego. Nie chciała być nietaktowna.

– Nie będziesz mnie namawiać, żebym zrezygnowała, prawda? – spytała Emily.

Suzie pokręciła głową.

– Uważam, że to akt wielkiej odwagi – odparła. – I niestety konieczny. Wielu ludzi zazna dzięki temu dobrych rzeczy.

Emily skinęła głową. Stała nieruchomo, wpatrzona w tor szeroko otwartymi oczami.

Konie nadbiegały z drugiej strony toru, słychać już było huk kopyt.

– Boję się – przyznała Emily.

Suzie położyła urękawiczoną dłoń na jej ramieniu i otworzyła usta, by powiedzieć coś, co dodałoby jej otuchy. Ale co właściwie mogła powiedzieć?

– W porządku. – Emily uśmiechnęła się słabo. – Jeśli chcesz, możesz potem wziąć sobie mój kapelusz.

To powiedziawszy, zanurkowała pod poręczą i rzuciła się pod Anmera, konia należącego do króla Jerzego.

Tłum zafalował i wydał z siebie przytłumiony okrzyk, po którym nastąpiła cała seria piskliwych, pełnych przerażenia wrzasków.

Suzie weszła na tor, między obsługę wyścigu, zdezorientowane konie, ludzi z aparatami fotograficznymi i lekarza. Przekonała się, że zarówno kapelusz Emily, jak i ona sama są zmasakrowane.

Do tej pory władze ignorowały sufrażystki. Jednak po tym jak ulice Londynu zablokowało pięćdziesiąt tysięcy osób przybyłych na pogrzeb Emily, nie mogły tego dłużej robić.

– Co za odwaga – powtarzała Suzie, obserwując pogrzeb.

Emily Davison powróciła w następnym życiu jako sufrażystka, później jako węgorz elektryczny, a jeszcze później jako bojowniczką o prawa kobiet.

Suzie często rozmyślała o tym, że dopóki niektórzy ludzie mają tak dużo determinacji, nic naprawdę złego nie może się stać.

– Czy może się wydarzyć coś naprawdę złego? – spytała kiedyś głośno i w tym samym momencie poczuła obezwładniające przerażenie.

Coś naprawdę cholernie złego – odpowiedział w jej wyobraźni wszechświat, kręcąc swym wielkim, pretensjonalnym łbem.

Rozdział 24

Family Stone

Ganimedes, księżyc Jowisza, rok 2150

Milo urodził się we wnętrzu maszyny.

Mieszkał tam ze swoją rodziną i dziesięcioma tysiącami innych ludzi.

Maszyna miała za zadanie pełzać po powierzchni Ganimedesa, największego księżycu Jowisza, i upodabniać go do Ziemi sprzed katastrofy. Pompowała więc różne rzeczy w atmosferę i robiła coś z glebą, a zamknięci w niej ludzie utrzymywali w ruchu jej silniki, przygotowywali substancje chemiczne i pędzili trudne, znojne życie.

Oficjalnie Milo nazywał się JN010100101101110. Kartelom zarządzającym zasobami naturalnymi w zupełności wystarczały takie oznaczenia. Tylko najbliżsi mówili do niego Milo. Przyjaciele z dzieciństwa przezywali go Zgnilo, bo chłopcy już tacy są.

Dwaj najlepsi przyjaciele Mila nosili przezwiska Żaba i Bąbel. Ich podwórkiem i placem zabaw były korytarze między turbinami w maszynowniach. Urządzali sobie kryjówki pośród rur i zasobników. Znali wiele, aż nazbyt wiele nawiedzonych miejsc, do których sami bali się chodzić, ale prowokowali innych, by to zrobili: miejsca, gdzie ktoś utonął w pompach usuwających glony lub zginął, naprawiając potężne kleszcze. Miejsca, gdzie ludzie zostali zmiażdżeni, ugotowani, zamrożeni lub przetworzeni.

Znali też kilka niezwykłych, cudownych miejsc, takich jak nieliczne okna w ścianach maszyny – iluminatory, przez które można było zobaczyć ogromną tarczę Jowisza. Zdarzało się, że widzieli drony karteli przelatujące przez niebo... obserwujące i nasłuchujące.

Pewnego dnia przebywali właśnie na pokładzie mieszkalnym i przyglądali się jakiejś paskudnej cieczy, która sączyła się ze ściany, gdy nagle najbliższa kapsuła rodzinna eksplodowała krzykami:

– Boże, nie! Nie możecie tego zrobić! Zapłacimy wam! To był wypadek!

– Znajdziemy wykwalifikowaną rodzinę poza planetą – odparł ostry, wzmocniony głos. – A teraz puszczaj!

Z kapsuły wyszli dwaj nadzorcy obwieszeni policyjnym sprzętem. Jeden z nich niósł niemowlę.

– Naszym sąsiadom urodziło się w zeszłym roku ponadplanowe – tłumaczył cicho Żaba. – Próbowali to ukryć, ale jak można ukryć dziecko?

– Skoro zabierają je poza planetę – zastanawiał się głośno Milo – to dlaczego idą w stronę kuchni?

Mijały lata. Milo zaczął pracować ze swoim ojcem w wielkim centralnym respiratorze

maszyny.

W dniu, w którym wszystko uległo zmianie, ojciec przyłapał Mila, gdy ten stał na płucu i unosił się z nim w rytm oddechu.

– Do diabła, Milo! – ryknął ojciec. – Przez ciebie nas wywałą.

Milo nie próbował się z nim spierać, bo rzeczywiście nietrudno było stracić pracę. A jeśli nie miałeś pracy, nie mogłeś mieszkać w osiedlach kartelu. A ponieważ w maszynie nie było miejsca dla bezdomnych, ludzi pozbawionych pracy zsyłano na planetę. Nikt jeszcze stamtąd nie wrócił.

– Jak się czuje mama? – spytał Milo, zjeżdżając z płuca. Mama ostatnio chorowała.

Ojciec pochylił się pod rurą parową i sięgnął po klucz zatknięty za pas.

– Pracuj – powiedział. – Obserwują nas.

Milo dołączył do niego.

– Właśnie dlatego przyszedłem po ciebie – mówił tata. – Zastanawiałem się nad tym, co powiedziałaś o swoim kumplu.

Żaba zajmował się ostatnio nielegalną produkcją tanich lekarstw, które sprzedawał na czarnym rynku.

– Nie powinieneś mówić głośno o takich rzeczach – ostrzegł go Milo. – No wiesz, o wyrzuceniu z pracy. Albo o zastrzeleniu.

Ojciec znieruchomiał na moment. Gwizdnął, a jego ryba opadła mu na dłoń i wyświetliła schemat. Ojciec przyglądał mu się przez chwilę, a potem spojrział na rury w górze.

– Ubezpieczenie, które zapewnia nam kartel, nie zapłaci już więc za lekarstwa – powiedział.

– Więc czuje się gorzej.

– Wiedziałbyś o tym, gdybyś przychodził nocami do domu, a nie ciągle przepuszczał pieniądze w tym... miejsku.

Cholera! – pomyślał Milo. To ojciec o tym wie?

Tym „miejscem” była Kraina Snów, tani burdel na poziomie rekreacyjnym. Kobiety mogły dodatkowo zarobić jako licencjonowane prostytutki, spędzając ten czas pogrążone w krzepiącym śnie wywołanym narkotykami.

– Muszę coś załatwić – oznajmił Milo i udał się w kierunku, z którego przyszli.

– Zrób to – odparł ojciec.

Domem była okrągła kabina z otworami sypialnymi w ścianach. Tego wieczora mama została na czas kolacji w łóżku. Milo słyszał jej kaszel.

Tato nie miał ochoty na rodzinne pogaduszki, więc Milo porozmawiał z bliźniętami.

Czteroletni brat i siostra Mila przyszli na świat w dniu jego dwunastych urodzin. Na szczęście ich rodzina odgrywała ważną rolę i mogła mieć troje dzieci. Carlo i Serene żyli we własnym świecie, czasami nawet porozumiewali się językiem, który sami wymyślili. Śmiali się z rzeczy, których nikt inny nie słyszał i nie rozumiał.

– Zi tu – powiedziała Serene.

– Mak lou – odparł Carlo z pełnymi ustami.

– Mak lak – dorzucił Milo, a bliźnięta tylko spojrzały na niego.

Po kolacji Milo zaprowadził tatę do Żaby.

Kiedy tam dotarli, w korytarzu czekało już kilka osób. Jedna po drugiej wchodziły do kapsuły Żaby, po czym opuszczały ją pośpiesznie i natychmiast się oddalały. Kiedy przyszła kolej Mila,

w korytarzu czekało już kolejnych siedmiu klientów, pokaszujących i zdenerwowanych.

– Coś się dzieje – powiedział Milo do Żaby.

– Zamykam interes na noc – odparł przyjaciel, zmagając się z maszynką do dzielenia pigułek. –

Przez nich mnie namierzają. O co chodzi?

– O moją mamę. Ma taki sam kaszel jak wszyscy.

Żaba wręczył mu zasuwana, foliową torebkę z pięcioma pastylkami.

Z korytarza dochodził coraz większy hałas. Przybywało coraz więcej ludzi. Słyszać było głośniejsze kasłanie.

– To antybiotyk spoza oficjalnego obrotu – wyjaśnił Żaba. – Szesnaście. Cena dla przyjaciół. A teraz spadajcie.

Ojciec podał mu szesnaście bonów.

Kiedy Milo otworzył drzwi, runęło na niego trzech wielkich, kaszlących hydraulików, którzy tłoczyli się przy wejściu.

– Nic nie mam! – krzyczał przerażony Żaba. – Jestem tylko zwykłym pomywaczem, przysięgam na Boga!

Tupot nóg w ciężkich buciorach na korytarzu. Nadzorcy!

Ojciec złapał Mila za łokieć. Podnieśli się razem z podłogi i zgięci w pół ruszyli do wyjścia.

Uwolnwszy się wreszcie spod napierających ciał hydraulików, wypadli na korytarz.

Ale na korytarzu było jeszcze gorzej. Nieprzeliczona masa kaszlących ludzi, a między nimi nadzorcy, rozbijający czaszki chorych. Zza rogu dobiegało wycie anakondy.

Wszędzie ruch pięści i łokcie.

Zasuwana torebka się otworzyła.

– Debile! – krzyknął Milo, łapiąc torebkę.

– Nie ma na to czasu – mruknął ojciec, ciągnąc go za sobą.

Jeden z nadzorców złapał go za kołnierz i pociągnął w drugą stronę.

– Twój SPLAT został przeskanowany! – ryknął wzmocniony głos. – Pod ścianę!

Pojawiła się anakonda – potężny plastikowy wąż, przytrzymywany przez nadzorców w sztucznych egzoszkieletach, który wciągał krzyczących uczestników zamieszek. Wpadali do olbrzymiego wlotu węża i znikali (gdzie?).

Urządzenie zwróciło się ku Milowi. Strumień powietrza zaczął go wciągać.

Ojciec, zaciskając zęby, próbował się czegoś przytrzymać, czegokolwiek.

Nagle pojawiła się ta dziewczyna.

Wbiegła między nich, wymachując gwałtownie rękami. Miała długie czarne włosy i szalone oczy.

– Nie! – krzyknęła do nadzorców w egzoszkieletach. – Oni są ze mną! Tajna agentka numer sześć milionów sześćdziesiąt pięć tysięcy!

Pomachała im przed nosem jakąś plastikową odznaką.

Olbrzymi odkurzacz oderwał dziewczynę od ziemi. Połknął też Mila i jego ojca...

...prawie. Nadzorcy wyłączyli maszynę. Szerokie żaluzje przesłoniły otwór wlotowy. Ojciec upadł na podłogę, ale nadzorcy szybko go podnieśli celnymi kopniakami.

– Za mną! – rzuciła przez ramię dziewczyna, a potem pobiegła w głąb korytarza.

Oszołomieni pobiegli za nią co sił w nogach.

Dziewczyna wyprowadziła ich prosto na poziom handlowy w chwili, gdy rozległ się dźwięk gwizdka zwiastujący koniec pracy jednej zmiany i początek następnej. Cała hala drżała lekko, gdy wieczorna zmiana opuściła swoje stanowiska i mijała się z grupą zasepionych robotników z następnej szycoty. Dudniły ciężkie buty, przytłumione głosy mruczały coś ponuro. Dzwoniły narzędzia zawieszane u pasa.

Twarz dziewczyny przysłoniły długie ciemne włosy, a ona zza nich spojrzała dziwnie na Mila.

– Czy to, co im mówiłaś – zaczął Milo – no wiesz, o agentce...

– Przeskanowali nas – wyszeptał ojciec, zdenerwowany. – Mają nasze kody SPLAT.

– Posłuchajcie – przemówiła dziewczyna, pokazując im plastikową odznakę. – To należało do ochotnika z naszego osiedla, który zginął w porzuconym pojemniku na ziarno. Nie jestem donosicielką. Pomagam wytwarzać jedzenie.

– Kuchnie – burknął Milo z nieskrywaną odrazą.

– Nie kuchnie – parsknęła dziewczyna, przewracając oczami. – Powiedziałam „jedzenie”. Lekarstwa to niejedyna rzecz, którą można kupić na czarnym rynku. Nigdy wcześniej was nie przyskrzynili, co?

Obaj spojrzeli na nią ze zdumieniem.

– Do tej pory zeskanowali już co najmniej z tysiąc kodów. Znacznie więcej, niż mogą przetworzyć. Jeśli nie wciągnęli was do anakondy, to jesteście czyści.

Z korytarzy, które właśnie opuścili, dobiegały krzyki i odgłosy zamieszania. Nadzorcom najwyraźniej nie udało się ograniczyć zamieszek do odcinka przed kapsułą Żaby.

– To naprawdę poważna sprawa – powiedział ojciec.

Milo złapał dziewczynę za łokieć.

– Dlaczego nam pomogłaś? – spytał.

W odpowiedzi znów obdarzyła go dziwnym, nieodgadnionym spojrzeniem.

Do hali wdarli się zbuntowani mieszkańcy maszyny.

– Zgubiłeś to! – powiedziała dziewczyna, wciskając coś w dłoń Mila.

Tabletki mamy.

Potem pobiegła w głąb korytarza i zniknęła im z oczu.

Nazajutrz tata nie pozwalał im oddalać się od niego ani na krok. Nawet bliźnięta musiały chodzić za nim po tunelach i rurach.

– Buntownicy włamią się do kapsuł na naszym poziomie – tłumaczył. – Będą szukać jedzenia.

Dał bliźniętom swoją rybę i poprosił, by czytały mu ważne liczby.

Z dolnych korytarzy doszedł ich zapach dymu.

– Używają nieoczyszczonego paliwa – stwierdziła mama.

– Idioci. – Tata uśmiechnął się szyderczo. – Zużyją całe powietrze. Nie zdają sobie z tego sprawy?

Wtedy właśnie pojawili się nadzorcy. Pięciu.

– Respiracja jeden jeden zero jeden zero zero jeden zero jeden? – warknął ich dowódca.

– To ja – potwierdził ojciec.

– Zamknij płuco – polecił dowódca.

Ojciec wzdrygnął się gwałtownie, jakby przeszyty prądem.

Mama zaczęła coś mówić, ale dostała nagłego ataku kaszlu.

– Zabraknie im wtedy tlenu – powiedział tata Mila.

Dowódca skierował na niego lufę broni.
Bliźnięta wstrzymały oddech. Wiedziały, że dzieje się coś ważnego.
Mama zamknęła oczy, roztrzęsiona.
– Nie – sprzeciwił się ojciec.
Patrzył prosto w ich maski, kiedy go zastrzelili.
Cała jego klatka piersiowa została rozerwana na strzępy. Upadł, charcząc, i umarł.
Milo skamieniał, wpatrzony szeroko otwartymi oczami w ciało ojca. Nim odzyskał panowanie nad sobą, do pomieszczenia wdarła się grupa buntowników.
Nadzorcy wypuścili ze swej broni obłok zielonego gazu.
Milo poczuł, jak drętwieje, a potem osunął się bezwładnie na podłogę, w ciszę i ciemność.

Ocknął się pod wodą.
Otworzył oczy i zobaczył nad sobą blask słońca i fale. Czuł, że zanurza się coraz głębiej, tonie. Poruszył gwałtownie nogami, zaczął płynąć i już po chwili wynurzył się na powierzchnię. Parskając, rozejrzał się dokoła. Tafla wody rozciągała się we wszystkich kierunkach, jak okiem sięgnąć.
W górze jakaś machina latająca włączyła główne silniki i odleciała z rykiem.
Wrzucono go do wody – do oceanu? Czy to był ocean?
Na powierzchni pojawiali się kolejni ludzie, zewsząd dobiegały okrzyki przerażenia i rozpacz. Ponownie rozejrzał się dokoła i naliczył około piętnastu osób.
Jowisz przecinał niebo jak zakrzywiony nóż. Inne noże – inne księżyce – wisiały na nieboskłonie po obu jego stronach. (Taki widok był prawdziwym szokiem dla dzieciaka, który nigdy nie wychodził na zewnątrz, nigdy nie przebywał w miejscu większym niż sztuczne płuco. Gdyby nie trójwymiarowe symulacje, które wielokrotnie oglądał, zapewne wpadłby w panikę i utonął).
(Czy jesteśmy na powierzchni? Czy to Europa?)
– Mamo! – krzyknął.
Fwuuum! Z morza wyskoczyła olbrzymia pomarańczowa ryba, która upadła obok nich, a właściwie prosto na nich...
Ponton! Napełnił się powietrzem, nabrał sztywności i obracał się na wodzie jak pływający fort.
Była tam mama. Wypatrzył też bliźniaki, które już wspinały się na burtę dmuchanej szalupy ratunkowej.
Chichocząc. I popychając się nawzajem.
Milo dopłynął do pontonu i doczołgał się do swojej matki. Jej oczy wypełniły się radosnym blaskiem. Ujęła go za tył głowy i przyciągnęła do siebie tak, że dotykali się czołami. Przez chwilę siedzieli tak w bezruchu.
Tymczasem bliźnięta dokazywały na środku szalupy.
– Łutoi! – wrzasnął Carlo.
– Nok beta – odparła Serene.
Potem oboje odwrócili się do Mila i do mamy i powiedzieli:
– Tata.
Milo i jego matka mogli tylko pokręcić głowami. Milo czuł, jak mama drży.
Bliźnięta umilkły i złapały się za ręce.

– Łąd! – zawołał ktoś.

Co? Właściwie Milo nie wiedział, czego ma wypatrywać. Horyzont widywał dotąd tylko w symulacjach komputerowych i w filmach.

Coś jak ciemna ściana, daleko z przodu. Urwiska wyrastające nad fale.

Wydawało się, że wyspa sunie w ich stronę.

– Prądy pływowe – wyjaśniła mama, kasłając. – Być może przeniosą nas do łądu.

Milo spojrział na nią z zaciekawieniem. Kiedyś mieszkali z ojcem w innych miejscach, poza maszyną. Mieli coś, co nazywało się „wysztalaniem”.

– Europa jest bardzo blisko Jowisza – tłumaczyła mama. – Krąży po eliptycznej orbicie. Dlatego występują tu ogromne, bardzo silne pływy, które zgniatają ją jak gumową piłkę.

Wyspa była coraz bliżej. Na górze, ponad urwiskami, zieleniła się dżungla, potężne drzewa i pnącza. Woda syczała, zbijając się w wiry i rozbijała z hukiem o ostre skały.

– Hej! – krzyknął ktoś.

Nagle otoczyły ich łodzie sunące lekko po falach, pełne nagich, ciemnoskórych ludzi. Łódki były długie i wąskie, wyglądały tak, jakby wykonano je z resztek drewna, podobnie jak półokrągłe, poszarpane żagle. Ciemnoskórzy rzucili na szalupę kilka lin. Rozbitkowie natychmiast je pochwycili.

– Trzymajcie mocno! – krzyczeli ludzie w łodziach. Milo zauważył, że niektórzy z nich mają piersi.

Pochwycił jedną z lin – szorstką i twardą, nieprzypominającą niczego, z czym miał dotąd do czynienia – i zacisnął na niej dłoń. Szalupa zwolniła.

Woda wyczyniała jakieś dziwne, niezrozumiałe dlań rzeczy. Podnosiła się, pochłaniała wyspę w całości. Sięgała coraz wyżej i wyżej. Czy wyspa tonęła?

– Pływy – powtórzyła mama. – Wysokie na kilkaset metrów.

Bliźnięta trzymały się mocno jej rąk i siebie nawzajem.

Płynęli wraz z przytłumieniem, otoczeni przez ich uśmiechniętych wybawców.

Morze wzniosło się na poziom szczytu urwiska i znieruchomiło.

Fale uderzały o długą, białą plażę.

Łodzie i szalupa przybiły łagodnie do brzegu. Ciemnoskórzy wyskoczyli na łąd i pomogli nowo przybyłym przejść na suchy piasek i trawę.

Za pasem trawy stały domy wykonane z tego samego materiału co łodzie i liny.

Drewno – domyślił się Milo, przypominając sobie lekcje i symulacje. Pnącza i drzewa. Cudownie!

Za domami wznosiła się gęstwina zielonych drzew i pnączy – las! – porastających zbocza stromych wzgórz.

Z wioski nadbiegali kolejni wyspiarze. Wszyscy ciemnoskórzy, jak ich wybawcy, i wszyscy nadzy.

– Dziękujemy – powiedziała mama ze wzruszeniem.

Tubylcy skinęli głowami.

– Jesteście trzecią grupą w ciągu dwóch dni – powiedział jeden z nich, jednooki mężczyzna o długich siwych włosach. – Co się tam w górze wyrabia, do diabła?

Mężczyzna miał na imię Boone i nie tracił czasu na pogaduszki. Przedstawił się, uściśnął kilka dłoni, a potem zawołał:

– Gdzie jest Jale?

– Tutaj, Boone – odpowiedział jeden z wyspiarzy, siedzący na trawie.

Wyspiarz z piersiami, zauważył Milo. W jego wieku, może odrobinę młodsza.

– Musicie znowu wypłynąć.

– Do cholery, Boone, właśnie...

– Nie mamy już kulbaków. Rozumiesz? ZERO.

Przez chwilę mierzyli się gniewnym wzrokiem, dziewczyna i jednooki mężczyzna. Potem dziewczyna wstała i pomachała rękami w górę i w dół.

– Komisja rybna! – krzyknęła. – Pony, sprawdź, czy na pokładzie są worki ze słodką wodą, a ty, Chili Pepper, kochanie, zajmij się sieciami, dobrze?

Ciemnoskórzy nadzy ludzie, którzy ich uratowali – niemal wyłącznie dzieci i nastolatki, jak uświadomił sobie Milo – rozbiegli się na różne strony, zabierając po drodze różne przedmioty. Większość z nich zebrała się przy drewnianych łodziach, którymi właśnie przypłynęli. Krzyczeli coś do siebie, niektórzy śpiewali.

Jale – przywódczyni tej dzikiej młodej floty – przeszła trzema długimi krokami po plaży i stanęła naprzeciwko Mila.

– Płyniesz z nami na połów – oznajmiła.

– Ale ja... ja dopiero tu przypłynąłem – wyjąkał.

– Widziałeś już wszystko co trzeba – odparła Jale, wzruszając ramionami. – To nic trudnego.

– Popłynie – powiedział ktoś stojący za nim. Inna dziewczyna.

Mrużąc oczy w słońcu, Milo obejrzał się przez ramię i zobaczył dziewczynę z maszyny, tę samą, która udawała agentkę. Ona również była naga.

Milo wydał z siebie nieartykułowany, chrapliwy dźwięk.

– Płyn! – zawołała matka, która stała nieopodal w otoczeniu bliźniąt i wyspiarzy.

Dwie dziewczyny i gromada dzieciaków wzięły go pod ręce i zaprowadziły na pokład drewnianej łodzi. Około dwadzieścioro dzieci z wyspy weszło do wody i zepchnęło łódź na fale. Dziewczyna z maszyny biegła razem z nimi i śmiała się głośno. Potem wszyscy wskoczyli na śródkręcie, umiejętnie balansując na łodzi.

Jale przeszła na dziób i przykucnęła, pociągając za liny i zwalniając żagiel, który rozłożył się z trzaskiem na wietrze jak wielkie skrzydło.

Fale i wiatr odepchnęły ich daleko od wyspy.

Dziewczyna z maszyny siedziała naprzeciwko Mila. Patrzyła na niego. Wydawała się rozbawiona.

Jest piękna – pomyślał. Starał się patrzeć jej w oczy, bo przecież była całkiem naga.

– Jestem Suzie – powiedziała.

Dwie inne łodzie płynęły obok nich. Rejs trwał już trzy dni.

Trzy dni, a właściwie trzy doby, zgodnie z czasem obowiązującym w maszynie. Trzy ziemskie dni. Na orbicie Jowisza był to jeden dzień. Około osiemdziesięciu godzin, od jednego rozmytego wschodu Słońca do następnego.

Milo miał w końcu czas, by pomyśleć o ojcu. Kiedy patrzył wystarczająco długo w tarczę Słońca, udawało mu się dojrzeć twarz taty na pierścieniach Jowisza. Nie pozwalał sobie jednak na łyzy. Otaczający go ludzie również wiele wycierpieli. Na razie musiał radzić sobie sam ze swoją stratą.

Nie powinienem był zostawiać bliźniąt – rozmyślał. Ani mamy.

Wyspiarze skakali wokół i nad Milem oraz Suzie, luzowali sieci, wyciągali liny. Sieci były pełne ryb, wyspiarze śpiewali i chowali je do skrytki w przedniej części łodzi, przykrytej pierzastymi liśćmi palm. Czasami krzywili się ze złością i wyrzucali połów z powrotem do morza. Była to na ogół ryba z paszczą na brzuchu albo taka, która zamiast oczu miała guzy, z których wyrastały małe, wijące się wściekle czułki.

Dowiedział się, że Suzie padła ofiarą anakondy. Została wciągnięta i uwięziona zaledwie godzinę po tym, jak go uratowała. Podobnie jak Milo nie pamiętała, kiedy i jak przewieziono ją na powierzchnię planety. Przebywała tu od czterech dni. To była jej druga wyprawa po ryby.

– To naprawdę piękne miejsce – mówiła – ale toksyczne. Jeden wielki poligon doświadczalny terraformerów. Potrzebują bardzo dużo ryb, szczególnie kulbaków, bo ryby zawierają przeciwutleniacze.

– Co to są przeciwutleniacze?

– Nie wiem. Musimy się jeszcze wiele nauczyć. Na przykład jak żeglować i jak chodzić po tej głupiej łodzi, żeby nie wpaść do wody. A dlaczego ty ciągle jesteś w ubraniu? Tu jest ciepło. Tu zawsze jest ciepło.

Bo mam erekcję – pomyślał Milo.

Kiedy wejdiesz między wrony... – powiedział jakiś głos w jego głowie.

W nagłym przypływie odwagi Milo wstał, zdjął ubranie i wyrzucił je za pokład.

Suzie spojrzała na jego sztywny penis.

– To przeze mnie? – spytała.

Milo skinął głową.

– No, no... – mruknęła, po czym wstała, przeszła z Jale na dziób i spytała, czy ktoś mógłby ją nauczyć zarzucać sieci.

Nauczyli się wyciągać sieci, ustawiać żagle i przewidywać pogodę.

Poznali imiona wyspiarzy. Wśród młodszych dzieci rej wodziły Zardoz, Wysokie Napięcie i Demon Rum, wśród nastolatków zaś Gilgamesz, Ładna Gadka, Frodo, Pony i Chili Pepper, chłopak Jale. To właśnie Jale była kapitanem i jej rozkazów słuchano na wszystkich trzech łodziach.

Wygląd nieba stale się zmieniał, podobnie jak kształt Jowisza. Odległe Słońce powoli przesuwało się między horyzontami. Co jakiś czas pojawiały się mniejsze księżyce. Niekiedy nad oceanem wyrastały ciemne chmury, które starali się omijać.

– Obserwujcie też wodę – przykazała im Jale. – Nie tylko niebo.

– Mamy wypatrywać ryb? – spytała Suzie.

– Ryb i tsunami – odparła Jale, wpatrzona w wodę. – Tutaj wszystko przybiera większe rozmiary.

Kiedy spali, kilkoro dzieciaków trzymało wachtę, pilnując żagli i obserwując morze. Załoga układała się na dnie łodzi i tuliła się do siebie, podczas gdy Jowisz przesłaniał Słońce, upodabniając się do wielkiej dziury o rozjarzonych krawędziach. Na niebie pojawiały się wtedy gwiazdy, a inne księżyce lśniły mocniejszym blaskiem niż zwykle.

Milo i Suzie nie spali. Nie wtedy.

Leżeli obok siebie, między drewnianą burtą łodzi z jednej strony i gromadą śpiących dzieciaków z drugiej. Ich nagie ramiona i ręce dotykały się, co przyprawiało Mila o dreszcze.

– Mówisz do siebie – wyszeptwała Suzie.
– Hmm?
– Słyszałeś, co powiedziałam. Co się dzieje, kiedy to robisz?
Co miał jej powiedzieć?
– Czasami moja głowa do mnie mówi – odparł w końcu.
– Moja też – odparła. Znow leżeli w milczeniu, nie mogąc zasnąć.

– Kulbaki! – zawołał Chili Pepper drugiego dnia.
Załogi natychmiast poderwały się do działania, zwijając żagle.
– Co z sieciami? – spytała Suzie.
– Nie używamy sieci do połowu kulbaków – odparł Zardoz. – Trzeba po nie nurkować.
Milo wbił spojrzenie w wodę, widział jednak tylko ławicę maleńkich, lśniących gupików krążących tuż pod powierzchnią, a czasem wyskakujących ponad nią.
– Po co tutaj nurkować? – spytał, wzruszając ramionami. – Przecież nie ma tu czego łapać. Są tylko te maleńkie...
– Pawie oczka – dokończyła za niego Suzie. – Kulbaki podpływają od dołu i polują na nie.
Tam, gdzie są pawie oczka, są też kulbaki.
– Przygotować się! – wrzasnęła Jale.
Wszystkie starsze dzieciaki, nastolatki, zaczęły gwałtownie wciągać powietrze.
– Muszą napęlić komórki tlenem – wyjaśniła Suzie.
– Boże, więc jak głęboko są te kulbaki? – zdziwił się Milo.
– Głęboko – odrzekł lakonicznie Demon Rum.
Milo zamyślił się, a potem zaczął wciągać powietrze najszybciej, jak potrafił.
– Milo, nie – próbowała go powstrzymać Suzie.
– Kiedy pracowaliśmy przy płucu – mówił Milo między kolejnymi wdechami – z moim tatą... czasami zdarzały się przecieki gazu... z zepsutych membran... maski kartelu nie działały... więc musieliśmy wstrzymywać oddech... czasami po kilka minut... umiem pływać... dlaczego nie miałbym... nurkować i łowić...

Demon Rum wręczył starszym dzieciakom drewniane włócznie.
– Milo – zaczęła ponownie Suzie – posłuchaj, ty nie...
– Idę – odparł krótko Milo, cały czas walcząc z zawrotami głowy.
– Jale! – krzyknęła Suzie.
– Pozwól mu – odpowiedziała Jale.
Demon Rum wrócił do Mila i podał mu włócznie. Uśmiechał się przy tym pod nosem, jakby coś przed nim ukrywał.
Czego mu nie powiedzieli? O czym nie wiedział?
– Skaczecie na jeden! – wrzasnęła Jale. – Trzy... dwa... jeden...
Nastolatki wzięły ostatni głęboki wdech i zeskoczyły do wody. Milo był pierwszy.
Otoczony chłodnym błękitem, poruszał energicznie nogami i rękami, płynąc prosto w dół, gdzie błękit przybierał ciemniejszy odcień, zbliżony do granatu. Niczym odwrócone niebo.
Dzieciaki z wyspy przemknęły obok niego. Po sekundzie były pięć metrów niżej. Osiem.
Jak one to robiły, do diabła?
Używały tułowia i nóg, poruszały nimi podobnie jak delfiny.
Milo zaczął ich naśladować. Popłynął szybciej i głębiej, aż dokoła zrobiło się ciemno.

Inni zniknęli mu z oczu, byli niżej. Poczuł, jakby coś rozrywało mu płuca, ale nie chciał jeszcze wracać. Ryby musiały być już blisko.

Przez głowę przemknęła mu myśl: co popłynęło w dół, musi też popłynąć w górę i potrzebuje na to czasu.

Cholera.

Milo odwrócił się natychmiast i ruszył w drogę powrotną ku powierzchni.

Musisz się jeszcze sporo nauczyć – mówił sobie w duchu. Nie śpiesz się zanadto.

Cholera, upstrzona plamami słońca powierzchnia morza była *przerazająco* daleko.

Ale udało mu się.

Gdy wypłynął na powierzchnię, ból wypełniał każdą komórkę jego ciała. Ekspłodował w płucach. Milo otworzył usta i wciągnął powietrze jak anakonda: łyknął też trochę wody, ale to nie było ważne. Wypluł ją i wykrztusił.

Suzie chwyciła go za ręce i wciągnęła na łódź.

Krwawił. Czuł to. Z oczu i uszu.

– Jesteś całkiem popierdolony, wiesz o tym?! – wrzeszczała na niego Suzie. Biła go? Trudno powiedzieć. Niektóre części ciała bolały go tak, jakby były zmiażdżone i połamane, innych w ogóle nie czuł. – Jeśli na to cię tylko stać, jeśli ciągle będziesz się zachowywać jak nastolatek, to nieważne, czy pęknie mi serce, ty durniu, po prostu...

– Zostaw go – rozbrzmiał jakiś młody głos. Bardzo młody. Demon Rum. – Daj mu dojść do siebie. Był dzielny.

– Był głupi – prychnęła Suzie

– Uczyl się. Ale Jale tak czy inaczej na pewno będzie wkurzona.

Gdy Milo był już się w stanie poruszyć i usiąść prosto, z morza zaczęły wypływać pozostałe dzieciaki, wynurzały się z fal, chwytając powietrze. Na włóczniech niektórych z nich, także Jale, trzepotały się ryby. Kulbaki wielkości małych dzieci, z długimi czerwonymi wąsami i wąskimi płetwami.

Młodsze dzieciaki wznosiły radosne okrzyki i pomagały kolegom dostać się na pokład.

Feta! Wszyscy otrzymali po dodatkowej porcji jedzenia i wody, gdy nadeszła fałszywa noc i Jowisz zakrył Słońce. Śpiewali piosenki.

Milo usiadł obok Jale, która tuliła się do Chili Peppera, i powiedział:

– Następnym razem zrobię to, jak należy.

Nie wiedział, jak właściwie ma tego dokonać, ale czuł, że tak będzie.

Jednak Jale pokręciła głową i odpowiedziała:

– Nie.

– Posłuchaj – zaczął. – Kiedy pracowałem w maszynie...

– Zapomnij o maszynie – przerwała mu. – Poczekasz, aż Chili będzie miał czas, żeby cię tego nauczyć. Ty i Suzie możecie nauczyć się oboje, a wtedy następnym razem...

Lecz Milo już wstał i ruszył do swojego miejsca przy maszynie.

Do jasnej cholery – myślał. Chciałem być tylko uprzejmy. Czyjzego pozwolenia...

– Milo! – zawołał za nim Chili Pepper. – Jale jest kapitanem. Kiedy jesteśmy na morzu, słucha jej nawet jej ojciec.

Milo go zagłuszył, odtwarzając w głowie głośną muzykę.

Następnego dnia, gdy Frodo wypatrzył gupiki, Milo pochwycił włócznię i wskoczył do wody razem z innymi, nim ktokolwiek mógł go powstrzymać.

– Cholera, Milo! – krzyknęli jednocześnie Suzie i Demon Rum.

Lecz Milo naradził się wcześniej z głosami, które podsunęły mu kilka przydatnych wspomnień z innych żywotów (przynajmniej tak twierdziły).

Wyobrażał sobie, że jego mózg jest domem, w którym kryje się również pokój z narzędziami. Można tam wejść i znaleźć jakiś sposób, by ulepszyć działanie mózgu. Przypomniawszy sobie, jak unosił się w przestrzeni kosmicznej, wyciszony, spokojny i całkiem nagi.

Przypomniawszy sobie również, jak medytował z Buddą (tak, zgadza się!). Wdech, wydech. Oddychanie to coś znacznie więcej niż wciąganie powietrza w płuca. Oddychanie jest tam, gdzie twój rytm łączy się z rytmem świata.

Nawet jeśli wstrzymujesz oddech.

Minął Jale, która spojrzała na niego ze zdumieniem. Woda wokół niego pociemniała.

Cisnienie i ruch. Równowaga.

W ciemności poruszały się lśniąca kropki... Milo uderzył włócznią (to też było oddychanie, śmiertelna walka i włócznia wbita w ciało).

Szybki powrót do światła, wynurzenie pośród fal, ciepło i słońce.

Wszedł na pokład sam, bo nikt jakoś nie podał mu ręki, nikt mu nie pomógł ani nie pogratulował udanego połowu.

Nikt nawet na niego nie spojrział.

– Och, rozumiem – powiedział bezgłośnie, bo w końcu to zrozumiał.

Mieli swoje metody, swoich kapitanów i swoje zasady, bo to pozwalało im utrzymać się przy życiu. Dokonał udanego połowu, ale był dupkiem, bo nie posłuchał Jale.

Nie próbował nawet nawiązać z nimi kontaktu wzrokowego, gdy zajmowali się magazynowaniem ryb i powrotem do domu.

Suzie usiadła obok niego.

– Tym razem było naprawdę zajebiste – powiedziała. – O wiele lepiej niż ostatnio. Sprytniej, wiesz? Nie jesteś takim prostakiem, jak myślałam. Ale Jale chyba da ci popalić.

– Suzie... – ostrzegł ją Chili Pepper.

– Odpuść, Chili – odparła ostro. – Jeśli odwrócić się od niego, to odwrócić się też ode mnie. Milo zmarszczył brwi. Kochał ją.

Następnego dnia, gdy na horyzoncie pojawiła się wyspa, nadal go ignorowali.

No i dobra. Urządzi sobie z Suzie, mamą i bliźniętami własną wioskę po drugiej stronie wyspy. Wiedział już, jak łapać kulbaki, być może zaczął też coś uprawiać.

– Hej – odezwała się Suzie, trącając go dużym palcem u nogi.

Trwało właśnie zaćmienie. Wielka planeta była dziurą w niebie, otoczoną rozmytym światłem i gwiazdami.

– Hej – powtórzyła Suzie, kładąc się obok niego i patrząc mu prosto w twarz. – Pamiętasz mnie z wcześniejszych czasów?

– Jasne – wyszeptał. – Z dnia, w którym zaczęły się zamieszki.

– Nie o to mi chodzi. Jeszcze wcześniej.

– Nigdy wcześniej cię nie spotkałem. Na pewno mijaliśmy się gdzieś w hali albo na poziomie rekreacyjnym, ale musieliśmy chodzić na różne zajęcia i symulacje...

Położyła mu dłoń na ustach.

– Posłuchaj: pamiętasz, jak rozmawialiśmy o głosach?

– Teraz mam przez nie kłopoty – mruknął.

– Myślę, że to są jakby wspomnienia z czasów, kiedy żyliśmy... wcześniej.

Milo pomyślał o tym, co się z nim działo podczas nurkowania. Miał wiedzę o oddychaniu, której nikt mu wcześniej nie przekazał.

– Chyba nie bez powodu wydajesz mi się znajomy – dodała Suzie, a Milo uświadomił sobie, że dziewczyna trzyma w dłoni jego penis.

Godzinę później na łodzi zapanowało poruszenie, podniosły się wystraszone okrzyki.

– Cholera – syknęła Jale, która stanęła na dziobie.

Milo spojrział w tym samym kierunku co ona i zobaczył, że są już niemal w domu. Dopływali do wyspy, zielonej i górzystej, do białej plaży, trawy i wioski.

Nad całą okolicą, nad najwyższym wzgórzem, unosił się tankowiec kartelu.

Wyglądał jak czajnik przyspawany do toalety, większy od stadionu piłkarskiego, z którego z sykiem wydobywały się kłęby pary.

– Co... – zaczął Milo.

– Kłopoty – odparła Jale, wyciągając łódź na brzeg i zapominając o tym, że postanowiła ignorować Mila.

Poleciała, by Wysokie Napięcie i Demon Rum wyładowali ryby z wszystkich trzech łodzi, a potem bez słowa popędziła między drzewa.

Wszyscy poszli jej śladem. Wydawało się, że dobrze wiedzą, co się dzieje na wyspie. Wszyscy prócz Mila i Suzie.

Nie mieli takiej kondycji jak wyspiarze, zostali więc szybko w tyle. Kiedy dzieciaki zniknęły im z oczu, wypatrywali w gęstwinie ścieżki, przeskakiwali nad drzewami, okrążali gęstwinę pnączy i w końcu wyszli z lasu.

Na szczycie wzgórza stała fabryka, a przynajmniej coś, co tak wyglądało. Przypominała starodawną łódź podwodną ustawioną pionowo, wbitą jednym końcem w ziemię. Był to chyba jakiś ogromny silnik, zardzewiały, połatany, turkocący i plujący parą, pełen rur i plam po oleju. Nad nim wisiał tankowiec.

– Co to, u diabła... – zaczęła Suzie.

– To studnia – wyjaśnił Milo, który co najmniej od dekady pomagał ojcu przy pracy. – Olbrzymia studnia z wielką głównianą pompą wodną.

Jale, Boone i cała chmara wyspiarzy kłócili się z dwoma uzbrojonymi nadzorcami, dowódcą w czerwonym hełmie i jego zastępcą z karabinem maszynowym.

Milo i Suzie podbiegli bliżej, by posłuchać.

– To wy odpowiadacie za maszynę – grzmiał zastępca przez głośnik. – Albo ją uruchomicie, albo my wam pomożemy.

– Tak to nazywacie? – uśmiechnął się szyderczo Boone. – Wysłanie na dół pięćdziesięcioletniej kobiety z pięciokilowym kluczem do naprawy zaworu?

– Jest waszym głównym mechanikiem – odpowiedział dowódca.

– Była – odparł Boone.

Jale gniewnym gestem otarła łzy z twarzy i odwróciła się.

– Macie pięć minut na wyznaczenie następnego ochotnika – powiedział dowódca. – Jak nie, to

wyberzemy za was.

– Nie ma nikogo takiego! – ryknął Boone. – Dlaczego nie chcecie tego zrozumieć? Mechanicy nie mogą nurkować tak głęboko! A gdyby dopłynął tam jakiś nurek, nie wiedziałby, czego szukać...

Komendant pochwycił mężczyznę za gardło i podniósł go nad ziemię.

– Cztery minuty – wychrypiał i wypuścił Boone'a, który osunął się bezwładnie na ziemię.

Wyspiarze stali nieruchomo, nie ważąc się odezwać ani nawet oddychać.

– Ja pójdę – oznajmił Milo.

Suzie walnęła go – mocno – w plecy.

– Nawet nie wiesz, co to jest! – syknęła.

– Potrzebują kogoś, kto zanurkuje i naprawi coś. – Milo wzruszył ramionami. – Umiem robić jedno i drugie.

Jale pokręciła głową.

– Masz karę – przypomniała.

Wszyscy spojrzeli na nią z niedowierzaniem.

– Jale? – odezwał się Boone, wstając z ziemi i rozcierając gardło. – Zechcesz mi wyjaśnić, o co chodzi?

Cztery minuty później Boone oraz zespół mechaników wprowadzili Mila do zardzewiałej łodzi podwodnej – pompy – i pokazali mu, co trzeba zrobić.

Pompa przypominała pieczarę wypełnioną rurami, węzami i mnóstwem obracających się mechanizmów. W powietrzu unosił się zaduch palonego oleju i spalin.

– Tym się zajmujemy – tłumaczyli mechanicy. – Wszyscy na tej wyspie – wszyscy na wszystkich wyspach – obsługują te cholerne pompy, które służą kartelowi wodnemu. To wymaga mnóstwa pracy, mnóstwa kopania i skutkuje mnóstwem połamanych czaszek i kości.

W samym środku łodzi podwodnej znajdowała się rura podobna do anakondy, która sięgała do złoża wody podziemnej. Złoże było jednocześnie studnią.

– Rura ma trzysta metrów długości – mówili mechanicy. – Trzeba sięgać jak najgłębiej, żeby w wydobywanej wodzie nie było toksyn.

– Jasna cholera – mruknął Milo.

– Nie może zanurkować tak głęboko – powiedziała cicho Suzie. – Nikt tego nie potrafi.

Wielki Ptak (nowy główny mechanik) pokręciła głową.

– Chodzi o zawór, który się zaciął na głębokości stu dwudziestu metrów.

– Boże słodki – jęknął Milo. – Nie mają sprzętu z akwalungiem do takich prac?

– Kiedy głowica wierząca jest na dole, akwalung nie mieści się w studni – wyjaśniła Wielki Ptak.

– Nie możecie podnieść głowicy? – spytał Milo.

– Nie, jeśli zawór jest zacięty. Tak działa mechanizm zabezpieczający.

Wielki Ptak wręczyła mu klucz tak ciężki, że musiał go trzymać obiema rękami.

– Jasnopomarańczowa nakrętka to uchwyt zaworu – tłumaczyła główna mechanik. – Ale i tak nie zobaczysz jej w ciemności. Wystaje dość daleko, więc pewnie o nią uderzysz. To jedyna rzecz tam na dole, do której pasuje ten klucz.

Przez chwilę stali w milczeniu i patrzyli na siebie.

– W prawo zakręcasz, w lewo odkręcasz – dodała w końcu Wielki Ptak.

– Wiem – odparł Milo.
– Pozwólcie mi się przygotować – poprosiła Suzie.
Wszyscy odsunęli się do tyłu. Suzie także.

Stał tam przez jakiś czas.

Suzie i mechanicy, którzy przyglądali mu się z daleka, myśleli pewnie, że medytuje.

Mam niewyparzony jęzor – myślał.

Widok dziury, ciemnej wody i poplamionej olejem maszynierii przeraził go nie na żarty. Ostatnio wydarzyło się wiele złych rzeczy. Być może przeznaczenie sprawiło, że trafił właśnie tutaj i tu miał utonąć, podczas gdy marzył tylko o tym, by odejść w jakieś dyskretne miejsce i kochać się z Suzie.

– Milo? – powiedziała Suzie, stukając go w ramię.

Cholera! Chyba czytała w jego...

– Nie musisz tego robić. Wiesz o tym, prawda?

– Jeszcze minutkę – odparł. – Natleniam się.

Kiedy Suzie dołączyła ponownie do mechaników, udało mu się bardziej skupić.

Po chwili wskoczył.

Plusk!

Ohyda! Cóż, takiej właśnie wody mógł się spodziewać we wnętrzu maszyny, tłustej i gęstej. Poniewczasie pomyślał o tym, by zamknąć oczy, które już go piekły.

Trzymając mocno klucz, opadał jak cegła, ocierając się najpierw o wąż pompy, a potem odbijając od ściany studni.

Woda napierała na niego z coraz większą siłą. Ciśnienie rosło.

Próbował odszukać poczucie równowagi i harmonii, którego doświadczał w morzu, ale tu go po prostu nie było.

Próbował otworzyć pokój z narzędziami w swoim mózgu i wypuścić z niego światło, ale nie mógł go znaleźć.

Próbował medytować, ale jego umysł wciąż narzucał mu myśli o seksie z Suzie i...

Uderzył w coś twardego i okrągłego. Wbiło się w jego nogę i zatrzymało tak gwałtownie, że omal nie otworzył ust do krzyku. Klucz wyslizgnął mu się z dłoni, ale przytrzymał go łokciem.

Kurwa! Idiota. Nakrętka zaworu. Zapomniał o niej.

Płuca znowu zaczęły mu rozsadzać, pomyślał jednak, że ma jeszcze czas zrobić to, co obiecał.

Założył klucz na śrubę. Pasował idealnie.

W lewo odkręcasz... Szarpnął mocno za klucz.

Nakrętka ani drgnęła.

Oczywiście, że nie – pomyślał.

Ból w płucach przybrał na sile. (Nie mam dość powietrza, żeby wrócić na górę – uświadomił sobie nagle, próbował jednak ignorować tę myśl).

Ponownie pociągnął za klucz. Nic.

W tym momencie ktoś położył mu dłoń na twarzy.

Znów omal nie krzyknął. Nie zapanował jednak nad pęcherzem i posikał się ze strachu, dzięki czemu woda zrobiła się na moment cieplejsza i przyjemniejsza. Niemal od razu zrozumiał też, co się stało. To zwłoki zmarłej mechaniczki unosiły się obok niego.

Z najwyższym trudem zmusił swe ciało do posłuszeństwa. Zaczął nawet odczuwać –

zdecydowanie za późno – spokój i równowagę.

Co najmniej kilka litrów adrenaliny krążącej w krwi dodało mu energii. Odczuwał ją równie wyraźnie jak brak powietrza.

Zebrawszy wszystkie siły, napał całym ciałem na klucz. Nakrętka drgnęła i obróciła się.

I raz jeszcze. Milo usłyszał, jak coś wpada z głuchym trzaskiem na miejsce.

W górę! Natychmiast! Odepchnął się i popłynął w górę, świadom, że powoli traci przytomność. Lada moment jego płuca spróbują zaczerpnąć powietrza, czy tego chciał, czy nie...

Znów dotknęła go ręka trupa. Tym razem złapała go za nadgarstek.

Panika i groza! Sfajdał się ze strachu...

Ale to nie była martwa mechanik. Ta ręka należała do żywego człowieka, ciągnęła go w górę, płynęła wraz z nim, coraz wyżej i wyżej...

Co? Kto?

Światło na końcu baaaaaaardzo długiego tunelu...

Powierzchnia!

Tłuste, cuchnące powietrze!

Wciągnął je w płuca – cudowne! – chwytając się jednocześnie krawędzi studni.

Był cholernie osłabiony. Pomyślał, że zaraz zemdleje i utonie.

Ręka wokół jego szyi. Noga spleciona z jego nogami, utrzymująca go w miejscu.

– Suzie?

– Zamknij się i zemdlej – odparła. Więc zemdlał.

Studnia wysłała wodę ze skalnego podłoża i przepompowała ją do tankowca. Nadzorcy wrócili na swój statek i odlecieli.

Milo i Suzie leżeli w szpitalnej chacie, pogrążeni we śnie.

Ludzie przynosili im coś do picia albo kawałek ryby do jedzenia.

Pewnego razu, kiedy Milo się obudził, obok siedziała jego mama, zupełnie naga, i próbowała karmić go zupą (dziiiiinniiiiiiiiiiiiwne...).

Na moment przyszły też bliźnięta. Spojrzały na niego ze znużeniem, powiedziały „Fong!” i poszły sobie.

– Pozwolili mi uczyć w szkole – powiedziała mama. Tyle zapamiętał z jej wizyty.

Kiedy ocknął się ponownie, to Suzie karmiła go zupą.

– Ta martwa mechanik w końcu wypłynęła na powierzchnię – poinformowała go Suzie. – Dziś wieczorem urządzą jej pogrzeb. Te ich toksyczne drzewa palą się jak szalone, więc pogrzeb zwykle oznacza ognisko, ale trzeba się trzymać od niego z daleka, żeby nie wdychać dymu ani nie mieć styczności z popiołem. Nie podchodzą tam blisko, dopóki nie spadnie porządny deszcz. Ale podobno wygląda fantastycznie i pali się różnymi kolorami.

– Co ty, do diabła, robiłaś w tej studni? – spytał.

– A czego się spodziewałeś? Myślisz, że ty jeden słyszysz dziwne głosy w głowie? Nie słuchasz mnie. Mówiłam ci, że to głosy z poprzednich żywotów. Znaliśmy się kiedyś, a ja byłam chyba królową albo kimś w tym rodzaju.

– Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości – odparł, odstawiając miskę z zupą.

– Ooch... – Uśmiechnęła się. Podobały jej się te słowa. Pozwoliła mu się pocałować.

Pozwoliła mu robić ze sobą różne rzeczy.

Opuścili szpitalny namiot na tyle wcześniej, że zdążyli na pogrzeb – prostą i skromną uroczystość.

Boone oraz pięciu innych wyspiarzy opuścili ciało do grobu wykopanego w piasku.

– Jeździec Północy – powiedział Boone, sypiąc na zmarłą piasek z drewnianej łopaty.

Takie właśnie imię wybrała sobie kiedyś ta kobieta, bo mówiło ludziom coś o jej prawdziwej naturze.

– Jeździec Północy – powtórzyli wszyscy i zapalili ognisko, a potem odsunęli się od niego na bezpieczną odległość i podziwiali piękne kolory.

Po ceremonii wszyscy rozeszli się do swoich zajęć i nigdy już nie wspominali – przynajmniej w obecności Mila – zmarłej kobiety.

Później mama wzięła go za łokieć i przywołała gwizdem bliźnięta. Wszyscy czworo zeszli na brzeg i stanęli na skraju, zanurzeni po kolana w wodzie.

Rozmawiali o tacie. Tylko o nim rozmawiali. I płakali.

Mama nie powiedziała, że od tej pory nie powinni o nim mówić. Tata nie był wyspiarzem. Ale Milo nie słyszał, by kiedykolwiek jeszcze go wspominali. Był częścią innego świata, twarzą z zacierającego się snu.

Następnego wieczora odbył się kolejny pogrzeb.

Podczas wysokiego przypływu, w obecności setek ludzi, trzy siostry weszły prosto do oceanu, trzymając się za ręce, i pozwoliły, by potężny prąd powrotny zabrał je ze sobą.

– Nikt nie próbował ich powstrzymać? – spytał Milo Chili Peppera.

Chłopiec pokręcił głową.

– Niektórzy nie chcą żyć w ten sposób – odpowiedział. – To jak akt nieposłuszeństwa, rozumiesz?

Wieczorem, podczas pogrzebu, spadł lekki deszcz, toteż kolory płonącego ogniska były nieco przyćmione.

Nie mogli pogrzebać ciał zmarłych, więc Boone rozsypał garść piasku na wietrze.

– Betty – powiedział. – Lunch Lady. Kapłanka Mu.

– Co oznacza ten gest rozsypania piasku? – spytał go później Milo.

Boone nie wiedział.

– Po prostu wydaje mi się to właściwe – odparł.

Stali się wyspiarzami.

Dowiedzieli się, że wyspiarze nazywają siebie samych „Galerią Sław Rock’N’Rolla”. (Booty Dog miał dwudziestowieczną książką zatytułowaną *Chcę mojego MTV*. Stamtąd właśnie wielu z nich brało swoje imiona).

Inne wyspy nadawały sobie nazwy zgodne z ich stylem lub nastrojem. Dużą popularnością cieszyły się zabawne i szumne określenia, takie jak Seksowni Geniusze czy Pantery Nargilów. Nie brakowało również poważnych nazw, takich jak Wyspa Nadziei, Wyspa Życia czy Atol Przemiany.

– Rzeczy się zmieniają, więc zmieniają się również nazwy – tłumaczył Boone w rozmowie z Milem. – W zeszłym roku byliśmy Strefą Cienia.

Czasami handlowali z innymi wyspami. Tutaj, na Galerii Sław, uprawiano trawę, z której można było pleść doskonale liny. Na Wyspie Życia rosły jabłka, z których każde mogło

wykarmić czworo ludzi przez tydzień. Wymieniali więc trawę na jabłka.

– W zeszłym roku – opowiadał Boone – wymieniliśmy dziewczynę o imieniu Czerwona Rita na skutnika o imieniu Spock.

– Wymieniliście? – Oczy Mila pociemniały niebezpiecznie.

– Po prostu wzięli ślub – wyjaśniło Boone. – Spokojnie.

Mieszkańcy Galerii Sław pomogli im postawić domy – jeden dla mamy i bliźniąt, drugi dla Mila i Suzie. Chata Mila i Suzie zbudowana była głównie z wielkich liści i arkuszy blachy znalezionych w śmieciach, które pozostawił po sobie statek kartelu.

W chacie mamy jedną ze ścian stanowił wielki kawałek aluminium, na którym widniała wyblakła reklama zachęcająca do oglądania telewizyjnej farsy zatytułowanej *Homar czasu*.

Mama nadspodziewanie dobrze przystosowała się do życia na wyspie. Uczyła w szkole mieszczącej się w małym bambusowym budynku i zasiadała w komisji nowych rzeczy, która zajmowała się wprowadzeniem wynalazków mogących ułatwić życie na wyspie. Jeśli pracowałeś wcześniej jako mechanik czy monter albo zdobyłeś jakie wykształcenie, należałeś obowiązkowo do tej grupy. Jej szefem od samego początku był Raymond Carver, były szef laboratorium kartelu.

Istniały też inne komisje, których skład stale się zmieniał.

Komisja bezpiecznej żywności ustalała, jakie owoce i warzywa nadają się do jedzenia. (Suzie zdobyła tę komisję szturmem, pokazując jej członkom, jak suszyć i przechowywać niektóre owoce, dzięki czemu ich zapasy zaczęły rosnać).

Komisja szkolna. Komisja sprawiedliwości.

Komisja tsunami, której członkowie uczyli się odczytywać znaki na morzu i trzymali straż na wysokim urwisku, wyposażeni w wielki bęben ostrzegawczy. Ta grupa obejmowała również podgrupę: komisję odbudowy.

Milo i Suzie zostali członkami komisji rybnej. Mogli do niej należeć tylko ludzie młodzi i zdrowi, a tacy właśnie oboje byli.

Na razie.

Zdrowie nie należało na wyspie do rzeczy trwałych i oczywistych.

Milo zauważył, że wśród wyspiarzy jest wiele kalek, które nie mają oka albo ręki. Widział też ludzi z dziwnymi guzami, które szybko się rozrastały i równie szybko znikwały, zostawiając po sobie zniekształcone kości. Niemal każdy z mieszkańców był w jakiś sposób okaleczony. Niektórzy z najmłodszych mieli dziwne zmarszczki albo blizny. Demon Rum miał przebitą na wylot stopę (nosił w tym otworze pierścień ze splecionej w warkocz trawy). Dziewczyna o imieniu Pluskwa miała na szyi coś, co wyglądało jak dodatkowe żyły, i mówiła ostrym, chrapliwym głosem, jakby wdychała piasek. Wielu wyspiarzy miało tylko jedno zdrowe oko, niektórzy byli niewidomi. Milo nie zauważył na wyspie żadnych niemowląt ani malutkich dzieci, nie słyszał też, by ktokolwiek o nich mówił.

Milo i Suzie zostali przydzieleni do komisji pompy wodnej.

Wszyscy mieli obowiązek pracować przy olbrzymiej pompie, ale członkowie komisji musieli wiedzieć, jak działa to urządzenie, i dbać, by zawsze było sprawne. To właśnie oni zostaliby ukarani w pierwszej kolejności, gdyby kartel przyleciał po wodę i nie mógł jej pobrać.

– Marnujecie czas i siły potrzebne do zbierania żywności na pracę przy tym rupieciu – zauważył Milo. – I to wszystko dla tych skurwieli.

– Co ty nie powiesz? – burknęła Jale.

– Wszyscy bylibyśmy o wiele zdrowsi i silniejsi, gdybyśmy mogli wysyłać na połów dwa albo

trzy razy więcej załóg niż teraz.

– Co ty nie powiesz? – powtórzyła Jale.

– Musicie tu siedzieć i jeść owoce z wyspy, choć większość z nich zawiera toksyny.

– Ciebie też to dotyczy, nurku – odpowiedziała dziewczyna, wskazując na narośl koło jego łokcia.

Jego pierwszy rak. Cudownie.

Wyalazili go kawałkiem stali, który wyciągnęli ze śmieci i rozżarzyli.

W ciągu kilku pierwszych tygodni pobytu na wyspie Milo i jego rodzina uczestniczyli w pięciu pogrzebach. Myśleli, że to dużo. Potem nadeszła burza.

Pierwsze zauważyły ją dzieci. Kilkoro młodszych rybaków.

Znalazły na plaży martwą rybę i dźgały ją patykami, kiedy najmłodsze dziecko w całej wiosce, trzyletnia Muu, stanęła prosto, wycelowała patyk w horyzont i powiedziała:

– Burza.

Pozostałe dzieciaki spojrzały w tamtą stronę i zamarły. Słowo „burza” brzmiało niemal równie złowrogo i przerażająco jak dźwięk bębna ostrzegającego przed tsunami.

Wszystkie maluchy zaczęły wrzeszczeć piskliwie: „Burza! Burza!” i wskazywać na horyzont.

Większość wyspiarzy wybiegła na plażę.

Suzie i Milo widzieli burze na Ganimesesie, na monitorach i przez okna. Tam były zaledwie przelotnymi zakłóceniami elektrycznymi, ot, trochę wiatru i pyłu, ciche zawrodozenie młodej atmosfery. Widzieli nagrania ziemskich burz i oczywiście potężne cyklony na powierzchni Jowisza. Lecz to, co pojawiło się tego popołudnia nad horyzontem, nie było tylko ciemne i wietrzne. Wyglądało złowrogo, nienaturalnie i odrażająco.

– To przypomina żołądek – stwierdził Milo.

Burza sunęła w ich stronę, wiła się nad powierzchnią morza, gładka niczym balon, różowa i przerażająca, roztrzęsiona jak galareta. Tu i ówdzie marszczyła się lub wypływała z siebie splątane wnętrzości. Miejscami róż ustępował plamom zgniłej zieleni i szarości.

Cuchnący wiatr przygniół fale i uderzył w plażę. Wiatr o zapachu płonącego plastiku i gnijącego mięsa. Zaskoczeni wyspiarze zasłaniali nosy i usta, niektórzy zginęli się w pół i wymiotowali.

Potem wszyscy pobiegli do lasu. Najpierw między drzewa wpadli młodzi, za nimi niczym nieobciążeni dorośli, potem ci, którzy nieśli dzieci lub dobytek, a na końcu starzy i chorzy.

Co tu się teraz stanie? – zastanawiał się Milo.

Wbiegli pod wielki skalny nawis – półkę przypominającą olbrzymią dłoń, która próbuje wysunąć się ze zbocza wulkanu.

Początkowo wydawało się, że mają sporo miejsca, lecz gdy dobiegali tam kolejni, wolniejsi i starsi wyspiarze, robiło się coraz tłoczniej, aż w końcu stali ściśnięci jak syntetyczne oliwki w słoiku. Milo wsunął się za Suzie i objął ją ramionami.

Z góry dobiegł ogłuszający grzmot, potem znów uderzył w nich cuchnący wiatr. Milo oddychał przez usta.

Potem poczuł dotyk dłoni na swoich rękach. Drobnych dziecięcych dłoni, które szukały jego palców i trzymały się ich.

Bliźnięta. Serena stała po lewej, uśmiechała się do niego. Carlo, który zajął miejsce po drugiej stronie, złapał za rękę Suzie. Oboje się uśmiechali, lecz w ich oczach widać było strach.

- Co się dzieje? – spytała Serene.
- Idzie burza – odpowiedział Milo. – Potężna burza.
- Nic nam nie będzie – dodała Suzie, sadzając sobie Carla na biodrze.

Milo rozejrzał się dokoła.

- Gdzie jest mama? – spytał.
- Myślałam, że tutaj – odparła Suzie. – Nie ma jej?

Milo obrócił się wokół własnej osi.

- Mamo! – zawołał, ale wiatr porwał jego krzyk i zmieszał z głosami innych ludzi.
- Zostańcie z nami – przykazał bliźniętom. – Później odszukamy mamę.

Nagle powietrze zrobiło się zielone.

Oślepiające światło! Błyskawica!

I niemal dokładnie w tym samym momencie grzmot.

Potem świat rozpadł się na kawałki.

Czy tak właśnie wyglądał huragan? – zastanawiał się Milo. Wiatr napierał na nich jak prasa parowa, smagał ich zerwanymi z drzew liśćmi i gałązkami, niósł krople wody przez dziwne zielone powietrze.

Nie podobał mu się dotyk tej wody. Milo miał wrażenie, że pełza po nim, by się dostać do wnętrza jego ciała. Serene wierciła się, ścierała wilgoć z twarzy i strząsała ją z palców.

- To jest śliskie – skarżyła się.
- Wiem – odparł Milo.

Dziewczynka wsunęła się między niego i Suzie, złapała Carla za kostkę u nogi.

- Bud ba dza – powiedziała do brata, na co ten odpowiedział:
– Parka.

Milo i Suzie spojrzeli po sobie z rozbawieniem.

- Parka – powtórzył Milo.
- Jak cholera – zgodziła się z nim Suzie.

Na skórze wszystkich, których dosięgły krople deszczu, pojawiały się pęcherze. Niektórzy wyspiarze byli nimi pokryci od stóp do głów.

Burza szalała nad wyspą przez wiele godzin, jakby chciała ich wszystkich pochłonąć. Dla zabicia czasu opowiadali sobie różne historie, poruszali wiele tematów. Na zmianę drzemali i podtrzymywali się nawzajem. Przez chwilę śpiewali starą pieśń spiritual zatytułowaną *Margaritaville*.

Powietrze, dotąd zielone, przybrało różową barwę.

Milo zwrócił uwagę na drzewa rosnące z dala od skalnego nawisu. Ich pnie i liście pokryły się grubymi żyłami (a może bliznami, które powstały, gdzie spływał po nich deszcz?).

Liście opadały. Spadały kokosy. Drzewa waliły się z hukiem na ziemię. Słyszał je blisko i daleko.

Błyskawica.

Grzmot!

Pioruny biły w ziemię niemal bez ustanku, jeden za drugim. Co ciekawe, ta kanonada działała usypiająco. Milo i Suzie znaleźli sobie trochę miejsca na ziemi, ułożyli się tam, tuląc do siebie bliźnięta, i zapadli w niespokojny, pełen dziwnych obrazów sen.

Gdy deszcz w końcu ustał i ucichł wiatr, starsi wyspiarze nie mieli ochoty opuścić bezpiecznej kryjówki.

Burza przesunęła się dalej. Słyszeli odległe grzmoty, widzieli błyskawice rozpalające niebo. Zostawiła po sobie dziwną ciszę, bezruch i odrażający smród.

– Poczekajmy, aż wszystko wyschnie – zaproponowała Babs Babylon, czterdziestoletnia wdowa, a zarazem najlepszy ślusarz na wyspie.

– Pieprzyć to – wychrypiał Boone, który przez cały czas burzy nawet nie usiadł. Wyszedł prosto w wielką kałużę, która lśniła wszystkimi kolorami tęczy jak rozlana benzyna.

Większość wyspiarzy ruszyła za nim.

Milo odwrócił się do Suzie.

– Zajmij się bliźniakami, dobrze? – poprosił.

Skinęła głową. Nie musiał jej mówić, że idzie szukać mamy.

Dogonił Boone'a, którzy przystanął między paprociami, by zwymiotować i złapać oddech.

– Gdzie jeszcze mogli się schować? – zastanawiał się Milo. – Czy komisja burzowa znalazła jakieś inne...

Boone pokręcił głową.

– To jedyna kryjówka – powiedział. – Może została w chacie.

Potem znów zwymiotował.

– Zostaw mnie, Milo – poprosił. – Idź dalej.

Milo nie wiedział, co zrobić.

Jeśli mama była na plaży, znajdą ją tam Suzie i bliźnięta. Miał jednak przeczucie – stare, niewytłumaczalne i jednoznaczne – że tak się nie stanie.

Kiedy potknął się o nastolatkę zwaną Panna Naga Mars, pomyślał najpierw, że to świnia śpiąca pod krzewami. Zdziwił się, bo na Europie nie hodowano świń. Lecz to zwierzę było różowe i okrągłe, a do tego wydawało z siebie charakterystyczne posapywania.

– Jezu... – jęknął Milo, gdy przyjrzał się uważniej i zrozumiał.

Na lewym boku Panny Nagiej Mars wyrósł olbrzymi guz, który rozciągał się od jej stóp do czaszki. Guz pulsował, sięgał po nią ukrytymi pod skórą błękitnymi żyłami, które wyglądały jak macki.

Dziewczyna spojrzała na niego prawym okiem, pełnym grozy i rozpacz. Lewe oko opadało bezwładnie na dół, sączyła się z niego jakaś żółta ciecz.

– *Fulghuss*... – zabalgotowała. Podniosła prawą rękę, jakby chciała go złapać.

Milo poderwał się do biegu.

Pięć minut później znalazł swoją matkę.

Na pierwszy rzut oka wydawała się zdrowa. Po prostu kobieta oparta o drzewo.

– Mamo?! – zawołał. Podbiegł do niej, przeskakując obalone konary i sterty odbarwionych liści.

– Nie! Milo, nie... – odpowiedziała błagalnym tonem.

Mogła mówić. Będzie zdrowa: to, co zdeformowało Pannę Nagą Mars, nie dotknęło mamy. Tylko dlaczego trzymała się drzewa? Dlaczego... Nagle zrozumiał.

Mama była w ciąży. A właściwie tylko tak wyglądała. Coś w jej brzuchu rozrastało się gwałtownie, rozpychało ją od środka. Kiedy stał w bezruchu, dławiąc krzyk, który rodził się

w jego piersiach, skóra na brzuchu mamy rozsunęła się niczym zamek błyskawiczny. Jej pępek wyskoczył jak korek z butelki i odwrócił się na drugą stronę.

Podniosła rękę i zasłoniła oczy, by go nie widzieć, by stać się niewidzialną.

Spomiędzy jej zaciśniętych zębów wydobyło się stłumione wycie. Jakaś stara, zdecydowana część umysłu Milo kazała mu się wycofać i ponownie poderwać do biegu.

Tym razem biegł do wioski.

Nawet nie spojrzął na mokre, zapadnięte chaty ani na plażę i kilka leżących na niej zdeformowanych ciał wyspiarzy, martwych lub umierających. Kątem oka dostrzegł, że jeden z nich pękł niczym przejrzały owoc. Dopadł do chaty, w której przechowywano narzędzia, pochwyił maczetę domowej roboty i popędził z powrotem w górę zbocza, do dżungli.

Milo musiał przewyciężyć samego siebie, by zrobić to, co zrobił.

Gdy do niej dotarł, raczej się dławiała, niż oddychała. Jej krzyk tłumili guzy w gardle, a gdy stanął obok, spojrzała nań zapłakanymi oczami.

Najszybciej, jak potrafił, wkładając w to wszystkie siły, ściął jej głowę. Zrobił to z przerażającą precyzją, usuwając się zwinnie na bok, by nie oblały go płyny tryskające z jej szyi.

Dlaczego? Co się stało? Czy mama nie zdążyła uciec? Nie wiedziała, że trzeba się schować? Nie wiedziała, gdzie jest kryjówka?

Zdawał sobie sprawę, że nigdy nie pozna odpowiedzi na te pytania. Starał się o tym nie myśleć. Jego umysł okrywał już lodem całe to popołudnie, chował te wspomnienia w jakimś odległym zakątku.

Wrócił do Panny Nagiej Mars, ale ta pękła już na pół, a z jej ciała wyrastały muchomory. Na obrzeżach ich kapeluszy kołysały się wyrostki przypominające palce. Machały do niego.

Przez tydzień, może dłużej, mieszkańcy Galerii Sław prawie się nie ruszali i nie odzywali do siebie. Siedzieli wpatrzeni w morze i niebo. Pewien mężczyzna – stosunkowo młody wolny strzelec o imieniu Dracula – wszedł do morza i pozwolił, by zabrał go prąd. Na plaży było wtedy czterdzieści osób. Nikt nie próbował go powstrzymać.

Milo poszedł do Suzie i bliźniąt, by pomóc im zdrapać pęcherze pozostawione przez deszcz i umyć się wodą z oceanu (Czy ta woda była czysta? Czy cokolwiek było czyste?), lecz Suzie go uprzedziła. Wszyscy to robili.

Wchodzili do morza, zanurzając się po kostki, i szorowali się morskim piaskiem. Niektórzy zdierali skórę do krwi, inni przyglądali się temu i nie próbowali ich powstrzymać. Aż do momentu gdy Jale przykuśtykała do Skwierczącej Rose, która wciąż szorowała ciało piaskiem, choć krwawiła w wielu miejscach, i wyrwała sobie już trzy paznokcie.

– Nie, Rose. Przestań. Przestań – powiedziała Jale i przytrzymała ją, aż kobieta znieruchomiała. Dopiero wtedy wielu obserwujących otrząsnęło się z szoku. Dopiero wtedy komisja odbudowy zabrała się do pracy i poleciała Wujowi Samowi, by wyszedł na wzgórze i sprawdził, czy bęben ostrzegający przed tsunami ocalał. Dopiero wtedy zaczęli się gromadzić, rozmawiać i dotykać nawzajem, choć początkowo każdy tego unikał.

– Pochowałem ją – powiedział Milo Suzie i bliźniętom, które płakały, rozpaczały i wściekały

się na przemian, jak wielu ludzi w takiej sytuacji.

Nie powiedział im całej prawdy. Pochówek nie był konieczny. Zabici przez burzę jednoczyli się z naturą, a przynajmniej tak to widział Milo.

Serene i Carlo zamieszkali z Milem i Suzie, choć rzadko pojawiali się w domu. Wychodzili i przychodzili, kiedy chcieli, niczym wiatr, nieszkodliwi i nieodgadnieni.

Po tygodniu, gdy ustalono już dokładnie listę zmarłych, urządzono pogrzeby.

William Hofstettler, Mary deJeun, Pat Królik i Junebug. Cordero, Napoleon, Zane Poczekaj na Mnie, Kallisto Striptizerka, Wavy Gravy. Niektórzy twierdzili, że Wavy Gravy nie umarł, tylko zniknął w kokonie olbrzymiego guza, a kiedy z niego wyszedł, był już kimś innym. Urządzili głosowanie i zorganizowali mu jednak pogrzeb, w którym brał udział jako Wavy Gravy 2.

Doktor Hak, Velma Peters, Jalapeno, Kellog, Podwójny Dip, Jodi Petunia, Boone, Ivan Rue, Ostatni Mohikanin, Mleczna Kasa i Joelle Texas Radio.

To mama nosiła przydomek Joelle Texas Radio. Milo niemal o tym zapomniał.

Mijał czas.

Miesiąc później – dwa? – wszyscy mieszkańcy wyspy leżeli na plaży i obserwowali, jak Io oraz kilka pomniejszych wewnętrznych księżyców okrąży Jowisza.

Coś rozbłysło w przestrzeni między księżycami a olbrzymią tarczą planety. Jak świetliki albo rozżarzone węgle.

– Ładne – zauważył Milo.

– Tak i nie – odparł Chili Pepper, który leżał kilka metrów dalej. – To statki kartelu. Lecą do nas.

I rzeczywiście, rankiem przez atmosferę przebiła się cała flota.

Jeden z mniejszych wyposażonych w płozy okrętów ryknął silnikami, wyhamował i osiadł na plaży. Mieszkańcy Galerii Sław oderwali się od pracy i ustawili na zboczach w równym dwuszeregu, jak oddział nagich żołnierzy.

Milo szedł właśnie do pompy i był już blisko lasu. Raymond Carver, który zastąpił Boone'a, krzyknął do niego:

– Milo! Zejdź tutaj i stań w szeregu!

Milo otworzył usta, by odpowiedzieć mu jakąś ordynarną uwagą.

– Zrób to! – ryknął Carver, biegnąc w stronę pozostałych wyspiarzy. – Wytłumaczę ci później!

Milo zajął miejsce w dwuszeregu, podobnie jak wszyscy inni, którzy nie pełnili akurat dyżuru przy pompie. Zdążył stanąć przy Carverze, gdy z okrętu wyszło trzech nadzorców.

– Właśnie tego oczekują – wyszeptał Carver. – Nie staniesz w szeregu, to cię zabiją albo przestrelą ci kolana, albo oślepią, albo...

– Cisza! – huknął dowódca.

– Potrzebujemy owoców – przemówił jeden z jego zastępców. – Przynieście tu wszystko, co macie, i zbierzcie jeszcze pół tony.

Wyspiarze ruszyli w stronę drzew.

– Pół tony? – powtórzył Milo.

Carver szedł już do lasu i udawał, że go nie słyszy.

– Jakiś problem? – wychrypiał zastępca, mierząc do Mila z karabinu.

Chłopak nie odpowiedział. Oddalił się leniwym, nonszalanckim krokiem.

Jednak gdy doszedł do lasu, zbierał owoce wraz z pozostałymi.

– Czy ktoś pomyślał o tym, co będziemy jedli przez następny miesiąc? – spytał.

Nikt mu nie odpowiedział.

Gdy układali owoce na plaży, Milo zauważył, że flota kartelu również nie próżnowała.

Nie przylecieli tylko po owoce. Działo się tu coś znacznie groźniejszego.

Olbrzymie statki zawisły nad oceanem w odległości wielu kilometrów od wyspy, tworząc w powietrzu wielkie półkole.

– Znów będą testować – powiedział Carver.

– Co będą testować? – spytała Suzie.

– Broń. Słyszałem trochę plotek na ten temat, zanim odebrali mi laboratorium.

– Atomówki? – spytał Milo.

– Gorzej. – Carver pokręcił głową. – To coś, co wciąga w siebie przestrzeń jak igła, która nawleka się na własne ucho. Nazywają to bombą wsobną.

Nadzorcy stojący przy okręcie z płozami zwrócili na nich uwagę.

– Pracować! – ryknęli jednocześnie. Jeden z nich ruszył w ich stronę.

Wyspiarze pochyłili się nisko i zajęli się układaniem owoców.

– Więc wszystko, co znajduje się w polu rażenia, znika? – spytała Suzie.

– Coś takiego przydałoby się w górnictwie – zauważył Milo. – Gdyby tylko można było regulować zasięg.

– Nie o to chodzi – wyszeptał Carver, zerkając na nadzorcę. – Ta broń ma likwidować ludzi. Unicestwiać całe miasta. Bez śladu. Bez dowodów.

– Co tu się dzieje? Pracować, a nie gadać – wychrypiał nadzorca, wpychając się między Mila i Carvera.

Obaj spojrzeli na niego z minami idiotów i rozeszli się w przeciwne strony.

Wypróbowali bombę po południu następnego dnia.

Milo pracował wtedy przy pompie. Któraś z instalacji przeciekała, co wcześniej czy później musiało doprowadzić do pożaru. Dlatego gdy w końcu doszło do eksplozji, Milo patrzył na oblepione olejem rury, a nie na morze.

Mimo to na chwilę stracił wzrok.

Oślepiający błysk przeniknął ich, jakby wrzucono ich w słońce. Milo zaklął i zakrył twarz ramieniem. Pozostali robotnicy zrobili to samo.

Prócz jednego, dzieciaka o przezwisku Ferie Świąteczne, który patrzył właśnie na południe, gdy wybuchła bomba. Chłopak zaczął przeraźliwie krzyczeć.

Milo odszukał go po omacku, naprowadzany rozpaczliwym wrzaskiem. Pochwycił dzieciaka, przyciągnął do siebie i zamknął w uścisku. Ferie Świąteczne chciał wydrapać sobie oczy, ale Milo trzymał go dopóty, dopóki ten się nie uspokoił i zamiast krzyczeć, pojękiwał tylko cicho.

Tymczasem Milo odzyskał już wzrok i spojrzał na morze. Nie mógł oderwać od niego wzroku.

Daleko za okrętami kartelu w oceanie powstał krater. Idealna, odwrócona kopuła, jakby ktoś wcisnął tam kulę do kręgli ogromnych rozmiarów, a potem ją zabrał. Nad tą niewyobrażalną pustką kłębiły się chmury, przyciągane niewidzialną siłą.

Nagle nad wyspą podniósł się wiatr, który ciągnął fale, piasek, chmury i ptaki w stronę tej kuli... niczego...

Woda i wiatr nacierały ze wszystkich stron z ogłuszającym rykiem.

Milo otworzył usta, całkiem oszołomiony i przytłoczony tym spektaklem na miarę bogów lub olbrzymów, widowiskiem, którego ludzkie oczy i umysł nie były w stanie objąć.

Wiatr przycichł, a na niebie pozostało jedynie coś na kształt chwiejnej gwiazdy, blizna na ciele czasoprzestrzeni.

Ferie Świąteczne jęknął cicho.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił go Milo (okłamał?). – Do wieczora odzyskasz wzrok. Zaprowadzę cię do rodziny. Dlaczego wybrałeś sobie takie dziwne przezwisko?

– Bo moi rodzice nazwali mnie Melissa – odparł chłopak. – Chcieli mieć córkę.

Milo zajmował go rozmową i pilnował, by nie tarł oczu, aż doszli do wioski.

Pulsująca gwiazda wisiała nad oceanem do następnego ranka. Gdy w końcu się wypaliła, statki kartelu obrały kurs na wyspę.

Milo wyczuł, że pracownicy kartelu mają ochotę na zabawę. Zrobiło mu się słabo.

– Zostawią nas w spokoju? – spytał Carvera, gdy ustawili się w szeregu na plaży.

Carver nie odpowiedział.

Pierwszy z wielkich okrętów zawisł nad wyspą, przesłaniając Jowisza i Słońce. Inne statki, mniejsze i większe, nadciągnęły za nim jak wilcza wataha.

Chwilę później wylądowały statki na płozach i ciężkie transportowce. Wyszli z nich nie tylko opancerzeni nadzorcy, ale też żołnierze w jednoczęściowych kombinezonach. Wydawali się rozbawieni widokiem nagich wyspiarzy ustawionych w szeregu.

– Zajmijcie się swoimi sprawami! – krzyknął dowódca, odprawiając ich ruchem ręki. – Wezwiemy was, kiedy będziecie nam potrzebni.

Wyspiarze rozeszli się pospiesznie do chat i do lasu, omijając plażę.

Milo i Suzie obserwowali spomiędzy drzew, jak żołnierze rozstawiają namioty i uruchamiają generatory. Nadleciały kolejne statki, wysadziły kolejne grupy ludzi na brzeg. Ludzi w różnego rodzaju uniformach, w wojskowych mundurach, w ubraniach roboczych, w garniturach.

Pijackie wrzaski przybierały na sile. Brzęczało rozbijane szkło. Ryczała muzyka.

Co jakiś czas żołnierze wchodzili do wioski i kazali wyspiarzom zbierać owoce, liście froojii, które miały działanie narkotyczne, albo „to gówniane kolorowe drewno”.

Grupa nadzorców oderwała się od grona imprezowiczów i przeszła do namiotu Jale.

– Gdzie przechowujecie kulbaki? – spytał najwyższy z nich. – Pokażcie nam, co macie, i zapakujcie wszystko do worków.

Milo i Suzie, ukryci w pobliskiej chacie, słuchali tej rozmowy, wstrzymując oddech.

– Ostatnio nie wypływalimy na połów – odparła Jale. – Likwidowaliśmy przecieki w waszej pompie. Nie mamy świeżych ryb.

– Więc dajcie suszone – zażądał nadzorca. – Wiemy, że macie suszone.

– Potrzebujemy ich – protestowała Jale. – Zabraliście nam miesięczny zapas owoców. Na drzewach nic już nie zostało.

Głuchy odgłos, jakby ktoś otrzymał cios.

Milo i Suzie bez słowa ruszyli do wyjścia.

Jale leżała na piasku przed swoją chatą i zakrywała dłonią krwawiącą wargę. Chili Pepper pochylał się nad nią.

– Możemy w czymś pomóc? – spytał Milo.
– Ryby – rzucił krótko nadzorca.
– Pójdziemy ich poszukać. – Milo grał na zwłokę. – Ale być może już je oddaliśmy razem z owocami...

Nadzorca uderzył go w twarz kolbą karabinu. Milo upadł na piasek. Okryła go ciemność.

Kiedy się ocknął, zabawa trwała w najlepsze. Warczały silniki samolotów i łodzi. Dudniła muzyka.

Wyspiarze kryli się w swoich chatach.

Suzie otarła policzek Mila czymś wilgotnym. Jale i Chili Pepper siedzieli w pobliżu.

– Jale zaprowadziła ich do spiżarni z rybami – powiedziała Suzie. – W przeciwnym razie by cię zastrzelili.

– A co, kurwa, będziemy jeść w tym miesiącu? – warknął Milo.

– Dotrwajmy na razie do jutra – odparł Chili Pepper. – Potem będziemy się martwić o resztę.

Nagle pośród chat przy lesie rozległy się krzyki.

– Nie! – wołała błagalnie jakaś kobieta. Obok przebiegła inna, przerażona i zapłakana.

Milo spojrział w stronę lasu i zrozumiał, co ją tak poruszyło. Dwaj mężczyźni w kombinezonach trzymali za nogę kilkuletnią dziewczynkę i ciągnęli ją między drzewa. Dziewczynka krzyczała i wierzgała. Kobieta dobiegła do mężczyzn, pociągnęła jednego z nich za rękaw i zaczęła coś mówić.

Napastnicy wydawali się zainteresowani tym, co miała im do powiedzenia.

Puścili dziewczynkę, kobieta weszła z nimi między drzewa.

Milo stał z zaciśniętymi pięściami.

– Wolę chyba umrzeć, niż...

– Nie – przerwali mu Jale i Chili Pepper jednocześnie.

– Tylko pogorszysz sytuację – powiedział Chili Pepper. – Bo może być znacznie gorzej.

Słyszeli krzyki kobiety dobiegające z lasu. Nie ruszali się z miejsc. Łzy szczypały Mila w oczy. Suzie ścisnęła jego rękę z taką siłą, że sprawiała mu ból. Nie protestował.

Nagle usłyszeli grzmot. Odległy, z drugiej strony wyspy.

Milo spojrział na niebo, które wydawało się czyste.

Grzmot zamienił się w rytmiczne dudnienie.

– To nie burza – powiedział Chili Pepper. – To bęben tsunami.

Chili Pepper szarpnął Mila i Suzie, pchał ich bezceremonialnie, krzycząc:

– Biegnijcie!

Na plaży komisja rybna spychała łodzie na wodę. Pijani imprezowicze wydawali się zadziwieni tym nagłym poruszeniem; odsuwali się na bok i się śmiali. Ktoś pogłośnił muzykę.

– Coś wystraszyło księżycowych czarnuchów – mówili, gdy Milo wbiegł do wody.

Ciemne postacie wylatywały z lasu: to robotnicy z nocnej zmiany przy pompie zjeżdżali ze wzgórza na ukrytych pośród drzew linach. Ładowali na piasku i natychmiast biegli do wody.

Łodzie rybackie były już wypełnione po brzegi, wypływały na pełne morze. Nieco dalej wyspiarze wyciągali z lasu trzy wielkie katamarany zbudowane z powiązanych ze sobą kłód, prostych masztów i żagli. Trzeba było kilkuset sprawnych rąk, by przeciągnąć je do wody.

– Tędy! – krzyknął Milo. – Suzie, widziałas bliźnięta?!

Jeden z okrętów kartelu włączył światła, gdy łodzie odbiły od brzegu.

Syreny i sygnały alarmowe zagłuszyły muzykę i wrzaski.

W końcu także żołnierze ruszyli biegiem do statków, jedząc po drodze banany i dopijając drinki.

Tymczasem na katamaranach setki rąk podnosiły maszty. Żagle wypełniły się wiatrem. Milo wskoczył na pokład drugiego katamaranu, czepiając się palcami wilgotnego drewna. Kilku pasażerów pomogło mu odzyskać równowagę, a potem pomogli Suzie, która skoczyła tuż za nim.

– Ilu wyspiarzy może się zmieścić na łodzi?! – zawołał ktoś.

– Jeszcze jeden! – odkrzyknęli wszyscy. – Zawsze jeszcze jeden!

Znaleźli wolne miejsce na plecionej siatce między kłodami i siedzieli przytuleni do siebie, starając się zajmować jak najmniej przestrzeni.

W górze krążyły statki kartelu. Mniejsze odpalały rakiety i odlatywały. Największe czekały na podnośniki linowe ze stacji orbitalnych, które wczepiały się w ich dzioby i ciągnęły je ku górze. Kilka ciężkich transportowców z uruchomionymi silnikami stało jeszcze na plaży, czekając na spóźnialskich.

Suzie dźgnęła Mila w ramię i wskazała na otwarte morze.

Horyzont wyraźnie pociemniał.

– To nie wygląda na falę – powiedziała.

– Bo to nie będzie zwyczajna fala – odpowiedział jej któryś z siedzących obok wyspiarzy. – Dopóki nie dopłynie do płycizny. Wtedy urosnie.

Głos mężczyzny wydawał się znajomy...

– Carver! – krzyknął Milo. – Widziałeś mojego brata i siostrę?

Carver pokręcił głową, ale zaraz dodał:

– Na pewno gdzieś się wkręcili, jestem tego pewien. To bystre dzieciaki.

Na razie Milo musiał się zadowolić tym stwierdzeniem.

– Wracając do fali – kontynuował Carver. – Dalej jest stromy spadek. Spróbujemy z niego spłynąć, zanim fala dotrze tutaj.

– Płyniemy za wolno – burknęła kobieta z guzem za lewym uchem.

Trzej mężczyźni pociągnęli za grubą linę. Katamaran przechylił się na bok, a wszyscy jego pasażerowie wbili palce w siatkę. Łódź nabrała prędkości.

Nagle ocean zniknął spod kłód katamaranu.

Łódź zanurkowała dziobem w dół, a Milo zrozumiał, że dotarli do czoła tsunami.

Kilometr dalej wybrzuszenie, które pędziło przed chwilą wzdłuż horyzontu, zaczęło się gwałtownie wypiętrzać i zamieniać w górę.

– Boże święty... – wyszeptał Milo.

W następnej sekundzie wspinali się już na jej grzbiet. Suzie ścisnęła ramię Mila, gdy morze wyduło się pod nimi, a potem podniosło ich ku niebu.

Kilkoro wyspiarzy, którzy nie trzymali się siatki wystarczająco mocno, wpadło do morza. Nie wypłynęli już na powierzchnię.

Milo obejrzał się na wyspę i zobaczył, że wszystkie statki kartelu są już w powietrzu i kierują się ku atmosferze. Wszystkie prócz jednego, który wciąż tkwił na plaży.

Przesunęli się nad grzbietem fali. Na sekundę katamaran jakby zawisł w powietrzu: w oddali widać było rozproszone wyspy, poniżej ciągnęła się krawędź świata. Z drugiej strony ocean wyglądał jak mroczna armia – szeregi fal pędzących przez błękit.

Popędzili w dół, nabierając prędkości, po czym odlecieli do tyłu, gdy podniosła ich kolejna, jeszcze większa masa wody. Z jej grzbietu widzieli, jak pierwsza fala uderza o brzeg.

Ostatni transportowiec kartelu oderwał się od ziemi i próbował nabrać prędkości, lecz tsunami pochłonęło go jak małą łupinę. W następnej sekundzie drzewa i wzgórza zniknęły pod wodą. Tylko najwyższa góra i potężna pompa pozostały nietknięte wśród ryczącego, spienionego żywiołu.

– To szaleństwo – wyszeptał Milo. – Ta planeta jest szalona.

Suzie zamknęła mu usta długim, gwałtownym pocałunkiem. Takim, który czujesz w gardle.

Pod wieczór następnego dnia wrócili na brzeg.

Nie był to dobrze im znany brzeg i leżąca przy nim wioska. Co stało się z tamtym miejscem? Wioska była teraz gdzieś w morzu lub wśród drzew w głębi lasu. Tsunami zostawiło po sobie nową linię brzegową.

Wypatrzyli szeroką plażę i skierowali tam dwa wielkie katamarany. Najpierw wpełzli między drzewa, na bezpieczny teren, a potem padli na ziemię, wyczerpani. Członkowie komisji odbudowy rozpalili ognisko i zaczęli gromadzić materiały na szałas i chaty.

– Bliźnięta – powiedziała Suzie.

Carlo przepychał się przez tłum, ciągnąc za sobą Serene. Oboje spojrzeli na Mila.

– Dobrze – orzekli krótko, jednym głosem. Potem spojrzeli również na Suzie i powtórzyli: – Dobrze.

Wspólnie zaczęli przeczesywać skraj lasu, wypatrując wszystkiego, co mogło im się przydać.

Trzeci katamaran nie wrócił.

– A łodzie rybackie? – spytał Milo Carvera.

– Nic im nie będzie. Są szybsze, więc wypłynęły dalej i wrócą później. W tym czasie złowią coś do jedzenia.

Choć wydawało się to nieprawdopodobne, znaleźli nietknięty bęben tsunami, wciśnięty między wielkie głazy. Przetoczyli go nad najbliższe urwisko i postawili przy nim strażnika – Jane Eyre, kobietę, której mąż nie wrócił z oceanu.

Komisja odbudowy dokonała przeglądu narzędzi i ustaliła, które były zdatne do użytku, a które musieli zrobić. Milo i Suzie zgłosili się na ochotnika do kopania nowej latryny. Skwiercząca Rosie, Czerwone Wino i Matthew poszli szukać słodkiej wody.

Nadszedł kolejny przypływ i odpływ.

O zachodzie słońca oddali cześć zmarłym.

– Polly Wolly – czytał Carver. – Jim Shunk. Justynian Trzeci. Kobieta Korali. Biały Kurczak. Pan Henry. Caspar. Wielki Brad. Stary Brad. Szekspir. Sara Bibliotekarka. Kot Syjamski. Conan Mściciel. Zostawcie Mnie w Spokoju.

Z półmroku zalegającego nad oceanem wypłynęły łodzie rybackie i przybiły do brzegu. Pasażerowie zeszli na plażę i dołączyli do nich w milczeniu.

– Boo-Cherry. Szmaciana Lalka. Kapitanie, mój Kapitanie. Vaughn Gillespie. Indigo. Demon Rum. Sałatka. Ostatni Scjentolog. Doris Fubar. Danny Bo-Banny. Dobre Oceny. McDonalds, Pookie z Nazaretu... – siedemdziesiąt przydomków i nazwisk, które wypowiadali głośno po raz ostatni.

Życie wróciło do normy.

Świat się zmienił.

Jak ich nazwa. Galeria Sław Rock’N’Rolla zamieniła się w Sly and the Family Stone, na część sławnego zespołu z odległej przeszłości.

Siedem dni po tsunami na wyspie wylądował okręt kartelu. Członkowie Family Stone ledwie zdążyli zebrać się na plaży, kiedy ze statku wyszli nadzorcy.

– Ustawić się w dwuszeregu! – warknął dowódca. – Wszyscy!

Uuuuuuuuuurrrrrrrrrrrrrrrrrrrrr! Wypuścił w powietrze długą serię z karabinu maszynowego. Puste łuski opadały na piasek.

Wyspiarze nadbiegali ze wszystkich stron.

Tym razem nie chodzi o owoce – pomyślał Milo.

– Straciliśmy statek – oznajmił dowódca. – Gdzie on jest?

Zdumione szepty w dwuszeregu.

Nadzorcy nie żartowali. Wszyscy czterej skierowali broń na małą dziewczynkę o imieniu Mango.

– Widziałem, jak zabrała go fala – powiedział Milo. – Czekał na maruderów i nie zdążył odlecieć.

– Gdzie jest teraz? – spytał jeden z zastępców.

Milo pokręcił głową.

– Nie wiem.

– Być może ocean wyrzucił go na płyciznę – odezwała się Wielki Ptak, która stała za nim. – W wyspę uderzyły co najmniej trzy fale.

– Stul pysk! – ryknął dowódca, przechodząc za pierwszy szereg i przystawiając lufę karabinu do czoła Wielkiego Ptaka.

– Dlaczego nas nie ostrzeżliście? – spytał. Potem ryknął na całe gardło: – Dlaczego nas nie ostrzeżliście, pierdolone czarnuchy?!

W dwuszeregu podniósł się gniewny pomruk.

– Słyszeliście bęben tak samo jak wszyscy inni – odpowiedział ktoś. – Dobrze, kurwa, wicie, co to znaczy.

O cholera – przeraził się Milo.

Uuuurrr! Głowa Wielkiego Ptaka zamieniła się w czerwony obłok. Jej ciało runęło na piasek.

„Bo ważniacy z kartelu i ich skretyniałe zbiry byli zbyt zajęci wrzeszczeniem, piciem i zaciąganiem dzieci do lasu” – miał ochotę odpowiedzieć Milo.

Dowódca cofnął się o krok.

– Ponieważ nas nie ostrzeżliście, zostaniecie ukarani – oznajmił. – O zachodzie słońca.

Przerażone szepty w dwuszeregu.

Nadzorcy wsiedli do statku, wzbili się w powietrze i odlecieli nad ocean.

Carver i Jale przeszli nad ciałem Wielkiego Ptaka, stanęli przed pierwszym szeregiem i zwrócili się do Family Stone.

– Uwaga – zaczął Carver. – Ci z was, którzy wiedzą, co się wydarzy, niech idą i robią to, co trzeba zrobić. Wszyscy nowi, słuchajcie mnie uważnie.

Mniej więcej połowa wyspiarzy ruszyła w stronę chat.

– Oto jak wygląda sytuacja – zwróciła się do pozostałych Jale. – Nie będzie łatwo. Zbiry wrócą

tu za godzinę. Wejdą do naszych domów i każą nam się krzywdzić nawzajem.

– Co masz na myśli? – spytał ktoś.

– To coś, co zbrodnicze rządy robiły na Ziemi przed uderzeniem komety – tłumaczył Carver. – Więc ludzie zamieniali się domami. Wysyłali swoje dzieci do sąsiadów albo do dalszych krewnych. Dzięki temu potem nie musieli okaleczać własnych dzieci albo batożyć swojej matki.

Mila znów zapiekły oczy.

Chciał powiedzieć, że mogliby przecież uciec. Mogliby się ukryć. Wiedział jednak, co odpowie mu Jale.

To tylko pogorszy sytuację.

Co robisz – zastanawiał się – kiedy szukasz w sobie odwagi i nie możesz jej znaleźć?

Udajesz ją – odpowiedziały głosy w jego głowie.

Powiedział więc:

– Dobrze.

– Dobrze – powtórzyła za nim Suzie.

– Dobrze – powiedzieli wszyscy wyspiarze i zawrócili do chat.

– Suzie, ty pójdziesz ze mną – zaproponowała Jale. – Chili pójdzie do domu Rose, a mój tata do Mila.

Powtórzyła te instrukcje, ale Milo jej nie słuchał.

Bliźnięta. Do cholery, jak to się dzieje, że znikają zawsze, gdy zaczyna się dziać coś złego? Potem przypomniał sobie, co mówił Carver. Są bystre. Poradzą sobie. Zresztą i tak nie mogłyby dla nich nic zrobić. Ale... cholera! I tak bez ustanku się dręczył.

Wymienił z Suzie pożegnalny pocałunek. Dokoła inne rodziny obejmowały się, po czym rozchodziły się do wyznaczonych chat.

Wrócił do swojego domu, gdzie czekał już na niego ojciec Jale, Stary Testament.

Słońce skryło się za Jowiszem, rozbłysły gwiazdy. Niektóre z nich poruszały się i krążyły, a potem wylądowały na plaży.

Stary Testament pochwycił Mila za rękę i uściskał ją.

Słyszeli głosy wśród chat położonych bliżej plaży.

Słyszeli szum morza i brzęczenie owadów w dżungli.

Oczekiwanie. Może sobie poszli?

Eksplozja krzyków. Przerażliwy wrzask, a potem głuchy odgłos uderzenia.

Milo i Stary Testament pochylił się do przodu, jakby chcieli wstać i wydać gniewny okrzyk.

Zachowaj rozsądek – powiedział głos w głowie Mila. Więc opadł z powrotem na swoje miejsce. To samo zrobił jego towarzysz.

Milo widział przez drzwi ciemne sylwetki i kształty. W większości nieruchome... Zarysy chat i drzew przy plaży, w tle gwiazdy i obrys Jowisza. Ale i inne cienie. Hełm, lufę karabinu.

W kolejnej chacie, tym razem bliższej, rozległy się krzyki, coś rozbiło się o podłogę.

I następna chata, dalej wzdłuż plaży. I jeszcze jedna.

Brzmiało to tak, jakby maltretowano wszystkich wyspiarzy jednocześnie, jakby to sama noc zapragnęła nagle krwi i cierpienia. Za chwilę oprawcy poświęcili uwagę tylko jednej chacie, słysząc wtedy każde uderzenie, każdy krzyk i jęk. Żołnierze najwyraźniej przynieśli ze sobą bicze albo pasy.

Co jakiś czas terkotał karabin maszynowy.

A potem – chyba przez całe dziesięć minut – jakieś dziecko wyło nieustannie z bólu. Milo słyszał wtedy gniewne pomruki dochodzące ze wszystkich stron.

Tak nas właśnie dopadną – myślał z rozpaczą. Niektórzy z nas się nie podporządkują, inni do nich dołączą, a wtedy zastrzelą nas wszystkich.

Nagle na dłuższy czas zapadła cisza. Milo z nadzieją nasłuchiwał ryku silników. Wciąż wyteżał słuch, gdy w drzwiach pojawiły się trzy sylwetki.

– Wstawać! – ryknęli żołnierze. Nim Milo zdążył zareagować, kolba karabinu uderzyła go w skroń.

Wbili mu lufę pod brodę i zmusili, by wstał, a potem wcisnęli mu coś w rękę. Bicz przypominający ośmiornicę z haczykiem na końcu każdej macki. Lufa wbiła się ponownie w jego szyję.

Nadzorcy wrzeszczeli:

– Wstawaj! Wstawaj! Ruszaj się, skurwielu! Chcesz zdechnąć?! Chcesz zdechnąć?! Tego właśnie chcesz, ty śmieciu?! Wstawaj i zrób to! Uderz go! Uderz tego starego czarnucha! No bij go...

Milo zobaczył, jak Stary Testament podnosi na niego gniewny wzrok i krzyczy:

– Rób, co ci każą!

Dyscyplina.

Milo całkiem wbrew sobie podniósł rękę i zamachnął się biczem. Czuł, jak haczyki opadają na plecy mężczyzny i wbijają się w niego. Czuł, jak zatrzymują się raptownie, więc on również zatrzymał rękę. Stary Testament zawył.

Milo pociągnął za bicz, wyrwał haczyki. Trysnęła krew. Kawałki skóry prysnęły na wszystkie strony.

– Zrób to jeszcze raz! Jeszcze raz!

Coś gorącego dźgnęło go w nogę. Jeden z żołnierzy parsknął śmiechem.

Ręka Milo podnosiła się i opadała – uderzenie – szarpnięcie – krew i kawałki skóry.

Kazali mu to zrobić dziewięć razy.

Stary Testament oddychał ciężko, coraz słabiej. Flara zaczęła przygasać, w słabnącym świetle Milo widział, jak mężczyzna kołysze się do przodu i do tyłu.

Wiedział, że uderzyłyby go tyle razy, ile by mu kazano.

Żołnierze wzięli od niego bicz i wyszli.

– Przepraszam – wyszeptał Milo.

– Tak – odpowiedział Stary Testament. – Cicho.

Milo nie wiedział, kiedy statki odleciały. Gdy Słońce wysunęło się zza Jowisza, już ich nie było. Członkowie Family Stone patrzyli na siebie bez słowa.

Około połowy z nich miało teraz rany na guzach i powykrzywianych kończynach.

Rozejrzał się za Suzie.

Była tu! Oszołomiona i zakrwawiona, z odciętą częścią lewego ucha.

– W porządku – powtarzała. Pozwoliła, by Milo ją przytrzymał.

Milo zawstydził się nagle swego nieuszkodzonego ciała, jakby był to nowy rodzaj nagości.

– Kazali Carverowi zastrzelić Chili Peppera – wyszeptała Suzie. – Wcisnęli mu w rękę karabin i swoim dłońmi nacisnęli jego dłoń.

Chili – pomyślał Milo. Ale na razie był to tylko pusty dźwięk. Imię, które dopiero później

wypełni się jakimiś uczuciami. Tak właśnie będzie, prawda?
Poszedł szukać bliźniąt.

Już po kilku minutach znalazł Serene. Trwał właśnie odpływ, a Serene siedziała przy krawędzi urwiska ze Skwiercząca Rose, która miała na oku jakiś okład.

– Hej! – zawołał Milo i podbiegł do siostry.

Zerknęła w jego stronę i ponownie zapatrzyła się w horyzont.

Gdzie był Carlo? Milo uświadomił sobie, że nigdy dotąd nie widywał bliźniąt oddzielnie.

Kiedy podszedł bliżej, zauważył, że Serene dygoce. Drży tak, że z daleka wydaje się nieruchoma.

– Czy oni...?

– Nie dotknęła jej – wyszeptwała Skwiercząca Rose, gładząc dziewczynę po włosach.

Ulga.

– Nie wiem, skąd o tym wiedzieli – mówiła dalej Rose. – Umieściliśmy ich w dwóch różnych chatach, ale znaleźli Carla, przyprowadzili go i zmusili...

Umilkła.

– Zmusili, żeby bili się nawzajem? – spytał Milo.

Rose przysłoniła dłonią usta i zamknęła oczy.

– Nie – wyszeptwała tak cicho, że Milo ledwie ją usłyszał.

Kilka minut później od strony wioski nadszedł Carlo z Numerem Jeden, bratem Rose. Powoli usiedli na piasku obok Serene.

Żadne z nich się nie odzywało. Dzieliło je teraz ogromne, straszliwe skrępowanie.

Milo wstał i odszedł szybko, by nie widzieli, jak płacze.

Przez następne dni wyspiarze byli milczący i zamknięci w sobie. Wykonywali swoje zadania bez słowa.

Milo przejął na miesiąc straż przy bębnie tsunami. Suzie opuściła wioskę wyposażoną w papier i węgiel, by sporządzić mapę wyspy.

Kilka osób weszło do morza.

Kartel zrzucił nową grupę ludzi, część z nich też zaraz weszła do morza, inni zostali wyspiarzami i przyjęli nowe imiona. Christopher Niedomyślny. Rzym. Elegancik. Sir John Fotheringay. Była też cała rodzina sabotażystów z maszyny terraformującej: Pan Jones, Pani Jones, Yoko i Fyodor. Wszyscy zostali przydzieleni do pracy przy pompie.

Milo obserwował morze i pilnował bębna. Siedział, poddając się kamieniom, piaskowi i podmuchom wiatru.

– Muszę ci coś pokazać – powiedziała pewnego dnia Suzie, wspiąwszy się do niego. – To może być ważne.

Pocałowała go w czubek głowy. Odwrócił się i uściskał ją.

Suzie przyprowadziła Christophera Niedomyślnego, by zastąpił na chwilę Mila. Zaprowadziła ukochanego na odległe urwisko.

Wskazując w dół, powiedziała:

– Tam.

Lśniąca plama na wodzie, dokładnie w miejscu, gdzie załamywały się fale.

Tak znaleźli zaginiony okręt kartelu.

Zeszli na dół i zanurkowali do wraku. Pilot wciąż siedział na swoim fotelu, przypięty pasami szkielet ogryziony przez ryby. Pasażerowie unosili się za nim, kości w imprezowych ubraniach kołysane prądem.

Później, gdy wrócili na brzeg, Suzie wyszeptła:

– Nie powiemy o tym kartelowi.

Milo skinął głową i spojrział na nią płonącymi oczami.

Nie powiedzieli nikomu.

Dziesięć kolejnych osób weszło do morza.

Urządzili wielki uroczysty pogrzeb.

Tym razem to Jale wymieniała imiona.

– Hobbit – zaczęła. – Doris, LoJack, Gavin McLeod, Peter McPeter, Orm. Jilly, Nathaniel Poszukiwacz, Sally Mustang, Nellie, Mąż Nellie i Drugi Mąż Nellie. Michael, Ben-Jonah, Carter i Shane.

Nie rozpalili jednego wielkiego ogniska. Każdy przygotował małą drewnianą łódkę, podpalił ją i wypuścił na morze. Milo myślał, że zaraz pochłoną je fale, ale noc była dziwnie spokojna, a łódki popłynęły w różne strony i płonęły jeszcze przez długi czas niczym gwiazdy.

Milo podjął przerwane czuwanie przy bębnie, ale tym razem nie siedział tam w odrętwieniu jak wcześniej. Medytował o rzeczach, które pamiętał. Jakby oglądał filmy wyświetlane przez umysł.

Film o ojcu. Film o zabawach z Bąblem i Żabą, o najlepszych chwilach z Suzie. O rzeczach, z których był dumny, jak wtedy gdy po raz pierwszy zanurkował głęboko bez żadnego szkolenia i gdy uratował Buddę przed utonięciem.

Jego wewnętrzne głosy nagle stały się znacznie wyraźniejsze. Przypomniwał sobie, że był w Wiedniu, że obchodził pięćdziesiąte urodziny, że zabił się, spadając z dużej wysokości, że surfował, że był ojcem, że mieszkał w Ohio i że omal nie został zamordowany we Florencji.

Siedział tak przez pięć tygodni, wspominając i rozmawiając z wewnętrznymi głosami.

Przypomniwał sobie sporo rzeczy o Suzie. Przyszła do niego, przyniosła kulbaki i trochę jagód. Kochali się bez słowa.

– Przypomniałeś sobie – powiedziała potem. – Zgadza się?

– Tak. Przypomniałem sobie.

– Trochę to trwało.

W końcu w jego umyśle zrodziła się pewna idea. Nie była szczególnie wyjątkowa, skomplikowana ani nowatorska. Po prostu doskonale pasowała do tego miejsca i czasu.

Idea ta zaczęła się od pewnej opowieści.

Jakiś czas później przyszedł do niego Wysokie Napięcie z pytaniem, czy nie chciałby sobie zrobić przerwy.

– A żebyś wiedział – odparł Milo i zaniósł swoją opowieść na dół do wioski.

Urządzali właśnie kolejny pogrzeb. Tym razem była to mieszana uroczystość – niektórzy ze zmarłych popełnili samobójstwo, inni nie. Minionego tygodnia rak zebrał obfite żniwo.

Milo stał w bezpiecznej odległości od ogniska. Milczał. Jego opowieść mogła poczekać.

Później przyglądali się przez jakiś czas barwnym płomieniom, aż Milo odchrząknął

i powiedział:

– Słuchajcie.

Wszyscy członkowie Family Stone odwrócili się w jego stronę i unieśli brwi w niemym pytaniu. Wcześniej Milo wysmarował się cały jakimś czarnym paskudztwem. Potem nałożył na nie białe paskudztwo, rozcierając je tak, by kształtem przypominało kości. Wyglądało to jak dziecięcy rysunek kościotrupa. Patrzyli na niego w milczeniu.

– Opowiem wam pewną historię – oznajmił. – Później wyjaśnię, dlaczego uważam, że to ważna historia, ale na razie słuchajcie. Dobrze?

Cisza.

– Dawno, dawno temu – zaczął – na wyspie podobnej trochę do tej mieszkał mężczyzna, który nazywał się Jonathan Yah Yah. Należał on do tego rodzaju ludzi, którzy wszystkiego się boją. Kiedy jakiś łobuz bił go w szkole, nawet się nie bronił, ze strachu, że tylko pogorszy swoją sytuację. Przez całe życie kochał się w Marie Toussaint, ale nigdy nie przyniósł jej kwiatów, bo bał się, że go odrzuci. Dopóki ukrywał swoje uczucie, mógł wierzyć, że ona też go pokocha. Gdyby przyniósł jej kwiaty, a ona go wyśmiała, pozbyłby się nadziei i byłoby jeszcze gorzej. Później, gdy był biedny i miał nudną pracę na wysypisku śmieci, bał się szukać lepszej posady. Bo gdyby jej nie znalazł, a jego szef dowiedział się o tym i zwolnił go? Znowu byłoby jeszcze gorzej niż dotąd. Zawsze mogło być jeszcze gorzej.

A potem umarł.

Zanieśli go na cmentarz i pochowali. Jonathan Yah Yah leżał w trumnie i był strasznie smutny, bo miał za sobą nudne, gówniane życie. Było mu smutno z powodu tych wszystkich rzeczy, których nie zrobił, bo się bał. Teraz to zachowanie wydawało mu się głupie. Przecież i tak w końcu trafiłby do grobu. Jedyna różnica polegała na tym, że mógł żyć godnie i wspaniale, a teraz cieszyć się z tego i być dumnym. Tymczasem leżał w trumnie i wspominał pracę na wysypisku śmieci.

Tak się złożyło, że w pobliskiej krypcie siedział i palił papierosa Baron Samedi, potężny *loa*, czyli bóstwo voodoo. Baron zawołał:

„Jonathanie Yah Yah! Wyjdź i porozmawiaj ze mną!”.

Jonathan Yah Yah wyszedł ze swojego grobu, otrząpął się z ziemi i czekał, ciekaw, co *loa* ma mu do powiedzenia.

Baron Samedi rzekł: „Jonathanie, szczerze ci współczuję, bo zmarnowałeś szansę na szczęśliwe życie. Ale też gardzę tobą... – tu Baron zgasił papieros na czole Jonathana – bo pozwoliłeś, żeby to twój strach podejmował za ciebie decyzje. Wyświadczę ci więc przysługę, ale zrobię też coś okrutnego”.

Jonathan Yah Yah spytał: „Co to za przysługa?”.

A Baron Samedi odpowiedział: „Pozwolę ci jeszcze przez jeden dzień chodzić po ziemi wśród żywych i robić, co tylko zechcesz”.

Jonathan Yah Yah uklonił mu się nisko i był bardzo wdzięczny.

„A co okrutnego chcesz mi zrobić?” – spytał potem.

A Baron Samedi odpowiedział: „Pozwolę ci jeszcze przez jeden dzień chodzić po ziemi wśród żywych i robić, co tylko zechcesz”.

Potem *loa* zniknął w obłoku pyłu.

Rankiem, gdy wstało słońce, Jonathan Yah Yah wyszedł przez cmentarną bramę. Chciał jak najlepiej wykorzystać ten dzień, lepiej niż jakikolwiek inny w całym swoim życiu.

Najpierw odszukał mężczyznę, który terroryzował go jako dziecko. Chciał uderzyć go w twarz,

ale wtedy znów odezwał się strach. „A jeśli wsadzą cię do więzienia?” – pytał strach. Jonathan zastanowił się nad tym i odpowiedział: „A niech mnie wsadzą. Wieczorem znów będę w grobie!”.

Uderzył tego mężczyznę i złamał mu nos. Sprawilo mu to wielką satysfakcję, a mężczyzna bał mu się oddać i bał się też zadzwonić na policję.

„Powiniem był to zrobić wiele lat temu” – powiedział sobie Jonathan.

Następnie poszedł do domu, w którym Marie Toussaint mieszkała ze swoim mężem. Dał jej kwiaty i pocałował ją w usta. Zobaczył w oczach Marie blask, który bardzo mu się podobał i pomyślał: „Powiniem był to zrobić dawno temu!”. Potem mąż Marie uderzył go w twarz, ale Jonathan wcale się tym nie przejął. „Tak czy inaczej idę do grobu!” – powiedział i uklonił się nisko na pożegnanie.

Na koniec Jonathan poszedł do znajomego hodowcy bydła i powiedział: „Jeśli zatrudnisz mnie do pilnowania bydła, będę bardzo uważny, skrupulatny i dumny ze swojej pracy”.

A hodowca odpowiedział: „Doskonale. Przyjdź jutro, dam ci konia i linę, będziesz mógł pracować sześć dni w tygodniu”.

W drodze powrotnej na cmentarz Jonathan uprzejmie zrezygnował z pracy na wysypisku śmieci, co chciał zrobić od lat.

Kiedy zbliżał się już do cmentarza, ogarnął go nagle ogromny smutek. „Dlaczego?” – pytał samego siebie. „Czego właściwie się bałem? Bólu? Smutku? Śmierci? Przecież i tak doświadczyłem tego wszystkiego, a nic nie zyskałem. Jak łatwo mogłem odzyskać godność. Założyć rodzinę. Mogłem nawet zostać kowbojem”.

Teraz było mu znacznie trudniej, gdy leżał w grobie ze świadomością, że mógł żyć szczęśliwie i znosić znacznie mniej cierpień niż w życiu wypełnionym strachem. Właśnie o tej okrutnej rzeczy mówił Baron Samedi. I tak właśnie Jonathan Yah Yah odszedł w śmierć, pełen żalu i smutku.

Milo umilkł.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

– Więc... – odchrząknął w końcu Sir John Fotheringay. – Ta biała farba na twoim ciele, ten szkielec, ma symbolizować śmierć, tak?

Milo skinął głową.

– Chcesz powiedzieć, że jesteś martwy – dodała Yoko Jones. – I my też. Wszyscy.

Milo skinął głową i uśmiechnął się.

– Chodzi o kartel – przemówiła Jale, ukryta za kręgiem blasku rzucanego przez ogień.

Milo skinął głową i podniósł rękę.

– Żyjemy jako niewolnicy – powiedział. – I udajemy, że wszystko jest w porządku, bo nie potrafimy z tym nic zrobić.

– Bo nie możemy – mruknął Fotheringay, a za nim wielu innych.

– Nie mamy żadnych możliwości ... – zaczął Stary Testament.

– Mamy wszelkie możliwości – przerwał mu Milo z niezwykłą mocą. – Bo kartele i ich zbiry są całkowicie uzależnieni od naszej pracy. Kartele nie mogłyby istnieć, gdyby ludzie nie chcieli dla nich pracować.

– Przecież my wcale nie chcemy dla nich pracować! – zaprotestował Fotheringay. – Zmuszają nas do tego!

– Zmuszają? – powtórzył Milo. – Nie mogą nas zmusić. Co zrobią? Przylecą tu i będą za nas poruszali naszymi rękami i nogami? Tylko my możemy tu pracować, a robimy to, bo się boimy.

To nie przymus. To strach. I kwestia wyboru.

Członkowie Family Stone zastanawiali się nad tym przez jakiś czas.

– Jeśli przestaniemy pracować, zabiją nas – stwierdził w końcu Fotheringay.

– Nie mogą zabić nas wszystkich – odpowiedział Milo. – Jak już mówiłem: potrzebują nas.

– Chodzi o to, że wystarczy zabić kilkoro z nas, a cała reszta się wystraszy i wróci do pracy – zauważyła Yoko Jones. – Zgadza się?

– Nie – zaprzeczył Milo. – Bo nie będziemy się ich bać.

– A ja myślę, że będziemy – upierał się Fotheringay.

Milo wskazał jedną ręką na ogień, a drugą na morze.

– Co chwila ktoś z nas odbiera sobie życie! – krzyknął. – Jesteśmy już zatruci, na wpół martwi! Ilu z was myśli o tym, czy nie lepiej wejść do oceanu? Podnieście ręce.

Nikt.

Potem jedna ręka.

Potem sto, a potem wszyscy. Nawet dzieci.

Milo pozwolił, by przez chwilę siedzieli tak z podniesionymi rękami. Nikt się nie odzywał.

On też podniósł rękę.

– Już jesteśmy martwi – powiedział. – Zróbmy z tego użytek. Stwórzmy świat, Układ Słoneczny, w którym obowiązuje następująca zasada: jeśli wyciągniesz rękę i spróbujesz zmusić innych ludzi, by ci służyli, ci ludzie zawsze odmówią. Wkrótce nikt już nie będzie próbował tego robić. Równie dobrze mógłby chcieć żonglować wodą.

Znów milczenie. Opuszczone ręce.

Jedna z nich znów się podniosła. Gilgamesz.

– Nie do końca rozumiem twój wywód – powiedział. – Czy w tej historii jesteśmy zombi, czy Baronem?

Kolejne ręce w górze.

– Mamy być gotowi na prawdziwą czy tylko metaforyczną śmierć?

– Czy kobieta z tej opowieści symbolizuje wolność? Czy chodzi raczej o seks?

– Czy ta farba swędzi? Bo tak wygląda.

Milo zamknął oczy. Wycofał się poza krąg światła.

Następnego ranka zszedł na plażę i pomógł zepchnąć łodzie rybackie na wodę. Miał na sobie nową warstwę czarnej i białej farby.

– Dobrej pogody! – życzył rybakom. – I tony ryb!

– Dzięki! – krzyknęła Jale, gdy podnosili żagiel i odpływali od brzegu.

Zauważył, że Jale namalowała na jednej ręce kość. Dobrze.

Usiadł na plaży i medytował.

Z jakiegoś niezrozumiałego powodu myślał o pajakach. Nie mógł się opędzić od tej myśli.

Po chwili dołączyły do niego bliźnięta, chodzące szkielety z białej farby. Carlo miał sześćset kości ramienia i dodatkowe oko.

Nazajutrz wyszli do pompy.

Milo pomalował się specjalną tłustą farbą, bo ktoś musiał zanurkować w studni i odblokować głowicę wiertła.

Dwaj inżynierowie pomalowali twarze tak, by wyglądały jak czaszki.

Zanurkował głębiej niż kiedykolwiek wcześniej. Gdy się wynurzył, był siny, co dało się

dostrzec nawet przez warstwę farby.

Następnego dnia poszedł z komisją bezpiecznej żywności do lasu, by spróbować nowego gatunku bananów, które niedawno się tutaj pojawiły.

Dwoje z członków komisji, Mądra i Nosferatu, wymalowali na swych ciałach białe kości. Trzymali się we troje, razem przeszukiwali las, a gdy komisja znalazła owoce, to właśnie oni troje zaproponowali, że ich spróbują.

Kawałeczek.

Nim Milo obrał banana do końca, na jego palcach pojawiły się pęcherze.

Nosferatu upuścił swój owoc, gdy tylko zobaczył, co dzieje się z Milem.

Mądra straciła oko. W jej oczodole wyrósł guz, który wypchnął gałkę na zewnątrz.

Później jednak usiadła obok nich na plaży i próbowała z nimi medytować.

– Nie mogę – poskarżyła się. – Ciągle myślę o moim oku.

– Ja też – odparł Milo.

Nazajutrz wszyscy członkowie komisji bezpiecznej żywności mieli na ciele namalowane szkielety. Jak może z pięćdziesięciu innych wyspiarzy. Niektórzy uzupełniali ten kostium liśćmi i patykami. Milo widział zielone szkielety, żółte, niebieskie. Ale nie czerwone. Trudno było uzyskać czerwoną farbę.

Milo przygotowywał się właśnie do następnego przemówienia, gdy wydarzyło się coś okropnego.

Wraz z sześćdziesięcioma ludźmi siedział na plaży i udawał, że medytuje, gdy z nieba wynurzyło się coś srebrnego i lśniącego. Popędziło w stronę wyspy, ostrzelało ją kilkoma seriami i zniknęło z hukiem za warstwą atmosfery.

Kartel wciąż był wściekły z powodu utraconego statku.

Większość wyspiarzy wybiegła na urwisko, by sprawdzić, czy bęben tsunami ocalał.

Nie. Płonął, posiekany serią.

Podobnie jak strażnik, chłopiec o imieniu Marcus.

Następnego dnia wszyscy członkowie Family Stone wyglądali jak chodzące szkielety.

Kiedy Milo się obudził, czekali przed jego namiotem. Wszyscy ustawieni w wielkie półkole, sięgające od chat po plażę.

Czekali w całkowitym milczeniu. Słysząc było jedynie wiatr w liściach pięknych trujących drzew i szum fal.

W końcu znów pierwszy zabrał głos Sir John Fotheringay, który wymalował na sobie szkielet niebieską farbą.

– Czy chciałeś, żebyśmy zrobili coś konkretnego? – spytał, odchrząknawszy.

– Tak – odparł Milo. – Łówcie ryby.

Popłynęli łowić ryby. Wszyscy. Zamiast zajmować się pracą dla kartelu.

Potrzebowali dwóch tygodni, by zbudować łodzie rybackie dla wszystkich. Codziennie szli do lasu i ścinałi drzewa. Potem uczyli się oddychać. Medytowali. Nawet jeśli nie byli w stanie wyciszyć umysłów, uczyli się kontrolować oddech.

Wyplęwali na morze i uczyli się nurkować. Co dzień nurkowali coraz głębiej.

Niektórzy się utopili.

– Jennadots – wyliczała Jale wieczorem, w blasku ogniska. – Święty Timm, Pani Jones, Axelrod, Fantazja.

W końcu wypłynęli na pełne morze. Wszyscy wyspiarze Family Stone. Pływali przez cały weekend, odpoczywali i jedli jak królowie.

Milo był pewien, że gdy wrócą, kartel będzie już na nich czekał. Ale nie czekał.

Choć był na wyspie. I spalił całą wioskę do cna.

Członkowie Family Stone nawet o tym nie rozmawiali. Opłynęli wyspę i znaleźli lepszą plażę. Ludzie z komisji odbudowy zebrali drewno i liście potrzebne do budowy chat. Komisja tsunami zleciła wykonanie nowego bębna i nowych katamaranów.

Wszyscy byli zajęci: konserwowali lub gotowali ryby, budowali chaty, szukali warzyw, nauczali lub uczyli się, wypatrywali olbrzymich fal. I byli z tego zadowoleni, mniej lub bardziej.

– Niebieska farba śwędzi – poskarżyła się Suzie. Namalowała szkielet, używając farby, którą sama przygotowała z soku malinowego, błota i czegoś, co przypominało cytrynę.

– Nie używaj jej więcej – poradził Milo. Wciąż się martwił, że farba wywoła raka i w ten sposób zacznie zabijać ludzi. Nie miał innych problemów. Wszystko układało się tak jak powinno.

Tak wyglądało życie Family Stone, kiedy nadleciały dwa ciężkie transportowce, a nadzorcy zaczęli wrzeszczeć na wyspiarzy przez głośniki.

Milo starał się nie odrywać od pracy, czyli splatania z włókien nici potrzebnych do sieci rybackich, lecz co chwila zerkał kątem oka na wysłanników kartelu.

Szli całą grupą, jak zawsze, z karabinami przewieszonymi przez ramię, oczekując najwyraźniej, że członkowie Family Stone ustawią się w szeregu. Wyglądali dość głupio, gdy stali na środku plaży, ignorowani przez mieszkańców wyspy.

W końcu podeszli do pierwszego z brzegu wyspiarza, Pana Jonesa.

Mężczyzna filetował kulbaki i układał mięso na prymitywnej drewnianej kratce. Miał na ciele szkielet wymalowany niebieską farbą i drapał się właśnie, gdy podeszli do niego nadzorcy.

Milo nie słyszał ich rozmowy, domyślał się jednak jej treści.

– Hej, księżycowe czarnuchy, dlaczego nie ustawiacie się w szeregu, do cholery? – pytali zapewne nadzorcy.

– Bo jesteśmy zajęci – odpowiedział Pan Jones, nie odrywając się od pracy.

– Macie pilnować studni i przygotowywać wodę dla naszych tankowców – warknął któryś z nadzorców.

Pan Jones nie zwrócił uwagi na tę bzdurę, bo nie była to już prawda.

Nadzorcy zapewne wpadli w szał i... tak, właśnie zaczęli bić Pana Jonesa. Wyspiarz, zgodnie z ustaleniami, zasłonił głowę rękami i starał się dzielnie znosić razy. Próbował nawet wrócić do pracy, ale rzucili go na ziemię i tam zostawili, nieruchomego i okrwawionego.

– Cholera – wyszeptał Milo.

Nadzorcy się rozdzielili i próbowali zaciągnąć do wody kilku innych wyspiarzy. Jednak ludzie, którzy wpadli w ich ręce, leżeli bezwładnie na ziemi i wcale nie łatwo było ich stamtąd ruszyć.

– Dlaczego wszyscy wymalowaliście siebie szkielety? – pytał Christophera Niedomyślnego jeden z Nadzorców, próbując go jednocześnie odciągnąć od jego pracy.

– Jesteśmy martwi – odparł Niedomyślny. – Nic nam nie możecie zrobić.

Nadzorca kopnął Christophera w zęby i zostawił go.

– Cholera – powtórzył Milo. Wciąż gubił nić, co oznaczało, że za każdym razem musiał zaczynać pracę od początku. Potrzebował wrzeciona. Rootabeth, specjalistka od narzędzi, mówiła mu to przynajmniej trzy razy, ale był zbyt leniwy, żeby sobie takie wystrugać. Postanowił, że zrobi to jeszcze tego wieczora, jeśli wcześniej ich wszystkich nie zastrzela.

Nadzorczy naradzali się w pobliżu statku.

Trzask, trzask, trzask.

Milo był pewien, że w końcu któryś z nich przemówi przez głośnik i będzie im groził.

Nic takiego się nie stało.

Nadzorczy wsiedli do statków i odlecieli nad rosnącą falą przypiływu, znikając poza atmosferą.

Członkowie komisji szpitalnej podbiegli do Jonesa i Niedomyślnego.

– Co teraz? – spytała Suzie.

– Teraz wreszcie pójde poszukać drewna na wrzeciono – odparł. – A ty?

– A ja zdrapię tę cholerną niebieską farbę.

Co najmniej osiemdziesięcioro wyspiarzy poszło razem z nią. Szorowali się i klęli, wszyscy ogromnie z siebie dumni i wzruszeni do łez.

Milo przekonał się wkrótce, że ignorowanie przeciwnika to broń obosieczna.

Nazajutrz nadzorczy wrócili. Na wyspie wylądowało kilka mniejszych statków na płozach i kilka ciężkich transportowców. Jeden okręt wisiał nieruchomo nad plażą.

Ze statków wyszli sługusi kartelu, którzy wyglądali na inżynierów. Towarzyszyło im kilku nadzorców. Porozumiewali się ze sobą przez głośniki, ale żaden z nich nie odezwał się ani słowem do Family Stone.

Wielki okręt otworzył drzwi ładowni, z której wypadło coś, co przypominało olbrzymi kokos.

Tajemniczy przedmiot nie uderzył o ziemię. Zawisł w powietrzu i kołysał się przez moment, jakby zawieszony na niewidzialnej linii, a potem znieruchomiał. Emitował dziwny delikatny blask, który rozmywał jego krawędzie i odbierał mu pozory rzeczywistości.

Okręt zwrócił się dziobem do góry i zawieszony na podnośniku linowym wrócił na orbitę.

Mniejsze okręty poleciały za nim. Prócz jednego. Na skraju urwiska pozostał transportowiec.

Przez głośnik statku ktoś przemówił do wyspiarzy zajętych gotowaniem, budowaniem i naprawianiem.

– Wrócimy za tydzień – mówił przedstawiciel kartelu. – Do tej pory studnia i pompa muszą być w pełni sprawne, a na tankowiec będzie czekać co najmniej czterdzieści tysięcy kilolitrów oczyszczonej wody.

Okręt wzniósł się z hukiem nad urwisko i odleciał.

Christopher Niedomyślny podszedł do Mila. Miał szczękę owiniętą bandażem i stracił prawie połowę zębów.

Wskazał na okrągły przedmiot wiszący nad plażą.

– To jedna z tych rzeczy, które tu testowali – powiedział. – Bomba wsobna.

– To bomba wsobna – poinformował Milo Family Stone w południe. Uważał, że mają prawo o tym wiedzieć.

– Cudownie – mruknął Ferie Świąteczne, wciąż niemal całkowicie oślepiiony po próbnym

wybuchu, którego byli świadkami.

Wielu wyspiarzy – może ze stu – wstało i ruszyło w las w kierunku pomp.

– Kurwa – syknął Milo. Otworzył już usta, by na nich krzyknąć, by przypomnieć im, że muszą się trzymać razem, ale Suzie objęła go ramieniem i powiedziała:

– Spokojnie, kochanie. Nie zmuszaj ich do niczego. Będą tego chcieli albo nie. Zmarli do niczego innych nie zmuszają. Zajmują się tylko swoimi sprawami.

Miała rację.

Mimo to był wściekły. Jak mogli się tak łatwo poddać? Usiadł i znów próbował medytować (nie mógł przestać się zastanawiać, czy jego tyłek rośnie, w miarę jak on sam się starzeje, czy to spotykało wszystkich? dlaczego?), niemal udało mu się odzyskać spokój i równowagę.

Suzie siedziała obok niego i robiła to samo.

Wstał o zmierzchu, na samym początku zaćmienia, i chciał się już wybrać do lasu po drewno na cholerne wrzeciono, gdy Suzie wskazała na drzewa i powiedziała:

– Milo, spójrz.

Spojrzał.

Stu wyspiarzy wychodziło z lasu w jednym długim szeregu. Wyglądali tak, jakby wracali właśnie z udanego polowania, każdy z nich niósł jakiś mechanizm, arkusz blachy, mały silnik, transformator albo rury.

Części drogocennej pompy kartelu.

Ułożyli je na środku wioski, a komisja odbudowy zajęła się sortowaniem poszczególnych elementów i dyskusją nad tym, do czego i jak można je wykorzystać.

Milo zauważył, że wielu wyspiarzy ma teraz namalowane czerwone kości.

– Skąd wzięli czerwoną farbę? – zastanawiał się głośno.

– Proste – odparła Suzie. – To krew.

Dzień przed zapowiedzianym powrotem statków Milo zwołał zebranie Family Stone na plaży.

Szkielet po szkielecie, komisja po komisji, wszyscy zbierali się w wyznaczonym miejscu.

Milo przyszedł z jakąś paczką pod ramieniem – wyglądało to jak kawałek zrolowanego płótna żaglowego.

– Chciałem wam coś pokazać – oznajmił. Odwinął płótno, odsłaniając dziesięć ryb komunikacyjnych. Wszystkie były czarne i smukłe, wyglądały jak część wyposażenia wojskowego.

Wśród wyspiarzy podniósł się szmer zdumienia. Każdy z nich mógł spodziewać się surowej kary za samą wzmiankę o rybie, nie mówiąc już o posiadaniu aż dziesięciu takich urządzeń.

Milo sięgnął po jedną z ryb i podniósł ją wysoko.

– Kilka miesięcy temu – zaczął – znaleźliśmy z Suzie wrak zaginionego statku kartelu i zanurkowaliśmy do środka. Suzie zabrała te ryby z kokpitu, ale wtedy zachowaliśmy to w tajemnicy. Przepraszam. Powinniśmy wam byli o wszystkim powiedzieć. Po prostu w tamtym czasie wydawało nam się, że tak będzie bezpieczniej.

Członkowie Family Stone kiwali głowami ze zrozumieniem.

– Masz jakiś plan, Milo?! – krzyknął Carver z tylnych szeregów wyspiarzy. – Czy tak?!

Milo odłożył rybę i dwukrotnie klasnął w dłoń.

– Pozwólcie, że opowiem wam o moim planie – powiedział.

Milo zakładał, że okręty kartelu wylądują na plaży, by sprawdzić, czy ich niewolnicy już zmądrzeli.

I tak się właśnie stało.

Fa-zuuuuuuuum! Rankiem nad wyspę nadleciało około pięćdziesięciu statków. Większość z nich krążyła nad wyspą, niektóre nawet w odległości ponad sześćdziesięciu kilometrów. Olbrzymie okręty, jak wtedy, gdy po raz pierwszy testowali bombę. Kilka transportowców wylądowało na plaży.

Nadzorcy wyszli na ląd i rozglądali się dokoła. Milo widział, jak wzbiera w nich coraz większa wściekłość, gdy dostrzegali kolejne elementy pompy wykorzystane do budowy chat, do umocnienia przystani dla katamaranów, do... Czy to był plac zabaw?

Żołnierze krzyczeli i wymachiwali karabinami maszynowymi.

Milo niemal by się ucieszył, gdyby zaczęli do nich strzelać. Niedomyślny uruchomił wszystkie ryby, a pięć z nich kryło się teraz między drzewami i filmowało wszystko, co działo się na plaży.

Ale żołnierze i nadzorcy wrócili na statki, wzbili się w powietrze i odlecieli na bezpieczną odległość.

Bomba wsobna zaczęła wydawać dziwne dźwięki.

W porządku – pomyślał Milo. To też się nagra. Nie tylko tutaj, ale daleko na morzu.

Zgodnie z jego planem komisja rybna miała zakotwiczyć swoje łodzie w odległości ponad dwudziestu pięciu kilometrów od wyspy. Rybacy mieli unosić się na falach i filmować. Filmować flotę, wyspę, wszystkie okropne rzeczy, które mogły się tutaj wydarzyć.

Jednak w tym punkcie plan Mila różnił się od tego, co chcieli zrobić wszyscy inni.

Po jego przemówieniu, po przypowieści o Jonathanie Yah Yah niemal wszyscy mieszkańcy wyspy zostali członkami komisji rybnej. Prawie wszyscy mieli też opuścić wyspę, sfilmować to, co się z nią stanie, i wyemitować, korzystając z priorytetowych sygnałów wojska, by relacja dotarła do wszystkich ludzkich osiedli, od Wenus do kopalni amoniaku na Neptunie. Mieli przeżyć. Zanurkować i odpłynąć, gdyby okazało się to konieczne, unikając floty. I rozpoczynać nowe życie.

Jednak tego ranka komisja rybna powiedziała Milowi stanowcze „nie”.

– Nie – oznajmiła Jale, która po śmierci Chili Peppera całkiem osiwiła. – Jesteśmy martwi czy nie?

– Jesteśmy – potwierdzili członkowie Family Stone.

Ostatecznie na łodziach rybackich wypłynęły głównie dzieci. Potrafiły łowić ryby równie sprawnie jak dorośli, mogły też w odpowiednim momencie nacisnąć guzik wysyłający sygnał. Umiały nurkować, żeglować i pływać, miały przed sobą całe życie i – być może – lepszą przyszłość.

Przyszłość, która zależała od tego, czy ludzie gnębieni przez kartel, od Wenus do kopalni amoniaku na Neptunie, usłyszą przypowieść o Jonathanie Yah Yah i zrozumieją, że są martwi.

– Bo oni też należą do Family Stone – mówił Carver, gdy ustawili się w kręgu. – Nie przyjęliśmy reguł, które narzucał nam kartel. Dlatego tu jesteśmy. Ale nie jesteśmy jedyjni. Wszędzie jest mnóstwo ludzi takich jak my. Kiedy zobaczą, co dzieje się na tej wyspie, zrozumieją, co powinni robić. Zrozumieją, gdy zobaczą to чудо, które przygotował dla nich kartel.

Christopher Niedomyślny towarzyszył dzieciom, ukrywając się z nimi pośród fal. Był tam też Stary Testament. Jeśli przeżyją, opowiedzą innym, co stało się na wyspie.

Większość mieszkańców wioski stała pod bombą.

Udawali, że na nią nie patrzą.

Większość udawała, że się nie boi.

– Milo? – odezwał się Fotheringay. – Boję się.

– Próbowałem medytować – powiedział mężczyzna zwany Dzikim Billem. – Ale ciągle myślę o tej pierdolonej bombie.

– Ja też – przyznało wielu innych.

Milo zauważył, że obrys bomby jakby pojaśniał.

– Nigdy nie umiałem dobrze medytować – powiedział. – Czasami nie potrafię myśleć o niczym innym prócz kotów.

– A ja zawsze muszę iść do toalety – wyznała Kalipso.

– Ja ciągle myślę o tym, żeby się nie rozpraszać – dorzuciła Yoko Jones. – Nic na to nie poradzę.

– Ja myślę o starości – powiedziała Suzie.

– O jedzeniu – dodał ktoś inny.

– O alfabecie.

– O seksie.

– O moim chorym oku.

– O moich dzieciach na Ganimesie.

– O muzyce.

Potem już ze sobą nie rozmawiali. Napięcie było zbyt wielkie, chwila zbyt brzemienne.

Już? Już?

Będzie bolało? Spłoną jak gwiazdy czy wszystko skończy się w mgnieniu oka?

Już?

Jeśli byłeś w tym momencie Sir Johnem Fotheringayem, zaczynałeś tańczyć. Jeśli byłeś Yoko Jones, próbowałeś nucić w doskonałym zespole z Wszystkim.

Jeśli byłeś w tym momencie Milem, uznałeś, że ostatnie chwile to najlepsza pora, by w końcu pomedytować naprawdę, patrzyłeś więc prosto w oczy Suzie, wasze spojrzenia spłótły się ze sobą i medytowaliście razem.

I w pewnym sensie wam się udało.

Nigdy dotąd nie było takiego momentu. Jeśli mieliście się spełnić w jakiejś jednej chwili, jednym tchnieniem wszechświata, to właśnie w tej. Oto do wszystkich ludzi na wszystkich planetach docierało przesłanie, że nawet jeśli niektórzy nigdy nie przestaną być drapieżnikami, to można sprawić, by inni nie byli już ofiarami. Że to czas na nastanie wielkiej pokojowej przyszłości, że albo się uda, albo nie, zależnie od tego, jak ludzie się zachowają. Może świat się zmieni, może przestaniemy kierować się chciwością i popełniać te same idiotyczne błędy, żywot po żywocie, może w końcu ewoluujemy i staniemy się ludźmi, którzy chcą żyć dobrze...

Nie! Nie! – Zgrzytasz zębami, bo choć wszystkie te myśli są piękne i cenne, to wciąż nie jest medytacja, a ta jedna cholerna chwila...

Ale nic nie można na to poradzić, bo to nie tylko twoja głowa, prawda? To głowa i dusza wszystkich głosów twoich dziesięciu tysięcy żywotów i ośmiu tysięcy lat życia, i wszystkich ich przeszłości i przyszłości, wszystkich jaskiniowców, kierowców wyścigowych, dojarów o bladych policzkach, kosmonautów, świerszczy, ekonomistów i czarownic. Te głosy są pełne spraw, którymi żyją ludzie, rzeczy, które zanoszą ze sobą w nieznaną jeszcze przyszłość, rzeczy takich jak gofry i ciężka praca, i rzeczy, które chciałbyś przed wszystkimi ukryć. Te, których się boisz, te, które cię nieraz przerastają i przytłaczają, jak pająki, dzieci czy ustawienie budzika.

Przerażające postacie w rodzaju seryjnego zbrojcy Haka, który ucieka ze szpitala psychiatrycznego i ukrywa się w lesie. Barbarzyńcy, podatki, czerwono-niebieskie światła migające we wstecznym lusterku i to uczucie, które nigdy cię nie opuszcza, ta najbardziej ludzka ze wszystkich rzeczy: przekonanie, że o czymś zapomniałeś, że czegoś nie zrobiłeś.

Głosy w twojej głowie, tysiące lat i żywotów, wspomnienia chwil Doskonałości, których doświadczyłeś, jak lot nad Wiedniem, jak chwila, w której zostawiłeś pierwszy ludzki ślad na Księżycu, i ta, gdy zanurkowałeś i uratowałeś tonącą córkę Stacey Crabtree, i ta gdy zagrałeś na skrzypcach dźwięk, od którego pękł witraż w katedrze Świętego Patryka w Troy. Głosy mówią o maskach, które nosisz, o masce żony, o masce męża, o masce człowieka udającego, że wie, co robi, o maskach świątecznych, maskach znudzonych, maskach radosnych. Mówią o tym, co kryje się za maską, o największej i najbardziej tajemniczej ze wszystkich rzeczy, źródle i obiekcie wszystkich strachów, nienawiści i żywotów, o ostatniej rzeczy, którą widzimy i poznajemy przed śmiercią, o tej rzeczy, która łączy wszystko w miły ciepły węzeł Poznania, Ciszy i Spokoju.

Tyle że bardzo rzadko tak to właśnie wygląda, na pewno nie teraz. Patrzysz na Suzie, a ona patrzy na ciebie w tym momencie tuż przed nadejściem wielkiej, wielkiej rzeczy, przed nadejściem końca, i w pewnym sensie upadacie razem, śmiejecie się z siebie nawzajem, bo próbujecie być okropnie poważni, śmiejecie się z tego samego powodu, dla którego robicie większość rzeczy, choć wciąż nie znacie tego powodu, tak jak nie znają go mędracy, krowy ani Śmierć.

Rozdział 25

Drzwi Słońca

Nie obudzili się nad rzeką.

Gdy Milo odzyskał pamięć duszy, zdał sobie sprawę, że to niezwykle i zły znak. Przypomniał sobie, jak budził się ostatnio.

Żadnych kwiatów ani blasku słońca.

Tylko ciemność.

– Żartujecie sobie? – spytał głośno. – Ciągłe jesteście na mnie źli za tę historię ze zbiegami?

Halo? Gdzie była Suzie?

– Halo?

– Jestem tutaj – rozległ się głos Suzie. Zdawała się wystraszona i niepewna; nic dziwnego, nigdy dotąd nie umierała.

Siedziała po jego lewej stronie i trzymała się za głowę, oszołomiona.

Wziął ją za rękę i czekał.

– Umarliśmy! – wydyszała. – Umarłam! Niesamowite. Przecież byłam Śmiercią. Jestem jak bogini. O mój Boże. O mój Boże.

Rzeczywiście, sytuacja była niezwykła. Zwyczajny człowiek po przebudzeniu w Zaświatach przypominał sobie, że był kierowcą ciężarówki albo strusiem.

– Powinniśmy się obudzić nad rzeką – powiedziała. – Tam cię zawsze spotykałam. Dlaczego nie jesteśmy nad rzeką?

– Ciągłe są źli za tę historię z uciekinierami. Może. Tak mi się wydaje.

Gdy ich wzrok przywykł do półmroku, Milo zobaczył, że stoją pośrodku biblioteki o ścianach wyłożonych ciemnym drewnem. Rzeźbiony lis nad kominkiem. Krzesła obite skórą. Niski stół w kształcie kufra.

– Może będzie dobrze – mruknął Milo. Uścisnął lekko dłoń Suzie.

Wzruszyła ramionami.

– Może dla ciebie. W moim przypadku to była pewnego rodzaju zdrada. Przedstawiciele wszechświata nie powinni żyć. Mamy obserwować, jak żyją inni ludzie, i pouczać ich.

Coś działo się na zewnątrz biblioteki. Przez zakryte okiennicami, osadzone w grubych murach okna sączyło się przytłumione światło. I głosy... głęboki pomruk. Jakby za grubymi ścianami kłębił się wielki tłum. Podobny do tego, który ostatnio chciał go unicestwić.

– Pewnie nie masz już tych swoich kosmicznych mocy? – spytał. – Mogłabyś nas po prostu stąd zabrać albo...

Suzie zacisnęła pięści. Zamrugła.

– Nie – odparła. – Nic.

Milo otworzył szeroko oczy. Suzie była...

– Cała! – krzyknął, biorąc ją w ramiona i mocno ściskając. – Jesteś cała! Nie znikasz!

– Zauważyłam to – odparła. – Ty też. Nie wiem, co to oznacza.

Milo też nie wiedział. Jeśli jednak oznaczało to, że Suzie nie zniknie, nie odejdzie w nicość, należało się cieszyć. Czy tak właśnie było?

Nagle otworzyły się drzwi po drugiej stronie sali i do środka wpadła Mama. Wyciągała do nich swe wielkie ręce.

Pochwyciła Mila i uściskała go z siłą boa dusiciela. Nie mógł oddychać.

Suzie próbowała go uwolnić. Mama chwyciła także i ją.

Zanurzyli się w niej, jakby była ciepłym, przytulnym morzem na Europie.

– Myliłam się – mówiła Mama. – Powinnam była zrozumieć, co zrobiłeś dla Buddy. A potem wróciłeś na dół i udzieliłeś ludzkości jednej z najważniejszych lekcji w historii. Dobra robota.

Suzie ścisnęła mocniej dłoń Mila.

Zrobili to? Udało im się?

– Tak – odparła Mama. Łzy tryskały z jej oczu jak z fontanny. Tryskały.

– Chcesz powiedzieć...

– Doskonałość.

Suzie stłumiła okrzyk. Ogromna ulga ogarnęła Mila, musiał wyteńczyć wszystkie siły, by się nie zsikać.

Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegł ich głos Nan.

– Gratulacje – wychrypiała. Do biblioteki weszło kilka jej kotów. – Trochę ci to czasu zajęło – dodała.

– Wszyscy czekają – oznajmiła mama, rozkładając ponownie ręce i prowadząc ich w stronę potężnych dębowych drzwi. – Naprawdę wszyscy. Być może odprowadzi was więcej ludzi niż Buddę, naprawdę. Jesteś najstarszą ludzką duszą w historii. A Suzie – jeśli nauczę się tak do ciebie zwracać – to prawdziwa zagadka. Prawdę mówiąc, nikt nie wie, co się z tobą stanie. Wyszłaś z wszechświata, ale nie jako człowiek, a teraz masz do niego powrócić już w ludzkiej postaci...

– Zaryzykuję – przerwała jej Suzie. – To i tak lepsze niż alternatywa.

Milo poczuł, że kręci mu się w głowie. Nie był w stanie ogarnąć sytuacji rozumem. Czuł się tak, jakby zdał wreszcie egzamin końcowy, choć niezupełnie. To było... sam nie wiedział, jakie to było.

Znów rozległ się za nimi głos Nan.

– Obiecuję ci – przemówiła niskim, ciepłym głosem, głosem matki lub babci – że po drugiej stronie Drzwi Słońca jest wyłącznie radość i spełnienie. Zobaczysz.

Objęła Mila od tyłu. Poczuł się tak, jakby ścisnęła go gałąź drzewa.

Tłum za ścianą pomrukiwał i krzyczał.

– Mhmm? – przemówiły jednocześnie Mama i Nan.

– Przejdziemy razem.

Mama i Nan spojrzały po sobie. Naradzały się przez chwilę. Wzruszyły ramionami.

– Możecie spróbować – powiedziała Nan. – Ale nie tak się to robi. Widzicie, w Metaduszy wszyscy są razem...

– Nie prosimy – przerwał jej Milo.

Mama i Nan wydawały się nieco zdenerwowane, ale skinęły głowami.

Milo ujął dłoń Suzie. Odwrócili się razem do wyjścia.

Drzwi otworzyły się na całą szerokość. Do środka wpłynęła rzeka światła, oślepiła ich na moment. Krzyki i wołania przybrały na sile, ogłuszyły ich.

Ruszyli śladem Mamy, która przeciskała się przez tłum niczym holownik, ciągnąc ich za sobą.

Mijani ludzie dotykali ich nieśmiało. Mama parła naprzód. Tłum ścisnął ich jak dwa ziarenka grochu upchnięte w tubce pasty do zębów.

Podobnie jak podczas pożegnania Buddy byli wszędzie. Na wzgórzach i nad rzeką, na moście – wszyscy się kołysali, machali i śpiewali, nad ich głowami powiewały kolorowe proporce i chorągwie. W górze unosiły się sterowce i balony.

Stali też w rzece. Tam, gdzie było wystarczająco płytko, brodzili lub stali w miejscu, krzycząc i bijąc brawo. Byli radośni i szczęśliwi, ich radość wydawała się wręcz namacalna. Wypełniała ich radość, bo patrzyli na coś cudownego, co spotkało Mila i Suzie, wiedzieli też, że kiedyś to oni znajdą się na ich miejscu.

Powietrze nad rzeką falowało i lśniło, jakby ktoś uderzył w niewidzialny gong. Fale światła i radości tworzyły coś na kształt tunelu.

Dotarli do rzeki i weszli na płyciznę.

Suzie położyła dłoń na ramieniu Mila, ich spojrzenia zatoneły w sobie. Objęli się ramionami, przekonani, że tłum popchnie ich we właściwym kierunku.

Suzie, wciąż oszołomiona, milczała. Milo pochylił się, by ją pocałować, zobaczył jej oczy i usta...

Drzwi otuliły ich światłem. Wciągnęły do środka.

Byli dwójgciem pływaków podczas powodzi. Milo czuł, jak ich dusze się rozciągają, rozprzestrzeniają niczym masło orzechowe na kromce. To było doznanie doskonałe. W pewnym sensie nawet podniecające. Przenikali przez siebie nawzajem, pochylali się do długiego, intensywnego i wilgotnego pocałunku, płynęli razem przez Metaduszę.

Razem.

Przez jakieś trzy sekundy.

Rozdział 26

Metadusza

Wyobraź sobie, że jesteś dżdżownicą.

Wyobraź sobie, że masz partnerkę dżdżownicę i że jesteście ze sobą, odkąd tylko sięga pamięcią twój prymitywny mózg. Kochacie się do szaleństwa, bez pamięci. Nie umiesz sobie nawet wyobrazić, jak wyglądałby bez niej świat. W ogóle masz kłopoty z myśleniem.

Potem budzisz się pewnego dnia i widzisz, że przemieniłeś się w człowieka.

Jesteś wielki jak człowiek i rozumiesz wszystko, co rozumieją ludzie. Masz piwny brzuch i czapkę drużyny New York Rangers. Cholera! Wczoraj wiedziałeś tylko, jak pełzać w ziemi. Dziś masz licencjat z marketingu. Znasz się na podatkach i wiesz, czym jest Układ Słoneczny. Znasz angielski i hiszpański. Masz najlepszego przyjaciela, byłą żonę i dziecko, z którym widzisz się w weekendy. Byłeś w Brazylii i Europie, co dla dżdżownicy byłoby jak wizyta w odległej galaktyce, tyle że samo pojęcie galaktyki rozsądziłoby prymitywny umysł robaka.

Myślisz, że byłbyś załamany utratą swojej pełzającej partnerki? Swojej robaczej jaźni?

Nie byłbyś.

Rzecz w tym, że ty i twoja dziewczyna jesteście tu oboje, zgnieceni razem w waszym nowym olbrzymim mózgu. Ty i trylion innych dżdżownic.

Nie myślisz o tym, że jesteś trylionem oddzielnych robaków. Dlaczego miałbyś o tym myśleć? Żyjesz swoją nową, niesamowitą, starą jaźnią.

Teraz wszystko ma dla ciebie sens.

Czas. Grawitacja. Wybór właściwego widelca. Zamki błyskawiczne. Nieskończone wymiary. Tacos.

To wszystko jest częścią snu, który właśnie śnisz.

Mijają miliardy lat.

Albo miałyby, gdyby czas nie był tylko częścią snu.

Więc śnisz miliard lat. Co za różnica?

Miliard lat mija jak wielki śpiący ocean.

A potem pewnego dnia śnisz, że jesteś starą duszą o imieniu Milo, która stoi po kolana w rzece i trzyma za rękę starą duszę o imieniu Suzie.

Wszystko wraca. Wszystko.

Zapominasz, że to sen.

I zaczynasz od miejsca, w którym skończyłeś. Zaczynasz długim, głębokim pocałunkiem.

(Pamiętasz, że rozumiałeś grawitację i znałeś chiński, ale to wspomnienie się zaciera).

Po chwili wchodzisz do rzeki i pozwalasz, by cię zabrała, poddajesz się dziwnemu cudowi

narodzin.

Trzymacie się za ręce. Nic nie próbuje was rozdzielić.

Unosicie się razem w wodzie, między żywotami i światami. Rzeka was niesie, czas was otula, sum przepływa przez was.

Rozdział 27

Blue Creek, Michigan i inne życia

Wrócili razem, cofając się w czasie, i poznali się dopiero jako niemal dorośli ludzie.

Szesnastoletnia Suzie pracowała jako sprzątaczką w katedrze pod wezwaniem świętego Tomasza w Sauvignon. Pewnej nocy usłyszała dziwne dźwięki dochodzące z krypty biednego, starego arcybiskupa Guillaume'a. Pokonując strach, odsunęła wieko krypty i znalazła w środku przystojnego – choć nieco przykurzonego – młodzieńca.

– Uf! – westchnął młodzieniec. – Znów mogę oddychać!

Natychmiast się w sobie zakochali. Gdyby nie to, nie wyznałby jej, że niechcący zatrzasnął wieko, gdy próbował okraść grobowiec starego Guillaume'a, a ona nie podsunęłaby mu pomysłu, by okradli pozostałych osiemnaście katedralnych krypt, a potem razem uciekli i rozpoczęli nowe życie w południowej Francji.

– Zgoda! – powiedział młodzieniec i ucałował ją gorąco.

Był to dziwny pocałunek. Pełen tajemnic i ukrytych przeczuć.

– *Mon Dieu!* – wydyszał Milo.

– *Mon Dieu!* – powtórzyła Suzie. – Co to był za pocałunek!

BLUE CREEK, MICHIGAN, rok 1882

Milo Falkner i Suzanne Cobb poznali się podczas przejażdżki saniami, na urodzinach Mila, gdy oboje kończyli dziesięć lat. Nie od razu trzymali się za ręce, ale uśmiechnęli się do siebie raz czy dwa i zarumienili.

Ojciec Mila (hultaj, jakich mało) pił tego wieczora mocne piwo domowej roboty. Później, smagając konia batem, skręcił na niebezpieczny kraniec jeziora Sand Lake, gdzie lód był często cienki.

Lód zaskrzypiał raz i drugi. Potem trzasnął głośno, jakby ktoś strzelił z pistoletu.

Co dla młodych Mila i Suzie było sygnałem, by złapali się za ręce.

Sanie dotarły w końcu do brzegu. Wciąż trzymali się za dłonie, płonąc w środku jak pochodnie.

Gdy Suzie opowiedziała o przejażdżce saniami swoim rodzicom, ci zabronili jej utrzymywać jakichkolwiek kontaktów z Milem i „całą tą rodziną potępieńców”, której członkowie zamiast pępowin mieli podobno węże.

Napisał do niej list. Przechwycono go. Potem ona napisała do niego. I ten list wpadł w ręce jej rodziców. Za karę musiała przez tydzień przepisywać wersety z Biblii.

Potem Suzie ciężko zachorowała, co w tamtych czasach często przytrafiało się dzieciom. Bładła i gasła, aż gdy wyszeptła „Milo” i uroniła łzę, ojciec kazał po niego posłać.

Sprowadzono więc chłopca, by siedział przy niej i rozmawiał z nią o różnych rzeczach.

O pływaniu. O żabach. O tym, jak bardzo lubi książki. I o tym, że nauczy ją polować na kaczki.

– Nie – wyszeptwała. – Uwielbiam kaczki.

– Więc na gęsi – odparł.

I wyzdrowiała.

Jej ojciec, przeczuwając najgorsze, kupił już dla niej wcześniej działkę na cmentarzu. Milo i Suzie czasami urządzali sobie tam pikniki.

Na odległej planecie, tysiąc lat później, Milo i Suzie powrócili jako odpowiedzialni rodzice i opowiedzieli swoim dzieciom najśłynniejszą historię wszystkich międzygwiazdnych kolonii: przypowieść o Jonathanie Yah Yah i męczennikach z Europy.

Mówili im, jak męczennicy umarli, by pokazać światu prawdę o chciwych, okrutnych kartelach. Opowiadali, jak górnicy i inżynierowie w całym Układzie Słonecznym wzięli z nich przykład i nie chcieli pracować, choć niektórzy z nich również zostali męczennikami, nim kartele wreszcie się rozpadły.

Dobrzy rodzice uczyli swoje dzieci: jeśli wszyscy będą gotowi cierpieć, a nawet umrzeć, zamiast poddać się niesprawiedliwemu traktowaniu, chciwi ludzie już nigdy nie odzyskają władzy.

– Od tej pory już pięćdziesiąt pokoleń żyło w pokoju i sprawiedliwości – mówili dzieciom. – Nie bądźcie pokoleniem, które to zniszczy.

– Nie zniszczymy – odpowiedziały.

BLUE CREEK, MICHIGAN, rok 1892

W roku, w którym miał zacząć studia prawnicze, Milo został pierwszym człowiekiem, który przejechał przez hrabstwo Petoskey pojazdem silnikowym. Był to wielki, hałaśliwy wehikuł, składający się głównie ze stalowego kotła z kominem. Dziennikarze jechali za nim – lub przed nim – na koniach i wysyłali w świat depesze. Czasami Milo pokonywał bezproblemowo kilka kilometrów. Kiedy indziej godzinami naprawiał swoją maszynę.

Po piętnastodniowej podróży zatrzymał się o ósmej wieczorem przed Toastley Hall, akademiku Casper Teaching College, podszedł do biurka opiekunki i poprosił, by wezwała jego ukochaną, pannę Suzanne Cobb, gdyż chciał ją pocałować, pozując fotografom.

– Nie – odparła opiekunka, zgorzkniała i podejrzliwa kobieta, która w poprzednim życiu była kukurydzą. – Dziewczynkom nie wolno wychodzić po siódmej pięćdziesiąt, a panowie mogą je odwiedzać najpóźniej do szóstej.

– Proszę – powiedział Milo.

Ponownie spotkał się z odmową. Temperatura dyskusji rosła z każdą chwilą, aż dziennikarze zobaczyli, jak Milo – ze złym błyskiem w oku – wynosi opiekunkę z akademika, przenosi ją przez podwórko i w dół zbocza, a potem wrzuca z głośnym pluskiem do sadzawki na polu golfowym, osłoniętej gałęziami wierzby.

To posunięcie okazało się dość kontrowersyjne. Milo został ukarany grzywną i na rok wydalony ze studiów. Zatrudnił się jako grabarz na cmentarzu w Blue Creek.

Pewnego letniego dnia, odwiedzając swego ukochanego na cmentarzu, Suzie zauważyła:

– Wtedy we wrześniu sama wrzuciłabym do stawu tę starą jędzę, gdybym się nie bała, że zrobię krzywdę kaczkom.

Potem między świeżo wykopanymi grobami go pocałowała. To był dobry pocałunek. Taki, który z chęcią się daje – cudowny i ekscytujący! – ale o którym nie należy rozmawiać.

Wrócili jako para, która poznała się w Paryżu, w dwudziestoleciu międzywojennym. Milo miał kamerę, a ona parę tresowanych ptaków.

Razem kręcili filmy. Krótkie filmiki. Rozedrgane czarno-białe obrazy. Dziewczyna z wózkiem wypełnionym kwiatami. Mężczyzna pobity przez dzieci na ulicy. Gruba kobieta zdejmująca ubranie. Filmowali jej męża i jego żonę. Niemal zawsze było to ujęcie trochę groteskowe.

Występy ptaków.

Ludzie reagujący na sztucznego pająka.

Śpiący palacze opium i szczury, które biegały między nimi.

Dwa karły siedzące na jednym wózku inwalidzkim.

Pewnego razu sfilmowali całą burzę, od początku do końca, z kałużami, ludźmi uciekającymi przed deszczem i błyskawicami odbitymi w witrynach sklepowych.

Sfilmowali samych siebie, odchodzących ulicą, obok kota, obok mężczyzny z gitarą, odsuwających się coraz dalej, aż ktoś ukradł im kamerę i uciekł z nią.

BLUE CREEK, MICHIGAN, 1897

Suzie i Milo pobrali się. Przez kilka lat prowadzili beztroskie życie młodych ludzi o świetlanych perspektywach. Polowali na bażanty, przepiórki i dzikie indyki, hodowali setery irlandzkie. Suzie była świetnym strzelcem, wydawało się, że gdy naciska na spust, budzi się w niej jakiś stary, ukryty instynkt.

Dwoje pierwszych dzieci – Charles i James – urodziło się zgodnie z planem, w rocznym odstepie, potem dołączyła do nich nieplanowana córeczka Edith.

W tym tygodniu, w którym urodziła się Edith, Gerald Wedge, prokurator hrabstwa Petoskey, przekazał Milowi sprawę człowieka oskarżonego o morderstwo i zagrożonego karą śmierci.

– Musisz od czegoś zacząć – powiedział.

Miejscowy biznesmen – Graydon Ornish – znalazł w swoim domu intruza, Heinricha Muellera, kryminalistę i recydywistę. Wyrzucił go, ale nie poprzestał na tym. Dowiedział się, gdzie mieszka Mueller, i spalił jego dom. W pożarze zginął Mueller oraz jego żona.

Miejscowa społeczność – a przynajmniej jej część – żądała uniewinnienia Ornisha. Twierdzili, że Ornish jest dobrym człowiekiem i że bronił się przed recydywistą, który wszystkim dał się we znaki.

– Dalej okradałby ludzi – mówił Ornish. – Mógłby zrobić komuś krzywdę.

Mieszkańcy głośno go poparli. W tych czasach w hrabstwie Petoskey – i w wielu innych – miejscowe sądy często przychyliły się do opinii społeczeństwa.

Milo miał jednak swoje zdanie i swoje sumienie.

– Najważniejsze musi być prawo – mówił do oburzonej sali i wahających się przysięgłych. – A nie nasze uczucia. Nie przyszliśmy tutaj, żeby rozmawiać o występkach pana Muellera, tylko o tym, co zrobił pan Ornish.

Choć był młody, Milo prezentował się jak mąż stanu, z wielkimi okularami i jastrzębim nosem. W późniejszym okresie jego kariery wielu ludzi mówiło, że wyglądał jak dorosły, który stoi pośród gromady niemądrych dzieciaków.

Ornish trafił na szubienicę.

Milo był obecny przy egzekucji. Odbierał ją jak koszmarny sen, w którym każdy dźwięk – skrzypienie przekładanej dźwigni, kapanie uryny na podłogę – był jak wystrzał z karabinu. Czuł się potem obolały i zraniony, jakby wypalony w środku.

Pięć lat później, gdy zmarł Gerald Wedge, delegacja mieszkańców zaproponowała Milowi, by zajął jego miejsce. Zaskoczył ich i samego siebie, mówiąc:

– Dzięki, ale nie.

Porzucił pracę prokuratora i został obrońcą.

– Co się stało? – chciała wiedzieć Suzie.

Otóż Milo miał niesamowity sen. Miał wiele takich snów. Oboje je mieli.

– Śniło mi się, że mieszkałem w Zambii – tłumaczył. – W wiosce. Popełniłem straszliwe przestępstwo. Zraniłem kogoś i zabrałem mu pieniądze, jednak nie poniosłem kary.

– Nie złapali cię? – domyślała się Suzie.

– Złapali od razu. Ale w tej wiosce, gdy ktoś zrobił coś złego, mieszkańcy zbierali się wokół niego w kole i opowiadali mu o wszystkich dobrych rzeczach, których dokonał w swoim życiu. Bardzo rzadko się zdarzało, by potem ten ktoś popełnił przestępstwo po raz drugi. Potrzebujemy tu podobnego postępowania. Nie kar, które upadają ludzi i sprawiają, że stają się jeszcze gorsi.

Suzie miała na zawsze zapamiętać ten wieczór. Pamiętała, jak siedzi przy swoim sekretarzyku, oparty na łokciach między dokumentami, z okularami na czole i twarzą oświetloną do połowy blaskiem lampki biurowej.

Przez chwilę milczeli oboje.

– Może nie jest to najlepszy moment na taką wiadomość – powiedziała w końcu Suzie, całując go w czoło – ale chcę otworzyć sklep z bronią.

Milo i Suzie rodzili się wiele razy, a czasami ich życie nie układało się tak, jak by tego oczekiwali. Na przykład gdy planowali się pobrać po ukończeniu szkoły średniej, ale Suzie dostała udaru, gdy pływała w jeziorze, i utonąła jeszcze przed swoimi siedemnastymi urodzinami.

Postawiono jej nagrobek nowego rodzaju: z polerowanego marmuru. Taki nagrobek miał trwać przez wieki, mknąc przez czas niczym strzała.

Przez kilka następnych lat Milo był jak kawałek drewna, które pęka od środka. Powoli jednak wracał do życia, pracował, uprawiał ogródek, jeździł samochodami. Wciąż trzymał na ścianie jej zdjęcie i nie zdejmował go prawie przez pięćdziesiąt lat.

Nagrobek Suzie okazał się rzeczywiście niezwykle wytrzymały. Po pięćdziesięciu latach nadal wyglądał jak nowy.

W ostatnim roku swego życia Milo urządził ogród, który otaczał jego dom. Było to niemal siedemdziesiąt metrów rzodkiewek, marchewek i fasoli, a także nagietki, które odstręczały króliki. Smutne historie obrastały go jak chwasty.

BLUE CREEK, MICHIGAN, rok 1932

Minęło trzydzieści lat.

Suzie i Milo wybudowali nowy dom nad miejscowym polem golfowym i wychowywali w nim dzieci. Niewiarygodnie szybko dom się postarzał. Zrobiło się w nim pusto: Charles wyjechał do

Darmouth, James do Michigan, gdzie studiował, a Edith wyprowadziła się do Miami w stanie Ohio.

Milo wycofał się ze swojego projektu: trzydziestoletniego programu wychowawczego dla dzieci, które złamały prawo. Celem programu było wysyłanie ich do szkół, a nie wyrzucanie do więzienia. Kiedy wszystko już zorganizował i był pewien, że program będzie działał należycie i bez niego, postąpił jak prawdziwie mądry człowiek i wycofał się w odpowiednim momencie.

Suzie, dla odmiany, kupiła budynek, w którym mieścił się jej sklep z bronią. Myśliwi z całego świata byli dumni, gdy mogli się pochwalić strzelbami firmy Falkner. Suzie zarobiła w ten sposób znacznie więcej pieniędzy, niż Milo kiedykolwiek posiadał.

Pojawiły się wnuczeta. Nancy, Kimberly, Wanda, Norman, Andrew Catherine, Curtis. Charles kupił firmę prawniczą. Edith miała wypadek podczas jazdy konnej.

Pewnego dnia, mniej więcej gdy ich wnuczeta stawały się nastolatkami, Milo patrzył na wielkie stalowe samochody stojące na parkingu przy klubie golfowym i na samoloty przelatujące wysoko na niebie. W salonie grało radio. Jazz, jakiś nowy rodzaj muzyki.

Myślał o czasach, gdy jeżdżono saniami, gdy wszędzie królowały konie, konie, konie.

– Na jakiej my żyjemy planecie, do diabła? – spytał głośno.

– Pepsodent Theatre of the Air – powiedział głos z radia. – Słuchacie nas państwo dzięki firmom Pepsodent i NBC.

Wiele wieków później, gdy ludzie stworzyli napęd OZ i podróżowali między gwiazdami, niektórzy z nich chcieli zabierać ze sobą zwierzęta.

Okazało się, że koty świetnie znoszą podróże kosmiczne. Doskonale poruszały się w stanie nieważkości. Nie przeszkadzało im wcale, że nie do końca było wiadomo, gdzie jest góra, a gdzie dół. Zwykle trzymały się też na uboczu.

Milo i Suzie, urodzeni w różnych miotach w stacji kosmicznej na orbicie Plutona, należeli do pierwszych kotów, które pokonywały przestrzenie międzygwiazdne. Byli jak dwie futrzaste rakiety, przemykali przez włazy i przelatywali przez kapsuły. Byli też bardzo porządni, dzięki czemu kocie jedzenie nie dostawało się do wentylacji.

Stali się dłuzy i chudzi, wyglądali jak kosmici.

Czasami drzemali przez kilka lat.

BLUE CREEK, MICHIGAN, rok 1942

Norman pojechał na wojnę. Jego rodzice, Charles i Lydia, dostali gwiazdę, którą powiesili we frontowym oknie.

Milo zrobił własną gwiazdę z lnu i powiesił ją we frontowym oknie dużego domu, przy bocznej drodze prowadzącej na pole golfowe.

Chodzili z Suzie na polowania. Tak czuwali nad swoim wnukiem, bez względu na to, gdzie akurat walczył czy maszerował. Norman szedł przez Afrykę Północną, jego dziadkowie chodzili po polach i lasach nad jeziorem Sand Lake.

Kiedy Norman zginął w Anzio, spojrzeli po sobie i oparli się o siebie, by nie upaść na podłogę. Potem zabrali sprzęt i mimo wszystko poszli na polowanie, stąpając po zmarzniętych chwastach i pszenicy, obchodząc zamrznięte jezioro, zwracając uwagę, gdzie psy gubiły trop na ziemi i węszyły w powietrzu.

Zaledwie kilka metrów dalej z pszenicy ozimej podniósł się niedźwiedź. Stary niedźwiedź o wyliniącej sierści, poznaczony licznymi bliznami.

– Psy! – rzucił krótko Milo, prosta komenda i prosty gest. Psy usiadły, jak je nauczono.

Suzie wymierzyła szybko, ale dokładnie.

Potrójny huk wystrzału. Niedźwiedź umarł szybko i bezboleśnie, trafiony jednym pociskiem w oko, a dwoma w serce.

– Jezu, Suzie – przemówił Milo. – Myślałem, że to będzie jak wiersz, my patrzymy na niego, a on na nas, a potem rozchodzimy się każdy w swoją stronę. Później moglibyśmy opowiadać, że był tak blisko, że widzieliśmy plamki w jego oczach i pojedyncze włosy jego sierści.

– To nie jest wiersz – warknęła.

Kiedy wrócili do domu, Milo poszedł kupić kredki i wykonał nieoficjalną złotą gwiazdę, którą mogli powiesić w oknie. Ściągnął tę, którą przygotował kiedyś, i położył ją na stoliku do kawy. Nie miał serca jej wyrzucić.

Przyszła Suzie i wrzuciła ją do śmieci.

Wiele razy odradzali się do życia w Kalifornii (kto nie chciałby tam żyć?). Wracali, by mieszkać w wioskach, w lasach i w chatach nad morzem.

Uczyli się kung-fu i szydełkowania. Nauczyli się kochać na więcej sposobów, niż kiedykolwiek znali ziemscy kochankowie. Czasami przypominali sobie rzeczy, których uczyli się w innych żywotach. Kiedy mieli siedem lat i żyli na Rapa Nui w 1700 roku, przypomnieli sobie, że latali statkami kosmicznymi. Widzieli statki kosmiczne w snach, rzeźbili deski surfingowe na ich podobieństwo i uczyli się latać na wodzie.

Wrócili jako dwie kobiety z plemienia Navajo. Wrócili jako rolnicy i jako ryby dwudyszne.

Czasami umierali razem albo w odstępach kilku minut, a czasami jedno z nich musiało przez długie lata żyć samotnie.

BLUE CREEK, MICHIGAN, rok 1947

Dwa lata po zakończeniu wojny Milo i Suzie siedzieli na huśtawce ustawionej na werandzie. Tego dnia przypadała pięćdziesiąta rocznica ich ślubu. Ich szczupłe, poznaczone plamami i żyłkami dłonie leżały splecione na jej kolanach. Dzieci i wnuki kręciły się, przygotowując kolację. We frontowym oknie wciąż wisiała złota gwiazda na cześć Normana.

Psy leżały nieopodal, zwinięte w kłębek, i udawały, że śpią.

Milo pochylił się do żony i powiedział:

– Jestem tobą zachwycony, Suzie.

Z wnętrza domu dolatywały zapachy jedzenia, jakby sam budynek oddychał cebulą i plackiem z dyni.

– Mmm? – mruknęła pytająco Suzie, bo nie słyszała już dobrze, więc Milo powtórzył:

– Jestem tobą zachwycony.

Uścisnęła jego dłoń, oparła mu głowę na ramieniu i odpowiedziała ze śmiechem:

– W porządku, kochanie. Ja też jestem tobą zmęczona.

Podziękowania

Każda książka ma przyjaciół.

Niektórzy z nich to ludzie, którzy w całkiem konkretny sposób pomagają ją tworzyć. Może czytają i podsuwają jakieś sugestie. Może są agentami albo edytorami, może mają świetne pomysły. Inni przyjaciele książki są w taki czy inny sposób przyjaciółmi autora. No i oczywiście są też czytelnicy, najlepsi przyjaciele, jakich ma każda książka.

Kurczę, ta książka ma mnóstwo przyjaciół.

Ich lista zaczyna się od mojej żony i przyjaciółki, poetki i pisarki, Janine Harrison. Janine bardzo się interesowała powieścią, odkąd tylko wspomniałem o tym pomysle, a potem dzielnie mi kibicowała i doradzała. Oczywiście jest też dla mnie kimś znacznie więcej, niż napisałem.

Moja agentka, Michelle Brower, pojawiła się kiedyś w moim życiu za sprawą telefonu. Zadzwoiła do mnie i powiedziała: „Podoba mi się pański styl. Chciałby pan wydawać książki u nas?”. Odmieniła moje życie i dziękuję jej za to z całego serca. Nie mogę nie wspomnieć, że pierwsza wersja tej książki była nieco głupawa, a Michelle skierowała mnie ku światłu. Wszystko, co dobre w tej powieści, nosi mentalne ślady Michelle. Jej asystentka, Annie Hwang, również miała w tym swój udział.

Tricia Narwani, moja redaktorka w Del Rey, miała bzika na punkcie tej książki, a do tego jest świetnym kompanem do piwa. Ona też wprowadziła trochę zmian. Bardzo dobrych zmian. Niektórzy pisarze powiedzą wam, że praca z redaktorami i wydawcami to prawdziwe piekło i że książka w wydanej już postaci nie jest właściwie ich książką. Ja nigdy tego nie doświadczyłem. Tricia i Del Rey są dobrymi i łagodnymi przyjaciółkami.

Wiele cennych rad i słów zachęty usłyszałem od tych, na których zawsze mogę liczyć. Josh Perz. Ted Kosmatka. Rachel Mork. Mary-Tina Vrehas. Mój tata, Don Poore, powiedział mi, jak powinienem zmienić pierwszy rozdział, i miał rację.

Jak zawsze mama i Bill byli niewyczerpanym źródłem wsparcia i zachęty. Poza tym miło przebywa się u nich w domu, który jest ładny, ma staw i wygodną werandę, doskonałe miejsce do pisania i do oglądania kaczek.

Czasami przyjaciele książki to cała grupa ludzi.

Chciałbym podziękować grupie studentów Janine z Purdue University, z klubu pisarskiego First Friday Wordsmiths, szczególnie Kevinowi Sheltonowi i Kayli Greenwell. Zacząłem pisać tę książkę podczas warsztatów FFW na farmie w południowej części Michigan, przy stole zajęтым przez młodych ludzi pijących kawę i piszących na laptopach. Wieczorami paliliśmy ognisko, patrzyliśmy na gwiazdy i świetliki. Wspaniałe warunki do pisania książki.

W Muncie, w stanie Indiana, jest grupa ludzi, którzy byli dla mnie tak dobrzy, że nawet nie wiem, od czego zacząć podziękowania. Pisarka i nauczycielka akademicka Cathy Day przyjaźni się ze mną i wymienia książkami już od jakiegoś czasu i to ona namówiła poetę Seana Lovelace'a, by zaprosił mnie do Ball State na wieczór literacki. To była niezapomniana impreza, jedna z najlepszych chwil w moim życiu. Cathy, Sean, Silas Hanson i kilkoro młodych autorów, których poznałem w tym tygodniu – Brittany Means, Sarah Hollowell, Jackson Thorn Elfin, Jeff

Stehly i Jeremy Flick – pozostają od tamtej pory w moim sercu i w mojej głowie.

Jak zawsze pisarze z Highland Writers' Group byli godnym zaufania źródłem krytyki i wsparcia.

No i Mean Group, najwredniejsza i najbardziej łakoma grupa, jaka kiedykolwiek istniała. Jesteśmy znów razem, wredniejsi i bardziej łakomi niż kiedykolwiek dotąd.

Dziękuję tym wszystkim, którzy czytali i nadal czytają. Kłaniam się wam nisko.

O Autorze

Michael Poore umie rozmawiać ze zwierzętami. Czasami, gdy farmerzy wyjeżdżają na wakacje, zajmuje się ich końmi i krowami. Uczy w szkole. Dziwnie pociąga go woda i kobiety o imieniu Janine. Umie żonglować. Umie surfować. Mieszka w północno-zachodniej Indianie ze swoją żoną, Janine, i córką Jianną. Potrafi uwolnić cię od czkawki, patrząc ci w oczy i śpiewając pieśń bojową Ohio University.

[Rozdział 1. Mędrzec z Orange Blossom Key](#)
[Rozdział 2. Niezwykły i zadziwiająco piękny lot nad Wiedniem](#)
[Rozdział 3. Suzie](#)
[Rozdział 4. Problem z barbarzyńcami](#)
[Rozdział 5. Twoją duszę można usunąć jak głupi program telewizyjny](#)
[Rozdział 6. Eleanor Roosevelt oceanu](#)
[Rozdział 7. Kiedy Milo musiał wrócić na Ziemię jako robak](#)
[Rozdział 8. Święta krowa](#)
[Rozdział 9. Sekretny kochanek Sophii Marii Mozart](#)
[Rozdział 10. Ludzie „Zwierciadła”](#)
[Rozdział 11. Powódź](#)
[Rozdział 12. Dzień, w którym Iago Fortuno umarł ze starości](#)
[Rozdział 13. Swamin, którego nie można było otruć](#)
[Rozdział 14. Afera „Pochopnego Puddingu”](#)
[Rozdział 15. Podnoszenie słoni, żonglowanie wodą](#)
[Rozdział 16. Zielone jabłka](#)
[Rozdział 17. Rzecz konkretna i potężna](#)
[Rozdział 18. Rzeźnia](#)
[Rozdział 19. Najbardziej niezwykła dziewczyna, jaką znałeś w szkole średniej](#)
[Rozdział 20. Zdyskredytowany ekonomista, który spadł z nieba](#)
[Rozdział 21. Budda zimą](#)
[Rozdział 22. Ucieczka do chińskiego nieba](#)
[Rozdział 23. Niezwykle misterny \(i dziwnie hipnotyczny!\)](#)
[Rozdział 24. Family Stone](#)
[Rozdział 25. Drzwi Słońca](#)
[Rozdział 26. Metadusza](#)
[Rozdział 27. Blue Creek, Michigan i inne życia](#)
[Podziękowania](#)
[O Autorze](#)